

BOLESŁAW PRUS

---

# Faraon, tom drugi

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

BOLESŁAW PRUS

*Faraon*

## TOM II

### ROZDZIAŁ I

Niedaleko miasta Pi-Bast<sup>1</sup> znajdowała się wielka świątynia bogini Hator<sup>2</sup>.

W miesiącu Paoni (marzec-kwiecień), w dniu porównania wiosennego, około dziewiątej wieczór, gdy gwiazda Syriusz miała się ku zachodowi, pod bramą świątyni stanęli dwaj podróżni kapłani i jeden pokutnik. Szedł on boso, miał popiół na głowie i był przykryty grubą płachtą, którą twarz zasłaniał.

Pomimo widnej nocy fizjognomi<sup>3</sup> podróżnych nie można było poznać, stali bowiem w cieniu dwu olbrzymich posągów bóstwa z krowią głową, które pilnowały wejścia do świątynicy i łaskawymi oczyma strzegły nomesu Habu od pomoru, złego wylewu i południowych wiatrów.

Odpocząwszy nieco, pokutnik upadł piersiami na ziemię i długo modlił się. Potem podniósł się, ujął miedzianą kołatkę i uderzył. Potężny dźwięk metalowy obiegł wszystkie dziedzińce, odbił się od grubych murów świątyni i poleciał ponad łany pszenicy, nad gliniane chaty chłopów, nad srebrzyste wody Nilu, gdzie słabym okrzykiem odpowiedziało mu zbudzone ptactwo.

Po długiej chwili za bramą rozległ się szmer i pytanie:

— Kto nas budzi?

— Niewolnik boży, Ramzes — rzekł pokutnik.

— Po co przyszedłeś?

— Po światło mądrości.

— Jakie masz prawa?

— Otrzymałem niższe święcenie i na wielkich procesjach wewnątrz świątyni noszę pochodnię.

Brama szeroko otworzyła się. Na środku stał kapłan w białej szacie, który wyciągnął rękę, rzekł powoli i wyraźnie:

— Wejdz. Niech razem z przestąpieniem tego progu spokój boży zamieszka w twojej duszy i niech spełnią się życzenia, o które w pokornej modlitwie błagasz bogów.

A gdy pokutnik upadł mu do nóg, kapłan, czyniąc jakieś znaki nad jego głową, szeptał:

— W imię Tego, który jest, był i będzie... Który wszystko stworzył... Którego technicznie napełnia świat widzialny i niewidzialny i jest życiem wiecznym...

A gdy brama zamknęła się, kapłan wziął Ramzesa za rękę i wśród zmroku, pomiędzy ogromnymi kolumnami przysionka, zaprowadził go do przeznaczonego mieszkania. Była to mała celka oświetlona kagankiem. Na kamiennej posadzce leżała wiązka suchej trawy, w kącie stał dzban wody, a obok — jęczmienny placek.

— Widzę, że tutaj naprawdę odpocznę po przyjęciach u nomarchów!... — wesoło zawołał Ramzes.

— Myśl o wieczności — odparł kapłan i oddalił się.

Księżca niemile dotknęła ta odpowiedź. Pomimo że był głodny, nie chciał jeść placaka ani pić wody. Usiadł na trawie i, patrząc na swoje pokaleczone w podróży nogi, pytał się: po co on tu przyszedł?... po co dobrowolnie wyzuł się ze swej dostojności?...

Widząc ściany celi i jej ubóstwo, przypomniał sobie chłopięce lata spędzone w kapłańskiej szkole. Ile on tam dostał kijów!... ile nocy przepędził na kamiennej posadzce za karę!... Ramzes i teraz uczuł tę nienawiść i trwogę, jakiej wówczas doświadczał wobec surowych kapłanów, którzy na wszystkie jego pytania i prośby odpowiadali zawsze jednym: „Myśl o wieczności!...”

Po kilkumiesięcznym zgiełku wpaść w taką ciszę, zamienić dwór księżęcy na ciemność i samotność, a zamiast uczt, kobiet, muzyki czuć dokoła siebie i nad sobą ciężar murów...

„Oszałamiałem!... oszałamiałem!... — mówił do siebie Ramzes.

Była chwila, że chciał opuścić świątynię natychmiast, a potem przyszła mu myśl, że mogą nie otworzyć bramy. Widok brudnych nóg, popiołu, który sypał mu się z włosów,

<sup>1</sup>Pi-Bast — Per-Bast, gr. Bubastis, miasto we wschodniej Deltcie, w pobliżu dzisiejszego Az-Zakazik, ok. 80 km na północ od Memfis. Centrum kultu bogini miłości i płodności Bastet. Stolica Am-Chent, 18. nomu Dolnego Egiptu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Hator a. Hathor — bogini nieba, miłości i radości. Utożsamiana z Izydą. Przedstawiana jako krowa lub kobieta z krowimi rogami. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>fizjognomia (daw.) — fizjonomia, twarz. [przypis edytorski]

szorstkość pokutniczej płachty — wszystko to napępiało go obrzydzeniem. Gdyby choć miał swój miecz!... Ale czy w tym odzieniu i tym miejscu ośmieliliby się go użyć?...

Uczuł niepokonany strach i to go otrzeźwiło. Przypomnił sobie, że bogowie w świątyniach zsyłają na ludzi trwogę i że ona ma być wstępem do mądrości.

„Jestem przecie namiestnikiem i następcą faraona — pomyślał — cóż mi tu kto zrobi?...”

Podniósł się i wyszedł ze swej celi. Znajdował się w wielkim dziedzińcu otoczonym kolumnami. Gwiazdy jasno świeciły, więc zobaczył — na jednym końcu podwórza olbrzymie pylony, na drugim otwarte wejście do świątyni.

Poszedł tam. Ode drzwi panował mrok, a gdzieś bardzo daleko płonęło kilka lamp, jakby unoszących się w powietrzu. Wpatrzywszy się, dojrzał między wejściem i świątłami cały las gęsto ustawionych, grubych kolumn, których wierzchołki rozplywały się w ciemności. W głębi, może o paręset kroków od niego, niewyraźnie widać było olbrzymie nogi siedzącej bogini i jej ręce oparte na kolanach, od których słabo odbijał się blask lamp.

Nagle usłyszał szmer. Z daleka, z bocznej nawy, wysunął się szereg białych figurek idących parami. Była to nocna procesja kapłanów, którzy oddawali hołd posągowi bogini śpiewając na dwa chóry:

*Chór I.* „Ja jestem Tym, który niebo i ziemię stworzył i wszystkie na nich stworzenia zrobił.

*Chór II.* Ja jestem Tym, który wody zrobił i wielką powódź stworzył, Tym, co wołu jego matce zrobił, który rodzicem jest.

*Chór I.* Ja jestem Tym, który niebo stworzył i tajemnice widnokręgów jego i dusze bogów w nie włożyłem.

*Chór II.* Ja jestem Tym, który gdy oczy otwiera, jasno się robi, a gdy je zamyka, ciemność się staje.

*Chór I.* Wody Nilu płyną, gdy rozkazuję...

*Chór II.* Ale bogowie nie znają jego imienia.”<sup>4</sup>

Głosy, z początku niewyraźne, potężniały tak, że słycać było każde słowo; a gdy zniknął orszak, zaczęły rozpraszać się między kolumnami, słabnąć... Wreszcie umilkły.

„A jednak ci ludzie — pomyślał Ramzes — nie tylko jedzą, piją i zbierają bogactwa... Oni naprawdę spełniają służbę, nawet w nocy... Chociaż — co z tego przyjdzie posągowi!...”

Książę nieraz widywał posągi bóstw granicznych obrzucone błotem przez mieszkańców innego nomesu albo postrzelane z łuków i proc przez żołnierzy cudzoziemskich pułków. Jeżeli bogowie nie obrażają się o zniewagi, niewiele także muszą dbać o modlitwy i procesje.

„Kto zresztą widział bogów!...” — rzekł do siebie książę.

Ogrom świątyni, jej niezliczone kolumny, światła palące się przed posągiem, wszystko to pociągało Ramzesa. Chciał rozejrzeć się w tym tajemniczym bezmiarze i poszedł naprzód.

Wtem zdało mu się, że z tyłu głowy delikatnie dotknęła go jakaś ręka... Obejrzał się, nie było nikogo, więc szedł dalej.

Tym razem jakieś dwie ręce chwyciły go za głowę, a trzecia, duża, oparła się na plecach...

— Kto tu jest?... — zawołał książę i rzucił się między kolumny.

Lecz potknął się i omal nie upadł: coś chwyciło go za nogi.

Ramzesa znowu opanował strach, większy niż w celi. Zaczął uciekać bez pamięci, potracając się o kolumny, które zastępowały mu drogę, a ciemność ogarniała ze wszech stron.

— O święta bogini, ratuj!... — szepnął.

W tej chwili zatrzymał się: o kilka kroków przed nim były wielkie drzwi świątyni, przez które zaglądało gwiazdziste niebo. Odwrócił głowę — między lasem olbrzymich kolumn płonęły lampy, a blask ich słabo odbijał się od spiżowych kolan świętej Hator.

<sup>4</sup>*Ja jestem Tym, który niebo i ziemię stworzył [...] Ale bogowie nie znają jego imienia.* — autentyczne. [przypis autorski]



Książę wrócił do swej celi wzburzony i skruszony; serce rzucało się w nim jak ptak schwytyany w sidła. Pierwszy raz od wielu lat upadł twarzą na ziemię i gorąco modlił się o łaskę i przebaczenie.

— Będziesz wysłuchany!... — odezwał się nad nim słodki głos.

Ramzes nagle podniósł głowę, lecz w celi nie było nikogo: drzwi zamknięte, mury grube. Modlił się więc jeszcze goręcej i tak usnął, z twarzą na kamieniach i rozkrzyżowanymi rękoma.

Kiedy na drugi dzień obudził się, był już innym człowiekiem: poznał moc bogów i otrzymał obietnicę łaski.

Od tej pory, przez długi szereg dni, z ochotą i wiarą oddawał się ćwiczeniom pobożnym. W swojej celi długie godziny spędzał na modlitwach, dał sobie ogolić włosy, przywdział strój kapłański i cztery razy na dobę uczęszczał do chóru najmłodszych kapłanów.

Jego życie przeszłe, wypełnione zabawami, budziło w nim odrazę, a niewiara, której nabył wśród rozpustnej młodzieży i cudzoziemców, napępiała go strachem. I gdyby mu dziś dano do wyboru: tron czy kapłański urząd? zawahałby się.

Pewnego dnia wielki prorok świątyni wezwał go do siebie, przypominając, że nie wszedł tu wyłącznie dla modłów, ale dla poznania mądrości. Pochwalił jego pobożne życie, powiedział, że jest już oczyszczony z brudów świata, i kazał mu zapoznać się ze szkołami istniejącymi przy świątyni.

Raczej przez posłuszeństwo aniżeli ciekawość książę prosto od niego udał się na zewnętrzny dziedziniec, gdzie mieścił się oddział czytania i pisania.

Była to wielka sala oświetlona przez otwór w dachu. Na matach siedziało kilkadziesiąt nagich uczniów z woskowanymi tabliczkami w rękach. Jedna ściana była z gładkiego alabastru, przed nią stał nauczyciel i różnokolorowymi kredkami pisał znaki.

Gdy książę wszedł, uczniowie (prawie wszyscy jednego wieku z nim) upadli na twarz. Nauczyciel zaś, skłoniwszy się, przerwał dotychczasowe zajęcie, aby wypowiedzieć chłopcom wykład o wielkim znaczeniu nauki.

— Moi kochani! — mówił. — „Człowiek, który nie ma serca do mądrości, musi zajmować się pracą ręczną i męczyć oczy. Ale ten, kto rozumie wartość nauk i kształci się w nich, może osiągnąć wszystkie władze, wszystkie dworskie urzędy. Pamiętajcie o tym.”<sup>5</sup>

Przypatrzcie się nędzemu życiu ludzi, którzy nie znają pisma. „Kowal jest czarny, posmolony, ma palce pełne nagniotków, a pracuje dzień i noc. Kamieniarz zrywa sobie ramię, ażeby napęścić żołądek. Mularz<sup>6</sup> budujący kapitele w formie lotosu bywa strącany przez wicher ze szczytu dachu. Tkacz ma zgięte kolana, fabrykant broni ciągle podróżuje: ledwo przyjedzie do domu wieczorem, już musi go opuszczać. Malarzowi pokojowemu cuchną palce, a czas upływa mu na krajaniu gałganów. Zaś szybkobiegacz, ten, żegnając się z rodziną, powinien zostawić testament, bo naraża się na niebezpieczeństwo spotkania dzikich zwierząt lub Azjatów.”

Pokazałem wam dolę różnych rzemiosł, bo chcę, ażebyście kochali sztukę pisania, która jest waszą matką, a teraz przedstawię wam jej piękności. Ona nie jest pustym słowem na ziemi, ona jest ważniejszą od wszelkich innych zajęć. Ten, który korzysta ze sztuki pisania, jest szanowanym od dzieciństwa; on spełnia wielkie posłannictwa. Lecz ten, który nie bierze w niej udziału, żyje w nędzy.

Nauki szkolne są ciężkie jak góry; ale jeden ich dzień wystarczy wam na całą wieczność. Więc prędko, jak najprędzej poznajcie się z nimi i pokochajcie... Stan pisarza jest książęcym stanem, jego kałamarz i księga dają mu przyjemności i bogactwa!...

Po szumnej przemowie o dostojeństwie nauk, czego od trzech tysięcy lat bez zmiany słuchali egipscy uczniowie, mistrz wziął kredkę i na alabastrowej ścianie zaczął pisać — alfabet. Każda litera wyrażała się za pomocą kilku symbolów hieroglificznych lub kilku znaków demotycznych<sup>7</sup>. Rysunek oka, ptaka lub pióra oznaczał — A. Owca albo doniczka

<sup>5</sup>Człowiek, który nie ma serca do mądrości [...] Pamiętajcie o tym. — autentyczne. [przypis autorski]

<sup>6</sup>mularz (daw.) — murarz. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Każda litera wyrażała się za pomocą kilku symbolów hieroglificznych lub kilku znaków demotycznych — w piśmie hieroglificznym pojedynczy symbol wyrażał całe pojęcie lub wyraz (znaki ideograficzne), uściślał, o jaką klasę pojęcia chodzi (determinatywy) lub reprezentował wartość fonetyczną (szczególnie przy zapisie obcych imion i nazw). Pisma hieroglificzne używano zarówno do inskrypcji rytych w kamieniu, jak i oficjalnych

— B, człowiek stojący lub czółno — K, wąż — R, człowiek siedzący albo gwiazda — S. Obfitość znaków wyrażających każdą literę sprawiała, że nauka czytania i pisania była bardzo mozolnym zajęciem.

Toteż Ramzes zmęczył się samym słuchaniem, wśród którego jedyną rozrywkę stanowiło to, gdy nauczyciel kazał któremu z uczniów wyrysować lub nazwać literę i walił go kijem, gdy się omylił.

Pożegnawszy nauczyciela i wychowawców, książę ze szkoły pisarzy przeszedł do szkoły mierników. Tu uczono młodzież zdejmować plany pól, mających po największej części formę prostokątów, tudzież niwelować grunta za pomocą dwu łąt i węgielnicy. W tym również oddziale wykładano sztukę pisania liczb, nie mniej zawikłaną jak hieroglify albo znaki demotyczne. Lecz najprostsze działania arytmetyczne stanowiły wyższy kurs i wykonywały się przy pomocy kulek.

Ramzes miał tego dosyć i dopiero po kilku dniach zgodził się odwiedzić szkołę lecarską.

Był to zarazem szpital, a raczej wielki ogród zasadzony mnóstwem drzew i zasiany wonnymi ziołami. Chorzy całe dni przepędzali w powietrzu i słońcu, na łózkach, w których zamiast materacy było wyciągnięte płótno.

Gdy książę wszedł tutaj, panowała największa czynność. Kilku pacjentów kąpało się w sadzawce wody bieżącej, jednego smarowano wonnymi maściami, jednego okadzano. Było kilku, których uspioło za pomocą wzroku i pociągnięć rękami; jeden jęczał po nastawieniu zwichniętej nogi.

Pewnej ciężko chorej kobiecie kapłan podawał w kubku jakąś miksturę, mówiąc:

„Chodź, leku, chodź, wypędź to z mego serca, z tych moich członków, silny w czary przy tym leku.”<sup>8</sup>

Następnie książę w towarzystwie wielkiego lekarza poszedł do apteki, gdzie jeden z kapłanów przygotowywał lekarstwa z ziół, miodu, oliwy, skórek węzowych i jaszczurczych, kości i tłuszczów zwierzęcych. Na zapytanie Ramzesa laborant nie oderwał oczu od swej pracy. Tylko wciąż ważył i rozcierał materiały, odmawiając przy tym modlitwę:

„Uzdrowiło Izydę, uzdrowiło Izydę, uzdrowiło Horusa... O Izydę, wielka czarodziejko, uzdrów mnie, wyzwól ze wszystkich złych, szkodliwych, czerwonych rzeczy, od gorączki boga i gorączki bogini...”

O Schauagat', eenagate' synie! Erukate'! Kauaruschagate'!... Paparuka paparaka paparuka...”<sup>9</sup>

— Co on mówi? — spytał książę.

— Tajemnica... — odparł wielki lekarz, kładąc palec na ustach.

Gdy wyszli na pusty dziedziniec, Ramzes rzekł do wielkiego lekarza:

— Powiedz mi, święty ojczec: co to jest sztuka lekarska i na czym polegają jej sposoby? Bo ja słyszałem, że choroba jest to zły duch, który osiedla się w człowieku i dręczy go z głodu, dopóki nie dostanie właściwej sobie żywności. I że jeden zły duch, czyli choroba, karmi się miodem, inny oliwą, a inny — zwierzęcymi odchodami. Lekarz więc powinien — naprzód wiedzieć; jaki duch zamieszkał w chorym, a następnie — jakich ten duch potrzebuje pokarmów, ażeby nie trapił człowieka?...

Kapłan zamyślił się i odparł:

— Co to jest choroba, jakim sposobem spada na ludzkie ciało, o tym nie mogę powiedzieć ci, Ramzesie. Ale objaśnię ci, bo zostałeś oczyszczony, czym kierujemy się przy wydawaniu lekarstw.

Wyobraź sobie, że człowiek jest chory na wątrobę. Otóż my, kapłani, wiemy, że wątroba znajduje się pod wpływem gwiazdy Peneter-Dewa<sup>10</sup> i że leczenie musi zależeć od tej gwiazdy.

Lecz tu mędrcy dzielą się na dwie szkoły. Jedni twierdzą, że potrzeba choremu na wątrobę podawać wszystko to, nad czym Peneter-Dewa ma władzę, a zatem: miedź, lapis-

tekstów na zwojach i kartach papirusowych. Do odrębnych zapisków na papirusie lub glinianych skorupkach stosowano uproszczone postacie znaków zwane pismem hieratycznym (gr.: kapłańskim), z którego z kolei w VII w. p.n.e. powstało jeszcze bardziej uproszczone pismo demotyczne (gr.: ludowe). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Chodź, leku, chodź... — autentyczne. [przypis autorski]

<sup>9</sup>O Schauagat'... — autentyczne. [przypis autorski]

<sup>10</sup>gwiazda Peneter-Dewa — planeta Wenus. [przypis autorski]

-lazuli, wywary z kwiatów, przede wszystkim z werweny i waleriany, nareszcie różne części ciała turkawki i kozła. Inni zaś lekarze sądzą, że gdy wątroba jest chora, to właśnie trzeba ją leczyć środkami przeciwnymi. A ponieważ przeciwnikiem Peneter-Dewy jest Sebeg<sup>11</sup>, więc lekarstwami będą: żywe srebro, szmaragd i agat, leszczyna i podbiał tudzież części ciała żaby i sowy utarte na proszek.

Lecz nie jest to jeszcze wszystko. Trzeba bowiem pamiętać o dniu, miesiącu i porze dnia, każdy bowiem z tych przeciągów czasu zostaje pod wpływem gwiazdy, która może wspierać lub osłabiać działanie lekarstwa. Trzeba nareszcie pamiętać: jaka gwiazda i jaki znak Zodiaku panuje nad chorym. Dopiero gdy lekarz wszystkie te rzeczy weźmie pod uwagę, może przepisać środek niezawodny.

— I czy wszystkim chorym pomagacie w świątyni?

Kapłan potrząsnął głową.

— Nie — rzekł. — Umysł ludzki, który musi ogarnąć tyle szczegółów, o jakich mówiłem, bardzo łatwo myli się. A co gorsza: duchy zawistne, geniusze innych świątyń, zazdrosne o swoją sławę, niejednokrotnie przeszkadzają lekarzowi i psują skutek lekarstw. Ostateczny więc wypadek może być rozmaitym: jeden chory całkiem przychodzi do zdrowia, inny tylko poprawia się, a trzeci pozostaje bez zmiany. Choć zdarzają się i tacy, którzy rozchorowują się jeszcze gorzej albo nawet umierają... Wola bogów!...

Książę słuchał z uwagą, w duchu jednak przyznał, że niewiele rozumie. Zarazem przypomniał sobie cel swojego przybycia do świątyni i nagle zapytał wielkiego lekarza:

— Mielście, święci ojcowie, pokazać mi tajemnicę skarbu faraona. Czy mają być nią te rzeczy, które widziałem?

— Bynajmniej — odpowiedział lekarz. — Ale my nie znamy się na rzeczach państwowych. Dopiero ma tu zjechać święty kapłan Pentuer, wielki mędrzec, i on zdejmie z oczu twoich zasłonę.

Ramzes pożegnał lekarza jeszcze więcej zaciekawiony tym, co miano mu pokazać.

## ROZDZIAŁ II

Świątynia Hator z wielką czcią przyjęła Pentuera, a niżej jej kapłani wyszli na pół godziny drogi, aby powitać znakomitego gościa. Zjechało się wielu proroków, ojców świątych i synów bożych ze wszystkich cudownych miejsc Dolnego Egiptu w celu usłyszenia słów mądrości. W parę dni po nich przybyli: arcykapłan Mefres i prorok Mentezufis.

Składano Pentuerowi holdy, nie tylko że był doradcą ministra wojny i, bez względu na młody wiek, członkiem najwyższego kolegium, ale że kapłan ten miał sławę w całym Egipcie. Bogowie dali mu nadludzką pamięć, wymowę i nade wszystko cudny dar jasnowidzenia. W każdej bowiem rzeczy i sprawie dostrzegał strony przed innymi ludźmi ukryte i umiał przedstawić je w sposób zrozumiały dla wszystkich.

Niejeden nomarcha lub wysoki urzędnik faraona, dowiedziawszy się, że Pentuer ma celebrować uroczystość religijną w świątyni Hator, zazdrościł najskromniejszemu kapłanowi, że usłyszy natchnionego przez bogów człowieka.

Duchowni, którzy na gościniec wyszli witać Pentuera, byli pewni, że dostojnik ten ukaże im się na wozie dworskim albo w lektyce niesionej przez ośmiu niewolników. Jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli chudego ascetę, z obnażoną głową, który odziewszy się w grubą płachtę sam jeden podróżował na oślicy i przywitał ich z wielką pokorą.

Gdy go wprowadzono do świątyni, złożył ofiarę bóstwu i natychmiast udał się na obejrzenie placu, gdzie miała odbyć się uroczystość.

Od tej pory nie widziano go. Ale w świątyni i przyległych jej podwórzach zapanował ruch niezwykły. Zwożono rozmaite sprzęty kosztowne, ziarna, ubiory, spędzono kilkuset chłopów i robotników, z którymi Pentuer zamknął się na przeznaczonym mu dziedzińcu i robił przygotowania.

Po ośmiu dniach pracy zawiadomił arcykapłana Hatory, że wszystko jest gotowe.

Przez cały ten czas książę Ramzes, ukryty w swojej celi, oddawał się modlitwom i postom. Nareszcie pewnego dnia, o trzeciej po południu, przyszło po niego kilkunastu kapłanów uszykowanych we dwa szeregi i wezwali go na uroczystość.

<sup>11</sup>Sebeg — planeta Merkury. [przypis autorski]

W przysionku świątyni powitali księcia arcykapłani i wraz z nim spalili kadzidła przed olbrzymim posągim Hatory. Potem skręcili w boczny korytarz, ciasny i niski, na końcu którego płonął ogień. Powietrze korytarza było przesycone wonią smoły gotującej się w kotle.

W sąsiedztwie kotła przez otwór w posadzce wydobywał się okropny jęk ludzki i przekleństwa.

— Co to znaczy?... — spytał Ramzes jednego z idących przy nim kapłanów.

Zapytany nic nie odpowiedział; na twarzach wszystkich obecnych, o ile je można było dojrzyć, malowało się wzruszenie i przestrasz.

W tej chwili arcykapłan Mefres wziął do ręki wielką łyżkę i zacerpnąwszy z kotła gorącej smoły rzekł podniesionym głosem:

— Tak niech ginie każdy zdrajca świątych tajemnic!...

To powiedziawszy wlał smołę w otwór posadzki, a z podziemiów odezwał się ryk...

— Zabijcie mnie... jeżeli w sercach macie choć odrobinę miłosierdzia!... — jęczał głos.

— Niech ciało twoje stoczą robaki!... — rzekł Mentezufis, wlewając roztopioną smołę w otwór.

— Psy!... szakale!... — jęczał głos.

— Niech serce twoje będzie spalone, a proch wyrzucony na pustynię... — mówił następny kapłan, powtarzając ceremonię.

— O bogowie!... czyliż można tyle cierpieć — odpowiedziano z podziemi.

— Niech dusza twoja, z wizerunkiem swej hańby i występku, błąka się po miejscach, gdzie żyją ludzie szczęśliwi... — rzekł inny kapłan i znowu wlał łyżkę smoły.

— Oby was ziemia pożarła... Miłosierdzia!... dajcie mi odetchnąć...

Nim przyszła kolej na Ramzesa, głos w podziemiu już umilkł.

— Tak bogowie karzą zdrajców!... — rzekł do księcia arcykapłan świątyni.

Ramzes zatrzymał się i wpił w niego pełne gniewu spojrzenie. Zdawało się, że wybuchnie i porzuci tą gromadę katów; ale uczył strach boży i w milczeniu poszedł za innymi.

Teraz dumny następca zrozumiał, że jest władza, przed którą uginają się faraonowie. Ogarnęła go prawie rozpacz, chciał uciec stąd, wyrzec się tronu... Ale milczał i szedł dalej, otoczony kapłanami śpiewającymi modlitwy.

„Oto już wiem — myślał — gdzie podziewają się ludzie niemili sługom bożym!...”

Refleksja ta nie zmniejszyła jego zgrozy.

Opuściwszy wąski korytarz, pełen dymu, procesja znowu znalazła się pod otwartym niebem, na wzniesieniu. Poniżej leżał ogromny dziedziniec, z trzech stron zamiast muru otoczony parterowym budynkiem. Od tego miejsca, gdzie stali kapłani, spuszczał się rodzaj amfiteatru o pięciu szerokich kondygnacjach, po których można było przechadzać się wzdłuż dziedzińca lub zejść na dół.

Na placu nie było nikogo, ale z budynków wyglądali jacyś ludzie.

Arcykapłan Mefres, jako najdostojniejszy w tym gronie, przedstawił księciu Pentuera. Łagodna twarz ascety tak nie godziła się z okropnościami, jakie miały miejsce w korytarzu, że książę zdziwił się. Ażeby cośkolwiek powiedzieć, rzekł do Pentuera:

— Wydaje mi się, że już kiedyś spotkałem was, pobożny ojcze?

— W roku zeszyłym na manewrach pod Pi-Bailos. Byłem tam przy jego dostojności Herhorze — odparł kapłan.

Dźwięczny i spokojny głos Pentuera zastanowił księcia. On już gdzieś słyszał i ten głos, w jakichś niezwykłych warunkach. Ale kiedy i gdzie?...

W każdym razie kapłan zrobił na nim przyjemne wrażenie. Gdybyż mógł zapomnieć krzyków człowieka, którego oblewano wrzącą smołą!...

— Możemy zaczynać — odezwał się arcykapłan Mefres.

Pentuer wysunął się na przód amfiteatru i klasnął w ręce. Z parterowych budynków wybiegła gromada tancerek i wyszli kapłani z muzyką tudzież niewielkim posągim bogini Hator. Muzyka szła naprzód, za nią tancerki wykonywujące świąty taniec, wreszcie posąg otoczony dymem kadzideł. W ten sposób obeszlą dokoła dziedziniec i zatrzymując się co kilka kroków, prosili bóstwa o błogosławieństwo, a złych duchów o opuszczenie miejsca, gdzie ma odbyć się pełna tajemnic uroczystość religijna.



Gdy procesja wróciła do budynków, wystąpił Pentuer. Obecni dostojnicy, w liczbie dwudziestu lub trzydziestu osób, skupili się dokoła niego.

— Z woli jego świątobliwości faraona — zaczął Pentuer — i za zgodą najwyższych władz kapłańskich mamy wtajemniczyć następcę tronu, Ramzesa, w niektóre szczegóły życia państwa egipskiego, znane tylko bóstwom, rządcom kraju i świątyniom. Wiem, dostojni ojcowie, że każdy z was lepiej objaśnilby młodego księcia o tych rzeczach, albowiem napelnia was mądrość, a bogini Mut przemawia przez wasze usta. Że jednak na mnie, który wobec was jestem tylko uczniem i prochem, spadł ten obowiązek, pozwólcie, abym go spełnił pod waszym czcigodnym kierunkiem i dozorem.

Szmer zadowolenia rozległ się między uczczonymi w taki sposób kapłanami. Pentuer zwrócił się do księcia:

— Od kilku miesięcy, sługo boży, Ramzesie, jak zbłąkany podróżny szuka drogi w pustyni, tak ty szukasz odpowiedzi na pytanie: dlaczego zmniejszyły się i zmniejszają dochody świątobliwego faraona? Zapytywałeś nomarchów, a choć objaśnili cię wedle swojej możliwości, nie zadowolili<sup>12</sup> się, pomimo że najwyższa mądrość ludzka jest udziałem tych dostojników. Zwracałeś się do wielkich pisarzy, lecz pomimo usiłowań, ludzie ci, jak ptaki z sieci, sami nie mogli wypłatać się z trudności, gdyż rozum człowieka, nawet ukształconego w szkole pisarzy, ogromu tych rzeczy ogarnąć nie jest w stanie. W końcu, zmęczony jałowymi objaśnieniami, zacząłeś przyglądać się grantom nomosów, ich ludziom i dziełom ich rąk, ale nic nie dojrzałeś. Są bowiem rzeczy, o których ludzie milczą jak kamienie, ale o których opowie ci nawet kamień, jeżeli padnie na niego światło bogów.

Gdy tym sposobem zawiodły cię wszystkie ziemskie rozумы i potęgi, zwróciłeś się do bogów. Boso, z głową posypaną popiołem, przyszedłeś jako pokutnik do tej wielkiej świątyni, gdzie za pomocą modlitw i umartwień oczyściłeś ciało swoje, a wzmocniłeś ducha. Bogowie, a w szczególności potężna Hator wysłuchiwała twych próśb i przez niegodne moje usta da ci odpowiedź, którą obyś głęboko zapisał w sercu!...

„Skąd on wie — myślał tymczasem książę — że ja wypytywałem pisarzy i nomarchów?... Aha, powiedział mu o tym Mefres i Mentezufis... Zresztą oni wszystko wiedzą!...”

— Posłuchaj — mówił Pentuer — a odsłonię ci, za pozwoleniem obecnych tu dostojników, czym był Egipt czterysta lat temu, za panowania najślawniejszej i najpobożniejszej dynastii dziewiętnastej, tebeńskiej, a czym jest dziś...

Kiedy pierwszy faraon tamtej dynastii, Ramen-pehuti-Ramessu, objął władzę nad krajem, dochody skarbu państwa w zbożu, bydło, piwie, skórach, kruszczach i rozmaitych wyrobach wynosiły sto trzydzieści tysięcy talentów. Gdyby istniał naród, który wszystkie te towary mógłby nami wymienić na złoto, faraon miałby rocznie sto trzydzieści trzy tysiące min<sup>13</sup> złota. A że jeden żołnierz może dźwigać na plecach dwadzieścia sześć min ciężaru, więc dla przeniesienia tego złota trzeba by użyć około pięciu tysięcy żołnierzy.

Kapłani zaczęli szeptać między sobą, nie ukrywając zdziwienia. Nawet książę zapomniał o człowieku zamęczonym w podziemiach.

— Dziś — mówił Pentuer — roczny dochód jego świątobliwości, we wszystkich produktach tej ziemi, wart jest tylko dziewięćdziesiąt osiem tysięcy talentów. Za co można by dostać tyle złota, że do przeniesienia go potrzeba by tylko czterech tysięcy żołnierzy.

— O tym, że dochody państwa bardzo zmniejszyły się, wiem — wtrącił Ramzes — ale dlaczego?

— Bądź cierpliwym, sługo boży — odparł Pentuer. — Nie tylko dochód jego świątobliwości uległ zmniejszeniu...

Za dziewiętnastej dynastii Egipt miał pod bronią sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Gdyby za sprawą bogów każdy ówczesny żołnierz zamienił się w kamyk wielkości winnego grona...

— To być nie może — szepnął Ramzes.

— Bogowie wszystko mogą — surowo rzekł arcykapłan Mefres.

<sup>12</sup>zadowolnić (daw.) — zadowolić. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>mina — 1,5 kilograma [jednostka wagi równa w zależności od czasu i miejsca 1/60 lub 1/100 talentu, czyli od ok. 0,5 kg do ok. 1,5 kg. Red. WL.]. [przypis autorski]

— Albo lepiej — mówił Pentuer — gdyby każdy żołnierz położył na ziemi jeden kamyk, byłoby sto osiemdziesiąt tysięcy kamyków i spojrzycie, dostojni ojcowie, kamyki te zajęłyby tyle miejsca...

Wskazał ręką czerwonej barwy prostokąt, który leżał na dziedzińcu.

— W tej figurze mieściłyby się kamyki rzucone przez każdego żołnierza z czasów Ramzesa I. Figura ta ma dziewięć kroków długości i około pięciu szerokości. Figura ta jest czerwona, ma barwę ciała Egipcjan, gdyż w owych czasach wszyscy nasi żołnierze składali się tylko z Egipcjan...

Kapłani znowu zaczęli szeptać. Książę sposepniał, zdawało mu się bowiem, że jest to przymówka do niego, który lubił cudzoziemskich żołnierzy.

— Dziś — ciągnął Pentuer — z wielkim trudem zebraloby się sto dwadzieścia tysięcy wojowników. Gdyby zaś każdy z nich rzucił na ziemię swój kamyk, można by utworzyć taką oto figurę... Patrzcie, dostojni...

Obok pierwszego leżał drugi prostokąt, mający tę samą wysokość, ale znacznie krótszą podstawę. Nie miał też barwy jednolitej, lecz składał się z kilku pasów różnego koloru.

— Ta figura ma około pięciu kroków szerokości, lecz długa jest tylko na sześć kroków. Ubyła więc państwu ogromna ilość żołnierzy, trzecia część tej, jaką posiadaliśmy.

— Państwu więcej przyda się mądrość takich jak ty, proroku, aniżeli wojsko — wtrącił arcykapłan Mefres.

Pentuer skłonił się przed nim i mówił dalej:

— W tej nowej figurze, przedstawiającej dzisiejszą armię faraonów, widzicie, dostojni, obok barwy czerwonej, która oznacza rodowitych Egipcjan, jeszcze trzy inne pasy: czarny, żółty i biały. Przedstawiają one wojska najemnicze: Etiopów, Azjatów i Libijczyków tudzież Greków. Jest ich razem ze trzydzieści tysięcy, ale kosztują tyle, co pięćdziesiąt tysięcy Egipcjan...

— Należy czym prędzej znieść obce pulki!... — rzekł Mefres. — Drogie są, nieprzydatne, a uczą nasz lud bezbożności i zuchwalstwa. Dziś już wielu Egipcjan nie pada na twarz przed kapłanami, ba! niejeden posunął się do kradzieży w świątyniach i grobach...

Zatem precz z najemnikami!... — mówił zapalczywie Mefres. — Kraj ma z nich same szkody, a sąsiedzi podejrzewają nas o nieprzyjacielskie zamysły...

— Precz z najemnikami!... Rozpędzić buntowniczych pogan!... — odezwali się kapłani.

— Gdy po latach, Ramzesie, wstąpisz na tron — mówił Mefres — spełnisz ten święty obowiązek względem państwa i bogów...

— Tak, spełnij!... Uwolnij twój lud od niewiernych!... — wołali kapłani.

Ramzes pochylił głowę i milczał. Krew uciekła mu do serca, czuł, że ziemia chwieje mu się pod nogami.

On ma rozpędzić najlepszą część wojska!... On, który chciałby mieć dwa razy większą armię i ze cztery razy tyle walecznych pułków najemnych!...

„Bez miłosierdzia są nade mną!...” — pomyślał.

— Mów, z nieba zesłany Pentuerze — odezwał się Mefres.

— Tak więc, święci mężowie — ciągnął Pentuer — poznaliśmy dwa nieszczęścia Egiptu: zmniejszyły się dochody faraona i jego armia...

— Co tam armia!... — mruknął arcykapłan, pogardliwie wstrząsając ręką.

— A teraz, za łaską bogów i waszym zezwoleniem, okażę wam: dlaczego tak się stało i z jakich powodów skarby i wojska będą zmniejszały się w przeszłości.

Książę podniósł głowę i patrzył na mówiącego. Już nie myślał o człowieku mordowanym w podziemiach.

Pentuer przeszedł kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, za nim dostojnicy.

— Czy widzicie u stóp waszych ten długi a wąski pas zieloności, zakończony szerokim trójkątem? Po obu stronach pasa leżą wapienie, piaskowce i granity, a za nimi obszary piasku. Środkiem płynie struga, która w trójkącie rozdziela się na kilka odnóg...

— To Nil!... To Egipt!... — wołali kapłani.

— Uważajcie no — przerwał wzruszony Mefres. — Obnażam rękę... Czy widzicie te dwie niebieskie żyły, biegnące od łokcia do pięści?... Nie jestże to Nil i jego kanał,

który poczyna się naprzeciw Gór Alabastrowych<sup>14</sup> i płynie aż do Fajum?... A spojrzycie na wierzch mojej pięści: jest tu tyle żył, na ile odnóg dzieli się święta rzeka za Memfisem. A moje palce czyliż nie przypominają liczby odnóg, którymi Nil wlewa się do morza?...

— Wielka prawda!... — wołali kapłani, oglądając swoje ręce.

— Otóż mówię wam — ciągnął rozgorączkowany arcykapłan — że Egipt jest... śladem ręki Ozyrysa... Tu na tej ziemi wielki bóg oparł rękę: w Tebach leżał jego boski łokieć, morza dosięgnęły palce, a Nil jest jego żyłami... I dziwić się, że ten kraj nazywamy błogosławionym!

— Oczywiście — mówili kapłani — Egipt jest wyraźnym odciskiem ręki Ozyrysa...

— Czyliż — wtrącił książe — Ozyrys ma siedem palców u ręki? Bo przecie Nil siedmiu odnogami wpada do morza...

Nastąpiło głuche milczenie.

— Młodzieńcze — odparł Mefres z dobrotliwą ironią — czy sądzisz, że Ozyrys nie mógłby mieć siedmiu palców, gdyby mu się tak podobało?...

— Naturalnie!... — potakiwali kapłani.

— Mów dalej, znakomity Pentuerze — wtrącił Mentezufis.

— Macie słuszność, dostojnicy — zaczął znowu Pentuer. — Ta struga, ze swymi rozgałęzieniami, jest obrazem Nilu; wąski pasek murawy, obsadzony kamieniami i piaskiem, to Egipt Górny, a ten trójkąt, poprzecinany żyłkami wody, to wizerunek Egiptu Dolnego, najobszerniejszej i najbogatszej części państwa.

Otóż w początkach dziewiętnastej dynastii cały Egipt, od katarakt Nilowych do morza, obejmował pięćset tysięcy miar ziemi. Zaś na każdej miarze<sup>15</sup> ziemi żyło szesnastu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Lecz przez czterysta lat następnych prawie z każdym pokoleniem ubywało Egipcjom po kawałku ziemi żyznej...

Mówca dał znak. Kilkunastu młodych kapłanów wybiegło z budynku i poczęły sypać piasek na rozmaite punkta<sup>16</sup> murawy.

— Za każdym pokoleniem — ciągnął kapłan — ubywało ziemi żyznej, a wąski jej pasek zwężał się coraz bardziej. Dziś — tu podniósł głos — ojczyzna nasza, zamiast pięćset tysięcy miar, posiada tylko czterysta tysięcy miar... Czyli że przez ciąg panowania dwu dynastii Egipt stracił ziemię, która wykarmiła blisko dwa miliony ludzi!...

W zgromadzeniu znowu podniósł się szmer zgrozy.

— A wiesz, sługo boży, Ramzesie, gdzie podziały się te pola, na których niegdyś rośla pszenica i jęczmień albo pasły się stada bydła?... O tym wiesz, że — zasypał je piasek pustyni. Ale czy mówiono ci: dlaczego tak się stało?... Bo — zabrakło chłopów, którzy za pomocą wiadra i pługa od świtu do nocy walczyli z pustynią. Nareszcie, czy wiesz, dlaczego zabrakło tych robotników bożych?... Gdzie oni się podzieli? co ich wymiotło z kraju?... Oto — wojny zagraniczne. Nasi rycerze zwyciężali nieprzyjaciół, nasi faraonowie uwieczniali swoje czcigodne nazwiska aż nad brzegami Eufratu, a nasi chłopci, jak pociągowe bydło, nosili za nimi żywność, wodę i inne ciężary i po drodze marli tysiącami.

Toteż za te kości, rozrzucone po pustyniach wschodnich, piaski zachodnie pożarły nasze grunta, i dziś trzeba niezmiernej pracy i wielu pokoleń, ażeby powtórnie wydobyć czarną ziemię egipską spod mogiły piasków...

— Słuchajcie!... słuchajcie!... — wołał Mefres — jakiś bóg mówi przez usta tego człowieka. Tak, nasze triumfalne wojny były grobem Egiptu...

Ramzes nie mógł zebrać myśli. Zdawało mu się, że te góry piasku sypią się dziś na jego głowę.

— Powiedziałem — mówił Pentuer — że potrzeba wielkiej pracy, ażeby odkopać Egipt i wrócić mu dawne bogactwa, które pożarła wojna. Ale czy my posiadamy siły do wykonania tego zamiaru?...

Znowu posunął się kilkanaście kroków wzdłuż amfiteatru, a za nim wzruszeni słuchacze. Jak Egipt Egipcjom, jeszcze nikt tak dosadnie nie odmalował klęsk kraju, choć

<sup>14</sup>Góry Alabastrowe — w środkowej części Egiptu, na wschodnim brzegu Nilu w pobliżu Amarna, ok. 250 km na południe od Memfis, 50 km na południe od dzisiejszego al-Minja, znajdowały się eksploatowane przez Egipcjan od czasów Starego Państwa złoża trawertynu, jasnego kamienia zwanego egipskim alabastrem. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>miarze — dziś popr. forma Msc. lp: mierze. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>punkta — dziś popr.: punkty. [przypis edytorski]

wszyscy wiedzieli o nich.

— Za czasów dziewiętnastej dynastii Egipt posiadał osiem milionów ludności. Gdyby każdy ówczesny człowiek, kobieta, starzec i dziecko, rzuciło na ten oto plac po ziarnie fasoli, ziarna utworzyłyby taką figurę...

Wskazał ręką na dziedziniec, gdzie w dwu rzędach, jeden przy drugim, leżało osiem wielkich kwadratów ułożonych z czerwonej fasoli.

— Figura ta ma sześćdziesiąt kroków długości, trzydzieści szerokości i jak widzicie, pobożni ojcowie, składa się z jednakowych ziarn<sup>17</sup>; niby ówczesna ludność, kiedy wszyscy byli z dziada-pradziada Egipcjanami.

A dziś, spojrzycie!...

Poszedł dalej i wskazał na inną grupę kwadratów rozmaitej barwy.

— Widzicie figurę, która ma także trzydzieści kroków szerokości, ale tylko czterdzieści pięć długości. Dlaczego? Bo jest w niej tylko sześć kwadratów, bo dzisiejszy Egipt nie ma już osmiu, lecz tylko sześć milionów mieszkańców...

Zważcie przy tym, że gdy poprzednia figura składała się wyłącznie z czerwonej fasoli egipskiej, w tej obecnej są ogromne pasy z ziarn czarnych, żółtych i białych. Bo jak w armii naszej, tak i w narodzie znajduje się dziś bardzo wielu cudzoziemców: czarni Etiopowie, żółci Syryjczycy i Fenicjanie, biali Grecy i Libijczycy...

Przerwano mu. Kapłani słuchający zaczęli go ścisnąć, Mefres płakał.

— Nie było jeszcze podobnego proroka!... — wołano.

— W głowie nie mieści się, kiedy on mógł porobić takie rachunki!... — mówił najlepszy matematyk świątyni Hator.

— Ojcowie! — rzekł Pentuer — nie przeceniajcie moich zasług. W naszych świątyniach dawnymi laty zawsze w ten sposób przedstawiano gospodarkę państwową... Ja tylko odgrzebałem to, o czym trochę zapomniały następne pokolenia...

— Ale rachunki?... — spytał matematyk.

— Rachunki nieustannie prowadzą się we wszystkich nomesach i świątyniach — odparł Pentuer. — Ogólne sumy znajdują się w pałacu jego świątobliwości...

— A figury?... figury!... — wołał matematyk.

— Przecież na takie figury dzielą się nasze pola, a jeometrowie<sup>18</sup> państwowi uczą się o nich w szkołach.

— Nie wiadomo, co więcej podziwiać w tym człowieku: jego mądrość czy pokorę!... — rzekł Mefres. — O, nie zapomnieli o nas bogowie, jeżeli mamy takiego...

W tej chwili strażnik czuwający na wieży świątyni wezwał obecnych na modlitwę.

— Wieczorem dokończę objaśnień — mówił Pentuer — teraz powiem jeszcze nie-  
dużo słów.

Spytacie, czcigodni, dlaczego do tych obrazów użyłem ziarn? Bo jak ziarno rzucone w ziemię co roku przynosi plon swemu gospodarzowi, tak człowiek składa co roku podatki skarbowi.

Gdyby w którym nomesie zasiano o dwa miliony mniej ziarn fasoli niż w latach dawnych, następny jej zbiór byłby znakomicie mniejszy i gospodarze mieliby złe dochody. Podobnież w państwie: gdy ubędą dwa miliony ludności, musi zmniejszyć się wpływ podatków.

Ramzes słuchał z uwagą i odszedł milczący.

### ROZDZIAŁ III

Kiedy wieczorem kapłani i następca wrócili na dziedziniec, zapalono kilkaset pochodni tak jasnych, że było widno jak w dzień.

Na znak Mefresa znowu wystąpiła procesja muzykantów, tancerek i młodszych kapłanów z posągami bogini Hator z krowią głową. A gdy odpędzono złe duchy, Pentuer znowu zaczął kazanie.

— Widzieliście, dostojnicy, że od czasów dziewiętnastej dynastii ubyło nam sto tysięcy miar ziemi i dwa miliony ludności. To wyjaśnia, dlaczego dochód państwa zmniejszył się o trzydzieści dwa tysiące talentów, i o tym wiemy wszyscy. Jest to przecie dopiero

<sup>17</sup>ziarn — dziś popr.: ziaren. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>jeometrowie (daw.) — dziś popr.: geometry; tu: specjaliści od pomiarów gruntu (geodeci). [przypis edytorski]

początek klęsk Egiptu i skarbu. Na pozór bowiem zostało jego świątobliwości jeszcze dziewięćdziesiąt osiem tysięcy talentów dochodu. Czy jednak sądzicie, że faraon otrzymuje cały ten dochód?

Za przykład opowiem wam, co jego dostojność Herhor odkrył w powiecie Zajęczym<sup>19</sup>.

Za dziewiętnastej dynastii mieszkało tam dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy płacili podatku trzysta pięćdziesiąt talentów rocznie. Dziś mieszka zaledwie piętnaście tysięcy, i ci, naturalnie, płacą na rzecz skarbu tylko dwieście siedemdziesiąt talentów. Tymczasem faraon, zamiast dwustu siedemdziesięciu, otrzymuje sto siedemdziesiąt talentów!...

— Dlaczego?... — spytał dostojny Herhor — a oto, co pokazało śledztwo.

Za dziewiętnastej dynastii było w powiecie około stu urzędników i ci brali po tysiąc drachm rocznej pensji. Dziś na tym samym terytorium, pomimo ubytku ludności, znajduje się przeszło dwustu urzędników, którzy biorą po dwa tysiące pięćset drachm na rok.

Jego dostojności Herhorowi nie wiadomo, czy tak jest w każdym powiecie. To przecież pewne, że skarb faraona, zamiast dziewięćdziesięciu ośmiu, ma tylko siedemdziesiąt cztery tysiące talentów rocznie...

— Powiedz, ojcie święty: pięćdziesiąt tysięcy... — wtrącił Ramzes.

— I to objaśnię — odparł kapłan. — W każdym razie zapamiętaj, książę, iż skarb faraona oddaje dziś dwadzieścia cztery tysiące talentów urzędnikom, gdy za dynastii dziewiętnastej wydawał tylko dziesięć tysięcy.

Wielkie milczenie panowało wśród dostojników: niejeden bowiem miał krewnego na urzędzie, w dodatku dobrze płatnym.

Ale Pentuer był nieustraszony.

— Teraz — mówił — pokażę ci, następcu, byt urzędników i dolę ludu za dawnych lat i dzisiaj.

— Czy nie szkoda czasu?... To przecie każdy sam może zobaczyć... — zaszemrali kapłani.

— Ja chcę to wiedzieć — rzekł stanowczo następcą.

Szmer ucichł. Pentuer po stopniach amfiteatru zeszedł na dziedziniec, a za nim książę, arcykapłan Mefres i reszta kapłanów.

Zatrzymali się przed długą zasłoną z mat, która tworzyła jakby parkan. Na znak Pentuera przybiegło kilkunastu młodych kapłanów z jarzącymi pochodniami. Drugi znak — i część zasłony spadła.

Z ust obecnych wyrwał się okrzyk zdziwienia. Mieli przed sobą jasno oświetlony żywy obraz, do którego wchodziło około stu figurantów.

Obraz dzielił się na trzy kondygnacje: dolną, gdzie stali rolnicy, wyższą — urzędnicy, i najwyższą, gdzie znajdował się złoty tron faraona oparty na dwu lwach, których głowy były poręczami.

— Tak było — mówił Pentuer — za dynastii dziewiętnastej. Spójrzycie na rolników. Przy ich pługach widzicie woły lub osły, ich motyki i łopaty są brązowe, a więc mocne. Patrzcie, jacy to tężdy ludzie! Dziś podobnych można spotkać tylko w gwardii jego świątobliwości. Potężne ręce i nogi, piersi wypukłe, twarze uśmiechnięte. Wszyscy są namaszczeni oliwą, wykapani. Ich żony zajmują się przygotowaniem pokarmu i odzieży lub myciem sprzętów dla rodziny; dzieci — bawią się lub chodzą do szkoły.

Ówczesny chłop, jak widzicie, jadł chleb pszenny, bób, mięso, ryby i owoce, a pijał piwo i wino. Spójrzycie, jak piękne były dzbany i misy! Przypatrzcie się czepkom, fartuszkom i pelerynom mężczyzn: wszystko ozdobione różnokolorowym haftem. Jeszcze piękniej haftowano koszule kobiet... A czy uważacie, jak one starannie czesały się, jakie nosiły szpilki, zausznice, pierścienie i bransolety? Ozdoby te są robione z brązu i kolorowej emalii; trafia się jednak między nimi i złoto, choćby w postaci drucika.

Podnieście teraz oczy wyżej, na urzędników. Chodzą oni w pelerynach, ale każdy chłop w dniu świątecznym przywdziewał taką samą. Żywią się zupełnie tak samo jak chłopci, to jest dostatnio, ale skromnie. Sprzęty mają trochę ozdobniejsze od chłopskich i częściej trafiają się w ich skrzyniach złote pierścienie. Podróże odbywają na osłach lub

<sup>19</sup>powiat Zajęczy — 15. nom Górnego Egiptu o nazwie Un (zając), ze stolicą w Hermopolis (gr.); ok. 230 km na południe od Memfis, ok. 30 km na południe od Al-Minja. [przypis edytorski]

wozach ciągnionych przez woły.

Pentuer klasnął i w żywym obrazie zapanował ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom kosze winogron, wory jęczmienia, grochu i pszenicy, dzbany wina, piwa, mleka i miodu, mnóstwo zwierzyny i liczne sztuki białych lub kolorowych tkanin. Urzędnicy odebrali te produkty<sup>20</sup>, część ich zostawiali sobie, ale przedmioty najpiękniejsze i najkosztowniejsze odsunęli wyżej, dla tronu. Platforma, gdzie znajdował się symbol władzy faraona, była zasypana produktami tworzącymi jakby pagórek.

— Widzicie, dostojni — rzekł Pentuer — że w owych czasach, kiedy chłopi byli syci i zamożni, skarb jego świątobliwości ledwo mógł pomieścić dary poddanych. A teraz zobaczcie: co jest dzisiaj...

Nowe hasło, spadła druga część zasłony i ukazał się drugi obraz, w ogólnych zarysach podobny do poprzedniego.

— Oto są terazniejsi chłopi — mówił Pentuer, a w głosie jego czuć było wzburzenie. — Ciało ich składa się ze skóry i kości, wyglądają jak chorzy, są brudni i już zapomnieli namaszczać się oliwą. Za to grzbiety ich są poranione kijami.

Nie widać przy nich wołów ani osłów, bo i na co, jeżeli pług ich ciągnie żona i dzieci?... Ich motyki i łopaty są drewniane, co łatwo psuje się i powiększa pracę. Odzieży nie mają żadnej, tylko kobiety chodzą w grubych koszulach i nawet we śnie nie widują tych haftów, jakimi stroili się ich dziadowie i babki.

Spojrzyjcie, co jada chłop. Czasem jęczmień i suszone ryby, zawsze ziarna lotosu, rzadko pszenney placek, nigdy mięsa, piwa lub wina. Spytacie: gdzie podziały się jego naczynia i sprzęty? Nie ma żadnych prócz dzbanka na wodę, bo też i nic więcej nie zmieściłoby się w norze, którą zamieszkuje...

Przebaczcie mi to, na co teraz zwrócę waszą uwagę. Tam kilkoro dzieci leżą na ziemi: oznacza to, że pomarły... Dziwna rzecz, jak często teraz umierają chłopskie dzieci — z głodu i pracy! I te są jeszcze najszcześliwsze: inne bowiem, które zostały przy życiu, idą pod kij dozorczy albo sprzedają się Fenicjanom niby jagnięta...

Wzruszenie zatamowało mu głos. Lecz chwilę odpoczął i ciągnął dalej, wśród gniewnego milczenia kapłanów:

— A teraz spojrzycie na urzędników: jacy oni czerstwi, uróżowani, jak pięknie ubrani!... Żony ich noszą złote bransolety i zausznicę, i tak cienkie szaty, że książęta mogliby im pozazdrościć. Wśród chłopów nie widać wołu ani osła; za to urzędnicy podróżują na koniach albo w lektykach... Piją zaś tylko wino, i to — dobre wino!...

Klasnął w ręce i znowu zrobił się ruch. Chłopi zaczęli podawać urzędnikom: wory zboża, kosze owoców, wino, zwierzęta... Przedmioty te urzędnicy jak pierwiej<sup>21</sup> ustawiali obok tronu, ale — w ilości znacznie mniejszej. Na kondygnacji królewskiej już nie było pagórka produktów. Za to kondygnacja urzędników była zasypana.

— Oto jest Egipcj dzisiejszy — mówił Pentuer. — Nędzni chłopi, bogaci pisarze, skarb nie tak pełny jak dawniej. A teraz...

Dał znak i stała się rzecz nieoczekiwana. Jakieś ręce poczęły zabierać: zboże, owoce, tkaniny z platformy faraona i urzędników. A gdy ilość towarów bardzo zmniejszyła się, te same ręce zaczęły chwytac i uprowadzac chłopów, ich żony i dzieci...

Widzowie ze zdumieniem patrzyli na szczególne zabiegi tajemniczych osób. Nagle ktoś zawołał:

— To Fenicjanie!... Oni nas tak obdzierają!...

— Tak jest, święci ojcowie — rzekł Pentuer. — To są ręce ukrytych między nami Fenicjan. Obdzierają oni króla i pisarzy, a chłopów zabierają w niewolę, gdyż im już wydrzeć nie można...

— Tak!... To szakale!... Przekleństwo im!... Wygnać nędzników!... — wołali kapłani. — Oni to najwięcej szkód wyrządzają państwu...

Nie wszyscy jednak wołali w ten sposób.

Gdy ucichło, Pentuer kazał zanieść pochodnie w inną stronę dziedzińca i tam zaprowadził swoich słuchaczy. Nie było tu żywych obrazów, ale jakby wystawa przemysłowa.

<sup>20</sup>produkta — dziś popr.: produkty. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>pierwej (daw.) — najpierw, na początku; wcześniej. [przypis edytorski]



— Raccie spojrzeć, dostojni — mówił. — Za dziewiętnastej dynastii te rzeczy przy-  
syłali nam cudzoziemcy: z kraju Punt mieliśmy wonności, z Syrii złoto, żelazną broń  
i wozy wojenne. Oto wszystko.

Lecz wówczas Egipt wyrabiał... Spójrzycie na te olbrzymie dzbany: ile tu kształtów,  
a jakie rozmaite kolory!...

Albo sprzęty: to krzeselko wyłożone jest dziesięcioma tysiącami kawałków złota, per-  
łowej masy i kolorowych drzew... Zobaczcie ówczesne szaty: jaki haft, jaka delikatność  
tkanin, ile kolorów... A miecze brązowe, a szpilki, bransolety, zausznice, a narzędzia  
rolnicze i rzemieślnicze... Wszystko to robione u nas, za dziewiętnastej dynastii.

Przeszedł do następnej grupy przedmiotów.

— A dziś — patrzcie. Dzbany są małe i prawie bez ozdób, sprzęty proste, tkani-  
ny grube i jednostajne. Ani jeden z tegoczesnych wyrobów nie może równać się pod  
względem rozmiarów, trwałości czy piękności z dawnymi. Dlaczego?...

Posunął się znowu kilka kroków i otoczony pochodniami mówił:

— Oto jest wielka liczba towarów, które nam przywożą Fenicjanie z rozmaitych okolic  
świata. Kilkadziesiąt pachnidła, kolorowe szkła, sprzęty, naczynia, tkaniny, wozy, ozdoby,  
wszystko to przychodzi do nas z Azji i jest przez nas kupowane.

Czy rozumiecie teraz, dostojnicy: za co Fenicjanie wydzielali zboże, owoce i bydło pi-  
sarzom i faraonowi?... Za te właśnie obce wyroby, które zniszczyły naszych rzemieślników  
jak szarańcza trawę.

Kapłan odpoczął i ciągnął dalej:

— Pomiędzy towarami dostarczonymi przez Fenicjan jego świątobliwości, nomar-  
chom i pisarzom pierwsze miejsce zajmuje złoto. Ten rodzaj handlu jest najdokładniej-  
szym obrazem klęsk, jakie ci Azjaci wyrządzają Egipcjom.

Gdy kto bierze od nich złota za talent, obowiązany jest po trzech latach zwrócić dwa  
talenty. Najczęściej jednak Fenicjanie, pod pozorem umniejszenia kłopotów dłużnikowi,  
sami wyręczają go w wypłacie w ten sposób, że dłużnik, za każdy talent pożyczony, oddaje  
im w dzierżawę, na trzy lata, trzydziestu dwu ludzi i dwie miary ziemi...

Spójrzycie tam, dostojni — mówił, wskazując na lepiej oświetloną część dziedzińca.  
— Ten kwadrat ziemi, mający sto osiemdziesiąt kroków długości i tyleż szerokości, zna-  
czy dwie miary; ta zaś gromada mężczyzn, kobiet i dzieci tworzy osiem rodzin. Wszystko  
to zaś razem: ludzie i grunt, idą na trzy lata w okropną niewolę. Przez ten czas ich wła-  
ściciel — faraon czy nomarcha, nie ma z nich żadnego pożytku; po upływie zaś termi-  
nu odbiera ziemię wyjałowioną, a ludzi... najwyżej dwudziestu... Reszta bowiem zmarła  
w męczarniach!...

Obecni szemrali ze zgrozy.

— Powiedziałem, że dwie miary gruntu i trzydziestu dwu ludzi bierze Fenicjanin na  
trzy lat<sup>22</sup> dzierżawy, za pożyczanie jednego talentu złotem. Przypatrzcie się, jaki to kawał  
ziemi i jaka gromada ludzi, a teraz — spojrzycie na moją rękę...

Ten kawałek złota, który trzymam, ta bryłka mniejsza od kurzego jaja to talent!...

Czy wy oceniacie, dostojni, całą nikczemność Fenicjan w podobnym handlu? Ten  
mały kawałek złota naprawdę nie posiada żadnych cennych zalet: jest żółty, ciężki, nie  
śniedzieje i — na tym koniec. Ale człowiek nie odzieje się złotem i nie zaspokoi nim  
głodu ani pragnienia... Gdybym posiadał bryłę złota wielkości piramidy, będę obok niej  
takim nędzarzem jak Libijczyk błąkający się po zachodniej pustyni, gdzie nie ma daktyla  
ani wody.

I patrzcie, za bryłkę tego jałowego materiału Fenicjanin bierze kawał ziemi, który  
może wykarmić i odziać trzydziestu dwu ludzi, a nadto — bierze i tych ludzi!... Przez  
lat trzy uzyskuje władzę nad istotami, które umieją uprawiać i obsiewać grunta, zbierać  
ziarno, robić mąkę i piwo, tkąć odzież, budować domy i sprzęty...

Jednocześnie faraon czy nomarcha jest pozbawiony na trzy lata usług tych ludzi. Nie  
placą mu oni podatku, nie noszą ciężarów za wojskiem, lecz pracują na dochody łakomego  
Fenicjanina.

Wiecie, dostojnicy, że obecnie nie ma roku, ażeby w tym czy owym nomesie nie  
wybuchnął bunt chłopów, wyniszczonych głodem, przeciążonych pracą, bitych kijami.

<sup>22</sup>na trzy lat — dziś: na trzy lata. [przypis edytorski]

I otóż część tych ludzi ginie, inni dostają się do kopalń, a kraj wyludnia się coraz bardziej, dlatego tylko że Fenicjanin dał komuś bryłkę złota!... Czy można wyobrazić sobie większe nieszczęście?... I czy w podobnych warunkach Egipt nie będzie co roku tracił ziemi i ludzi? Szczęśliwe wojny podkopały nasz kraj, ale dobija go fenicki handel złotem.

Na twarzach kapłanów malowało się zadowolenie: chętniej słuchali o przewrotności Fenicjan aniżeli o zbytkach pisarzy.

Pentuer chwilę odpoczął, potem zwrócił się do księcia.

— Od kilku miesięcy — mówił — z niepokojem zapytujesz, sługo boży, Ramzesie: dlaczego zmniejszyły się dochody jego świątobliwości? Mądrość bogów pokazała ci, że zmniejszył się nie tylko skarb, ale i wojsko, i że oba te źródła królewskiej potęgi zmniejszać się będą ciągle. I albo skończy się to na zupełnej ruinie państwa, albo — niebios zaślą Egiptowi władcę, który zatrzyma powódź klęsk od kilkuset lat zalewających ojczyznę.

Skarb faraonów był wówczas pełny, gdy mieliśmy dużo ziemi i ludności. Trzeba zatem wydrzeć pustyni te grunty urodzajne, jakie nam pożarła, a z ludu zdjąć te ciężary, które go osłabiają i zmniejszają liczbę mieszkańców.

Kapłani znowu zaczęli się niepokoić z obawy, aby Pentuer po raz drugi nie wspomniał o klasie pisarzy.

— Widziałeś, książę, na własne oczy i przy świadkach, że w tej epoce, gdy lud był syty, dorodny i zadowolony, skarb królewski był pełen. Gdy zaś lud zaczął wyglądać nędznie, gdy jego żony i dzieci musiały zaprzęgnąć się do pługa, gdy ziarna lotosu zastąpiły pszenicę i mięso, skarb — zubożał. Jeżeli więc chcesz doprowadzić państwo do tej potęgi, jaką posiadało przed wojnami dziewiętnastej dynastii, jeżeli pragniesz, aby faraon, jego pisarze i wojsko opływali w dostatki, zapewnij krajowi długoletnią spokojność, a ludowi dobrobyt. Niech znowu dorosli jedzą mięso i ubierają się w haftowane szaty, i niech dzieci, zamiast jęczeć pod plagami i umierać z pracy, bawią się lub chodzą do szkoły.

Pamiętaj wreszcie, że Egipt na piersiach swoich nosi jadownego węża...

Obecni słuchali z ciekawością i obawą.

— Tym wężem, który wysysa krew ludu, majątki nomarchów, potęgę faraona, są Fenicjanie!...

— Precz z nimi!... — zawołali obecni. — Przekreślić wszystkie długi... Nie dopuszczać ich kupców i okrętów...

Uciszył ich arcykapłan Mefres, który ze łzami w oczach zwrócił się do Pentuera.

— Nie mam wątpliwości — mówił — że przez usta twoje odzywała się do nas święta Hator. Nie tylko dlatego, że człowiek nie potrafiłby być tak mądrym i wszystkowiedzącym jak ty, ale jeszcze, że spostrzegłem nad głową twoją płomyki w formie rogów.

Dziękuję ci za wielkie słowa, którymi rozproszyłeś naszą niewiadomość... Błogosławię cię i proszę bogów, aby — gdy mnie powołają na swój sąd, ciebie mianowali moim następcą...

Przeciągły okrzyk reszty słuchaczy<sup>23</sup> poparł błogosławieństwo najwyższego dostojnika. Kapłani tym więcej byli zadowoleni, że nieustannie wisiała nad nimi trwoga, aby Pentuer po raz drugi nie zaczął o kwestię pisarzy. Ale mędrzec umiał być powściągliwym: wskazał wewnętrzną ranę państwa, lecz nie zaognił jej i dlatego odniósł zupełny triumf.

Książę Ramzes nie dziękował Pentuerowi, tylko przytulił jego głowę do swej piersi. Nikt jednak nie wątpił, że kazanie wielkiego proroka wstrząsnęło duszę następcy i jest ziarnem, z którego może wyrosnąć chwała i pomyślność Egiptu.

Nazajutrz Pentuer, nie żegnając się, o wschodzie słońca opuścił świątynię i odjechał do Memfis.

Ramzes przez kilka dni z nikim nie rozmawiał: siedział w celi albo przechadzał się po cienistych korytarzach i rozmyślał. W jego duszy odbywała się praca.

W gruncie rzeczy Pentuer nie powiedział nic nowego: wszyscy narzekali na ubytek ziemi i ludności w Egipcie, na nędzę chłopów, nadużycia pisarzy<sup>24</sup> i wyzysk Fenicjan. Ale kazanie proroka uporządkowało w nim dotychczasowe bezładne wiadomości, nadało dotykalne formy i lepiej oświetliło pewne fakta<sup>25</sup>.

<sup>23</sup>słuchaczów — dziś raczej: słuchaczy. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>pisarzów — dziś raczej: pisarzy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>fakta — dziś popr.: fakty. [przypis edytorski]

Fenicjanie przerwali go: książe nie oceniał dotychczas ogromu nieszczęść wyrządzonych przez ten naród jego państwu. Zgroza była tym silniejszą, że przecie on sam własnych poddanych wypuścił w dzierzawę Dagonowi i — był świadkiem, w jaki sposób bankier wybierał od nich należności!...

Lecz to splątanie księcia z wyzyskiem Fenicjan wywołało dziwny skutek: Ramzes — nie chciał myśleć o Fenicjanach, a ile razy zapalił się w nim gniew na tych ludzi, tyle razy gasiło go uczucie wstydu. W pewnej części był on ich współnikiem.

Natomiast książe doskonale zrozumiał ważność ubytku ziemi i ludności i na te punkta<sup>26</sup> położył główny nacisk w swych samotnych medytacjach.

„Gdybyśmy posiadali — mówił w sobie — te dwa miliony ludzi, których Egipt utracił, można by za ich pomocą odzyskać od pustyni urodzajne grunta, nawet powiększyć obszary... A wówczas, pomimo Fenicjan, nasi chłopci mieliby się lepiej, a dochody państwa wzrosłyby...”

Ale skąd wziąć ludzi?

Wypadek nasunął mu odpowiedź. Pewnego wieczora książe przechadzając się po ogrodach świątyni spotkał gromadę niewolników, których jenerał<sup>27</sup> Nitager pochwycił na granicy wschodniej i przysłał bogini Hator. Ludzie ci byli doskonale zbudowani, pracowali więcej niż Egipcjanie, a ponieważ ich karmiono dobrze, więc byli nawet zadowoleni ze swego losu.

Na ich widok błyskawica oświeciła umysł następcy: prawie utracił przytomność ze wzruszenia. Egipt potrzebuje ludzi, dużo ludzi, setki tysięcy, a nawet milion i dwa miliony ludzi... I otóż ludzie są!... Trzeba tylko wkroczyć do Azji, zabierać wszystko, co się spotka na drodze i — odsyłać do Egiptu... Dopóty zaś nie kończyć wojny, dopóki nie zbierze się tyłu, ażeby każdy chłop egipski miał swego niewolnika...

Tak urodził się plan prosty i kolosalny, dzięki któremu państwo miało pozyskać ludność, chłopci pomocników w pracy, a skarb faraona niewyczerpane źródło dochodu.

Książe był zachwycony, choć następnego dnia zbudziła się w nim nowa wątpliwość.

Pentuer z wielkim naciskiem głosił, a jeszcze dawniej Herhor twierdził to samo, że źródłem nieszczęść Egiptu były — zwycięskie wojny.

Z czego wypadłoby, że za pomocą nowej wojny nie można podźwignąć Egiptu.

„Pentuer jest wielki mędrzec i Herhor wielki mędrzec — myślał książe. — Jeżeli oni uważają wojnę za szkodliwą, jeżeli tak samo sądzi arcykapłan Mefres i inni kapłani, to może naprawdę wojna jest rzeczą niebezpieczną?...”

I musi nią być, skoro tak utrzymuje tyłu ludzi mądrych i świętych?”

Książe był głęboko strapiiony. Wymyślił prosty sposób podźwignięcia Egiptu, a tymczasem kapłani utrzymywali, że właśnie to mogłoby do reszty zrujnować Egipt.

Kapłani, ludzie najmędrsi i najświętsi!

Lecz trafił się wypadek, który nieco ochłodził wiarę księcia w prawdomówność kapłanów, a raczej — rozbudził w nim dawniejszą do nich nieufność.

Raz szedł z jednym lekarzem do biblioteki. Droga wypadła przez ciasny i ciemny korytarz, z którego następcą cofnął się ze wstrętem.

— Nie pójde tutaj!... — rzekł.

— Dlaczego?... — spytał zdziwiony lekarz.

— Czyliż nie pamiętacie, ojcze święty, że na końcu tego korytarza jest loch, w którym okrutnie zamęczyliście jakiegoś zdrajcę?...

— Aha!... — odparł lekarz. — Jest tu loch, do którego przed kazaniem Pentuera wlewaliśmy roztopioną smołę...

— I zabiliście człowieka...

Lekarz uśmiechnął się. Był to człowiek dobry i wesoły. Toteż widząc oburzenie księcia, rzekł po pewnym namyśle:

— Tak, nie wolno nikomu zdradzać świętych tajemnic... Rozumie się... Przed każdą większą uroczystością przypominamy to młodym kandydatom na kapłanów...

Ton jego był tak szczególny, że Ramzes zażądał objaśnień.

<sup>26</sup>punkta — dziś popr.: punkty. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>jenerał — dziś popr.: generał. [przypis edytorski]

— Nie mogę zdradzać tajemnic — odparł lekarz — ale... Ale jeżeli wasza dostojność przyrzekniesz zachować to przy sobie, opowiem ci historię...

Ramzes przyrzekł, lekarz opowiedział:

— Pewien kapłan egipski, zwiedzając świątynie pogańskiego kraju Aram<sup>28</sup>, przy jednej z nich spotkał człowieka, który wydał mu się bardzo tłustym i zadowolonym, choć nosił nędzne szaty.

„Wytłumacz mi — spytał kapłan wesołego biedaka — czym się to dzieje, że choć jesteś ubogi, jednak ciało twoje wygląda, jakbyś był przełożonym świątyni?”

Zaś ów człowiek obejrzawszy się, czy go kto nie podsłuchuje, odparł:

„Bo ja mam wielce żaloszny głos, więc jestem przy tej świątyni męczennikiem. Gdy lud zejdzie się na nabożeństwo, ja włożę do lochu i jęczę, o ile mi sił starczy; za co dają mi wcale obfite jedzenie przez cały rok, a dzban piwa za każdy dzień męczeństwa.”

Tak bywa w pogańskim kraju Aram — zakończył lekarz, kładąc palec na usta. — Pamiętaj, książę, coś mi obiecał i myśl o naszej smole roztopionej, co ci się podoba...

Opowiadanie to znowu poruszyło księcia. Czuł pewną ulgę, że w świątyni nie zamordowano człowieka, lecz i ocknęły się w nim wszystkie dawne podejrzenia do kapłanów.

Że oni ludzą prostaków, o tym wiedział. Pamiętał przecie, będąc w kapłańskiej szkole, procesję świętego wołu Apisa. Lud był pewny, że Apis prowadzi kapłanów; tymczasem każdy uczeń wiedział, że boskie zwierzę idzie tam, gdzie chcą kapłani.

Któż wie zatem, czy kazanie Pentuera nie było ową procesją Apisa, przeznaczoną dla niego? Tak przecie łatwo nasypać na ziemię fasoli czerwonej i różnokolorowej i również nietrudno ustawić żywe obrazy. O ileż wspanialsze widywał on przedstawienia, choćby walkę Seta z Ozyrysem, do której wchodziło kilkaset osób... A czyliż i w tym wypadku nie oszukiwali kapłani? Miała to być walka bogów, tymczasem prowadzili ją poprzebierani ludzie. Ginał w niej Ozyrys, a tymczasem kapłan udający Ozyrysa był zdrow jak nosorożec. Jakich tam nie pokazywano cudów!... Woda wznosiła się, biły pioruny, ziemia drżała i wyrzucała ogień. I to wszystko było oszukaństwem. Dlaczegoż by więc przedstawienie Pentuera miało być prawdą?

Zresztą książę miał silne poszlaki, że chciano go oszukać. Już był oszustem człowiek jęczący w podziemiach, niby to oblewany smołą przez kapłanów. Ale mniejsza o niego. Ważnym było to, o czym książę przekonał się niejednokrotnie, że Herhor nie chciał wojny. Mefres także nie chciał wojny, a Pentuer był jednego pomocnikiem, drugiego ulubieńcem.

Taka walka toczyła się w księciu: to zdawało mu się, że wszystko rozumie, to znowu ogarniała go ciemność; raz był pełen nadziei, drugi raz wątpił o wszystkim. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień dusza jego przybierała i opadała jak wody Nilu przez ciąg całego roku.

Powoli jednak Ramzes odzyskał równowagę, a gdy nadszedł czas opuszczenia świątyni, miał już sformułowane pewne poglądy.

Przed wszystkim jasno pojmował, czego potrzeba Egipcjom: więcej gruntów i więcej ludzi.

Po wtóre wierzył, że najprostszym sposobem zdobycia ludzi jest — wojna z Azją. Pentuer jednak dowodził mu, że wojna może tylko powiększyć klęski państwa. Rodzi się tedy nowa kwestia: czy Pentuer mówił prawdę, czy kłamał?

Jeżeli mówił prawdę, pogrążał księcia w rozpacz: Ramzes bowiem nie widział innego sposobu podźwignięcia państwa, tylko wojnę. Bez wojny Egipt z roku na rok będzie tracił ludność, a skarb faraona będzie powiększał swoje długi. Aż cały ten proces skończy się jakąś okropną katastrofą, może nawet za przyszłego panowania.

A jeżeli Pentuer kłamał? Dlaczego by to robił? Oczywiście namówiony przez Herhora, Mefresa i całe ciało kapłańskie. Z jakiej jednak racji kapłani nie chcieli wojny, co mieli w tym za interes? Przecie każda wojna im i faraonowi największe przynosiła zyski.

Czy zresztą kapłani mogli go oszukiwać w sprawie tyle doniosłej? Prawda, że robili tak bardzo często, lecz w wypadkach drobnych, nie zaś kiedy chodziło o przyszłość i byt państwa. Nie można też twierdzić, że oszukiwali zawsze. Są oni przecie sługami bogów

<sup>28</sup>kraj Aram — wzmiankowany w Biblii kraj Aram w środkowej Syrii lub Paddan-Aram nad górnym Eufratem w północnej Mezopotamii. [przypis edytorski]

i stróżami wielkich tajemnic. W ich świątyniach mieszkają duchy, o czym Ramzes sam się przekonał pierwszej nocy po osiedleniu się w tym miejscu.

A jeżeli bóstwa nie pozwalają profanom zbliżyć się do swoich ołtarzy, jeżeli tak pilnie czuwają nad świątyniami, dlaczego nie mieliby czuwać nad Egiptem, który jest największą ich świątynią?

Gdy w kilka dni później Ramzes po uroczystym nabożeństwie, wśród błogosławieństwa kapłanów, opuszczał świątynię Hator, nurtowały w nim dwa pytania:

Czy wojna z Azją naprawdę mogłaby zaszkodzić Egipcjowi?

Czy kapłani w tej sprawie mogliby oszukiwać jego, następcę faraona?

#### ROZDZIAŁ IV

Konno, w towarzystwie paru oficerów, jechał książe do Pi-Bast, sławnej stolicy nomesu Habu<sup>29</sup>.

Minął miesiąc Paoni, zaczynał się Epifi (kwiecień, maj). Słońce stało wysoko, zapowiadając najgorszą dla Egiptu porę upałów. Już w tym czasie kilka razy zrywał się straszny wiatr pustyni; ludzie i zwierzęta padali z gorąca, a na polach i drzewach zaczął osiadać szary pył, pod którym umierają rośliny.

Zebrało róże i przerabiano je na olejek; sprzątnięto zboża i drugi ukos<sup>30</sup> koniczyny. Żurawie z kublami pracowały ze zdwojoną gorliwością, rozlewając brudną wodę po ziemi, aby ją przygotować do nowego siewu. Zaczynano też zrywać figi i winogrona.

Woda Nilu opadła, kanały były płytkie i suchnące. Nad całym krajem unosił się delikatny pył, wśród potoków palącego słońca.

Mimo to książe jechał zadowolony. Znudziło go pokutnicze życie w świątyni; zatęsknił do uczty, kobiet i zgiełku.

Przy tym okolica, choć płaska i jednostajnie poprzerynana siecią kanałów, była interesująca. W nomesie Habu mieszkała inna ludność; nie rodowici Egipcjanie, ale potomkowie walecznych Hyksosów, którzy ongi zdobyli Egipt i rządili nim przez kilka wieków.

Prawowici Egipcjanie gardzili tą resztką wypędzonych zdobywców; ale Ramzes patrzył na nich z przyjemnością. Byli to ludzie rośli, silni, z dumną postawą i męską energią w fizjonomii<sup>31</sup>. Wobec księcia i oficerów nie padali na twarz jak Egipcjanie; przypatrywali się dostojnikom bez niechęci, ale i bez trwogi. Nie mieli także pleców odkrytych bliznami po kijach; pisarze bowiem szanowali ich, wiedząc, że bity Hyksos oddaje plagi, a niekiedy morduje swego ciemiężcę. Wreszcie posiadali Hyksosowie łaskę faraona, ich bowiem ludność dostarczała najlepszych żołnierzy.

Im bardziej orszak następcy zbliżał się do Pi-Bast, którego świątynie i pałace jak przez muślin widać było przez mgłę pyłu, tym okolica stawała się ruchliwszą. Szerokim gościńcem i pobliskimi kanałami transportowano: bydło, pszenicę, owoce, wino, kwiaty, chleby i mnóstwo innych przedmiotów codziennego użytku. Potok ludzi i towarów dążących w stronę miasta, hałaśliwy i gęsty jak pod Memfisem w dni świąteczne, w tym miejscu był zjawiskiem zwykłym. Dokoła Pi-Bastu przez cały rok panował zgiełk jarmarczny, który uspakajał się tylko w nocy.

Przyczyna tego była prosta: miasto cieszyło się posiadaniem starej i sławnej świątyni Astarty<sup>32</sup>, czczonej przez całą Azję zachodnią i ściągającej tłumy pielgrzymów. Bez przesady można powiedzieć, że pod Pi-Bast codziennie obozowało ze trzydzieści tysięcy cudzoziemców: Saschu<sup>33</sup>, czyli Arabów, Fenicjan, Żydów, Filistynów<sup>34</sup>, Chetów<sup>35</sup>, Asy-

<sup>29</sup> Pi-Bast, sławnej stolicy nomesu Habu — Per-bast było stolicą Am-Chent, 18. nomu Dolnego Egiptu. A-bet (Habu), 8. nom Dolnego Egiptu, to nom sąsiedni. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> ukos — tu: pokos. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> fizjognomia (daw.) — fizjonomia, twarz. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> Astarte a. Asztarte (dziś nieodm.) — zachodniosemicka bogini miłości, płodności i wojny, królowa niebios. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> Saschu, właśc. Szasu — egipska nazwa semickich koczowniców, pasterzy bydła prowadzonych przez wędzów plemiennych, wędrujących na terenach półwyspu Synaj, południowego Izraela i Transjordanii. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> Filistyni — jedno z plemion tzw. Ludów Morza, które odparto w XII w. p.n.e od granic Egiptu zasiedliło wybrzeże Palestyny na zachód od Judei. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> Chetów — dziś popr.: Hetytów. [przypis edytorski]

ryjczyków i innych. Rząd egipski życzliwie zachowywał się wobec pielgrzymów<sup>36</sup>, którzy przynosili mu znaczne dochody; kapłani tolerowali ich, a ludność kilku sąsiednich nomosów prowadziła z nimi żwawy handel.

Już na godzinę drogi przed miastem widać było lepianki i namioty przybyszów rozbite na nagiej ziemi. W miarę zbliżania się do Pi-Bast liczba ich wzrastała i coraz gęściej roili się ich czasowi mieszkańcy. Jedni pod otwartym niebem przygotowywali pokarm, inni kupowali wciąż napływające towary, inni szli procesją do świątyni. Tu i ówdzie skupiały się wielkie gromady przed miejscami zabaw, gdzie popisywali się pogromcy zwierząt, zaklinacze węzów, atleci, tancerki i kuglarze.

Ponad tym zgromadzeniem ludzi unosił się upał i wrzawa.

Przy miejskiej bramie powitali Ramzesa jego dworzanie tudzież nomarcha Habu z urzędnikami. Powitanie jednak było, mimo życzliwości, tak chłodne, że zdziwiony namiestnik szepnął do Tutmozisa:

— Cóż to znaczy, że patrzycie na mnie, jakbym przyjechał kary wymierzać?

— Bo wasza dostojność — odparł faworyt — masz oblicze człowieka, który przestawał z bogami.

Mówił prawdę. Czy to skutkiem ascetycznego życia, czy towarzystwa uczonych kapłanów, czy może długich rozmyślań, książę zmienił się. Wychudł, cera mu pociemniała, a z postawy i fizjonomii biła wielka powaga. W ciągu kilku tygodni postarzał się o kilka lat.

Na jednej z głównych ulic miasta tłoczyła się tak gęsta ciżba ludu, że policjanci musieli utorować drogę następcy i jego świcie. Ale ten lud nie witał księcia, tylko skupiał się dokoła niewielkiego pałacyku, jakby oczekując na kogoś.

— Co to jest? — spytał Ramzes nomarchy. Niemile bowiem dotknęła go obojętność tłumu.

— Tu mieszka Hiram — odparł nomarcha — książę tyryjski, człek wielkiego miłośrdzia. Co dzień rozdaje hojną jałmużnę, więc zbiega się ubóstwo.

Książę odwrócił się na koniu, popatrzył i rzekł:

— Widzę tu robotników królewskich. Więc i oni przychodzą po jałmużnę do fenickiego bogacza?

Nomarcha milczał. Na szczęście zbliżali się do pałacu rządowego i Ramzes zapomniał o Hiramie.

Przez kilka dni ciągnęły się uczty na cześć namiestnika; ale książę nie był nimi zachwycony. Brakło na nich wesołości i zdarzały się nieprzyjemne zajścia.

Raz jedna z księżęcych kochanek, tańcząc przed nim, rozplakała się. Ramzes pochwycił ją w objęcia i zapytał: co jej jest?

Z początku wzdragała się z odpowiedzią, lecz ośmielona łaskawością pana odparła, zalewając się jeszcze obficie łzami:

— Jesteśmy, władco, twoje kobiety, pochodzimy z wielkich rodów i należy nam się uszanowanie...

— Prawdę mówisz — wtrącił książę.

— Ale tymczasem twój skarbnik ogranicza nasze wydatki. Owszem, chciałby nawet pozbawić nas dziewcząt służebnych, bez których przecie nie możemy umyć się ani uczesać.

Ramzes wezwał skarbnika i surowo zapowiedział mu, ażeby jego kobiety miały wszystko, co należy się ich urodzeniu i wielkim stanowiskom.

Skarbnik upadł na twarz przed księciem i obiecał spełniać rozkazy kobiet. Zaś w parę dni później wybuchnął bunt między dworskimi niewolnikami, którzy skarżyli się, że ich pozbawiają wina.

Następca kazał im wydawać wino. Lecz nazajutrz, w czasie przeglądu wojsk, przyszły do niego deputacje pułków z najpokorniejszą skargą, że zmniejszono im porcje mięsa i chleba.

Książę i tym razem polecił spełnić żądania proszących.

<sup>36</sup>Rząd egipski życzliwie zachowywał się wobec pielgrzymów — w czasach Nowego Państwa, po podboju przez Egipt Palestyny i Syrii, kult bogów z tego rejonu, w tym Astarte, czczonej jako wojowniczką, oraz Baala, kojarzonego z Setem, rozwinął się również wśród Egipcjan. Oddawali im cześć nawet faraonowie. [przypis edytorski]



W parę dni później obudził go z rana wielki hałas pod pałacem. Ramzes spytał o przyczynę, a oficer dyżurny, objaśnił, że zebrali się robotnicy królewscy i wołają o zaległy żołd.

Wezwano skarbnika, na którego książe wpadł z wielkim gniewem.

— Co się tu dzieje?... — wołał. — Od chwili mego przyjazdu nie ma dnia, aby nie skarżono się na krzywdy. Jeżeli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, ustanowię śledztwo i położę kres waszym złodziejstwom!...

Drżący skarbnik znowu upadł na twarz i jęknął:

— Zabij mnie, panie!... Ale cóż poradzę, gdy twój skarbiec, stodoły i spizarnie są puste...

Pomimo gniewu książe zmiarkował, że skarbnik może być niewinnym. Kazał mu więc odejść, a wezwał Tutmozis.

— Słuchaj no — rzekł Ramzes do ulubieńca — dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem i do których nie przywykłem. Moje kobiety, niewolnicy, wojsko i robotnicy królewscy nie otrzymują należności lub są ograniczani w wydatkach. Gdym zaś spytał skarbnika: co to znaczy? — odpowiedział, że nic już nie mamy w skarbcu ani stodołach.

— Powiedział prawdę.

— Jak to?... — wybuchnął książe. — Na moją podróż jego świątobliwość przeznaczył dwieście talentów w towarach i złocie. Miałooby to być zmarnowane?...

— Tak jest — odparł Tutmozis.

— Jakim sposobem?... na co?... — wołał namiestnik. — Przecież na całej drodze podejmowali nas nomarchowie?...

— Ale myśmy im za to płacili.

— Więc to są filuci i złodzieje, jeżeli niby przyjmują nas jak gości, a potem obdzierają!...

— Nie gniewaj się — rzekł Tutmozis — a wszystko ci wytłumaczę.

— Siadaj.

Tutmozis usiadł i mówił:

— Czy wiesz, że od miesiąca jadam z twej kuchni, pijam wino z twoich dzbanów i ubieram się z twojej szatni...

— Masz prawo czynić tak.

— Alem nigdy tego nie robił: żyłem, ubierałem się i bawiłem na własny koszt, aby nie obciążać twego skarbu. Prawda, że nieraz płaciłeś moje długi. Była to jednak tylko część moich wydatków.

— Mniejsza o długi.

— W podobnym położeniu — ciągnął Tutmozis — znajduje się kilkunastu szlachetnej młodzieży twego dworu. Utrzymywali się sami, aby podtrzymać blask władcy; lecz dziś, podobnie jak ja, żyją na twój koszt, bo już nie mają czego wydawać.

— Kiedyś wynagrodzę ich.

— Otóż — mówił Tutmozis — bierzemy z twego skarbu, bo nas gniecie niedostatek, i — to samo robią nomarchowie. Gdyby mieli, wyprawialiby dla ciebie uczyty i przyjęcia na swój koszt; ale że nie mają, więc przyjmują wynagrodzenie. Czy i teraz nazwiesz ich filutami?...

Książe chodził zamyślony.

— Za prędko potępiłem ich — odparł. — Gniew jak dym zasłonił mi oczy. Wstydzę się tego, com powiedział, niemniej jednak chcę, ażeby ani ludzie dworscy, ani żołnierze i robotnicy nie doznawali krzywdy...

A ponieważ moje zasoby są wyczerpane, trzeba więc pożyczyć... Chyba sto talentów wystarczy, jak myślisz?

— Ja myślę, że nam nikt nie pożyczy stu talentów — szepnął Tutmozis.

Namiestnik wyniośle spojrział na niego.

— Także się to odpowiada synowi faraona? — spytał.

— Wypędź mnie od siebie — rzekł smutnym głosem Tutmozis — ale mówiłem prawdę. Dziś nikt nam nie pożyczy, bo i już nie ma kto...

— Od czegoż jest Dagon?... — zdziwił się książe. — Nie ma go przy moim dworze, czy umarł?

— Dagon mieszka w Pi-Bast, ale całe dni wraz z innymi kupcami fenickimi przepędza w świątyni Astarty na pokucie i modłach...

— Skądże taka pobożność? Czy dlatego, że ja byłem w świątyni, to i mój bankier uważa za potrzebne naradzać się z bogami?

Tutmozis kręcił się na taburecie.

— Fenicjanie — rzekł — są zatrwożeni, nawet zgnębieni wieściami...

— O czym?

— Ktoś rozpuścił plotkę, że gdy wasza dostojność wstąpisz na tron, Fenicjanie zostaną wygnani, a ich majątki zabrane na rzecz skarbu...

— No, to mają jeszcze dosyć czasu — uśmiechnął się książę.

Tutmozis wciąż wahał się.

— Słysząc — mówił zniżonym głosem — że zdrowie jego świątobliwości (oby żył wiecznie!...) mocno zachwiało się w tych czasach...

— To fałsz! — przerwał zaniepokojony książę. — Przecież wiedziałbym o tym...

— A jednak kapłani odprawiają w tajemnicy nabożeństwa za powrócenie zdrowia faraonowi — szeptał Tutmozis. — Wiem o tym z pewnością...

Książę stanął zdumiony.

— Jak to — rzekł — więc ojciec mój jest ciężko chory, kapłani modlą się za niego, a mnie nic o tym nie mówią?...

— Słysząc, że choroba jego świątobliwości może przeciągnąć się z rok...

Ramzes machnął ręką.

— Ech!... słuchasz bajek i mnie niepokoisz. Powiedz mi lepiej o Fenicjanach, bo to ciekawsze.

— Słyszałem — ciągnął Tutmozis — tylko to, co i wszyscy, że wasza dostojność, przekonawszy się w świątyni o szkodliwości Fenicjan, zobowiązałeś się wypędzić ich.

— W świątyni?... — powtórzył następca. — A któż może wiedzieć, o czym ja przekonałem się i co postanowiłem w świątyni?...

Tutmozis wzruszył ramionami i milczał.

— Czyliżby zdrada i tam?... — szepnął książę. — W każdym razie zawołasz do mnie Dagona — rzekł głośno. — Muszę poznać źródło tych kłamstw i, przez bogi, położyć im koniec!...

— Dobrze uczynisz, panie — odparł Tutmozis — gdyż cały Egipt jest zaniepokojony. Już dziś nie ma u kogo pożyczać pieniędzy, a gdyby te pogłoski trwały dłużej, ustałby handel. Dziś już nasza arystokracja wpadła w biedę, z której nie widać wyjścia, a i twój dwór, panie, odczuwa niedostatek. Za miesiąc może to samo zdarzyć się w pałacu jego świątobliwości...

— Milcz — przerwał książę — i natychmiast zawołaj mi Dagona.

Tutmozis wybiegł, ale bankier zjawił się u namiestnika dopiero wieczorem. Miał na sobie białą płachtę w czarne pasy.

— Poszaleliście?... — zawołał następca na ten widok. — Zaraz ja cię tu rozchmurzę... Potrzebuję natychmiast stu talentów. Idź i nie pokazuj mi się, dopóki tego nie załatwisz.

Ale bankier zasłonił swoje oblicze i zapłakał.

— Co to znaczy? — spytał niecierpliwie książę.

— Panie — odparł Dagon klękając — weź mój majątek, sprzedaj mnie i moją rodzinę... Wszystko weź, nawet życie nasze... Ale sto talentów... skąd bym ja dostał dziś taki majątek?... Już ani z Egiptu, ani z Fenicji... — mówił wśród łkań.

— Set opętał cię, Dagonie! — roześmiał się następca. — Czyliż i ty uwierzyłyś, że ja myślę o wygnaniu was?...

Bankier po raz drugi upadł mu do nóg.

— Ja nic nie wiem... ja jestem zwyczajny kupiec i twój niewolnik... Tyle dni, ile jest między nowiem i pełnią, wystarczyło, ażeby zrobić ze mnie proch i z mego majątku ślinę...

— Ależ wytłumacz mi, co to znaczy? — pytał niecierpliwie następca.

— Ja nie potrafię nic powiedzieć, a choćbym nawet umiał, mam wielką pieczęć na ustach... Dziś modłę się tylko i płaczę...

„Czy i Fenicjanie modlą się?” — pomyślał książę.

— Nie mogąc oddać ci żadnej usługi, panie mój — ciągnął Dagon — dam ci przynajmniej dobrą radę... Jest tu w Pi-Bast sławny książę tyryjski, Hiram. Człowiek stary,

mądry i strasznie bogaty... Wezwij go, erpatre, i zażądaj sto talentów, a może on potrafi dogodzić waszej dostojności...

Ponieważ Ramzes żadnych objaśnień nie mógł wydobyć z bankiera, uwolnił go więc i obiecał, że wyśle poselstwo do Hirama.

## ROZDZIAŁ V

Na drugi dzień rano Tutmozis z wielką switą oficerów i dworzan złożył wizytę tyryjskiemu księciu i zaprosił go do namiestnika.

W południe przed pałacem zjawiał się Hiram w prostej lektyce niesionej przez ośmiu ubogich Egipcjan, którym udzielał jałmużny. Otaczali go znakomitsi kupcy fenicyjscy i ten sam tłum ludu, który co dzień wystawał przed jego domem.

Ramzes z niejakim zdziwieniem przywitał starca, któremu z oczu patrzyła mądrość, a z całej postaci powaga. Hiram miał na sobie biały płaszcz, na głowie złotą obrączkę. Ukłonił się namiestnikowi z godnością i wzniosłszy ręce nad jego głowę odmówił krótkie błogosławieństwo. Obecni byli głęboko wzruszeni.

Gdy namiestnik wskazał mu fotel i kazał odejść dworzanom, Hiram odezwał się:

— Wczoraj sługa waszej dostojności, Dagon, powiedział mi, że księżę potrzebujesz stu talentów. Zaraz wysłałem moich kurierów do Sabne-Chetam<sup>37</sup>, Sethroe<sup>38</sup>, Pi-Uto<sup>39</sup> i innych miast, gdzie stoją fenickie okręty, ażeby wyładowały wszystkie towary. I myślę, że za parę dni wasza dostojność otrzyma tę drobną sumkę.

— Drobną! — przerwał księżę ze śmiechem. — Szczęśliwy jesteś, wasza dostojność, jeżeli sto talentów nazywasz drobną sumką.

Hiram pokiwał głową.

— Dziad waszej dostojności — rzekł po namyśle — wiecznie żyjący Ramesseses-sa-Ptah<sup>40</sup> zaszczycał mnie swoją przyjaźnią; znam też jego świątobliwość waszego ojca (oby żył wiecznie!) i nawet spróbuję złożyć mu hołd, jeżeli będę dopuszczony...

— Skądże ta wątpliwość?... — przerwał księżę.

— Są tacy — odparł gość — którzy jednych dopuszczają, innych nie dopuszczają do oblicza faraonowego, ale mniejsza o nich... Wasza dostojność nie jesteś temu winien, więc ośmielę się zadać wam jedno pytanie... Jak stary przyjaciel waszego dziada i ojca.

— Słucham.

— Co to znaczy — mówił powoli Hiram — co to znaczy, że następca i namiestnik faraona musi pożyczać sto talentów, gdy jego państwu należy się przeszło sto tysięcy talentów?...

— Skąd?... — zawołał Ramzes.

— Jak to skąd?... Z danin od ludów azjatyckich. Fenicja winna wam pięć tysięcy, no i ja ręczę, że odda, jeżeli nie trafią się jakieś wypadki... Ale oprócz niej Izrael winien trzy tysiące, Filistyni i Moabici<sup>41</sup> po dwa tysiące, Chetowie trzydzieści tysięcy... Wreszcie nie pamiętam pozycji szczegółowych, ale wiem, że ogół wynosi sto trzy czy sto pięć tysięcy talentów.

Ramzes gryzł wargi; na jego ruchliwej twarzy widać było bezsilny gniew. Spuścił oczy i milczał.

— Więc to prawda!... — nagle westchnął Hiram, wpatrując się w namiestnika. — Więc to prawda?... Biedna Fenicja, ale i Egipt...

<sup>37</sup> *Sabne-Chetam* — biblijne Soan (egipskie *chetem* oznacza warowne miasto), gr. Tanis, miasto w północno-wschodniej części Delt, nad taniczną odnogą Nilu, w pobliżu jeziora Manzala, ok. 140 km na północny wschód od Memfis. Stolica 14. nomu Dolnego Egiptu. Za panowania XXI i XX dynastii było stolicą państwa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *Sethroe* — Herakleopolis Mikra, miasto w Dolnym Egipcie nad jeziorem Manzala, w 14. nomie Dolnego Egiptu, najdalej wysuniętym na północny wschód. Około 150 km na północny wschód od Memfis, ok. 30 km na południowy wschód od dzisiejszego Port Fuad. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Pi-Uto* — Buto, Per-Wadżet, miasto nad ujściem sebenickiej odnogi Nilu do jeziora Burullus, ok. 160 km na północny zachód od Memfis, ok. 100 km na wschód od dzisiejszej Aleksandrii. Stolica 5. nomu Dolnego Egiptu. Centrum kultu bogini Wadżet, protektorki Dolnego Egiptu. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Ramesseses-sa-Ptah* — Ramzes Siptah (1197–1191 p.n.e.), zmarły stulecie wcześniej faraon XIX dynastii, objął tron w wieku 14 lat. Rządy w jego imieniu sprawowała macocha, Tauseret, która została jego następczynią jako ostatni władca tej dynastii. W XIX w. uważano, że Siptah to imię władcy XX dynastii, Ramzesa XI. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *Moabici* — lud semicki zamieszkujący położoną na wschód od Morza Martwego krainę Moab. [przypis edytorski]

— Co mówisz, wasza dostojność? — zapytał książę, marszcząc brwi. — Nie rozumiem twoich biadań...

— Książę wiesz, o czym mówię, skoro nie odpowiadasz na moje pytanie — odparł Hiram i powstał, jakby z zamiarem odejścia. — Mimo to... nie cofnę obietnicy... Będziesz, książę, miał sto talentów.

Nisko uklonił się, lecz namiestnik zmusił go do zajęcia miejsca.

— Wasza dostojność ukrywasz coś przede mną — rzekł głosem, w którym czuć było obrazę. — Chcę, ażebyś mi wytłumaczył: jaka to bieda grozi Fenicji czy Egiptowi...

— Nie wiedziałebyś o tym, wasza dostojność? — pytał Hiram z wahaniem.

— Nic nie wiem. Spędziłem przeszło miesiąc w świątyni.

— Właśnie tam można było dowiedzieć się o wszystkim...

— Wasza dostojność mi powiesz! — zawołał namiestnik, uderzając pięścią w stół. — Nie lubię, ażeby bawiono się moim kosztem...

— Powiem, jeżeli wasza dostojność dasz mi wielkie przyrzeczenie, że nie zdradzisz się przed nikim. Chociaż... nie mogę uwierzyć, aby księcia następcy nie zawiadomiono o tym!...

— Nie ufasz mi? — zapytał zdumiony książę.

— W tej sprawie żądałbym przyrzeczenia od samego faraona — odparł Hiram stanowczo.

— A więc... przysięgam na mój miecz i sztandary naszych wojsk, że nikomu nie powiem o tym, co mi wasza dostojność odkryjesz.

— Dosyc — rzekł Hiram.

— Słucham.

— Książę wie, co w tej chwili dzieje się w Fenicji?

— Nawet i o tym nie wiem! — przerwał zirytowany namiestnik.

— Nasze okręty — szepnął Hiram — ze wszystkich krańców świata ściągają do ojczyzny, ażeby na pierwsze hasło przewieźć ludność i skarby gdzieś... za morze... na zachód...

— Dlaczego? — zdziwił się namiestnik.

— Bo Assyria ma nas wziąć pod swoje panowanie.

Książę wybuchnął śmiechem.

— Oszalałeś, czcigodny mężu?... — zawołał. — Assyria ma zabrać Fenicję!... A cóż my na to, my Egipcjanie?

— Egipcjanie już się zgodził.

Namiestnikowi krew uderzyła do głowy.

— Upał płące ci myśli, stary człowieku — rzekł do Hiram spokojnym głosem. — Zapominasz nawet, że podobna sprawa nie mogłaby mieć miejsca bez pozwolenia faraona i... mego!

— I to nastąpi. Tymczasem zawarli układ kapłani.

— Z kim?... Jacy kapłani?...

— Z arcykapłanem chaldejskim, Beroesem, umocowanym przez króla Assara — odparł Hiram. — A kto z waszej strony?... Nie twierdzą na pewno, ale zdaje się, że jego dostojność Herhor, jego dostojność Mefres i święty prorok Pentuer.

Książę zbladł.

— Uważaj, tyryjczyku — rzekł — że oskarżasz o zdradę najwyższych dostojników państwa.

— Mylisz się, książę, to wcale nie jest zdrada: najstarszy arcykapłan Egiptu i minister jego świątobliwości mają prawo prowadzić układy z sąsiednimi mocarzami. Wreszcie, skąd wie wasza dostojność, że wszystko to nie dzieje się z woli faraona?

Ramzes musiał przyznać w duszy, że układ podobny nie byłby zdradą państwa, tylko — lekceważeniem jego, następcy tronu. Więc to w taki sposób traktują go kapłani, jego, który za rok może być faraonem?... Więc dlatego Pentuer ganił wojny, a Mefres popierał go!...

— Kiedyż to się miało stać, gdzie?... — spytał książę.

— Podobno zawarli układ w nocy, w świątyni Seta za Memfisem — odpowiedział Hiram. — A kiedy?... Dobrze nie wiem, lecz zdaje się, że tego dnia, kiedy wasza dostojność wyjeżdżałeś z Memfisu.

„A, nędznicy!... — myślał namiestnik. — To oni tak szanują moje stanowisko... Więc oni mnie oszukiwali i opisem stanu państwa?... Jakiś dobry bóg budził moje wątpliwości w świątyni Hator...”

Po chwili wewnętrznej walki rzekł głośno:

— Niepodobna!... I dopóty nie uwierzę temu, co mówisz, wasza dostojność, dopóki nie dasz mi dowodu.

— Dowód będzie — odparł Hiram. — Lada dzień przyjeżdża do Pi-Bast wielki pan asyryjski, Sargon, przyjaciel króla Assara. Przyjeżdża tu pod pozorem pielgrzymki do świątyni Astoreth, złoży dary wam, książę, i jego świątobliwości, potem — zawrzecie układ... Naprawdę zaś przypieczętujecie to, co postanowili kapłani na zgubę Fenicjan, a może i własne nieszczęście.

— Nigdy! — rzekł książę. — Jakież to wynagrodzenie musiałaby Asyria dać Egipciowi...

— Oto jest mowa godna króla: jakie wynagrodzenie dostałby Egipt? Bo dla państwa każdy układ jest dobry, byle coś na nim zyskało... I to właśnie dziwi mnie — ciągnął Hiram — że Egipt zrobi zły interes: Asyria bowiem zagarnia, oprócz Fenicji, prawie całą Azję; a wam jakby z łaski zostawia: Izraelitów, Filistynów i półwysep Synaj... Rozumie się, że w takim razie przepadną należne Egipcjom daniny i faraon nigdy nie odbierze tych stu pięciu tysięcy talentów.

Namiestnik potrząsnął głową.

— Nie znasz — odparł — wasza dostojność, kapłanów egipskich: żaden z nich nie przyjąłby takiego układu.

— Dlaczego? Fenickie przysłowie mówi: lepszy jęczmień w stodole niż złoto w pustyni. Mogłoby się więc zdarzyć, że Egipt, gdyby czuł się bardzo słabym, wołałby darmo Synaj i Palestynę aniżeli wojnę z Asyrią. Ale otóż to mnie zastanawia... Bo nie Egipt, lecz Asyria dziś jest łatwa do pokonania: ma zatarg na północnym wschodzie, posiada mało wojsk, a i te są liche. Gdyby napadł ją Egipt, zniszczyłby państwo, zabrałby niezmiernie skarby z Niniwy i Babelu i raz na zawsze utrwaliłby swoją władzę w Azji.

— Więc widzisz, że taki układ nie może istnieć — wtrącał Ramzes.

— W jednym tylko wypadku rozumiałbym podobne umowy, gdyby kapłani chcieli znieść władzę królewską w Egipcie... Do czego wreszcie dążą od czasów waszego dziada, książę...

— Znowu mówisz od rzeczy — wtrącił namiestnik. Ale w sercu uczuł niepokój.

— Może myślę się — odparł Hiram, bystro patrząc mu w oczy. — Ale posłuchaj, wasza dostojność...

Przysunął swój fotel do księcia i mówił zniżonym głosem:

— Gdyby faraon wydał wojnę Asyrii i wygrał ją, miałyby:

Wielką armię przywiązaną do jego osoby.

Sto tysięcy talentów zaległych danin. Ze dwieście tysięcy talentów z Niniwy i Babelu.

Nareszcie — ze sto tysięcy talentów rocznie z krajów zdobytych.

Tak ogromny majątek pozwoliłby mu wykupić dobra zastawione u kapłanów i raz na zawsze położyć koniec ich mieszaniną się do władzy.

Ramzesowi błyszczały oczy. Hiram mówił dalej:

— Dzisiaj zaś armia zależy od Herhora, a więc od kapłanów, i z wyjątkiem pułków cudzoziemskich faraon, w razie walki, liczyć na nią nie może.

Nadto zaś, skarb faraona jest pusty, a większa część jego dóbr należy do świątyni. Król choćby na utrzymanie dworu musi co roku zaciągać nowe długi; a że Fenicjan już u was nie będzie, więc musicie brać od kapłanów... Tym sposobem za dziesięć lat jego świątobliwość (oby żył wiecznie!...) straci resztę swoich dóbr, a co później?...

Na czoło Ramzesa wystąpił pot kroplisty.

— Widzisz więc, dostojny panie — mówił Hiram — że w jednym wypadku kapłani mogliby, a nawet musieliby przyjąć najsromotniejszy układ z Asyrią: jeżeli chodziłoby im o poniżenie i zniesienie władzy faraona... No — może istnieć i drugi wypadek: gdyby Egipt był tak słaby, że za wszelką cenę potrzebowałby spokoju...

Książę zerwał się.

— Milcz! — zawołał. — Wołałbym zdradę najwierniejszych sług aniżeli podobną niemoc kraju!... Egipt musiałby Asyrii oddać Azję... Ależ w rok później sam wpadłby

Polityka

pod jej jarzmo, bo podpisując hańbę, przyznałby się do bezsilności...

Chodził wzburzony, a Hiram patrzył na niego z litością czy współczuciem.

Nagle Ramzes zatrzymał się przed Fenicjaninem i rzekł:

— To fałsz!... Jakiś zręczny hultaj oszukał cię, Hiramie, pozorami prawdy i ty mu uwierzyłeś. Gdyby istniał taki traktat, układano by go w największej tajemnicy. A w takim razie, jeden z czterech kapłanów, których wymienileś, byłby zdrajcą nie tylko króla, lecz nawet swoich współspiskowców...

— Mógł przecie być ktoś piąty, który ich podsłuchiwał — wtrącił Hiram.

— I tobie sprzedał tajemnicę?...

Hiram uśmiechnął się.

— Dziwno mi — rzekł — że księżę jeszcze nie poznałeś potęgi złota.

— Ależ zastanów się, wasza dostojność, że nasi kapłani mają więcej złota aniżeli ty, choć jesteś bogacz nad bogacze!...

— Ja jednak nie gniewam się, gdy mi przybędzie choćby drachma. Dlaczego inni mieliby odrzucać talenty?...

— Bo oni są sługami bogów — mówił rozgorączkowany księżę — bo oni lękaliby się ich kary...

Fenicjanin uśmiechnął się.

— Widziałem — odparł — wiele świątyń różnych narodów, a w świątyniach duże i małe posagi: drewniane, kamienne, nawet złote. Ale bogów nie spotykałem nigdy...

— Błuznierco!... — zawołał Ramzes. — Jam widział bóstwo, czułem na sobie jego rękę i słyszałem głos...

— Gdzie to było?

— W świątyni Hator: w jej przysionku i w mojej celi.

— W dzień?... — pytał Hiram.

— W nocy... — odparł księżę i zastanowił się.

— W nocy — księżę słyszał mowę bogów i — czuł — ich rękę — powtarzał Fenicjanin wybijając pojedyncze wyrazy. — W nocy wiele rzeczy można widzieć. Jak to było?...

— Byłem chwytny za głowę, ramiona i nogi, a przysięgam...

— Psy!... — przerwał Hiram z uśmiechem. — Nie należy przysięgać nadaremnie.

Uporczywie wpatrywał się w Ramzesa swymi bystrymi i mądrymi oczyma, a widząc, że w młodzieńcu budzą się wątpliwości, rzekł:

— Ja ci coś powiem, panie. Jesteś niedoświadczony, otoczony siecią intryg, ja zaś byłem przyjacielem twego dziada i ojca. Otóż oddam ci jedną usługę. Przyjdź kiedy w nocy do świątyni Astoreth, ale... zobowiązawszy się do zachowania tajemnicy... Przyjdź sam, a przekonasz się, jacy to bogowie odzywają się i dotykają mas w świątyniach.

— Przyjdę — rzekł Ramzes po namyśle.

— Uprzedź mnie, księżę, którego dnia z rana, a ja powiem ci hasło wieczorne świątyni i będziesz tam dopuszczony. Tylko nie zdradź mnie ani siebie — mówił z dobrodusznym uśmiechem Fenicjanin. — Bogowie niekiedy przebaczą zdradę swoich tajemnic, ludzie nigdy...

Uklonił się, a potem wzniosłszy oczy i ręce do góry zaczął szeptać błogosławieństwo.

— Obludniku!... — zawołał księżę. — Modlisz się do bogów, w których nie wierzysz?...

Hiram dokończył błogosławieństwa i rzekł:

— Tak jest: nie wierzę w bogów egipskich, asyryjskich, nawet fenickich, lecz wierzę w Jedyne, który nie mieszka w świątyniach i nie jest znane jego imię.

— Nasi kapłani wierzą także w Jedyne — wtrącił Ramzes.

— I Chaldejscy także, a jednak i ci, i tamci sprzysięgli się przeciw nam... Nie ma prawdy na świecie, mój księżę!...

Po odejściu Hiram księżę zamknął się w najodleglejszym pokoju pod pozorem odczytywania świętych papirusów.

Prawie w oka mgnieniu w jego ognistej wyobraźni uporządkowały się nowo otrzymane wiadomości i utworzył się plan.

Przed wszystkim zrozumiał, że między Fenicjanami i kapłanami toczy się cicha walka na życie i śmierć. O co?... Naturalnie o wpływy i skarby. Prawdę rzekł Hiram, że



gdyby Fenicjan zabrakło w Egipcie, wszystkie majątki faraona, nawet nomarchów i całej arystokracji, przeszłyby pod panowanie świątyń.

Ramzes nigdy nie lubił kapłanów i od dawna wiedział i widział, że większa część Egiptu już należy do kapłanów, że ich miasta są najbogatsze, pola najlepiej uprawiane, ludność zadowolona. Rozumiał też, że połowa skarbów należących do świątyń wydobylaby faraona z nieustannych kłopotów i podźwignęłaby jego władzę.

Książę wiedział o tym i niejednokrotnie wypowiadał to z goryczą. Lecz gdy za sprawą Herhora został namiestnikiem i otrzymał dowództwo korpusu Menfi, pogodził się z kapłanami i we własnym sercu tłumił stare niechęci do nich.

Dziś wszystko to odżyło.

Więc kapłani nie tylko nie powiedzieli mu o swoich układach z Asyrią, ale nawet nie uprzedzili go o poselstwie jakiegoś Sargona?

Może wreszcie być, że ta kwestia stanowiła najwyższą tajemnicę świątyń i państwa. Lecz dlaczego ukrywali przed nim cyfrę danin zalegających u rozmaitych azjatyckich narodów?... Sto tysięcy talentów, ależ to suma, która mogła od razu poprawić majątkowy stan faraona... Dlaczegoż oni to ukrywali, o czym nawet wiedział tyryjski książę, jeden z członków rady tego miasta?...

Co za wstyd dla niego, następcy tronu i namiestnika, że dopiero obcy ludzie otwierają mu oczy!

Lecz była rzecz jeszcze gorsza: Pentuer i Mefres na wszelki sposób dowodzili mu, że Egipt musi unikać wojny.

Już w świątyni Hator nacisk ten wydawał mu się podejrzanym: wojna bowiem mogła dostarczyć państwu krocie tysięcy niewolników i podźwignąć ogólny dobrobyt kraju. Dzisiaj zaś wydaje się tym konieczniejszą, że przecież Egipt ma do odebrania sumy zaległe i do zdobycia nowe.

Książę podparł się rękoma na stole i rachował:

„Mamy — myślał — do odebrania sto tysięcy talentów danin... Hiram liczy, że złupienie Babilonu i Niniwy przyniosłoby ze dwieście tysięcy — razem trzysta tysięcy jednorazowo...

Taką sumą można pokryć koszta największej wojny, a zostanie jako zysk — kilkakrotnie sto tysięcy niewolników i sto tysięcy rocznej daniny z krajów na nowo podbitych.

Potem zaś — dokończył książę — obrachowałibyśmy się z kapłanami...”

Ramzes był rozgorączkowany. Mimo to przyszła mu refleksja:

„A gdyby Egipt nie mógł przeprowadzić zwycięskiej wojny z Asyrią?...”

Lecz przy tym pytaniu zagotowała się w nim krew. Jak to Egipt, jak Egipt może nie zdeptać Asyrii, gdy na czele wojsk stanie on, Ramzes, on, potomek Ramzesa Wielkiego, który sam jeden rzucił się na chetyjskie<sup>42</sup> wozy wojenne i rozbił je!...

Książę wszystko mógł pojąć wyjąwszy tego, ażeby on mógł być pokonanym, mógł nie wydrzeć zwycięstwa największym mocarzom. Czuł w sobie bezmiar odwagi i zdziwiłby się, gdyby jakikolwiek nieprzyjaciel nie uciekł na widok jego rozpuszczonych koni. Przecież na wojennym wozie faraona stają sami bogowie, ażeby go zasłaniać tarczą, a nieprzyjaciół razić niebieskimi pociskami.

„Tylko... co ten Hiram mówił mi o bogach?... — pomyślał książę. — I co on ma mi pokazać w świątyni Astoreth?... Zobaczymy.”

## ROZDZIAŁ VI

Hiram dotrzymał obietnicy. Co dzień do książęcego pałacu w Pi-Bast przychodziły tłumy niewolników i długie szeregi osłów dźwigających: pszenicę, jęczmień, suszone mięso, tkaniny i wino. Złoto zaś i drogie kamienie przynosili kupcy fenicyjcy pod dozorem urzędników domu Hiram.

Tym sposobem namiestnik w ciągu pięciu dni otrzymał przyrządzone mu sto talentów. Hiram policzył sobie niewielki procent: jeden talent od czterech na rok i nie żądał zastawu, lecz poprzestał na kwicie księcia poświadczonym przez sąd.

Potrzeby dworu były hojnie zaopatrzone. Trzy kochanki namiestnika otrzymały nowe szaty, mnóstwo osobliwych pachnidła i po kilka niewolnic rozmaitej barwy. Służba miała

<sup>42</sup>chetyjski — dziś: hetycki. [przypis edytorski]

obfitość jedzenia i wina, robotnicy królewscy odebrali zaległy żołąd, wojsku wydawano nadzwyczajne porcje.

Dwór był zachwycony tym więcej, że Tutmozis i inni szlachetni młodzieńcy, na rozkaz Hiram, otrzymali od Fenicjan dość wysokie pożyczki, a nomarcha prowincji Habu i jego wyżsi urzędnicy dostali kosztowne prezenta<sup>43</sup>.

Toteż uczta następowała po uczcie, zabawa po zabawie, mimo ciągle wzrastającego upału. Namiestnik, widząc powszechną radość, sam był zadowolony. Trafiła go tylko jedna rzecz: zachowanie się Mefresa i innych kapłanów. Książę myślał, iż dostojnicy ci będą mu robili wymówki za to, że zaciągnął tak wielki dług u Hiram wbrew naukom, jakie odebrał w świątyni. Tymczasem święci ojcowie milczeli i nawet nie pokazywali się u dworu.

— Co to znaczy — rzekł pewnego dnia Ramzes do Tutmozisa — że kapłani nie udzielają nam upomnień?... Przecież takich zbytków jak obecnie nie dopuszczaliśmy się nigdy. Muzyka gra od rana do nocy, a my pijemy od wschodu słońca i zasypiamy z kobietami w objęciach albo ze dzbanami<sup>44</sup> pod głową...

— Za co mieliby nas upominać? — odparł oburzony Tutmozis. — Czyliż nie przebywamy w mieście Astarty, dla której najmiłszym nabożeństwem jest zabawa, a najpożądniejszą ofiarą — miłość? Zresztą kapłani rozumieją, że po tak długich umartwieniach i postach należy ci się odpoczynek.

— Mówili ci to? — spytał z niepokojem książę.

— I nie raz. Wczoraj, nie dawniej, święty Mefres rzekł do mnie, śmiejąc się, że tak młodego człowieka, jak ty, więcej pociąga zabawa aniżeli nabożeństwo albo kłopoty rządzenia państwem.

Ramzes zamyślił się. Więc kapłani uważają go za lekkomyślnego młodzieniaszka, pomimo że on, dzięki Sarze, dziś — jutro zostanie ojcem?... Ale tym lepiej: będą mieli niespodziankę, gdy przemówi do nich swoim własnym językiem...

Co prawda książę samemu sobie robił lekkie wyrzuty: od chwili gdy opuścił świątynię Hatory, ani przez jeden dzień nie zajmował się sprawami nomesu Habu. Kapłani mogą przypuszczać, że albo jest zupełnie zadowolony objaśnieniami Pentuera, albo że — znudził się już mieszaniem do rządów.

— Tym lepiej!... — szeptał. — Tym lepiej!...

W jego młodej duszy, pod wpływem ciągłych intryg otoczenia albo podejrzeń o intrygi, zaczynał budzić się instynkt obłudy. Ramzes czuł, że kapłani nie domyślają się, o czym on rozmawiał z Hiramem i jakie plany rozsnuwał w swej głowie. Tym zaślepionym wystarczało, że on bawi się, z czego wnosili, że rządy państwem pozostaną w ich rękach.

„Bogowie tak zamącili ich rozum — mówił do siebie Ramzes — że nawet nie pytają się: dlaczego Hiram udzielił mi tak wielkiej pożyczki?... A może ten chytry tyryjczyk potrafił uspić ich podejrzliwe serca?... Tym lepiej!... tym lepiej!...”

Robiło mu to dziwną przyjemność, gdy myślał, że kapłani oszukali się na jego rachunek. Postanowił i nadal utrzymywać ich w błędzie, więc bawił się jak szalony.

Istotnie kapłani, a przede wszystkim Mefres i Mentezufis, oszukali się i na Ramzesie, i na Hiramie. Przebiegły tyryjczyk udawał wobec nich człowieka bardzo dumnego ze swoich stosunków z następcą tronu, a książę z nie mniejszym powodzeniem grał rolę rozhulanego młodzika.

Mefres był nawet pewny, że książę poważnie myśli o wypędzeniu Fenicjan z Egiptu, a tymczasem i on sam, i jego dworzanie zaciągają długi, aby ich nigdy nie spłacić.

Przez ten czas świątynia Astarty, jej liczne ogrody i dziedzińce roiły się od tłumu pobożnych. Co dzień, jeżeli nie co godzina, z głębi Azji, mimo straszego upału, nadciągała do wielkiej bogini jakaś kompania pielgrzymów.

Dziwni to byli pielgrzymowie<sup>45</sup>. Zmęczeni, złani potem, okryci kurzem szli z muzyką, tańcząc i śpiewając niekiedy bardzo wszeteczne piosenki. Dzień upływał im na pijatyce, noc na wyuzdanej rozpuście ku czci bogini Astoreth. Każdą taką kompanię można było

Pobożność, Obyczaje

<sup>43</sup>prezenta — dziś popr.: prezenty. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>ze dzbanami — dziś popr.: z dzbanami. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>pielgrzymowie — dziś popr.: pielgrzymi. [przypis edytorski]

nie tylko poznać, ale wyczuć z daleka: nieśli bowiem ogromne bukiety ciągle świeżych kwiatów w rękach, a — zdechłe w ciągu roku koty w węzłkach.

Koty te oddawali pobożni do balsamowania lub wypychania parasytom mieszkającym pod Pi-Bast, a następnie odnosili je z powrotem do domów, jako szanowne relikwie.

W początkach miesiąca Misori (maj — czerwiec) książę Hiram zawiadomił Ramzesa, że tego dnia wieczorem może przyjść do fenickiej świątyni Astoreth. Gdy po zachodzie słońca ściemniło się na ulicach, namiestnik, przypiąwszy krótki miecz do boku, włożył płaszcz z kapturem i nie dostrzeżony przez nikogo ze służby wymknął się do domu Hiram.

Stary magnat czekał na niego.

— Cóż — rzekł z uśmiechem — nie boisz się, wasza dostojność, wchodzić do fenickiej świątyni, gdzie na ołtarzu zasiada okrucieństwo, a służy mu przewrotność?

— Bać się?... — spytał Ramzes, patrząc na niego prawie z pogardą. — Astoreth nie jest Baalem ani ja dzieckiem, które można rzucić w rozpalony brzuch waszego boga.

— I książę wierzysz temu?

Ramzes wzruszył ramionami.

— Naoczny i wiarogodny świadek — odparł — opowiadał mi o waszych ofiarach z dzieci. Pewnego czasu burza rozbiła wam kilkanaście statków. Natychmiast kapłani tyryjscy ogłosili nabożeństwo, na które zebrał się tłum ludu...

Książę mówił z widocznym wzburzeniem.

— Przed świątynią Baala, na wzniesieniu, siedział ogromny spiżowy posąg z głową wołu. Jego brzuch był rozpalony do czerwoności. Wtedy, na rozkaz waszych kapłanów, głupie matki fenickie zaczęły składać najpiękniejsze dzieci u stóp okrutnego boga...

— Samych chłopców — wtrącił Hiram.

— Tak, samych chłopców — powtórzył książę. — Kapłani skrapiali każde dziecko wonnościami, ubierali w kwiaty, a wówczas posąg chwycił je spiżowymi rękoma, otwierał paszczę i pożerał krzyczącego wniebogłosy... Za każdym razem z ust boga wybuchały płomienie...

Hiram śmiał się cicho.

— I wasza dostojność wierzysz temu?

— Opowiadał mi to, powtarzam, człowiek, który nigdy nie kłamie.

— Mówił to, co istotnie widział — odparł Hiram. — Czy jednak nie zastanowiło go, że żadna z matek, którym palono dzieci, nie płakała?

— Istotnie zadziwiła go ta obojętność kobiet, zawsze gotowych do wylewania łez, nawet nad zdechłą kurą. Dowodzi to jednak wielkiego okrucieństwa w waszym narodzie.

Stary Fenicjanin kiwał głową.

— Dawnoż to było? — spytał.

— Przed kilkoma laty.

— No — powoli mówił Hiram — jeżeli wasza dostojność zechcesz kiedy odwiedzić Tyr, będę miał zaszczyt pokazać wam taką uroczystość...

— Nie chcę jej widzieć!...

— Następnie zaś pójdziemy na inne podwórze świątyni, gdzie książę zobaczy bardzo piękną szkołę, a w niej — zdrowych i wesołych tych samych chłopców, których przed kilkoma laty spalono...

— Jak to?... — zawołał Ramzes — więc oni nie zginęli?...

— Żyją i rosną na tęgich marynarzy. Gdy wasza dostojność zostaniesz świątobliwością — obys żył wiecznie! — może niejedyn z nich będzie prowadził twoje okręty.

— Więc oszukujecie wasz lud?... — roześmiał się książę.

— My nikogo nie oszukujemy — odparł z powagą tyryjczyk. — Oszukuje każdy sam siebie, gdy nie pyta o objaśnienie uroczystości, której nie rozumie.

— Ciekawym... — rzekł Ramzes.

— Istotnie — mówił Hiram — jest u nas zwyczaj, że ubogie matki, chcące zapewnić dobry los swoim synom, ofiarowują je na usługi państwu. Rzeczywiście dzieci te są porywane przez posąg Baala, w którym mieści się piec rozpalony. Obrządek ten nie znaczy, że dzieci są naprawdę palone, lecz — że stały się własnością świątyni i tak zginęły dla swoich matek, jak gdyby wpadły w ogień.

Obyczaje, Dziecko, Ofiara

Naprawdę jednak nie idą one do pieca, ale do mamek i nianiek, które je przez kilka lat wychowują. Gdy zaś podrosną, zabiera je szkoła kapłanów Baala i kształci. Najzdolniejsi z tych wychowanców zostają kapłanami lub urzędnikami, mniej obdarzeni idą do marynarki i nieraz zdobywają wielkie bogactwa.

Teraz chyba książę nie będziesz dziwił się, że matki tyryjskie nie oplakują swoich dzieci. Więcej powiem: teraz, panie, zrozumiesz, dlaczego w naszych prawach nie ma kar na rodziców zabijających swoje potomstwo, jak się to zdarza w Egipcie...

— Nikczemnicy znajdują się wszędzie — wtrącił namiestnik.

— Ale u nas nie ma dzieciobójców — mówił dalej Hiram — bo u nas dzieci, których nie mogą wykarmić ich matki, zajmuje się państwo i świątynia.

Książę zamyślił się. Nagle uścisnął Hiram i zawołał wzruszony:

— Jesteście o wiele lepsi aniżeli ci, którzy opowiadają o was tak straszne historie... Bardzo cieszę się z tego...

— U nas jest niemało złego — odparł Hiram — ale wszyscy będziemy wiernymi sługami twoimi, panie, gdy nas zawołasz...

— Czy tak?... — spytał książę, bystro patrząc mu w oczy.

Starzec położył rękę na sercu.

— Przysięgam ci, następcu egipskiego tronu i przyszły faraonie, że kiedykolwiek rozpoczniesz walkę z naszymi wspólnymi nieprzyjaciółmi, cała Fenicja, jak jeden mąż, pospieszy ci z pomocą...

A oto — weź na pamiątkę naszej dzisiejszej rozmowy.

Wyjął spod szat złoty medal pokryty tajemnymi znakami i, szepcząc modlitwy, zawiesił go na szyi Ramzesa.

— Z tym amuletem — mówił Hiram — możesz objechać cały świat... A gdziekolwiek spotkasz Fenicjanina, będzie ci służył radą, złotem, nawet mieczem... A teraz idźmy.

Upłynęło już kilka godzin po zachodzie słońca, ale noc była widna, gdyż wszedł księżyc. Straszliwy upał dzienny ustąpił miejsca chładowi; w czystym powietrzu nie było szarego pyłu, który zatruchiwał oddech i gryzł w oczy. Na błękitnym niebie tu i ówdzie świeciły gwiazdy rozplywające się w powodzi księżycowych blasków.

Na ulicach ustał ruch, ale dachy wszystkich domów były napelnione bawiącymi się ludźmi. Zdawało się, że Pi-Bast jest jedną salą od brzegu do brzegu wypełnioną muzyką, śpiewem, śmiechem i dźwiękami pucharów.

Książę i Fenicjanin szli prędko za miasto, wybierając mniej oświetlone strony ulic. Mimo to ludzie uczujący na tarasach niekiedy spostrzegali ich, a spostrzegłszy, zapraszali do siebie lub sypali im kwiaty na głowy.

— Hej, wy tam, nocne włóczęgi! — wołano z dachów. — Jeżeli nie jesteście złodziejami, których noc wywabiła na zarobek, przyjdźcie tu do nas... Mamy dobre wino i wesołe kobiety...

Dwaj wędrowcy nie odpowiadali na te uprzejme wezwania, śpiesząc swoją drogą. Nareszcie wyszli w stronę miasta, gdzie było mniej domów, a więcej ogrodów, których drzewa, dzięki wilgotnym podmuchom morskim, rozrastały się wyżej i bujniej aniżeli w południowych prowincjach Egiptu.

— Już niedaleko — rzekł Hiram.

Książę podniósł oczy i ponad zbitą zielonością drzew zobaczył kwadratową wieżę barwy niebieskawej, na niej — szczuplejszą, białą. Była to świątynia Astoreth.

Niebawem weszli w głąb ogrodu, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą budowlę.

Składała się ona z kilku kondygnacji. Pierwszą — tworzył taras kwadratowy o bokach mających po czterysta kroków długości; spoczywał on na murze wysokości kilku metrów, pomalowanym na czarno. Przy boku wschodnim znajdował się występ, na który z dwu stron prowadziły szerokie schody. Wzdłuż innych boków stały wieżyczki, po dziesięć przy każdym; między każdą parą wieżyczek znajdowało się po pięć okien.

Mniej więcej na środku tarasu wznosił się również kwadratowy budynek z bokami po dwieście kroków. Ten miał pojedyncze schody, wieże na rogach i był barwy purpurowej.

Na płaskim dachu tej budowli stał znowu kwadratowy taras, wysoki na parę metrów, barwy złotej, a na nim jedna na drugiej dwie wieże: niebieska i biała.

Całość wyglądała tak, jakby na ziemi postawił kto ogromną kostkę czarną, na niej mniejszą purpurową, na niej złotą, wyżej niebieską, a najwyżej srebrną. Na każde zaś

Klejnot

z tych wzniesień prowadziły schody albo podwójne boczne, albo pojedyncze frontowe, zawsze od strony wschodniej.

Przy schodach i przy drzwiach stały na przemian wielkie sfinksy egipskie albo skrzydlate asyryjskie byki z ludzkimi głowami.

Namiestnik z przyjemnością patrzył na ten gmach, który przy blasku księżyca, na tle bujnej roślinności wyglądał prześlicznie. Był on wzniesiony w stylu chaldejskim i stanowczo różnił się od świątyń egipskich, naprzód — systemem kondygnacji, po wtóre — pionowymi ścianami. U Egipcjan każda poważna budowla miała ściany — pochyłe, jakby zbiegające się ku górze.

Ogród nie był pusty. W różnych punktach widać było domki i pałacyki, płonęły światła, rozlegał się śpiew i muzyka. Między drzewami od czasu do czasu mignął cień zakochanej pary.

Nagle zbliżył się do nich stary kapłan: zamienił kilka słów z Hiramem i, złożony niski ukłon księciu, rzekł:

— Racz, panie, udać się ze mną.

— I niech bogowie czuwają nad waszą dostojnością — dorzucił Hiram, zostawiając ich.

Ramzes poszedł za kapłanem. Nieco z boku świątyni, między największym gąszczem, stała kamienna ławka, a może o sto kroków od niej niewielki pałacyk, pod którym rozlegały się śpiewy.

— Tam modlą się? — zapytał książę.

— Nie!... — odparł kapłan, nie ukrywając niechęci. — To zbierają się wielbicieli Kamy, naszej kapłanki, pilnującej ognia przed ołtarzem Astoreth.

— Któregoż ona dziś przyjmie?

— Żadnego, nigdy!... — odparł zgorszony przewodnik. — Gdyby kapłanka od ognia nie dotrzymała ślubu czystości, musiałyby umrzeć.

— Okrutne prawo! — rzekł książę.

— Racz, panie, zaczekać na tej ławce — odezwał się zimno kapłan fenicki. — A gdy usłyszysz trzy uderzenia w spiżowe blachy, idź do świątyni, wejdź na taras, a stamtąd do purpurowego gmachu.

— Sam?...

— Tak.

Książę usiadł na ławce, w cieniu oliwki, i słuchał śmiechów kobiecych rozlegających się w pałacyku.

„Kama? — myślał. — Ładne imię!... Musi być młoda, a może jest piękna, i ci głupi Fenicjanie grożą jej śmiercią, gdyby... Czy w ten sposób pragną zapewnić sobie posiadanie choćby kilkunastu dziewczyn na cały kraj?...”

Śmiał się, ale było mu smutno. Nie wiadomo dlaczego żałował tej nieznannej kobiety, dla której miłość była wejściem do grobu.

„Wyobrażam sobie Tutmozisa, gdyby go mianowano kapłanką Astoreth!... Musiałby biedak umrzeć, zanim przed boginią wypaliłaby się jedna lampa...”

W tej chwili pod pałacykiem rozległ się dźwięk fletu i odegrał jakąś tęskną melodię, której towarzyszyły głosy kobiet śpiewających:

— Aha-a!... aha-a! — jakby przy kołysaniu dzieci.

Ucichł flet, umilkły kobiety, a odezwał się piękny głos męski greckim językiem:

— Kiedy na ganku błysnie twoja szata, bledną gwiazdy i milkną słowiki, a w moim sercu budzi się taka cisza jak na ziemi, gdy ją powita biały świt...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a! — nuciły kobiety i flet znowu odegrał zwrotkę.

— A gdy rozmodlona udajesz się do świątyni, fiołki otaczają cię wonnym obłokiem, motyle krążą około twoich ust, palmy przed twoją pięknoscią schylają głowy...

— Aha-a!... aha-a!... aha-a!...

— Gdy cię nie widzę, patrzę na niebo, ażeby przypomnieć sobie słodki spokój twojego oblicza. Daremna praca! Niebo nie posiada twojej pogody, a jego żar jest zimnem wobec płomieni, które spopielili moje serce.

— Aha-a!... aha-a!...

Dziewictwo

— Jednego dnia stanąłem między różami, które blask twoich spojrzeń obleka w białość, szkarlaty i złoto. Każdy ich listek przypomni mi jedną godzinę, każdy kwiat — jeden miesiąc przepędzony u twoich stóp. A krople rosy to moje łzy, którymi poi się okrutny wiatr pustyni.

Daj znak, a porwę cię i uniosę do mojej miłej ojczyzny. Morze oddzieli nas od przesładowców, mirtowe gaje ukryją nasze pieszczoty i czuwać będą nad naszym szczęściem litościwsi dla zakochanych bogowie.

— Aha-a!... aha-a!...

Ramzes przymknął oczy i marzył. Przez zapuszczone rzęsy już nie widział ogrodu, tylko powódź księżycowego światła, wśród której rozplywały się czarne cienie i śpiew nieznanego człowieka do nieznanego kobiety. Chwilami ten śpiew tak go ogarniał, tak głęboko wdzierał mu się w duszę, że Ramzes miał chęć zapytać się: czy to nie on śpiewa, a nawet czy — on sam nie jest tą pieśnią miłosną?...

W tym momencie jego tytuł, władza i ciężkie zagadnienia państwowe, wszystko wydawało mu się nędznym drobiazgiem wobec tej nocy księżycowej i tych okrzyków zakochanego serca. Gdyby mu dano do wyboru: całą potęgę faraona czy ten duchowy nastrój, w jakim znajdował się obecnie, wolałby swoje rozmarzenie, w którym zniknął cały świat, on sam, nawet czas, a została tęsknota lecąca w wieczność na skrzydłach pieśni.

Wtem książę ocknął się, śpiew umilkł, w pałacyku pogasły światła, a na tle jego białych ścian ostro odbijały czarne, puste okna. Można było myśleć, że tu nikt nigdy nie mieszkał. Nawet ogród opustoszał i ucichł, nawet lekki wiatr przestał poruszać listkami.

Raz!... dwa!... trzy!... Ze świątyni odezwały się trzy potężne odgłosy spiżu.

„Aha! muszę tam iść...” — pomyślał książę, dobrze nie wiedząc, gdzie ma iść i po co.

Skierował się jednak w stronę świątyni, której srebrzysta wieża górowała nad drzewami, jakby wzywając go do siebie.

Szedł odurzony, pełen dziwacznych zachceń. Między drzewami było mu ciasno: pragnął wejść na szczyt tej wieży i odetchnąć, ogarnąć wzrokiem jakiś szerszy horyzont. To znowu przypomniał sobie, że jest miesiąc Misor, że już rok upłynął od manewrów w pustyni, uczył tęsknotę za pustynią. Jakżeby chętnie siadł na swój lekki wóz zaprzęgnięty w parę koni i leciał gdzieś naprzód, gdzie nie byłoby tak duszno, a drzewa nie zasłaniały widnokregu.

Był już u stóp świątyni, więc wszedł na taras. Cicho i pusto, jakby wszyscy wymarli; tylko z daleka szemrała woda fontanny. Na drugich schodach rzucił swój burnus i miecz, jeszcze raz spojrzął na ogród, jakby mu żal było księżycy, i wszedł do świątyni. Ponad nim wznosiły się jeszcze trzy kondygnacje.

Spiżowe drzwi były otwarte, z obu stron wejścia stały skrzydlate figury byków z ludzkimi głowami, na których twarzach panował dumny spokój.

„To królowie asyryjscy” — pomyślał książę, przypatrując się ich brodom, splecionym w drobne warkoczyki.

Wnętrze świątyni było czarne jak najczarniejsza noc; ciemność tę potęgowały jeszcze białe smugi księżycowego światła wpadające przez wąskie a wysokie okna.

W głębi paliło się dwie lampy przed posągiem bogini Astoreth. Jakieś dziwne oświetlenie z góry sprawiało, że posąg był doskonale widzialny. Ramzes patrzył. Była to olbrzymia kobieta ze strusimi skrzydłami. Miała na sobie długą, faldzistą szatę, na głowie spiczastą czapkę, w prawej ręce parę gołębi. Jej piękna twarz i spuszczone oczy miały wyraz takiej słodyczy, takiej niewinności, że księcia ogarnęło zdumienie: była to bowiem patronka zemsty i najbardziej wyuzdanej rozpusty.

Fenicja ukazała mu jeszcze jedną ze swych tajemnic.

„Osobliwy naród! — pomyślał. — Ich ludożerczy bogowie nie zjadają, a ich wszeteczeństwem opiekują się dziewicze kapłanki i bogini z dziecięcą twarzą...”

Wtem uczył, że po nogach prędko przesunęło mu się coś jakby wielki wąż. Ramzes cofnął się i stanął w smudze księżycowego światła.

„Przywidzenie!...” — rzekł do siebie.

Prawie w tej chwili usłyszał szept:

— Ramzesie!... Ramzesie!...

Niepodobna było poznać: czyj to głos — męski czy kobiecy i skąd pochodzi.

— Ramzesie!... Ramzesie!... — rozległ się szept, jakby od podłogi.

Bogini



Książę wszedł w miejsce nieoświetlone i nasłuchując pochylił się. Nagle poczuł na swej głowie dwie delikatne ręce.

Zerwał się, aby je złapać, ale schwycił tylko powietrze.

— Ramzesie!... — szepnięto z góry.

Podniósł głowę i uczył na ustach kwiat lotosu, a gdy wyciągnął ku niemu ręce, ktoś lekko oparł się na jego ramionach.

— Ramzesie!... — zawołano od ołtarza.

Książę odwrócił się i osłupiał. W smudze światła, o parę kroków stał prześliczny człowiek, zupełnie podobny do niego. Ta sama twarz, oczy, młodzieńczy zarost, ta sama postawa, ruchy i odzienie.

Książę przez chwilę myślał, że stoi przed wielkim lustrem, jakiego nawet faraon nie posiadał. Wnet jednak przekonał się, że jego sobowtór nie jest wizerunkiem, ale żywym człowiekiem.

W tej chwili uczył pocałunek na szyi. Znowu odwrócił się, lecz nie było nikogo, a tymczasem i jego sobowtór zniknął.

— Kto tu jest?... Chcę wiedzieć!... — zawołał rozgniewany książę.

— To ja... Kama... — odpowiedział słodki głos.

I w świetlnej smudze ukazała się prześliczna kobieta, naga, w złotej przepasce około bioder.

Ramzes pobiegł i schwycił ją za rękę. Nie uciekła.

— Ty jesteś Kama?... Nie, ty jesteś... Tak, ciebie kiedyś przysłał do mnie Dagon, ale wówczas nazywałaś się Pieszczota...

— Bo ja jestem i Pieszczota — odpowiedziała naiwnie.

— Ty mnie dotykałaś rękoma?...

— Ja.

— Jakim sposobem?...

— A o, takim... — odpowiedziała, zarzucając mu ręce na szyję i całując go.

Ramzes pochwylił ją w objęcia, ale wydarła mu się z siłą, której nie można było podejrzewać w tak drobnej postaci.

— Więc to ty jesteś kapłanka Kama?... Więc to do ciebie śpiewał dzisiaj ten Grek... — mówił książę, namiętnie ściskając jej ręce. — Co za jeden ten śpiewak?...

Kama pogardliwie wzruszyła ramionami.

— On jest przy naszej świątyni — rzekła.

Ramzesowi płonęły oczy, rozszerzały się nozdrza, szumiało mu w głowie. Ta sama kobieta przed kilkoma miesiącami zrobiła na nim małe wrażenie, ale dziś gotów był dla niej popełnić szaleństwo. Zazdrościł Grekowi, a jednocześnie czuł nieopisany żal na myśl, że gdyby ona została jego kochanką, musiałaby umrzeć.

— Jakaś ty piękna — mówił. — Gdzie mieszkasz?... Ach, wiem, w tamtym pałacyku... Czy można cię odwiedzić?... Naturalnie, jeżeli przyjmujesz wizyty śpiewaków, musisz i mnie przyjąć... Czy naprawdę jesteś kapłanką pilną ognia?...

— Tak.

— I wasze prawa są tak okrutne, że nie pozwalają ci kochać?... Ech, to są pogróżki!... Dla mnie zrobisz wyjątek...

— Przekłębą mnie cała Fenicja, zemściłoby się bogowie... — odparła ze śmiechem.

Ramzes znowu przyciągnął ją do siebie, ona znowu wydarła się.

— Strzeż się, książę — mówiła z wyzywającym spojrzeniem. — Fenicja jest potężna, a jej bogowie...

— Co mnie obchodzą twoi bogowie albo Fenicja... Gdyby ci włos spadł, zdeptałbym Fenicję jak złą gadzinę...

— Kama!... Kama!... — odezwał się od posągu głos.

Przeraziła się.

— O widzisz, wołają mnie... Może nawet słyszeli twoje bluźnierstwa...

— Bodajby nie usłyszeli mego gniewu!... — wybuchnął książę.

— Gniew bogów jest straszniejszy...

Szarpnęła się i znikła w cieniach świątyni. Ramzes rzucił się za nią, lecz nagle cofnął się. Całą świątynię, między ołtarzem i nim, zalał ogromny, krwawy płomień, wśród

którego zaczęły ukazywać się potworne figury: wielkie niedoperze<sup>46</sup>, gady z ludzkimi twarzami, cienie...

Płomień szedł prosto na niego całą szerokością gmachu, a oszołomiony nie znanym sobie widokiem księżę cofał się wstecz. Nagle owionęło go świeże powietrze. Odwrócił głowę — był już na zewnątrz świątyni, a jednocześnie spiżowe drzwi z łoskotem zatrzasnęły się przed nim.

Przetarł oczy, rozejrzył się. Księżyc z najwyższego punktu na niebie zniżał się już ku zachodowi. Obok kolumny Ramzes znalazł swój miecz i burnus. Podniósł je i zeszedł<sup>47</sup> ze schodów jak pijany.

Kiedy późno wrócił do pałacu, Tutmozis, widząc jego pobladłą twarz i mętne spojrzenie, zawołał z trwogą:

— Przez bogi! gdzieżeś to był, erpatre?... Cały twój dwór nie śpi zaniepokojony...

— Oglądałem miasto. Ładna noc...

— Wiesz — dodał spiesźnie Tutmozis, jakby lękając się, aby go kto inny nie uprzedził.

— Wiesz, Sara powiła ci syna...

— Doprawdy?... Chcę, ażeby nikt z orszaku nie niepokoił się o mnie, ile razy wyjdę na przechadzkę.

— Sam?...

— Gdybym nie mógł wychodzić sam, gdzie mi się podoba, byłbym najniezwyklejszym niewolnikiem w tym państwie — odparł cierpko namiestnik.

Oddał miecz i burnus Tutmozisowi i poszedł do swojej sypialni, nie wzywając nikogo. Jeszcze wczoraj wiadomość o urodzeniu się syna napełniłaby go radością. Lecz w tej chwili przyjął ją obojętnie. Całą duszę wypełniły mu wspomnienia dzisiejszego wieczoru, najdziwniejszego, jaki dotychczas poznał w życiu.

Jeszcze widział światło księżycy, w uszach rozlegała się pieśń Greka. A ta świątynia Astarty!...

Nie mógł zasnąć do rana.

## ROZDZIAŁ VII

Na drugi dzień księżę wstał późno, sam wykąpał się i ubrał, i kazał przyjść do siebie Tutmozisowi.

Wystrojony, namaszczony wonnościami elegant ukazał się natychmiast, pilnie przypatrując się księciu, aby poznać, w jakim jest humorze, i odpowiednio do tego ułożyć swoją fizjognomię.

Ale na twarzy Ramzesa malowało się tylko znużenie.

— Cóż — spytał Tutmozisa, ziewając — czy jesteś pewny, że urodził mi się syn?

— Mam tę wiadomość od świętego Mefresa.

— Oho!... Od jakże to dawna prorocy zajmują się moim domem?

— Od czasu kiedy wasza dostojność okazujesz im swoją łaskę.

— Tak?... — spytał księżę i zamyślił się. Przypomniał sobie wczorajszą scenę w świątyni Astoreth i porównywał ją z podobnymi zjawiskami w świątyni Hator.

„Wołano na mnie — mówił do siebie — i tu, i tam. Ale tam moja cela była bardzo ciasna i grube mury, tu zaś wołający, a właściwie Kama mogła schować się za kolumnę i szeptać... Wreszcie tu było strasznie ciemno, a w mojej celi widno...”

Nagle rzekł do Tutmozisa:

— Kiedyż się to stało?

— Kiedy urodził się dostojny syn twój?... Podobno już z dziesięć dni temu... Matka i dziecko zdrowe, doskonale wyglądają... Przy urodzeniu był sam Menes, lekarz twojej czcigodnej matki i dostojnego Herhora...

— No, no... — odparł księżę i znowu myślał:

„Dotykano mnie tu i tam jednakowo zręcznie... Czy była jaka różnica?... Zdaje się, że była, może dlatego, że tu byłem, a tam nie byłem przygotowany na zobaczenie cudu... Ale tu pokazano mi drugiego *mnie*, czego tam nie potrafili zrobić... Bardzo mądrzy są kapłani!... Ciekawym, kto mnie tak dobrze udawał, bożek czy człowiek?... O, bardzo mądrzy są kapłani i nawet nie wiem, którym z nich lepiej wierzyć: naszym czy fenickim?...”

<sup>46</sup>niedoperz — dziś popr.: nietoperz. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>zeszedł — dziś popr.: zszedł. [przypis edytorski]

— Słuchaj, Tutmozis — rzekł głośno — słuchaj, Tutmozis... Trzeba, ażeby tu przyjechali... Muszę przecie zobaczyć mego syna... Nareszcie już nikt nie będzie miał prawa uważać się za lepszego ode mnie...

— Czy zaraz mają przyjechać dostojna Sara z synem?...

— A niech przyjadą jak najprędzej, jeżeli tylko zdrowie im pozwoli. W granicach pałacu jest dużo wygodnych budowli. Trzeba wybrać miejsce wśród drzew, zaciszne i chłodne, gdyż nadchodzi czas upałów... Niechże i ja pokażę światu mego syna!...

I znowu wpadł w zadumę, która nawet zaczęła niepokoić Tutmozisa.

„Tak, mądrzy są! — myślał Ramzes. — Że lud oszukują, nawet grubymi sposobami, o tym wiedziałem. Biedny święty Apis! ile on ukłuc dostaje w czasie procesji, kiedy chłopci leżą przed nim na brzuchach... Ale ażeby oszukiwali mnie, temu bym nie uwierzył... Głosy bogów, niewidzialne ręce, człowiek oblewany smołą, to były przegrywki!... Po czym nastąpiła pieśń Pentuera: o ubytku ziemi i ludności, o urzędnikach, Fenicjanach, a wszystko — ażeby obmierzić mi wojnę...”

— Tutmozisie — rzekł nagle.

— Padam przed tobą na twarz...

— Trzeba powoli ściągnąć pulki z nadmorskich miast — tutaj... Chcę zrobić przegląd i wynagrodzić ich wierność.

— A my, szlachta, nie jesteścież ci wierni? — spytał zmieszany Tutmozis.

— Szlachta i wojsko to jedno.

— A nomarchowie, urzędnicy?...

— Wiesz, Tutmozis, że nawet i urzędnicy są wierni — mówił książę. — Co mówię, nawet Fenicjanie!... Chociaż na wielu innych stanowiskach są zdrajcy...

— Przez bogi, ciszej!... — szepnął Tutmozis i lękliwie wyjrzał do drugiej komnaty.

— Oho!... — śmiał się książę — skądże ta trwoga? Więc i dla ciebie nie jest tajemnicą, że mamy zdrajców...

— Wiem, o kim wasza dostojność mówisz — odparł Tutmozis — bo zawsze byłeś źle uprzedzony...

— Do kogo?...

— Do kogo!... Domyślałem się. Ale sądziłem, że po ugodzie z Herhorem, po długim pobycie w świątyni...

— Cóż świątynia?... I tam, i w całym zresztą kraju przekonywałem się zawsze o jednym, że najlepsze ziemie, najdzielniejsza ludność i niezmierne bogactwa nie są własnością faraona...

— Ciszej!... ciszej!... — szeptał Tutmozis.

— Ależ ciągle milczę, ciągle mam twarz pogodną, więc pozwól mi się wygadać choć ty... Zresztą nawet w najwyższej radzie miałbym prawo powiedzieć, że w tym Egipcie, który niepodzielnie należy do mego ojca, ja, jego następcą i namiestnik, musiałem pożyczyć sto talentów od jakiegoś tyryjskiego książątka... Nie jestże to hańba!...

— Ale skądże ci to dziś przyszło?... — szeptał Tutmozis, pragnąc jak najrychlej zakończyć niebezpieczną rozmowę.

— Skąd?... — powtórzył książę i umilkł, aby znowu pogrążyć się w zadumie.

„Niewiele jeszcze znaczyłoby — myślał — gdyby tylko mnie oszukiwali: jestem dopiero następcą faraona i nie do wszystkich tajemnic mogę być dopuszczany. Ale kto mi powie, że oni w taki sam sposób nie postępowali z moim czcigodnym ojcem?... Trzydzieści kilka lat ufał im nieograniczenie, korzył się przed cudami, składał hojne ofiary bogom, po to... ażeby jego majątek i władza przeszła w ręce ambitnych filutów... I nikt mu oczu nie otworzył... Boć faraon nie może, jak ja, wchodzić w nocy do świątyni fenickich, bo w końcu do jego świątobliwości nikt nie ma przystępu...”

A kto mnie dziś zapewni, że kapłaństwo nie dąży do obalenia tronu, jak to powiedział Hiram?... Wszakże ojciec ostrzegł mnie, że Fenicjanie są najprawdopodobniejsi, gdy mają w tym interes. I z pewnością, że mają interes, ażeby nie być wypędzonymi z Egiptu i nie dostać się pod władzę Asyrii... Asyria, stado wściekłych lwów!... Kędy oni przejdą, nic nie zostanie oprócz zwalisk i trupów, jak po pożarze!...”

Nagle Ramzes podniósł głowę: z daleka doleciał go odgłos fletów i rogów.

— Co to znaczy? — zapytał Tutmozisa.

— Wielka nowina!... — odparł dworak z uśmiechem. — Azjaci witają znakomitego pielgrzymia, aż z Babilonu...

— Z Babilonu?... Kto on?...

— Nazywa się Sargon...

— Sargon?... — przerwał książę. — Sargon!... aha! cha!... — zaczął się śmiać. — Czymże on jest?...

— Ma być wielkim dostojnikiem na dworze króla Assara. Prowadzi ze sobą dziesięć słoni, stada najpiękniejszych rumaków pustynnych, tłumy niewolników i sług.

— A po co on tu przyjeżdża?

— Pokłonić się cudownej bogini Astoreth, którą czci cała Azja — odparł Tutmozis.

— Cha!... cha!... cha!... — śmiał się książę, przypomniał sobie zapowiedź Hiramia o przyjeździe asyryjskiego posła. — Sargon... cha!... cha!... Sargon, powinowaty króla Assara, zrobił się nagle tak pobożnym, że na całe miesiące puszcza się w niewygodną podróż, byle uczcić boginią Astoreth w Pi-Bast... Ależ w Niniwie znalazłby większych bogów i uczeńszych kapłanów... Cha!... cha!... cha!...

Tutmozis ze zdumieniem patrzył na księcia.

— Co tobie, Ramzesie?...

— Oto cud! — mówił książę — jakiego chyba nie zapisały kroniki żadnej świątyni... Tylko pomyśl, Tutmozisie... W chwili gdy najbardziej zastanawiasz się nad pytaniem: w jaki sposób złapać złodzieja, który cię wciąż okrada? — w takiej chwili — ów złodziej znowu pakuje ręce do twojej skrzyni, w twoich oczach, przy tysiącu świadków... Cha! cha! cha!... Sargon — pobożny pielgrzym!...

— Nic nie rozumiem... — szeptał zakłopotany Tutmozis.

— I nie potrzebujesz rozumieć — odparł namiestnik. — Zapamiętaj tylko, że Sargon przyjechał tu na pobożne praktyki, do świętej Astoreth...

— Zdaje mi się, że wszystko, o czym mówisz — rzekł zniżając głos Tutmozis — że wszystko to są rzeczy bardzo niebezpieczne...

— Toteż nie wspominaj o nich nikomu.

— Że ja nie wspomnę, tego chyba jesteś pewny, ale czy ty, książę, sam się nie zdradzisz... Jesteś prędki jak błyskawica...

Następca położył mu rękę na ramieniu.

— Bądź spokojny — rzekł, patrząc mu w oczy. — Obyście mi tylko dochowali wierności, wy, szlachta i wojsko, a zobaczycie dziwne wypadki i... skończą się dla was ciężkie czasy!...

— Wiesz, że zginiemy na twój rozkaz — odparł Tutmozis, kładąc rękę na piersiach.

Na jego obliczu była tak niezwykła powaga, iż książę zrozumiał, wreszcie nie po raz pierwszy, że w tym rozhukanym elegancie kryje się dzielny mąż, na którego mieczu i rozumie można polegać.

Od tej pory książę nigdy już nie prowadził z Tutmozisem tak dziwnej rozmowy. Ale wierny przyjaciel i sługa odgadł, że poza przyjazdem Sargona kryją się jakieś wielkie interesy państwowe, samowolnie rozstrzygane przez kapłanów.

Zresztą od pewnego czasu cała egipska arystokracja, nomarchowie, wyżsi urzędnicy i dowódcy, bardzo cicho, ale to bardzo cicho, szepotali między sobą, że nadchodzą ważne wypadki. Fenicjanie bowiem pod przysięgą dochowania tajemnicy opowiadali im o jakowychś traktatach z Asyrią, przy których Fenicja zginie, a Egipt okryje się hańbą i bodaj że kiedyś stanie się lennikiem Asyrii.

Wzburzenie między arystokracją było ogromne, lecz nikt się nie zdradził. Owszem, zarówno na dworze następcy, jak i u nomarchów Dolnego Egiptu, bawiono się doskonale. Można było sądzić, że wraz z gorącym spadło na nich szaleństwo nie tylko zabaw, ale rozpusty. Nie było dnia bez igrzysk, uct i triumfalnych pochodów, nie było nocy bez iluminacji i wrzasków. Nie tylko w Pi-Bast, ale w każdym mieście wytworzyła się moda przebiegania ulic z pochodniami, muzyką, a nade wszystko z pełnymi dzbanami. Wpadano do domów i wyciągano śpiących mieszkańców na pijatykę; a że Egipcjanie mieli duży pociąg do hulanki, więc bawił się, kto żył.

Przez czas pobytu Ramzesa w świątyni Hator Fenicjanie zdjęci jakimś panicznym strachem spędzali dni na modlitwach i wszystkim odmawiali kredytu. Lecz po rozmowie

Hirama z namiestnikiem pobożność i ostrożność nagle opuściła Fenicjan, i zaczęli panom egipskim hojniej udzielać pożyczek aniżeli kiedykolwiek.

Takiej obfitości złota i towarów, jaka zapanowała w Dolnym Egipcie, a nade wszystko tak małych procentów, nie pamiętali najstarsi ludzie.

Surowy i mądry stan kapłański zwrócił uwagę na szaleństwa najwyższych klas społecznych. Lecz omylili się w ocenianiu jego źródeł, a święty Mentezufis, który co kilka dni wysyłał raport do Herhora, wciąż donosił mu, że następca, znudzony praktykami religijnymi w świątyni Hator, bawi się teraz bez pamięci, a wraz z nim cała arystokracja.

Dostojny minister nawet nie odpowiadał na te wzmianki, co dowodziło, że hulatykę księcia uważa za rzecz naturalną, a może nawet pożyteczną.

Przy takim nastroju najbliższego otoczenia Ramzes zyskał dużo swobody. Prawie każdego wieczora, gdy przepici winem dworzanie zaczęli tracić świadomość, księżę — wymykał się z pałacu.

Okryty ciemnym burnusem oficera, przebiegał puste ulice i wydostawał się za miasto, do ogrodów świątyni Astoreth.

Tam odnajdywał swoją ławkę naprzeciw pałacyku Kamy i ukryty między drzewami patrzył na płonące pochodnie, słuchał śpiewu wielbicieli kapłanki i — marzył o niej.

Księżyc wschodził coraz później, zbliżając się do nowiu, noce były szare, efekta<sup>48</sup> świetlne przepadły, ale Ramzes mimo to wciąż widział jasność owej pierwszej nocy i słyszał namiętne strofy Greka.

Nieraz powstawał z ławki, ażeby wprost pójść do mieszkania Kamy; ale ogarniał go wstyd. Czuł on, że nie wypada następcy tronu ukazywać się w domu kapłanki, którą odwiedzał każdy pielgrzym, byle złożył hojniejszą dla świątyni ofiarę. Co dziwniejsza — bał się, ażeby widok Kamy, otoczonej dzbanami i nieszczęśliwymi wielbicielami, nie zataił mu cudownego obrazu księżycowej nocy.

Wówczas gdy ją przysłał Dagon, ażeby odwrócić gniew księcia, Kama wydała się Ramzesowi młodą dziewczyną, dosyć powabną, dla której jednak można nie stracić głowy. Lecz gdy pierwszy raz w życiu on, wódz i namiestnik, musiał siedzieć pod domem kobiety, gdy go rozmarzyła noc, gdy usłyszał gorące oświadczenia innego mężczyzny, wtedy, także pierwszy raz w życiu zrodziło się w nim szczególne uczucie: mieszanina pożądania, tęsknoty i zazdrości.

Gdyby mógł mieć Kamę na każde zawołanie, sprykrzyłaby się mu bardzo prędko, a może nawet nie ubiegaby się za nią. Ale śmierć stojąca na progu jej sypialni, zakochany śpiewak, a nareszcie to upakarzające stanowisko najwyższego dostojnika wobec kapłanki, wszystko to wytwarzało sytuację Ramzesowi dotychczas nie znaną, a więc ponętą.

I oto dlaczego, prawie co wieczór, od dziesięciu dni przychodził do ogrodów bogini Astoreth, zasłaniając twarz wobec przechodniów.

Pewnego wieczoru, kiedy na ucztę w swoim pałacu wypił dużo wina, Ramzes wymknął się ze stanowczym zamiarem. Powiedział sobie, że dzisiaj wejdzie do mieszkania Kamy, a jej wielbiciele — niech sobie śpiewają pod oknami.

Szedł prędko przez miasto, lecz w ogrodach należących do świątyni zwolnił kroku: znowu bowiem uczył wstyd.

„Czy słyszano kiedykolwiek — myślał — ażeby następca faraona biegał za kobietami jak biedny pisarz, który nikąd nie może pożyczyć dziesięciu drachm? Wszystkie przychodziły do mnie, więc i ta powinna przyjść...”

I już chciał wrócić.

„A jednak ta nie może przyjść — mówił w duchu — gdyż zabiliby ją...”

Stanął i wahał się.

„Kto by ją zabił?... Hiram, który w nic nie wierzy, czy Dagon, który już sam nie wie, czym jest?... Tak, ale jest tu mnóstwo innych Fenicjan i przewijają się setki tysięcy pielgrzymów fanatycznych i dzikich. W oczach tych głupców Kama, odwiedzając mnie, popełniłaby świętokradztwo...”

Więc znowu poszedł w stronę pałacyku kapłanki. Ani pomyślał, że jemu grozić tu może niebezpieczeństwo. Jemu, który nie wydobywając miecza, samym spojrzeniem cały świat może pawać do swych stóp. On, Ramzes, i niebezpieczeństwo!...

<sup>48</sup>efekta — dziś popr.: efekty. [przypis edytorski]

Gdy książe wyszedł spośród drzew, spostrzegł, że dom kapłanki jest bardziej oświetlony i hałaśliwszy niż zwykle. Istotnie w pokojach i na tarasach było pełno gości, a i dokoła pałacyku kręcił się tłum.

„Co to za banda?” — pomyślał książe.

Zebrań było niecodzienne. Niedaleko stał ogromny słoń dźwigający na grzbiecie złożoną lektykę z purpurowymi firankami. Obok słonia rżało, kwiczało i w ogóle niecierpliwiło się kilkanaście koni o grubych szyjach i nogach, z przewiazanymi u dołu ogonami, z metalowymi niby hełmami na głowach.

Między niespokojnymi, prawie dzikimi zwierzętami kręciło się kilkudziesięciu ludzi, jakich Ramzes jeszcze nie widział. Mieli oni kudłate włosy, wielkie brody, spiczaste czapki z klapami na uszach. Jedni byli odziani w długie szaty z grubego sukna, spadające do kostek, inni w krótkie surduty i spodnie, a niektórzy — w buty z cholewami. Wszystko to było uzbrojone w miecze, łuki i włócznie.

Na widok tych cudzoziemców, silnych, niezgrabnych, śmiejących się ordynaryjnie, cuchnących lojem i gadających nieznanym a twardym językiem, w księciu zagotowało się. Jak lew, kiedy zobaczy obce zwierzę, choć niegłodny, zabiera się jednak do skoku, tak Ramzes, chociaż ludzie ci nic mu nie zawinili, uczuł do nich straszną nienawiść. Drażnił go ich język, ich ubiory, ich zapach, nawet ich konie. Krew uderzyła mu do głowy i sięgnął po miecz, aby wpaść na tych ludzi i wymordować ich i ich zwierzęta. Ale ocknął się.

„Set rzucił na mnie urok?...” — pomyślał.

W tej chwili przeszedł koło niego nagi Egipcjanin w czepcu na głowie i opasce dokoła bioder. Książe czuł, że ten człowiek jest mu miły, nawet drogi w tej chwili, bo to Egipcjanin. Wydobyl z worka złoty pierścionek wartości kilkunastu drachm i dał go niewolnikowi.

— Słuchaj — spytał — co to za ludzie?...

— Asyryjczycy — szepnął Egipcjanin i nienawiść błysnęła mu w oczach.

— Asyryjczycy!... — powtórzył książe. — Więc to są Asyryjczycy?... A co oni tu robią?...

— Ich pan, Sargon, zaleca się do kapłanki, do świętej Kamy, a oni go pilnują... Oby ich trąd stoczył, świńskich synów...

— Możesz odejść.

Nagi człowiek nisko uklonił się Ramzesowi i pobiegł zapewne do kuchni.

„Więc to są Asyryjczycy?... — myślał książe, przypatrując się dziwacznym postaciom i wsłuchując w nienawistny, choć niezrozumiały język. — Więc Asyryjczycy już są nad Nilem, ażeby zbratać się z nami czy oszukać nas, a ich dostojnik Sargon zaleca się do Kamy?...”

Zawrócił do domu. Jego rozmarzenie zgasło przy blasku nowej, choć dopiero budzącej się namiętności. On, człowiek szlachetny i łagodny, poczuł śmiertelną nienawiść do odwiecznych wrogów Egiptu, z którymi zetknął się po raz pierwszy.

Kiedy po opuszczeniu świątyni Hator i rozmowie z Hiramem począł rozmyślać o rozpoczęciu wojny z Azją, to były tylko rozmyślenia. Egipt potrzebował ludzi, a faraon skarbów, a że wojna była najłatwiejszym sposobem zdobycia ich, że wreszcie dogadzała jego potrzebie sławy, więc projektował sobie wojnę.

Ale w tej chwili nie obchodziły go skarby, niewolnicy ani sława, bo odezwał się w nim potężniejszy nad wszystko głos nienawiści. Faraonowie tak długo walczyli z Asyryjczycami, obie strony tyle przelały krwi, walka tak głębokie zapuściła korzenie w serca, że książe na sam widok żołnierzy asyryjskich chwycił za miecz. Zdawało się, że wszystkie duchy poległych wojowników, wszystkie ich trudy i cierpienia zmartwychwstały w duszy królewskiego dziecięcia i wołały o zemstę.

Gdy książe wrócił do pałacu, wezwał Tutmozisa. Jeden z nich był przepity, drugi wściekły.

— Czy wiesz, com teraz widział? — rzekł książe do ulubieńca.

— Może który z kapłanów... — szepnął Tutmozis.

— Widziałem Asyryjczyków... O bogowie!... com ja uczuł... Cóż to za podły lud... Ciała ich, od stóp do głów okręcone wełną jak dzikich zwierząt, śmierzdzą starym lojem, a co to za mowa, jakie brody, włosy!...

Szybko chodził po komnacie, zadyszany, rozgorączkowany.

Obcy, Patriota,  
Nacjonalizm

— Myślałem — mówił Ramzes — że pogardzam złodziejstwami pisarzy, obłudą nomarchów, że nienawidzę chytrych i ambitnych kapłanów... Miałem wstręt do Żydów i lękałem się Fenicjan... Ale dziś przekonywam<sup>49</sup> się, że tamto były zabawki. Teraz dopiero wiem, co jest nienawiść, kiedy zobaczyłem i usłyszałem Asyryjczyków, teraz rozumiem, dlaczego pies rozdziera kota, który mu przeszedł drogę...

— Do Żydów i Fenicjan przywykłeś, wasza dostojność, Asyryjczyków spotkałeś po raz pierwszy — wtrącił Tutmozis.

— Głupstwo Fenicjanie!... — ciągnął jakby do siebie ksiączę. — Fenicjanin, Filistyn, Saszu, Libijczyk, nawet Etiopa, to jakby członkowie naszej rodziny. Kiedy nie płacą danin, gniewamy się na nich, gdy zapłacą, zapominamy...

Ale Asyryjczyk jest to coś tak obcego, tak wrogiego, że... Nie będę szczęśliwym, dopóki nie ujrzę pola zasłanego ich trupami, dopóki nie naliczę ze sto tysięcy odciętych rąk...

Tutmozis nigdy nie widział Ramzesa w podobnym nastroju.

## ROZDZIAŁ VIII

W parę dni ksiączę wysłał swego ulubieńca z wezwaniem do Kamy. Przybyła natychmiast w szczelnie zasłoniętej lektyce.

Ramzes przyjął ją w osobnym pokoju.

— Byłem — rzekł — jednego wieczora pod twoim domem.

— O Astoreth!... — zawołała kapłanka. — Czemuż zawdzięczam najwyższą łaskę?...

I co przeszkodziło ci, dostojny panie, że nie raczyłeś zawołać twojej niewolnicy?...

— Stały tam jakieś bydlęta. Podobno Asyryjczykowie<sup>50</sup>.

— Więc wasza dostojność trudziłeś się wieczorem?... Nigdy nie śmiałybym przypuścić, że nasz władca znajduje się o kilka kroków ode mnie pod gołym niebem.

Książę zarumienił się. Jakżeby była zdziwiona dowiedziawszy się, że ksiączę z dziesięć wieczorów przepędził pod jej oknami!

A może ona i wiedziała o tym, gdyby sądzić z jej półuśmiechniętych ust i obłudnie spuszczonego oczu.

— Więc teraz, Kamo — mówił ksiączę — przyjmujesz i u siebie Asyryjczyków?

— To wielki magnat!... — zawołała Kama. — To powinowaty króla, Sargon, który pięć talentów ofiarował naszej bogini...

— A ty mu wywzajemnisz się, Kamo — szydził następca. — I ponieważ jest tak hojnym magnatem, bogowie fenicy nie ukazą cię śmiercią...

— Co mówisz, panie?... — odparła, składając ręce. — Czyli i nie wiesz, że Azjata, choćby mnie znalazł w pustyni, nie podniesie na mnie ręki, gdybym nawet oddała mu się sama. Oni lękają się bogów...

— Po cóż więc przychodzi do ciebie ten śmierdzący... nie — ten pobożny Azjata?

— Chce mnie namówić, ażebym wyjechała do świątyni Astoreth babilońskiej.

— I pojedziesz?...

— Pojadę... jeżeli ty, panie, każesz... — odpowiedziała Kama, zasłaniając twarz welonem.

Książę milcząc ujął ją za rękę. Usta mu drżały.

— Nie dotykaj mnie, panie — szeptała wzruszona. — Jesteś władcą i oporą moją i wszystkich Fenicjan w tym kraju, ale... bądź miłosierny...

Namiestnik puścił ją i zaczął chodzić po pokoju.

— Gorący dzień, prawda?... — rzekł. — Podobno są kraje, gdzie w miesiącu Mechir spada z nieba na ziemię biały puch, który na ogniu zmienia się w wodę i robi zimno. O, Kamo, poproś twoich bogów, ażeby zesłali mi trochę tego pierza!... Choć, co ja mówię?... Gdyby pokryli nim cały Egipt, wszystek ten puch zamieniłby się na wodę, ale nie ostudziłby mego serca.

— Bo jesteś jak boski Amon, jesteś słońce ukryte w ludzkiej postaci — odparła Kama. — Ciemność pierzcha stamtąd, gdzie zwrócisz twoje oblicze, a pod blaskiem twoich spojrzeń rosną kwiaty...

Książę znowu zbliżył się do niej.

<sup>49</sup>przekonywam się — dziś popr.: przekonuję się. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Asyryjczykowie — dziś popr.: Asyryjczycy. [przypis edytorski]

— Ale bądź miłosierny — szepnęła. — Przecież ty dobry bóg, więc nie możesz zrobić krzywdy twojej kapłance...

Książę znowu odsunął się i otrząsnął, jakby pragnąc zrzucić z siebie ciężar. Kama patrzyła na niego spod opuszczonej powieki i uśmiechnęła się nieznacznie.

Gdy milczenie trwało zbyt długo, spytała:

— Kazałeś mnie wezwać, władco. Oto jestem i czekam, abyś mi objawił wolę twoją.

— Aha!... — ocknął się książę. — Powiedz no mi, kapłanko... Aha!... Kto to był ten, tak podobny do mnie, którego widziałem w waszej świątyni, wówczas?...

Kama położyła palec na ustach.

— Święta tajemnica... — szepnęła.

— Jedno jest tajemnicą, drugiego nie wolno — odparł Ramzes. — Niechże przynajmniej dowiem się, kto on taki: człowiek czy duch?...

— Duch.

— A jednak ten duch wyśpiewywał pod twoimi oknami...

Kama uśmiechnęła się.

— Nie chcę gwałcić tajemnic waszej świątyni... — ciągnął książę.

— Przrzekłeś to, panie, Hiramowi — wtrąciła kapłanka.

— Dobrze... dobrze!... — przerwał rozdrażniony namiestnik. — Dlatego ani z Hiramem, ani z kim innym, nie będę rozmawiał o tym cudzie, tylko z tobą... Otóż, Kamo, powiedz duchowi czy człowiekowi, który jest tak do mnie podobny, ażeby jak najprędzej wyjeżdżał z Egiptu i nikomu nie pokazywał się. Bo widzisz... w żadnym państwie nie może być dwu następców tronu...

Nagle uderzył się w czoło. Dotychczas mówił tak, ażeby zakłopotać Kamę, lecz teraz przysła mu myśl całkiem poważna.

— Ciekawym — rzekł, ostro patrząc na Kamę — dlaczego twoi rodacy pokazali mi mój żywy wizerunek?... Czy chcą ostrzec, że mają dla mnie zastępcę?... Istotnie, zadziwia mnie ich czyn.

Kama upadła mu do nóg.

— O panie! — szepnęła. — Ty, który nosisz na piersiach nasz najwyższy talizman, czy możesz przypuścić, ażeby Fenicjanie robili co na twoją szkodę?... Ale pomyśl tylko... W wypadku, gdyby groziło ci niebezpieczeństwo albo gdybyś chciał omylić swoich nieprzyjaciół, czy taki człowiek nie przyda się?... Fenicjanie to tylko chcieli pokazać ci w świątyni...

Książę pomyślał i wzruszył ramionami.

„Tak — rzekł do siebie. — Gdybym potrzebował czyjejkolwiek opieki!... Ale czy Fenicjanie sądzą, że ja sam nie dam sobie rady?... W takim razie złego wybrali protektora dla siebie.”

— Panie — szepnęła Kama — alboż nie jest ci wiadome, że Ramzes Wielki miał oprócz swojej własnej postaci dwie inne dla wrogów?... I tamte dwa cienie królewskie zginęły, a on żył...

— No, dosyć... — przerwał książę. — Aby zaś ludy Azji wiedziały, że jestem łaskawy, przeznaczam, Kamo, pięć talentów na igrzyska na cześć Astoreth, a kosztowny puchar do jej świątyni. Dziś jeszcze odbierzesz to.

Skinieniem głowy pożegnał kapłankę.

Po jej wyjściu opanowała go nowa fala myśli:

„Zaprawdę, przebiegli są Fenicjanie. Jeżeli ten mój żyjący wizerunek jest człowiekiem, mogą mi zrobić z niego wielki podarunek, a ja czyniłbym kiedyś cuda, o jakich bodaj że nie słyszano w Egipcie. Faraon mieszka w Memfis, a jednocześnie ukazuje się w Tebach<sup>51</sup> albo w Tanis<sup>52</sup>!... Faraon posuwa się z armią na Babilon, Asyryjczycy tam gromadzą główne siły, a jednocześnie — faraon z inną armią zdobywa Niniwę... Sądzę, że Asyryjczycy byliby bardzo zdumieni takim wypadkiem...”

I znowu obudziła się w nim głucha nienawiść do potężnych Azjatów, i znowu widział swój triumfalny wóz, przejeżdżający pobojuwisko pełne asyryjskich trupów i całe kosze

<sup>51</sup>Teby — największe miasto Górnego Egiptu, ok. 480 km na południe od Memfis. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Tanis — miasto w północno-wschodniej części Delt, ok. 140 km na północny wschód od Memfis, stolica 14. nomu Dolnego Egiptu. Za panowania XXI i XX dynastii było stolicą państwa. [przypis edytorski]



odciętych rąk.

Teraz wojna stała się dla jego duszy taką koniecznością jak chleb dla ciała. Bo nie tylko mógł przez nią z bogacić<sup>53</sup> Egipt, napelnić skarb i zdobyć wiecznotrwałą sławę, ale jeszcze — mógł zaspokoić, dotychczas nieświadomy, dziś potężnie rozbudzony instynkt zniszczenia Asyrii.

Dopóki nie zobaczył tych wojowników z kudłatymi brodami, nie myślał o nich. Ale dziś zawadzali mu. Było mu tak ciasno z nimi na świecie, że ktoś musiał ustąpić: oni albo on.

Jaką rolę w obecnym jego nastroju odegrał Hiram i Kama? — z tego nie zdawał sobie sprawy. Czuł tylko, że musi mieć wojnę z Asyrią, jak ptak przelotny czuje, że w miesiącu Pachono musi odejść na północ.

Namiętność wojny szybko ogarniała księcia. Mniej mówił, rzadziej uśmiechał się, przy ucztach siedział zamyślony, a zarazem coraz częściej przestawał z wojskiem i arystokracją. Widząc łaski, jakie namiestnik zlewał na tych, którzy noszą broń, szlachecka młodzież, a nawet ludzie starsi poczeli zaciągać się do pułków. Zwróciło to uwagę świętego Mentzufisa, który wysłał do Herhora list tej treści:

„Od przybycia Asyryjczyków do Pi-Bast następcą tronu jest rozgorączkowany, a jego dwór usposobiony bardzo wojowniczo. Piją i grają w kości jak poprzednio, ale wszyscy odrzucili cienkie szaty i peruki i bez względu na straszny upał chodzą w żołnierskich czepcach i kaftanach.

Obawiam się, ażeby ta zbrojna gotowość nie obraziła dostojnego Sargona.”

Na co Herhor natychmiast odpowiedział:

„Nic nie szkodzi, że nasza zniewieściała szlachta polubiła wojskowość na czas przyjazdu Asyryjczyków, gdyż ci będą mieli o nas lepsze wyobrażenie. Najdostojniejszy namiestnik, widąc oświecony przez bogów, odgadł, że właśnie teraz trzeba dzwonić mieczami, kiedy mamy u siebie posłów tak wojennego narodu.

Jestem pewny, że to dzielne usposobienie naszej młodzieży da Sargonowi do myślenia i zrobi go miększym w układach.”

Pierwszy raz, jak Egipt Egiptem, zdarzyło się, że młody książę oszukał czujność kapłanów. Co prawda stali za nim Fenicjanie i — wykradziona przez nich tajemnica traktatu z Asyrią, czego kapłani nawet nie podejrzewali.

Najlepszą wreszcie maską następcy wobec kapłańskich dostojników była ruchliwość jego charakteru. Wszyscy pamiętali, jak łatwo w roku zeszłym przerzucił się od manewrów pod Pi-Bailos do cichego folwarku Sary i jak w ostatnich czasach kolejno zapalał się do uczt, zajęć administracyjnych, pobożności, aby znowu powrócić do uczt. Toteż, z wyjątkiem Tutmozisa, nikt by nie uwierzył, że ten zmienny młodzieniec posiada jakiś plan, jakieś hasło, do którego będzie dążył z niepokonanym uporem.

Tym razem nawet nie trzeba było długo czekać na nowy dowód zmienności upodobań Ramzesa.

Do Pi-Bast, pomimo upału, przyjechała Sara z całym dworem i synem. Była trochę mizerna, dziecko trochę niezdrowe czy zmęczone, ale oboje wyglądali bardzo ładnie.

Książę był zachwycony. W najpiękniejszej części pałacowego ogrodu wyznaczył Sarze dom i prawie całe dni przesiadywał przy kolebce swego syna.

Poszły w kąć uczt, manewry i posępne zamyślenia Ramzesa. Panowie z jego świty musieli pić i bawić się sami, bardzo prędko odpasali miecze i przebrali się w najwykwintniejsze szaty. Zmiana kostiumu była dla nich tym niezbędniejszą, że książę po kilku z nich prowadził do mieszkania Sary, aby pokazać im syna, swego syna.

— Patrz, Tutmozisie — mówił raz do ulubieńca — jakie to piękne dziecko: istny płatek róży. No, i z tego ma kiedyś wyrosnąć człowiek, z tego drobiazgu!... I to różowe pisklę będzie kiedyś chodziło, rozmawiało, nawet uczyło się mądrości w kapłańskich szkołach...

Czy ty widzisz jego rączyny<sup>54</sup>, Tutmozisie?... — wołał zachwycony Ramzes. — Zapamiętaj sobie te drobne ręce, ażebyś opowiedział o nich kiedyś, gdy mu daruję pułk i każe nosić za sobą mój topór... I to jest mój syn, mój syn rodzony!...

<sup>53</sup>z bogacić — dziś: wzbogacić. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>rączyny — dziś: rączyny; małe rączki. [przypis edytorski]

Nic dziwnego, że gdy tak mówił pan, jego dworzanie martwili się, że nie mogą zostać niańkami, a nawet mamkami dziecka, które lubo nie miało żadnych praw dynastycznych, było jednak pierwszym synem przyszłego faraona.

Lecz ta sielanka skończyła się bardzo prędko, gdyż — nie dogadzała interesom Fenicjan.

Pewnego dnia dostojny Hiram przybył do pałacu z wielką switą kupców, niewolników tudzież ubogich Egipcjan, którym dawał jałmużnę, i stanąwszy przed następcą rzekł:

— Miłościwy panie nasz! Ażeby dać dowód, że serce twoje i dla nas Azjatów jest pełne łaski, darowałeś nam pięć talentów celem urzędzenia igrzysk na cześć boskiej Astoreth. Wola twoja jest spełniona, igrzyska przygotowaliśmy, a teraz przychodzimy błagać cię, ażebyś raczył zaszczycić je swoją obecnością.

To mówiąc, siwowłosy książę tyryjski uklęknął przed Ramzesem i na złotej tacy podał mu złoty klucz do łoży cyrku.

Ramzes chętnie zgodził się na zaprosiny, a święci kapłani Mefres i Mentezufis nic nie mieli przeciw temu, aby książę przyjął udział w uroczystości na cześć bogini Astoreth.

— Przede wszystkim Astoreth — mówił dostojny Mefres do Mentezufisa — jest tym samym, co nasza Izyda tudzież Istar chaldejska. Po wtóre, jeżeli pozwoliliśmy Azjatom wybudować świątynię na naszej ziemi, wypada od czasu do czasu być uprzejmymi dla ich bogów.

— Mamy nawet obowiązek zrobić małą grzeczność Fenicjanom po zawarciu takiego traktatu z Asyrią!... — wtrącił śmiejąc się dostojny Mentezufis.

Cyrk, do którego namiestnik wraz z nomarchą i najprzedniejszymi oficerami udał się o godzinie czwartej po południu, był zbudowany w ogrodzie świątyni Astoreth. Składał się on z okrągłego placu, który otaczał parkan wysoki na dwu ludzi, zaś dokoła parkanu było mnóstwo łóż i ławek wznoszących się amfiteatralnie. Dachy budynek nie posiadał; natomiast nad łożami rozciągały się różnokolorowe płachty w formie motyli skrzydeł, które skrapiano pachnącą wodą i poruszano dla chłodzenia powietrza.

Gdy namiestnik ukazał się w swej łoży, zgromadzeni w cyrku Azjaci i Egipcjanie wydali wielki krzyk. Po czym zaczęło się przedstawienie procesją muzyków, śpiewaków i tancerek.

Książę rozejrzał się. Miał po prawej ręce łożę Hiram i najznakomitszych Fenicjan, na lewo łożę fenickich kapłanów i kapłanek, między którymi Kama, zajmująca jedno z pierwszych miejsc, zwracała na siebie uwagę bogatym strojem i pięknnością. Miała przezroczystą szatę ozdobioną różnokolorowymi haftami, złote bransolety na rękach i nogach, a na głowie przepaskę z kwiatem lotosu wyrobionym bardzo kunsztownie z drogich kamieni.

Kama, oddawszy wraz z kolegami swymi głęboki ukłon księciu, zwróciła się do łoży na lewo i zaczęła ożywioną rozmowę z cudzoziemcem o wspaniałej postawie i nieco szpakowatych włosach. Człowiek ten i jego towarzysze mieli brody i włosy zaplecione w mnóstwo warkoczyków.

Ramzes, który przyszedł do cyrku prawie wprost z pokoju swego syna, był w wesołym usposobieniu. Lecz gdy zobaczył, że Kama rozmawia z jakimś obcym człowiekiem, spochmurniał.

— Czy nie wiesz — zapytał Tutmozisa — co to za drab, do którego wdzięczy się kapłanka?...

— To jest właśnie ów znakomity pielgrzym babiloński, dostojny Sargon.

— Ależ to stary dziad! — rzekł książę.

— Jest zapewne starszy od nas obu, ale to piękny człowiek.

— Czyliż taki barbarzyńca może być pięknym!... — oburzył się namiestnik. — Jestem pewny, że śmierdzi lojem...

Obaj umilkli: książę z gniewu, Tutmozis ze strachu, że ośmielił się pochwalić człowieka, który nie podoba się jego panu.

Tymczasem na arenie widowisko szło za widowiskiem. Kolejno występowali gimnastycy, poskramiacze wężów, tancerze, kuglarze i błazny, wywołując okrzyki widzów.

Ale namiestnik był chmurny. W jego duszy odżyły chwilowo uspięione namiętności: nienawiść do Asyryjczyków i zazdrość o Kamę.

„Jak może — myślał — ta kobieta mizdrzyć się do człowieka starego, który w dodatku ma twarz koloru wyprawnej skóry, niespokojne czarne oczy i brodę capa...”

Raz tylko książę zwrócił pilniejszą uwagę na arenę.

Weszło kilku nagich Chaldejczyków. Najstarszy osadził w ziemi trzy krótkie włócznie ostrzami do góry i za pomocą ruchów rąk uspił najmłodszego. Po czym inni wzięli go na ręce i położyli na włóczniach w ten sposób, że jedna podpierała mu głowę, druga krzyż, trzecia nogi.

Śpiący był sztywny jak drewno. Wówczas starzec zrobił nad nim jeszcze kilka ruchów rękoma i — wysunął włócznię podpierającą nogi. Po chwili wyjął włócznię, na której leżały plecy, a nareszcie odtrącił tę, na której spoczywała głowa.

I stało się, w jasny dzień, przy kilku tysiącach świadków, że śpiący Chaldejczyk unosił się poziomo w powietrzu, bez żadnej podpory, o parę łokci nad ziemią. Wreszcie starzec popchnął go ku ziemi i rozbudził.

W cyrku panowało zdumienie; nikt nie śmiał krzyknąć ani klasnąć. Tylko z paru łóż rzucono kwiaty.

Ramzes był także zdziwiony. Pochylił się do łoży Hirama i szepnął staremu księciu:

— A ten cud potrafilibyście zrobić w świątyni Astoreth?

— Nie znam wszystkich tajemnic naszych kapłanów — odparł zmieszany — ale wiem, że Chaldejczycy są bardzo przebiegli...

— Jednak wszyscy widzieliśmy, że ten młodzian wisiał w powietrzu.

— Jeżeli nie rzucono na nas uroku — rzekł niechętnie Hiram i — stracił humor.

Po krótkiej przerwie, w czasie której po łożach dostojników roznoszono świeże kwiaty, zimne wino i ciastka, rozpoczęła się najważniejsza część widowiska — walka byków.

Przy odgłosie trąb, bębnow i fletów wprowadzono na arenę tęgiego byka z płachtą na głowie, ażeby nic nie widział. Po czym wbiegło kilku ludzi nagich, zbrojnych we włócznie i jeden z krótkim mieczem.

Na znak dany przez księcia uciekli przewodnicy, a jeden ze zbrojnych zdarł bykowi płachtę. Zwierzę przez kilka chwil stało oszołomione, następnie poczęło uganiać się za włóczniarzami, którzy drażnili je kluciem.

Ta walka jałowa ciągnęła się kilkanaście minut. Ludzie dręczyli byka, a on zapieniony, obłany krwią stawał dęba i gonił po całej arenie swoich nieprzyjaciół, nie mogąc żadnego dosięgnąć.

Wreszcie padł wśród śmiechu publiczności.

Znudzony książę, zamiast na arenę, patrzył na łożę kapłanów fenickich. I widział, że Kama przesiadłszy się bliżej Sargona prowadziła z nim żywą rozmowę. Asyryjczyk pożerał ją wzrokiem, a ona uśmiechnięta i zawstydzona niekiedy szeptała z nim, pochylając się tak, że jej włosy mieszały się z kudłami barbarzyńcy, niekiedy odwracała się od niego z udanym gniewem.

Ramzes uczył ból w sercu. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że jakaś kobieta innemu mężczyźnie przed nim dawała pierwszeństwo. W dodatku człowiekowi prawie staremu, Asyryjczykowi!...

Tymczasem między publicznością rozległ się szmer. Na arenie człowiek uzbrojony mieczem kazał sobie przywiązać do piersi lewą rękę, inni obejrżeli swoje włócznie i — wprowadzono drugiego byka.

Kiedy jeden zbrojny zerwał mu płachtę z oczu, byk obrócił się i obejrzał wkoło, jakby chcąc porachować przeciwników. A gdy zaczęli go kłuć, cofnął się pod parkan dla zabezpieczenia sobie tyłu. Potem zniżył głowę i spod oka śledził ruchy napastujących go ludzi.

Początkowo zbrojni ostrożnie skradali się z boków, ażeby go ukłuć. Lecz gdy zwierzę wciąż stało nieporuszone, ośmielili się i zaczęli przebiegać mu przed oczyma coraz bliżej.

Byk jeszcze bardziej pochylił głowę, lecz stał jak wkopany w ziemię. Publiczność zaczęła się śmiać, lecz nagle wesołość jej zamieniła się w okrzyk trwogi. Byk wypatrzył chwilę, ciężko podskoczył naprzód, trafił we włóczniarza i jednym uderzeniem rogów wyrzucił go do góry.

Człowiek spadł na ziemię z pogruchotanymi kośćmi, a byk pocwałował na drugą stronę areny i znowu stanął w pozycji obronnej.

Włóczniarze znowu go otoczyli i zaczęli drażnić, a przez ten czas wbiegli na arenę słudzy cyrkowi, aby podnieść rannego, który jęczał. Byk, pomimo zdwojonych pchnięć

włócznie, stał bez ruchu; lecz gdy trzej słudzy wzięli na ramiona omdlałego bojownika, z szybkością wichru rzucił się na tę grupę, przewracał ich i zaczął straszliwie kopać nogami.

Między publicznością powstał zamęt: kobiety płakały, mężczyźni klęli i rzucali na byka, czym kto miał pod ręką. Na arenę zaczęły padać kije, noże, nawet deski z ław.

Wówczas przybiegł do rozjuszonego zwierzęcia człowiek z mieczem. Ale włócznie potracili głowy i nie wspierali go należycie, więc byk powalił go i zaczął ścigać innych.

Stała się rzecz niesłychana dotychczas w cyrkach: na arenie leżało pięciu ludzi, inni, źle broniąc się, uciekali przed zwierzęciem, a publiczność ryczała z gniewu lub ze strachu.

Wtem wszystko ucichło, widzowie powstali i wychylili się ze swych miejsc, przerażony Hiram zbladł i rozkrzyżował ręce... Na arenę, z łóż dostojników, wyskoczyli dwaj: książę Ramzes z dobytym mieczem i Sargon z krótką siekierką.

Byk ze spuszczoneym łbem i zadartym ogonem biegł wkoło areny wzniesając tuman kurzu. Pędził prosto na księcia, lecz jakby odepchnięty przez majestat królewskiego dziecięcia, wyminął Ramzesa, rzucił się na Sargona i — padł na miejscu. Zręczny a olbrzymio silny Asyryjczyk powalił go jednym uderzeniem toporka między oczy.

Publiczność zawyla z radości i poczęła sypać kwiaty na Sargona i jego ofiarę. Ramzes tymczasem stał z wydobytym mieczem zdziwiony i rozgniewany, patrząc, jak Kama wydzierała swoim sąsiadom kwiaty i rzucała je na Asyryjczyka.

Sargon obojętnie przyjmował objawy publicznego zachwyty. Trącił nogą byka, aby przekonać się, czy jeszcze żyje, a potem zbliżył się na parę kroków do księcia i coś przemówiwszy w swoim języku, uklonił się z godnością wielkiego pana.

Ramzesowi przed oczyma przesunęła się krwawa mgła: chętnie wbiłby miecz w piersi temu zwycięzcy. Ale opanował się, chwilę pomyślał i, zdjąwszy ze swej szyi złoty łańcuch, podał go Sargonowi.

Asyryjczyk znowu skłonił się, pocałował łańcuch i włożył go sobie na szyję. A książę, z sinawymi rumieńcami na policzkach, skierował się do furtki, którą wchodzili na arenę aktorowie<sup>55</sup>, i wśród okrzyków publiczności, głęboko upokorzony, opuścił cyrk.

## ROZDZIAŁ IX

Był już miesiąc Tot (koniec czerwca, początek lipca). W mieście Pi-Bast i jego okolicach zaczął zmniejszać się napływ ludności z powodu gorąca. Ale na dworze Ramzesa wciąż jeszcze bawiono się i rozpowiadano o wypadkach w cyrku.

Dworzanie wychwalali odwagę księcia, niezręczni podziwiali siłę Sargona, kapłani z poważnymi minami szepotali, że jednak następca tronu nie powinien był mieszać się do walki z bykami. Od tego bowiem są inni ludzie, płatni i bynajmniej nie cieszący się publicznym szacunkiem.

Ramzes albo nie słyszał tych rozmaitych zdań, albo nie zwracał na nie uwagi. W jego pamięci z widowiska utrwaliły się dwa epizody: Asyryjczyk wydarł mu zwycięstwo nad bykiem i — umizgał się do Kamy, która bardzo życzliwie przyjmowała jego zaloty!

Ponieważ nie wypadało mu sprowadzać do siebie fenickiej kapłanki, więc pewnego dnia wysłał do niej list, w którym donosił, że chce ją zobaczyć, i pytał: kiedy go przyjmie? Przez tego samego posłańca Kama odpowiedziała, że będzie czekać na niego dziś wieczorem.

Ledwie ukazały się gwiazdy, książę w największej tajemnicy, według swego przekonania, wysunął się z pałacu i poszedł.

Ogród świątyni Astoreth był prawie pusty, szczególnie w okolicach otaczających dom kapłanki. Dom był cichy i paliło się w nim zaledwie parę świec.

Kiedy książę nieśmiało zapukał, kapłanka otworzyła mu sama. W ciemnym przysionku ucałowała mu ręce szepcząc, że umarłaby, gdyby wtedy, w cyrku, rozjuszone zwierzę zrobiło mu jaką krzywdę.

— Ale teraz musisz być spokojna — odparł z gniewem następca — skoro ocalił mnie twój kochanek...

Kiedy weszli do komnaty oświetlonej, książę spostrzegł, że Kama płacze.

— Cóż to znaczy? — zapytał.

<sup>55</sup>aktorowie — dziś popr.: aktorzy. [przypis edytorski]

— Odwróciło się ode mnie serce pana mego — rzekła. — A może i słusznie. Następca gorzko roześmiał się.

— Więc już jesteś jego kochanką, czy dopiero masz nią zostać ty, święta dziewico?...

— Kochanką?... nigdy!... Ale mogę zostać żoną tego strasznego człowieka.

Ramzes zerwał się z siedzenia.

— Śpię?... — zawołał — czy Set rzucił na mnie przekleństwo?... Ty, kapłanka, która pilnujesz ognia przy ołtarzu Astoreth i pod grozą śmierci musisz być dziewicą, ty wychodzisz za męża?... Zaprawdę, fenickie kłamstwo gorsze jest, aniżeli opowiadają o nim ludzie!...

— Posłuchaj mnie, panie — rzekła, ocierając łzy — i potęp, jeżeli zasłużyłam. Sargon chce mnie pojąć za żonę, za swoją pierwszą żonę. Według naszych ustaw, kapłanka, w bardzo wyjątkowych wypadkach, może zostać żoną, ale tylko mężczyzny pochodzącego ze krwi królewskiej. Sargon zaś jest powinowatym króla Assara...

— I ty wyjdiesz za niego?

— Jeżeli najwyższa rada kapłanów tyryjskich rozkaże mi, co pocznę?... — odparła, znowu zalewając się łzami.

— A cóż tą radę może obchodzić Sargon? — spytał książę.

— Podobno obchodzi ją bardzo wiele — mówiła z westchnieniem. — Fenicję mają podobno zabrać Asyryjczycy a Sargon ma zostać jej satrapą...

— Tyś oszalała!... — zawołał książę.

— Mówię, co wiem. Już w naszej świątyni po raz drugi zaczynają się modły o odwrócenie nieszczęścia od Fenicji...

Pierwszy raz odprawiliśmy je, nimesz ty przyjechał do nas, panie...

— Dlaczego znowu teraz?...

— Bo podobno w tych dniach przybył do Egiptu chaldejski kapłan Istubar z listami, w których król Assar mianuje Sargona swoim posłem i pełnomocnikiem do zawarcia traktatu z wami o zabór Fenicji.

— Ależ ja... — przerwał książę.

Chciał powiedzieć: „nic nie wiem”, lecz wstrzymał się. Zaczął się śmiać i odparł:

— Kamo, przysięgam ci na cześć mego ojca, że dopóki ja żyję, Asyria nie zabierze Fenicji. Czy to dość?

— O panie!... panie!... — zawołała, upadając mu do nóg.

— Więc chyba teraz nie zostaniesz żoną tego gburą?

— Och!... — otrząsnęła się. — Czy możesz o to pytać?

— I będziesz moją... — szepnął książę.

— Zatem chcesz mojej śmierci?... — odparła przerażona. — Ha!... jeżeli tego chcesz, jestem gotowa...

— Chcę, ażebyś żyła... — szeptał roznamietniony. — Żyła, należąc do mnie...

— To być nie może...

— A najwyższa rada kapłanów tyryjskich?...

— Może mnie tylko wydać za męża...

— Wszak wejdiesz do mego domu...

— Gdybym weszła tam nie jako żona twoja — umrę... Ale jestem gotowa... nawet na to, aby nie ujrzeć jutrzejszego słońca...

— Bądź spokojna — odpowiedział z powagą książę. — Kto posiadał moją łaskę, nie dozna krzywdy.

Kama znowu ukłękła przed nim.

— Jak się to może stać?... — spytała, składając ręce.

Ramzes był tak podniecony, tak już zapomniał o swoim stanowisku i obowiązkach, iż gotów był przyrzec kapłance małżeństwo. Powstrzymał go od tego kroku nie rozsądek, ale jakiś głuchy instynkt.

— Jak to może być?... Jak to może być?... — szeptała Kama, pożerając go wzrokiem i całując jego nogi.

Książę podniósł ją, posadził z daleka od siebie i odparł z uśmiechem:

— Pytasz, jak to być może?... Zaraz cię objaśnię. Ostatnim moim nauczycielem, zanim doszedłem do pełnoletności, był pewien stary kapłan, który umiał na pamięć

mnóstwo dziwnych historii z życia bogów, królów, kapłanów, nawet niskich urzędników i chłopów.

Starzec ten, słynny z pobożności i cudów, nie wiem dlaczego, nie lubił kobiet, nawet obawiał się ich. Toteż najczęściej opisywał przewrotność kobiecą, a raz, aby dowiesć mi, jak potężną macie władzę nad męskim rodzajem, opowiedział taką historię:

Młody i ubogi pisarz, nie mający w torbie miedzianego utena, tylko jęczmienny placek, wędrował z Tebów do Dolnego Egiptu szukać zarobku. Mówiono mu, że w tej części państwa mieszkają najbogatsi panowie i kupcy i byle dobrze trafił, może znaleźć posadę, na której zrobi duży majątek.

Szedł tedy brzegiem Nilu (za miejsce na statku nie miałby czym zapłacić) i myślał:

„Jakże nieopatrzni są ludzie, którzy odziedziczywszy po ojcach talent, dwa talenty, nawet dziesięć, zamiast rozmnożyć skarb, bądź za pomocą handlu towarami, bądź wypożyczania na wysokie procenta, marnują, nie wiadomo na co, swój majątek! Ja gdybym miał drachmę... No, drachma za mało... Ale gdybym miał talent albo lepiej kilka zagonów ziemi, zwiększałbym to z roku na rok, a pod koniec życia byłbym tak bogaty jak najbogatszy nomarcha.

Lecz co począć!... — mówił z westchnieniem. — Bogowie snadź opiekują się tylko głupimi; mnie zaś napęlnia mądrość od peruki do bosych pięt. A jeżeli i w moim sercu kryje się jakieś ziarno głupstwa, to chyba pod tym jednym względem, że zaprawdę! nie umiałbym strwonić fortuny, a nawet nie wiedziałbym: jak zabrać się do spełnienia podobnie bezbożnego czynu?”

Tak medytując, ubogi pisarz mijał lepiankę, przed którą siedział jakiś człowiek niemłody i niestary z bardzo bystrzym spojrzeniem, które sięgało aż do głębi serca. Pisarz, mądry jak bocian, zaraz zmiarkował, że to musi być któryś z bogów, i skłoniwszy się, rzekł:

— Pozdrawiam cię, czcigodny właścicielu tego pięknego domu, i martwię się, że nie posiadam wina ani mięsa, aby podzielić je z tobą na znak, że cię szanuję i że wszystko, co mam, należy do ciebie.

Amonowi (on to był w ludzkiej postaci) podobała się uprzejmość młodego pisarza. Popatrzył więc na niego i spytał:

— O czym myślałeś, idąc tutaj? Widzę bowiem mądrość na twoim czole, a należę do tych, którzy, jak kuropatwa pszenicę, zbierają słowa prawdy.

Pisarz westchnął.

— Myślałem — mówił — o mojej nędzy i o tych lekkomyślnych bogaczach, którzy nie wiadomo na co i jakim sposobem trwonią majątki.

— A ty byś nie strwonił? — zapytał bóg, wciąż mający na sobie ludzką figurę.

— Spójrz na mnie, panie — rzekł pisarz. — Mam dziurawą płachtę i zgubiłem w drodze sandały, ale papirus i kałamarz ciągle noszę ze sobą jak własne serce. Albowiem wstając i kładąc się spać powtarzam, że lepszą jest uboga mądrość niż głupie bogactwo.

Jeżeli więc jestem taki, jeżeli umiem wysłowić się dwoma pismami i wykonać najzawilszy rachunek, jeżeli znam wszystkie rośliny i wszystkie zwierzęta, jakie tylko są pod niebem, to — czy możesz sądzić, abym ja, który posiadam taką mądrość, był zdolny do zmarnowania majątku?

Bożek zamyslił się i rzekł:

— Wymowa twoja płynie wartko jak Nil pod Memfisem, lecz jeżeli naprawdę jesteś tak mądry, to napisz mi dwoma sposobami: Amon.

Pisarz wydobyl kałamarz, pędzel i w niedługim czasie na drzwiach lepianki napisał dwoma sposobami: Amon, tak wyraźnie, że nawet nieme stworzenia zatrzymywały się, aby złożyć hołd Panu.

Bożek był kontent i dodał:

— Jeżeli jesteś równie biegły w rachunkach jak w piśmiennictwie, to wyrachuj mi następującą sprawę handlową. Gdy za jedną kuropatwę dają mi cztery kurze jaja, to za siedem kuropatw ile powinni dać kurzych jaj?

Pisarz zebrał kamyki, układał je w rozmaite szeregi i nim słońce zaszło, odpowiedział, że za siedem kuropatw należy się — dwadzieścia osiem jaj kurzych.

Wszchemocny Amon aż uśmiechnął się, że widzi przed sobą mędrca tak niepospolitej miary, więc rzekł:

Mądrość, Mędrzec

— Poznaję, żeś mówił prawdę o swojej mądrości. Jeżeli zaś okażesz się równie wytrwałym w cnocie, uczynię tak, że będziesz do końca życia szczęśliwym, a po śmierci synowie twoi umieszczą twój cień w pięknym grobowcu. A teraz powiedz: jakiego chcesz bogactwa, którego byś nie tylko nie strwonił, ale jeszcze pomnożył?

Pisarz upadł do nóg miłosiernemu bóstwu i odparł:

— Gdybym choć posiadał tę lepiankę i ze cztery miary gruntu, byłbym bogaty.

— Dobrze — mówi bóg — ale pierwej rozejrzyj się, czy ci to wystarczy.

Zaprowadził go do chaty i prawil:

— Masz tu cztery czepce i fartuszki, dwie płachty na niepogodę i dwie pary sandałów. Tu masz ognisko, tu ławę, na której można sypiać, stępę do tłuczenia pszenicy i dzieżę do ciasta...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując na jakąś figurę okrytą płótnem.

— Otóż to jedno jest — odparł bóg — czego nie powinieneś dotykać, bo stracisz cały majątek.

— Aj!... — krzyknął pisarz. — Może to sobie stać przez tysiąc lat i nie zaczepię go... Za pozwoleniem waszej czci: co to za folwark widać tam?...

I wychylił się przez okno lepianki.

— Mądrze powiedziałaś — rzekł Amon. — Jest to bowiem folwark, i nawet piękny. Ma obszerny dom, pięćdziesiąt miar gruntu, kilkanaście sztuk bydła i dziesięciu niewolników. Gdybyś wolał posiadać tamten folwark...

Pisarz upadł do nóg bogu.

— Jesteż — spytał — taki człowiek pod słońcem, który zamiast jęczmiennego placka nie wolałby bułki pszennej?...

Usłyszawszy to, Amon wymówił zaklęcie, i w tejże chwili obaj znaleźli się w okazałym domu folwarcznym.

— Masz tu — mówił bóg — rzeźbione łoże, pięć stolików i dziesięć krzesel. Masz tu haftowane szaty, stągwie i szklanki na wino, masz tu oliwną lampę i lektykę...

— A to co jest? — zapytał pisarz, wskazując na figurę, która stała w kącie okryta muślinem.

— Tego jednego — odparł bóg — nie zaczepiaj, bo stracisz cały majątek.

— Choćbym dziesięć tysięcy lat żył — zawołał pisarz — nie tknę tej rzeczy!... Uważam bowiem, że po mądrości najlepszym jest bogactwo.

— Ale co to tam widać? — spytał po chwili, wskazując na ogromny pałac w ogrodzie.

— To są dobra książęce — odparł bóg. — Jest pałac, pięćset miar ziemi, stu niewolników i paręset sztuk bydła. Wielki to majątek, lecz jeżeli sądzisz, że podoba mu twoja mądrość...

Pisarz znowu upadł do nóg Amonowi, zalewając się łzami radości.

— O panie!... — wołał. — A gdzie jest taki szaleniec, który zamiast kubka piwa nie wolałby kadzi wina?

— Słowa twoje godne są mędrca, który rozwiązuje najtrudniejsze rachunki — rzekł Amon.

Wymówił wielkie słowa zaklęcia i obaj z pisarzem znaleźli się w pałacu.

— Masz tu — mówił dobry bóg — salę jadalną, w niej złożone kanapy i krzesła tudzież stoliki wykładane różnokolorowym drzewem. Pod spodem jest kuchnia dla pięciu kucharzy, spiżarnia, gdzie znajdziesz wszelkie mięswo, ryby i ciasta, wreszcie piwnica z najdoskonalszym winem. Masz tu sypialnię z ruchomym dachem, którym twoi niewolnicy będą chłodzili cię podczas snu. Zwracam twoją uwagę na łoże, które jest z cedrowego drzewa i opiera się na czterech lwich łapach, kunsztownie odlanych z brązu. Masz tu szatnię pełną lnianych i wełnianych szat; zaś w skrzyniach znajdziesz pierścienie, łańcuchy i bransolety...

— A to co jest?... — zapytał nagle pisarz wskazując na figurę, okrytą welonem haftowanym złotymi i purpurowymi nićmi.

— Toć jest właśnie, czego najbardziej strzec się powinieneś — odparł bóg. — Jeżeli tego dotkniesz, twój ogromny majątek przepadnie. A zaprawdę mówię ci, że niewiele jest podobnych dóbr w Egipcie. Muszę ci bowiem dodać, że w skarbcu leży dziesięć talentów złotem i drogimi kamieniami.

— Władco mój!... — krzyknął pisarz. — Pozwól, ażeby w tym pałacu na pierwszym miejscu stanął twój święty posąg, przed którym trzy razy dziennie paliłbym wonności...

— Ale tamtego unikaj! — odparł Amon, wskazując na figurę okrytą welonem.

— Chyba straciłbym rozum i byłbym gorszy od dzikiej świni, dla której wino znaczy tyle co pomyje — rzekł pisarz. — Niech ta figura w welonie pokutuje tu sto tysięcy lat, a nie dotknę jej, jeżeli taka twoja wola...

— Pamiętaj, że straciłbyś wszystko!... — zawołał bóg i zniknął.

Uszczęśliwiony pisarz zaczął chodzić po swoim pałacu i wyglądać oknami. Obejrzał skarbiec i zważył w rękach złoto: było ciężkie; przypatrzył się drogim kamieniom — były prawdziwe. Kazał sobie podać jedzenie: natychmiast wbiegli niewolnicy, wykąpali go, ogolili i ubrali w cienkie szaty.

Najadł się i napił jak nigdy: jego głód bowiem łączył się z doskonałością potraw w jeden smak przedziwny. Zapalił wonności przed posągiem Amona i ubrał go w świeże kwiaty. Później siadł w oknie.

Na dziedzińcu rzało parę koni zaprzęgniętych do rzeźbionego wozu. W innym miejscu gromada ludzi z włóczniami i sieciami uspakajała niesforne psy myśliwskie rwące się do polowania. Przed spichrzem jeden pisarz odbierał ziarno od rolników, przed oborą drugi pisarz przyjmował rachunek od dozorczy pastuchów.

W dali widać było gaj oliwny, wysokie wzgórze zarośnięte winogradem, łąny pszenicy, a po wszystkich polach gęsto rozsądzone palmy daktylonośne.

„Zaiste! — rzekł — do siebie — jestem dziś bogaty tak właśnie, jak mi się należało. I jedno dziwi mnie, że tyle lat mogłem wytrzymać w upodleniu i nędzy! Muszę też wyznać — ciągnął w duchu — że nie wiem, czy potrafię zwiększyć ten ogromny majątek, bo i nie potrzebuję więcej, i nie będę miał czasu uganiać się za spekulacjami.”

Zaczął mu jednak nudzić się w pokojach, więc obejrzał ogród, objechał pola, porozmawiał ze sługami, którzy padali przed nim na brzuchy, choć byli tak ubrani, że on wczoraj jeszcze uważałby sobie za zaszczyt całować ich ręce. Lecz że i tam było mu nudno, więc wrócił do pałacu i przypatrywał się zapasom swojej spiżarni i piwnicy tudzież sprzętom w komnatach.

„Ładne to — mówił do siebie — ale piękniejsze byłyby sprzęty z samego złota, a dzbany z drogich kamieni.”

Oczy jego machinalnie zwróciły się w ten kąt, gdzie stała figura okryta haftowanym welonem i — wzdychała.

„Wzdychaj sobie, wzdychaj!” — myślał, biorąc kadzielnicę, aby spalić wonności przed posągiem Amona.

„Dobry to bóg — myślał — który ocenia przymioty mędrców, nawet bosych, i wymierza im sprawiedliwość. Jaki on mi dał piękny majątek!... No, prawda, że i ja go uczciłem, wypisując podwójnym pismem imię Amon — na drzwiach tej chałupy. Albo jak ja mu to pięknie wyrachowałem: ile dostanie kurzych jaj za siedem kuropatw? Mieli słuszność moi mistrze twierdząc, że mądrość nawet bogom otwiera usta.”

Spojrzał znowu w kąt. Postać okryta welonem znowu westchnęła.

„Ciekawy jestem — mówił do siebie pisarz — dlaczego mój przyjaciel Amon zabronił mi dotykać tej oto sztuczki, co tam stoi w kącie? No, za taki majątek miał prawo nakładać mi warunki; chociaż ja nic podobnego nie zrobiłbym mu. Bo jeżeli cały ten pałac jest moją własnością, jeżeli wszystkiego, co tu jest, mogę używać, dlaczego tamtej rzeczy nie miałbym nawet dotknąć?...

Tak się mówi: nie wolno dotykać! Wolno wreszcie zobaczyć...”

Zbliżył się do figury, zdjął ostrożnie welon, patrzy... jest coś bardzo ładnego. Niby piękny młody chłopiec, ale nie chłopiec... Ma włosy długie do kolan, drobne rysy i pełne słodczy spojrzenie.

— Co ty jesteś? — mówi do figury.

— Ja jestem kobieta — odpowiada mu postać głosem tak cienkim, że wniknął mu w serce jak sztylet fenicki.

„Kobieta?... — myśli pisarz. — Tęgo mnie nie uczono w kapłańskiej szkole.” — Kobieta?... — powtórzył. — A co masz o tutaj?...

— To moje oczy.

— Oczy?... Cóż ty zobaczysz takimi oczami, które od lada światła mogą się rozpląnąć.

Kobieta, Kobieta  
demoniczna



— Bo moje oczy nie są do tego, żebym ja nimi patrzyła, tylko żebyś ty w nie patrzył — odpowiedziała figura.

„Dziwne oczy!” — rzekł do siebie pisarz, chodząc po pokoju.

Znowu przystanął przed postacią i zapytał:

— A to co masz?

— To moje usta.

— Przez bogi! umrzesz z głodu — zawołał — bo tak małymi ustami najeść się nie można...

— One też nie są do jedzenia — odparła figura — tylko żebyś ty je całował.

— Całował? — powtórzył pisarz. — I tego nie uczono mnie w kapłańskiej szkole...

A to o... co to masz?

— To moje rączki.

— Rączki?... Dobrześ nie powiedziała, że to ręce, bo takimi rękoma nic byś zrobić nie potrafiła, nawet udoić owcy.

— Moje rączki nie są do roboty.

— Tylko do czego? — zdziwił się pisarz, rozstawiając jej palce...

(Jak ja twoje, Kamo — rzekł następca, pieszcząc drobną rączkę kapłanki.)

— Tylko do czego są takie ręce? — pytał pisarz figury.

— Ażebym nimi ciebie obejmowała za szyję.

— Chcesz mówić: za kark?... — wrzasnął przerażony pisarz, którego kapłani zawsze chwyтали za kark, gdy miał otrzymać plagi.

— Nie za kark — rzekła postać — tylko o tak...

I objęła go — ciągnął książkę — rękoma za szyję, o tak... (Tu otoczył się rękoma kapłanki.) — I przytuliła go do swej piersi o tak, o... (Tu przytulił się do Kamy.)

— Panie, co robisz?... — szepnęła Kama. — Wszakże to śmierć moja...

— Bądź spokojna — odparł książkę — ja ci tylko pokazuję, co tamta postać robiła z pisarzem...

...Wtem zadrżała ziemia, pałac zniknął, znikły psy, konie i niewolnicy. Wzgórze pokryte winogradem zmieniło się w opokę, drzewa oliwne w cierń, a pszenica w piasek...

Pisarz, gdy ocknął się w objęciach kochanki, zrozumiał, że jest takim nędzarzem, jakim był wczoraj na gościńcu. Ale nie żałował swoich bogactw, ponieważ miał kobietę, która kochała go i pieściła!

— Więc wszystko znikło, a ona nie znikła!... — zawołała naiwnie Kama.

— Litościwy Amon zostawił mu ją na pociechę — rzekł książkę.

— O, to Amon był tylko dla pisarza litościwym — odparła Kama. — Ale co ma znaczyć ta historia?

— Zgadnij. Wreszcie słyszałaś, czego biedny pisarz wyrzekł się za pocałunek kobiety...

— Ale tronu nie wyrzekłby się! — przerwała kapłanka.

— Kto wie?... gdyby go bardzo o to poproszono — szeptał namiętnie Ramzes.

— O nie!... — zawołała Kama, wydzierając mu się z objęć. — Tronu niech się nie wyrzeka, bo w takim razie cóż by zostało z jego obietnic dla Fenicji...

Oboje spojrzeli sobie w oczy długo... długo... W tej chwili książkę uczuł niby ranę w sercu i niby że z tej rany uciekło mu jakieś uczucie. Nie namiętność, bo namiętność została, ale — szacunek i wiara w Kamę.

„Dziwne te Fenicjanki — pomyślał następca — można za nimi szaleć, lecz niepodobna im ufać...”

Uczuł się znużonym i pożegnał Kamę. Spojrzał po komnacie, jakby trudno mu było rozstać się z nią, i odchodząc, rzekł do siebie:

„A jednak ty zostaniesz moją i bogowie fenicy nie zabiją cię, jeżeli dbają o swoje świątynie i kapłanów.”

Ledwie Ramzes opuścił willę Kamy, do pokoju kapłanki wpadł młody Grek, uderzająco piękny i uderzająco podobny do egipskiego księcia. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

— Lykon!... — zawołała przerażona Kama. — Co tu robisz?...

— Podła gadzino!... — odparł Grek dźwięcznym głosem. — Jeszcze miesiąc nie upłynął od wieczora, kiedy przysięgłaś, że mnie kochasz, że uciekniesz ze mną do Grecji, a już

Miłość

Interes, Rozczarowanie

drugiemu kochankowi rzucasz się na szyję... Czy pomarli bogowie, czy uciekła od nich sprawiedliwość?...

— Szalony zazdrośniku — przerwała kapłanka — ty mnie zabijesz...

— Z pewnością, że ja cię zabiję, nie twoja skamieniała bogini... Tymi rękoma — wołał, wyciągając ręce jak szpony — uduszę cię, gdybyś została kochanką...

— Czyją?...

— Alboż ja wiem!... Zapewne obu: tego starego Asyryjczyka i tego książątka, któremu kamieniem łeb rozwałę, jeżeli będzie się tu włóczył... Książę!... ma wszystkie niewiasty z całego Egiptu i... jeszcze mu się zachciewa cudzych kapłanek... Kapłanki są dla kapłanów, nie dla obcych...

Kama odzyskała już zimną krew.

— A ty nie jesteś dla nas obcy? — rzekła wyniośle.

— Żmijo!... — wybuchnął Grek powtórnie. — Ja nie mogę być obcym dla was, gdy dar mego głosu, którym ozdobili mnie bogowie, obracam na służbę waszym bogom... A ileż to razy za pomocą mej postaci oszukiwaliście głupich Azjatów, że następcą egipskiego tronu potajemnie wyznaje waszą wiarę?...

— Cicho!... cicho!... — zasyczała kapłanka, zamykając mu ręką usta.

Coś w jej dotknięciu musiało być czarującego, gdyż Grek uspokoił się i począł mówić ciszej:

— Słuchaj, Kama. W tych czasach przyplynie do Zatoki Sebenickiej grecki statek prowadzony przez mego brata. Postarajże się, aby cię arcykapłan wysłał do Pi-Uto, skąd uciekniemy nareszcie do północnej Grecji, w takie miejsce, które jeszcze nie widziało Fenicjan...

— Zobaczysz ich, jeśli ja się tam skryję — przerwała kapłanka.

— Gdyby tobie włos spadł — szeptał rozwścieczony Grek — przysięgam, że Dagon... że wszyscy tutejsi Fenicjanie oddadzą głowy lub zdechną w kopalniach! Poznają oni, co może Grek...

— A ja ci mówię — odparła tym samym głosem kapłanka — że dopóki nie zbiorę dwudziestu talentów, nie ruszę się stąd... A mam dopiero osiem...

— Skądże weźmiesz resztę?

— Dadzą mi Sargon i namiestnik.

— Na Sargona zgoda, ale księcia nie chcę!...

— Głupi Lykonie, czyli nie widzisz, dlaczego trochę podoba mi się ten młodzik?... Ciebie przypomina!...

Grek zupełnie uspokoił się.

— No, no!... — mruzczał. — Rozumiem, że gdy kobieta ma do wyboru między następcą tronu i takim jak ja śpiewakiem, nie mam potrzeby lękać się... Ale jestem zdrowszy i gwałtowny, więc proszę cię, ażebyś go jak najmniej spoufalala do siebie.

Ucałował ją, wymknął się z willi i zniknął w ciemnym ogrodzie.

Kama wyciągnęła za nim zaciśniętą pięść.

— Nikczemny pajacu!... — szepnęła — który zaledwie mógłbyś być u mnie śpiewającym niewolnikiem...

## ROZDZIAŁ X

Kiedy Ramzes przyszedł nazajutrz odwiedzić swego syna, znalazł Sarę rozplywającą się we łzach. Zapytał o powód. Z początku odpowiedziała, że nic jej nie jest, potem, że jej smutno, wreszcie — upadła do nóg Ramzesowi z wielkim płaczem.

— Panie... panie mój!... — szeptała. — Wiem, że mnie już nie kochasz, ale przynajmniej siebie nie narażaj...

— Kto powiedział, że cię już nie kocham? — spytał zdziwiony książę.

— Masz przecie trzy nowe kobiety w swym domu... panny wielkich rodów...

— A... więc o to chodzi...

— I jeszcze narażasz się dla czwartej... dla przewrotnej Fenicjanki...

Książę zmieszał się. Skąd Sara mogła dowiedzieć się o Kamie i odgadnąć, że jest przewrotna?...

— Jak pył wciska się do skrzyni, tak niegodziwe wieści wpadają do najspokojniejszych domów — rzekł Ramzes. — Któż ci mówił o Fenicjance?

Namiętność, Interes

— Czy ja wiem kto? Zła wróżba i serce moje.  
 — Więc są nawet i wróżby?...  
 — Straszne! Jedna stara kapłanka dowiedziała się, podobno z kryształowej kuli, że wszyscy zginiemy przez Fenicjan, a przynajmniej ja i... mój syn!... — wybuchnęła Sara.  
 — I ty, która wierzysz w Jedyne, w Jehowę, ty lękasz się bają jakiejś głupiej staruchy, a może intrygantki?... Gdzież twój wielki Bóg?..  
 — Mój Bóg jest tylko moim, a tamci — twoimi, więc muszę ich szanować.  
 — Zatem ta stara mówiła ci o Fenicjanach? — pytał Ramzes.  
 — Ona wróżyła mi dawniej, jeszcze pod Memfisem, że powinnam wystrzegać się Fenicjanki — odparła Sara. — Ale dopiero tu wszyscy mówią o jakiejś kapłance fenickiej. Czy ja wiem, może tylko coś majączy mi się w stroskanej głowie. Powiadali nawet, że gdyby nie jej uroki, nie skoczyłbyś, panie, wtedy do areny... Ach, gdyby cię byk zabił!... Jeszcze i teraz, kiedy myślę o nieszczęściu, jakie cię mogło spotkać, serce we mnie zastyga...  
 — Śmieję się z tego, Saro — przerwał wesoło książę. — Kogo ja przygarnę do siebie, stoi tak wysoko, że go żaden strach nie powinien dosięgać... Tym mniej głupie wieści.  
 — A nieszczęście? Czyliż jest dość wysoka góra, na którą nie doleciałby jego pocisk?..  
 — Macierzyństwo zmęczyło cię, Saro — rzekł książę — a gorąco rozstraja twoje myśli, i dlatego fraszujesz się bez powodu. Bądź spokojna i czuwaj nad moim synem. Człowiek — mówił w zamyśleniu — kimkolwiek on jest: Fenicjaninem czy Grekiem, może szkodzić tylko podobnym sobie istotom, ale nie nam, którzy jesteśmy bogami tego świata.  
 — Co powiedziałaś o Greku?... Jaki Grek?... — spytała niespokojnie Sara.  
 — Ja powiedziałem: Grek?... Nic o tym nie wiem. Może wymknął mi się podobny wyraz, a może ty przesłyszalas się.  
 Ucałował Sarę i swego syna i pożegnał ich. Ale nie odpędził niepokoju.  
 „Raz trzeba sobie powiedzieć — myślał — że w Egipcie nie ukryje się żadna tajemnica. Mnie śledzą kapłani i moi dworzanie nawet wówczas, gdy są czy tylko udają pijanych, a nad Kamą czuwają węzowe źrenice Fenicjan. Jeżeli dotychczas nie ukryli jej przede mną, niewiele muszą dbać o jej cnotę. Zresztą wobec kogo?... Wobec mnie, któremu sami odsłoniли oszustwa swojej świątyni!... Kama będzie należała do mnie... Zbyt wiele mają w tym interesu, ażeby chcieli ściągać mój gniew na siebie...”  
 W parę dni przyszedł do księcia święty kapłan Mentezufis, pomocnik dostojnego Herhora w ministerium wojny. Ramzes patrząc na bladą twarz i spuszczone oczy proroka odgadł, że i ten już wie o Fenicjance, a może nawet, z kapłańskiego stanowiska, zechce mu robić wymówki. Ale Mentezufis tym razem nie dotknął sercowych spraw następcy.  
 Przywitawszy księcia z urzędową miną, prorok usiadł na wskazanym miejscu i zaczął:  
 — Z memfijskiego pałacu pana wieczności zawiadomiono mnie, że w tych czasach przyjechał do Pi-Bast wielki kapłan chaldejski Istubar, nadworny astrolog i doradca jego miłości króla Assara...  
 Książę chciał podpowiedzieć Mentezufisowi cel przybycia Istubara, ale przygryzł wargi i zmilczał.  
 — Zaś znakomity Istubar — ciągnął kapłan — przywiózł ze sobą dokumenta, na mocy których dostojny Sargon, powinowaty i satrapa jego miłości króla Assara, zostaje u nas posłem i pełnomocnikiem tegoż potężnego króla...  
 Ramzes o mało nie wybuchnął śmiechem. Powaga, z jaką Mentezufis raczył odsłonić cząstkę tajemnic od dawna znanych księciu, napełniła go wesołością i — pogardą.  
 „Więc ten kuglarz — myślał następcą — nawet nie przeczuwa w sercu swoim, że ja znam wszystkie ich szalbierstwa?...”  
 — Dostojny Sargon i czcigodny Istubar — mówił Mentezufis — udadzą się do Memfis ucałować nogi jego świątobliwości. Pierwej jednak wasza dostojność, jako namiestnik, raczysz przyjąć łaskawie obu tych dygnitarzy tudzież ich świtę.  
 — Bardzo chętnie — odparł książę — a przy sposobności spytam ich: kiedy Asyria zapłaci nam zaległe daniny?  
 — Wasza dostojność zrobiłbyś to? — rzekł kapłan, patrząc mu w oczy.  
 — Przedę wszystkim to!... Nasz skarb potrzebuje danin...

Mentezufis nagle powstał z siedzenia i uroczystym choć zniżonym głosem rzekł:

— Namiestniku pana naszego i rozdawcy życia: w imieniu jego świątobliwości zabraniam ci mówić z kimkolwiek o daninach, a nade wszystko z Sargonem, Istubarem i kimkolwiek z ich świty.

Książę pobladał.

— Kapłanie — rzekł również powstając — na jakiej zasadzie przemawiasz do mnie tonem zwierzchnika?...

Mentezufis odchylił szatę i zdjął ze szyi łańcuszek, na którym był jeden z pierścieni faraona.

Namiestnik obejrzał go, pobożnie ucałował i zwróciwszy kapłanowi, odparł:

— Spełnię rozkazy jego świątobliwości, mego pana i ojca.

Znowu obaj usiedli i książę zapytał kapłana:

— Czy wasza dostojność nie mógłbyś mnie objaśnić: dlaczego Assyria nie ma nam płacić danin, które od razu wydobyłyby skarb państwa z kłopotów?

— Bo my nie mamy sił zmusić Assyrii do płacenia nam danin — odparł zimno Mentezufis. — Mamy sto dwadzieścia tysięcy wojska, Assyria zaś około trzystu tysięcy. Mówię to waszej dostojności całkiem poufnie, jako wysokiemu urzędnikowi państwa.

— Rozumiem. Ale dlaczego ministerium wojny, w którym służysz, zmniejszyło naszą waleczną armię o sześćdziesiąt tysięcy ludzi?

— Ażeby dochody na dwór jego świątobliwości powiększyć o dwanaście tysięcy talentów — rzekł kapłan.

— Aha!... Powiedźże mi, wasza dostojność — ciągnął książę — w jakim tedy celu jedzie Sargon do stóp faraona?

— Nie wiem.

— Aha!... Ale dlaczego ja nie mam wiedzieć, ja, następcą tronu?...

— Bo są tajemnice państwa, które zna zaledwie kilku dostojników...

— I których mógłby nawet nie znać mój najczcigodniejszy ojciec?...

— Z pewnością — odparł Mentezufis — że są rzeczy, o których mógłby nie wiedzieć nawet jego świątobliwość, gdyby nie posiadał najwyższych święceń kapłańskich.

— Dziwna rzecz! — mówił książę po namyśle. — Egipt jest własnością faraona i mimo to mogą dziać się w państwie sprawy nie znane faraonowi?... Wytłumacz mi to, wasza dostojność.

— Egipt jest przede wszystkim, a nawet jedynie i wyłącznie własnością Amona — rzekł kapłan. — Jest zatem konieczne, aby ci tylko znali najwyższe tajemnice, którym Amon objawia swoją wolę i plany.

Książę słuchając doznawał takich uczuć, jakby go przewracano na łożu wybitym sztyletami i jeszcze podkładano ogień.

Mentezufis chciał podnieść się, namiestnik zatrzymał go.

— Jeszcze słowo — mówił łagodnie. — Jeżeli Egipt jest tak słabym, że nie wolno nawet wspomnieć o asyryjskich daninach...

Zadyszał się.

— ...Jeżeli jest tak nędznym — ciągnął — to jakaż pewność, że nas nie napadną Asyryjczycy?

— Od tego można zabezpieczyć się traktatami — odparł kapłan.

Następca machnął ręką.

— Nie ma traktatów dla słabych! — rzekł. — Nie zasłonią granic srebrne tablice zapisane ugodami, jeżeli za nimi nie staną włócznie i miecze.

— A któż waszej dostojności powiedział, że u nas nie staną?

— Ty sam. Sto dwadzieścia tysięcy ludzi muszą<sup>56</sup> ustąpić przed trzystoma tysiącami. No, a gdyby Asyryjczycy raz do nas weszli, z Egiptu zostałaby pustynia...

Mentezufisowi zapłonęły oczy.

— Gdyby weszli do nas — zawołał — kości ich nigdy nie zobaczyłyby swej ziemi!... Uzbrolilibyśmy całą szlachtę, pułki robotnicze, nawet przestępców z kopalń... Wydobylibyśmy skarby ze wszystkich świątyń... I spotkałaby się Assyria z pięciomaset<sup>57</sup> tysiącami

<sup>56</sup>Sto dwadzieścia tysięcy ludzi muszą — dziś popr.: Sto dwadzieścia tysięcy ludzi musi. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>pięciomaset — dziś raczej: pięciuset. [przypis edytorski]

egipskich wojowników...

Ramzes był zachwycony tym wybuchem patriotyzmu kapłana. Schwycił go za rękę i rzekł:

— Więc jeżeli możemy mieć taką armię, dlaczego nie napadamy na Babilon?... Czyliż wielki wojownik Nitager nie błaga nas o to od kilku lat?... Czyliż jego świątobliwość nie niepokoi się wrzeniem Asyrii?... Gdy im pozwolimy zebrać siły, walka będzie trudniejsza, ale gdy rozpoczniemy sami...

Kapłan przerwał mu.

— Czy ty wiesz, książę — mówił — co to jest wojna, i to jeszcze taka wojna, do której trzeba iść przez pustynię? Kto zaręczy, że nim dotarlibyśmy do Eufratu, połowa naszej armii i tragarzy nie wyginęłaby z trudów?

— Wyrównalibyśmy to jedną bitwą — wtrącił Ramzes.

— Bitwa!... — powtórzył kapłan. — A czy wiesz, książę, co to jest bitwa?...

— Spodziewam się! — odparł dumnie następca, uderzając w miecz.

Mentezufis wzruszył ramionami.

— A ja mówię ci, panie, że ty nie wiesz, co to jest bitwa. Owszem, masz nawet o niej całkiem fałszywe pojęcie z manewrów, na których zawsze bywałeś zwycięzcą, choć nieraz powinienś być zwyciężonym...

Książę spochmurniał. Kapłan wsunął rękę za swoją szatę i nagle spytał:

— Zgadnij, wasza dostojność, co trzymam?

— Co?... — powtórzył zdziwiony książę.

— Zgadnij prędko i dobrze — nalegał kapłan — bo jeżeli omylisz się, zginą dwa twoje pułki...

— Trzymasz pierścień — odparł rozweselony następca.

Mentezufis otworzył rękę: był w niej kawałek papirusa.

— A teraz co mam?... — spytał znowu kapłan.

— Pierścień.

— Otóż nie pierścień, tylko amulet boskiej Hator — rzekł kapłan.

— Widzisz, panie — mówił dalej — to jest bitwa. W czasie bitwy los co chwila wyciąga do nas rękę i każe jak najspieszniej odgadywać zamknięte w niej niespodzianki. Mylimy się lub zgadujemy, ale biada temu, kto częściej omylił się, aniżeli odgadł... A stokroć biada tym, przeciw komu los odwraca się i zmusza do omyłek!...

— A jednak ja wierzę, ja czuję tu... — zawołał następca, bijąc się w piersi — że Asyria musi być zdeptana!

— Oby przez usta twoje przemawiał bóg Amon — rzekł kapłan. — I tak jest — dodał — Asyria będzie poniżona, może nawet twoimi rękoma, panie, ale nie zaraz... nie zaraz...

Mentezufis pożegnał go, książę został sam. W jego sercu i głowie huczało.

„A więc miał słuszność Hiram, że oni nas oszukują — myślał Ramzes. — Teraz i ja już jestem pewny, że nasi kapłani zawarli z chaldejskimi jakąś umowę, którą jego świątobliwość będzie musiał zatwierdzić. Będzie musiał!... czy słyszano o podobnej potworności?... On, pan żyjącego i zachodniego świata, on musi podpisywać umowy wymyślone przez intrygantów!...”

Tchu mu brakło.

„Swoją drogą święty Mentezufis zdradził się. Więc to tak jest, że w razie potrzeby Egipt może wystawić półmilionową armię?... Nawet nie marzyłem o podobnej sile!... i oni myślą, że ja będę lękał się ich bajek o losie, który nam każe rozwiązywać zagadki... Niechbym miał tylko dwieście tysięcy wojska, wymusztrowanego jak nasze greckie i libijskie pułki, a podejmę się rozwiązać wszystkie zagadki na ziemi i niebie.”

Zaś czcigodny prorok Mentezufis, wracając do swej celi, mówił w sobie:

„Zapalona to głowa, kobieciarz, awanturnik, ale potężny charakter. Po słabym dzisiejszym faraonie bodaj że ten przypomni nam czasy Ramzesa Wielkiego. Za dziesięć lat zle gwiazdy odmienią się, on dojrzeje i skruszy Asyrię. Z Niniwy zostaną gruzy, święty Babilon odzyska należne dostojństwo, a jeden najwyższy Bóg, Bóg egipskich i chaldejskich proroków, zapanuje od pustyni Libijskiej aż het do najświętszej rzeki Gangesu...”

Byle tylko nasz młodzik nie ośmieszył się nocnymi wędrówkami do kapłanki fenickiej!... Gdyby go zobaczono w ogrodzie Astoreth, lud mógłby myśleć, że następca tronu

nakłania uszu do fenickiej wiary... A Dolnemu Egipcjowi już niewiele potrzeba, aby wyprzec się starych bogów... Cóż to za mieszanina narodów!...”

W kilka dni później dostojny Sargon urzędownie<sup>58</sup> zawiadomił księcia o swej roli asyryjskiego posła, oświadczył chęć powitania następcy tronu i prosił o orszak egipski, który by go odprowadził ze wszelkim bezpieczeństwem i honorami do stóp jego świątobliwości faraona.

Książę zatrzymał się z odpowiedzią dwa dni i wyznaczył Sargonowi posłuchanie znowu po upływie dwu dni. Asyryjczyk, przywykły do wschodniej powolności w podróżach i interesach, wcale się tym nie martwił i nie marnował czasu. Pił od rana do wieczora, grał w kości z Hiramem i innymi azjatyckimi bogaczami, a w chwilach wolnych, podobnie jak Ramzes, wymykał się do Kamy.

Tam, jako człowiek starszy i praktyczny, za każdą wizytą ofiarowywał kapłance bogate podarunki. Swoje zaś uczucia dla niej wyrażał w ten sposób:

— Co ty, Kama, siedzisz w Pi-Bast i chudniesz? Dopókiś młoda, bawi cię służba przy ołtarzach bogini Astoreth; ale gdy się zestarzejesz, nędzna czeka cię dola. Obędą z ciebie kosztowne szaty, na twoje miejsce przyjmą młodszą, a ty musisz zarabiać na garstkę prażonego jęczmienia wróżbami lub dozorowaniem położnic.

Ja — ciągnął Sargon — gdyby bogowie za karę stworzyli mnie kobietą, wołałbym sam być położnicą aniżeli pielęgnować takowe.

Dlatego mówię ci, jak człowiek mądry, rzuć świątynię i przystań do mego haremu. Dam za ciebie dziesięć talentów złotem, czterdzieści krów i sto mierzyc pszenicy. Kapłani z początku będą obawiali się kary bogów, ażeby więcej wyludzić ode mnie. Ale że ja nie postąpię już ani drachmy, co najwyżej dorzucę kilka owieczek, więc odprawią uroczyste nabożeństwo i zaraz objawi się im niebieska Astoreth, która zwolni cię od ślubów, byłem<sup>59</sup> jeszcze dorzucił złoty łańcuch albo puchar.

Kama, słuchając tych poglądów, gryzła wargi ze śmiechu, a on ciągnął:

— Gdy zaś pojedziesz ze mną do Niniwy, zostaniesz wielką panią. Dam ci pałac, konie, lektykę, służebne i niewolników. Przez jeden miesiąc więcej wylejesz na siebie wonności, aniżeli tu przez cały rok ofiarujecie ich bogini.

A kto wie — kończył — może spodobaś się królowi Assarowi i on zechce cię wziąć do haremu? W takim razie i ty byłabyś szczęśliwsza, i ja odzyskałbym to, co wydam na ciebie.

W dniu wyznaczonym na posłuchanie dla Sargona pod pałacem następcy tronu stanęły wojska egipskie i tłum ludu chciwego widowisk.

Okolo południa, w czasie największego skwaru, ukazał się orszak asyryjski. Przodem szli uzbrojeni w miecze i kije policjanci, za nimi kilku nagich szybkobiegaczy i trzej konni. Byli to — trębacze i woźny. Na rogu każdej ulicy trębacze wygrywali sygnał, a po nich odzywał się wielkim głosem woźny:

— Oto zbliża się poseł i pełnomocnik potężnego króla Assara, Sargon, powinowaty królewski, pan wielkich włości, zwycięzca w bitwach, rządca prowincji. Ludu, oddaj mu hołd należny, jako przyjacielowi jego świątobliwości władcy Egiptu!...

Za trębaczami jechało kilkunastu kawalerzystów asyryjskich w spiczastych czapkach, w kurtkach i obcisłych spodniach. Ich kudłate a wytrwałe konie na łbach i piersiach miały mosiężne zbroje w rybią łuskę.

Później szła piechota w kaskach i długich płaszczach do ziemi. Jeden oddziałek zbrojny był w ciężkie maczugi, następny w łuki, trzeci we włócznie i tarcze. Prócz tego każdy miał miecz i zbroję.

Za żołnierzem szły konie, wozy i lektyki Sargona otoczone służbą w szatach białych, czerwonych, zielonych... Potem ukazało się pięć słoni z lektykami na grzbietach: na jednym jechał Sargon, na drugim chaldejski kapłan Istubar.

Pochód zamykali znowu piesi i konni żołnierze i przeraźliwa muzyka asyryjska, złożona z trąb, bębnow, blach i piskliwych fletów.

Książę Ramzes w otoczeniu kapłanów, oficerów i szlachty, odzianej barwnie i bogato, czekał na posła w wielkiej sali audiencyjnej, która była ze wszystkich stron otwarta.

<sup>58</sup>urzędownie — dziś: oficjalnie, urzędowo. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>byłem dorzucił (daw.) — byle bym dorzucił; jeżeli tylko dorzucę. [przypis edytorski]

Następca był wesół, wiedząc, że Asyryjczycy niosą z sobą podarunki, które w oczach egipskiego ludu mogą uchodzić za wypłatę daniny. Ale gdy na dziedzińcu usłyszał ogromny głos woźnego wychwalający potęgę Sargona, książę spochmurniał. Gdy zaś doleciało go zdanie, że król Assar jest przyjacielem faraona, rozgniewał się. Nozdrza rozszerzyły mu się jak rozdrażnionemu bykowi, a w oczach zapłonęły iskry. Widząc to oficerowie i szlachta zaczęli robić groźne miny i poprawiać miecze. Święty Mentezufis spostrzegł ich nieukontentowanie i zawołał:

— W imieniu jego świątobliwości rozkazuję szlachcie i oficerom, aby dostojnego Sargona przyjęli z szacunkiem, jaki należy się posłowi wielkiego króla!...

Następca tronu zmarszczył brwi i począł niecierpliwie chodzić po estradzie, na której stał jego namiestnikowski fotel. Ale karni oficerowie i szlachta uciszyli się, wiedząc, że z Mentezufisem, pomocnikiem ministra wojny, nie ma żartów.

Tymczasem na dziedzińcu ogromni, ciężko odziani żołnierze asyryjscy stanęli trzema szeregami naprzeciw półnagich i zwinnych żołnierzy egipskich. Obie strony patrzyły na siebie jak stado tygrysów na stado nosorożców. W sercu tych i tamtych tliła się starodawna nienawiść. Ale nad nienawiścią górowała komenda.

W tej chwili wtoczyły się słonie, wrzasnęły trąby egipskie i asyryjskie, oba wojska w górę podniosły broń, lud upadł na twarz, a dygnitarze asyryjscy, Sargon i Istubar, zstąpili z lektyk na ziemię.

W sali książę Ramzes zasiadł na wzniesionym fotelu pod baldachimem, a u wejścia ukazał się woźny.

— Najdostojniejszy panie! — zwrócił się do następcy. — Posel i pełnomocnik wielkiego króla Assara, znakomity Sargon i jego towarzysz, pobożny prorok Istubar, pragną powitać ciebie i złożyć cześć tobie, namiestnikowi i następcy faraona, który oby żył wiecznie!...

— Poproś tych dostojników, ażeby weszli i ucieszyli serce moje swym widokiem — odparł książę.

Ze szczękiem i brzękiem wszedł do sali Sargon, w długiej zielonej szacie, gęsto wyszytej złotem. Obok, w płaszczu śnieżnej białości, kroczył pobożny Istubar, a za nimi strojni panowie asyryjscy nieśli dary dla księcia.

Sargon zbliżył się do podwyższenia i rzekł w języku asyryjskim, co natychmiast tłumacz powtórzył w egipskim:

— Ja, Sargon, wódz, satrapa i powinowaty najpotężniejszego króla Assara, przychodzę pozdrowić cię, namiestniku najpotężniejszego faraona, i na znak wiecznej przyjaźni ofiarować ci dary...

Następca oparł dłonie na kolanach i siedział nieporuszony jak posągi jego królewskich przodków.

— Tłumaczu — rzekł Sargon — czy źle powtórzyłeś księciu moje uprzejme powitanie?

Mentezufis stojący obok wzniesienia pochylił się ku Ramzesowi.

— Panie — szepnął — dostojny Sargon czeka na łaskawą odpowiedź...

— Więc mu odpowiedz — wybuchnął książę — iż nie rozumiem, na mocy jakiego prawa przemawia do mnie niby równy mi dostojestwem?...

Mentezufis zmieszał się, co jeszcze więcej rozgniewało księcia, któremu wargi zaczęły drżeć i znowu zapłonęły oczy. Ale Chaldejczyk Istubar, rozumiejąc po egipsku, rzekł prędko do Sargona:

— Upadnijmy na twarz!...

— Dlaczego ja mam padać na twarz? — spytał oburzony Sargon.

— Upadnij, jeżeli nie chcesz stracić łaski naszego króla, a może i głowy...

To powiedziawszy, Istubar legł na posadzce jak długi, a obok niego Sargon.

— Dlaczego ja mam leżeć na moim brzuchu przed tym chłystkiem? — mruczał oburzony.

— Bo to namiestnik — odparł Istubar.

— A ja nie byłem namiestnikiem pana mego?...

— Ale on będzie królem, a ty nim nie będziesz.

— O co spierają się posłowie najpotężniejszego króla Assara? — zapytał już udobruchany książę tłumacza.

— O to, czy mają waszej dostojności pokazać dary, przeznaczone dla faraona, czy tylko oddać przesłane dla was — odparł zręczny tłumacz.

— Owszem, chcę widzieć dary dla mego świątobliwego ojca — rzekł książę — i pozwalam posłom wstać.

Sargon podniósł się, czerwony z gniewu czy zmęczenia, i usiadł, podwinąwszy pod siebie nogi, na podłodze.

— Nie wiedziałem — zawołał — że ja, krewny i pełnomocnik wielkiego Assara, będę musiał szatami moimi wycierać pył z posadzki egipskiego namiestnika!...

Mentezufis, który umiał po asyryjsku, nie pytając Ramzesa, kazał natychmiast przynieść dwie ławki pokryte dywanami, na których wnet zasiedli: zadyszany Sargon i spokojny Istubar.

Wysapawszy się, Sargon kazał podać wielki szklany puchar, stalowy miecz i przyprowadzić przed ganek dwa konie okryte złocistymi rzędami. A gdy spełniono jego rozkazy, podniósł się i z ukłonem rzekł do Ramzesa:

— Pan mój, król Assar, przysła ci, książę, parę cudnych koni, które oby nosiły cię tylko do zwycięstw. Przysła kielich, z którego niech zawsze radość sływa ci do serca, i — miecz, jakiego nie znajdziesz poza zbrojownią najpotężniejszego władcy.

Wydobył z pochwy dość długi miecz błyszczący niby srebro i począł zginać go w rękę. Miecz wygiął się jak łuk, a potem nagle wyprostował się.

— Zaiste! cudna to broń... — rzekł Ramzes.

— Jeżeli pozwolisz, namiestniku, okażę ci jeszcze inną jej zaletę — mówił Sargon, który, mogąc pochwalić się wyborną na owe czasy bronią asyryjską, zapomniał o gniewie.

Na jego żądanie jeden z egipskich oficerów wydobył swój miecz spiżowy i trzymał go jak do ataku. Wtedy Sargon podniósł miecz stalowy, uderzył i odciął kawałek broni przeciwnika.

W sali rozległ się szmer zdziwienia, a na twarz Ramzesa wystąpiły silne rumieńce.

„Ten cudzoziemiec — myślał książę — odebrał mi byka w cyrku, chce ożenić się z Kamą i pokazuje mi broń, która kraje nasze miecze jak wióry!...”

I jeszcze gorszą poczuł nienawiść do króla Assara, do wszystkich Asyryjczyków w ogóle, a do Sargona w szczególności.

Mimo to usiłował panować nad sobą i z całą uprzejmością poprosił posła o pokazanie mu darów dla faraona.

Wnet przyniesiono ogromne paki z wonnego drzewa, z których wyżsi urzędnicy asyryjscy wydobywali sztuki wzorzystych materii, puchary, dzbany, stalową broń, łuki z rogów koziorożca, złociste zbroje i puklerze wysadzane drogimi kamieniami.

Najwspanialszym jednak darem był model pałacu króla Assara, wyrobiony ze srebra i złota. Wyglądał on jak cztery gmachy, coraz mniejsze, postawione jeden na drugim, z których każdy był otoczony gęsto kolumnami, a zamiast dachu posiadał taras. Każdego wejścia pilnowały lwy albo skrzydlate byki z ludzkimi głowami. Po obu stronach schodów stały posągi lenników króla niosących dary, po obu stronach mostu były rzeźbione konie w najrozmaitszych postawach. Sargon odsunął jedną ścianę modelu i ukazały się bogate pokoje wypełnione bezcennymi sprzętami. Szczególny zaś podziw obudziła sala audiencyjna, gdzie znajdowały się figurki przedstawiające króla na wysokim tronie tudzież jego dworzan, żołnierzy i lenników składających hołdy.

Cały model miał długość dwu ludzi, a wysokość prawie wzrostu człowieka. Egipcjanie szepotali, że ten jeden dar króla Assara wart był ze sto pięćdziesiąt talentów.

Kiedy wyniesiono paki, namiestnik zaprosił obu posłów i ich orszak na ucztę, podczas której goście byli sowicie obdarowani. Ramzes tak daleko posunął swoją uprzejmość, że gdy Sargonowi podobała się jedna z kobiet następcy, książę darował ją posłowi, rozumie się za jej zgodą i przyzwoleniem jej matki.

Był więc grzeczny i hojny, ale czoła swego nie rozchmurzył. A gdy Tutmozis zapytał go: czy nie piękny pałac ma król Assar? — książę odpowiedział:

— Piękniejszymi wydałyby mi się jego gruzy na zgliszczach Niniwy...

Asyryjczycy przy uczcie byli bardzo powściągliwi. Mimo obfitości wina pili mało i nie więcej wydawali okrzyków. Sargon ani razu nie wybuchnął huczynym śmiechem, jak to

Broń



było w jego zwyczaju; przysłonił powiekami oczy, a w swym sercu głęboko rozmyślał.

Tylko dwaj kapłani, Chaldejczyk Istubar i Egipcjanin Mentezufis byli spokojni jak ludzie, którym dana jest wiedza przyszłości i władza nad nią.

## ROZDZIAŁ XI

Po przyjęciu u namiestnika Sargon zatrzymał się jeszcze w Pi-Bast, czekając na listy faraona z Memfisu, a jednocześnie między oficerami i szlachtą zaczęły na nowo krążyć dziwaczne pogłoski.

Fenicjanie opowiadali, pod największym rozumie się sekretem, że kapłani, nie wiadomo z jakiego powodu, nie tylko darowali Asyrii zaległe daniny, nie tylko uwolnili ją raz na zawsze od ich płacenia, ale nadto, ażeby ułatwić Asyryjczykom jakąś wojnę północną, zawarli z nimi traktat pokojowy na długie lata.

— Faraon — mówili Fenicjanie — aż mocniej zachorował dowiedziawszy się o ustępstwach robionych barbarzyńcom. Książę Ramzes martwi się i chodzi smutny, lecz obaj muszą ulegać kapłanom, nie będąc pewni uczuć szlachty i wojska.

To najwięcej oburzało egipską arystokrację.

— Jak to — szeptali między sobą zadłużeni magnaci — więc dynastia już nam nie ufa?... Więc kapłani uwzięli się, ażeby zhańbić i zrujnować Egipt?... Bo przecie jasne jest, że jeżeli Asyria ma wojnę gdzieś na dalekiej północy, to właśnie teraz trzeba ją napaść i zdobytymi łupami podźwignąć zubożały skarb królewski i arystokrację...

Ten i ów z młodych panów ośmielał się zapytywać następcy: co myśli o asyryjskich barbarzyńcach? Książę milczał, ale błysk jego oczu i zacięte usta dostatecznie wyrażały uczucia.

— Oczywiście — szeptali panowie w dalszym ciągu — że dynastia jest opętana przez kapłanów, nie ufa szlachcie, Egipcjowi zaś grożą wielkie nieszczęścia...

Ciche gniewy prędko zamieniły się w ciche narady mające nawet pozór spisku. Ale choć bardzo wiele osób brało w tym udział, pewny siebie czy zaślepiony stan kapłański nic o nich nie wiedział, a Sargon, choć przeczuwał nienawiść, nie przywiązywał do niej wagi.

Poznał on, że książę Ramzes jest mu niechętny, ale przypisywał to wypadkowi w cyrku, a więcej — zazdrości o Kamę. Ufny jednak w swoją poselską nietykalność, pił, uczłował i prawie co wieczór wymykał się do fenickiej kapłanki, która coraz łaskawiej przyjmowała jego zaloty i dary.

Taki był nastrój kół najwyższych, gdy pewnej nocy wpadł do mieszkania Ramzesa święty Mentezufis i oświadczył, że natychmiast musi zobaczyć się z księciem.

Dworzanie odpowiedzieli, że u księcia znajduje się jedna z jego kobiet, że więc nie śmiają niepokoić swego pana. Lecz gdy Mentezufis coraz natarczywiej nalegał, wywołali następcę.

Książę po chwili ukazał się, nawet nierozgniewany.

— Cóż to — zapytał kapłana — czy mamy wojnę, że wasza cześć trudzisz się do mnie o tak późnej porze?

Mentezufis pilnie przypatrzył się Ramzesowi i głęboko odetchnął.

— Książę nie wychodziłeś cały wieczór? — zapytał.

— Ani na krok.

— Więc mogę dać na to kapłańskie przyrzeczenie?

Następca zdziwił się.

— Zdaje mi się — odparł dumnie — że twoje słowo już nie jest potrzebne, gdy ja dałem moje. Cóż to znaczy?...

Wyszli do osobnego pokoju.

— Czy wiesz, panie — mówił wzburzony kapłan — co zdarzyło się może przed godziną. Jego dostojność Sargona jacyś młodzieńcy napadli i obili kijami...

— Jacy?... gdzie?...

— Pod willą fenickiej kapłanki, nazwiskiem Kamy — ciągnął Mentezufis, pilnie śledząc fizjognomię następcy.

— Odważne chłopaki! — odparł książę, wzruszając ramionami. — Napadać takiego siłacza!... Przypuszczam, że musiała tam pęknąć niejedna kość.

— Ale napadać posła... Uważ, dostojny panie, posła, którego osłania majestat Asyrii i Egiptu... — mówił kapłan.

— Ho! ho!... — roześmiał się książę. — Więc król Assar wysła swoich posłów nawet do fenickich tancerek?...

Mentezufis stropił się. Nagle uderzył się w czoło i zawołał również ze śmiechem:

— Patrz, książę, jaki ze mnie prostak, nieoswojony z politycznymi ceremoniami. Wszakże ja zapomniałem, że Sargon włóczący się po nocach około domu podejrzanej kobiety nie jest posłem, ale zwyczajnym człowiekiem!...

Lecz po chwili dodał:

— W każdym razie niedobrze się stało... Sargon może nabrać do nas niechęci...

— Kapłanie!... kapłanie!... — zawołał książę, kiwając głową. — Ty zapominasz daleko ważniejszej rzeczy, iż Egipt nie potrzebuje ani lękać się, ani nawet dbać o dobre lub złe usposobienie dla niego nie tylko Sargona, ale nawet króla Assara...

Mentezufis był tak zmieszany trafnością uwag królewskiego młodzieńca, że zamiast odpowiedzieć kłaniał się mrużąc:

— Bogowie obdarzyli cię, książę, mądrością arcykapłanów... niechaj imię ich będzie błogosławione!... Już chciałem wydać rozkazy, aby poszukano i osądzono tych młodych awanturników; lecz teraz wolę zasięgnąć twojej rady, bo jesteś mędrce nad mędrce.

Powiedz zatem, panie, co mamy począć z Sargonem i tymi zuchwalcami?...

— Przede wszystkim zaczekać do jutra — odparł następca. — Jako kapłan, wiesz najlepiej, że boski sen często przynosi dobre rady.

— A jeżeli i do jutra nic nie obmyślę? — pytał Mentezufis.

— W każdym razie ja odwiedzę Sargona i postaram się zatrzeć w jego pamięci ten drobny wypadek.

Kapłan pożegnał Ramzesa z oznakami czci. Zaś wracając do siebie, myślał:

„Serce dam sobie wydrzeć z piersi, że do tego nie należał książę: ani sam bił, ani namawiał, a nawet nie wiedział o wypadku. Kto tak chłodno i trafnie sądzi sprawę, nie może być współwinnym. A w takim razie mogę zacząć śledztwo i jeżeli nie ułagodzimy kudłatego barbarzyńcy, oddam zawadiaków pod sąd. Piękny traktat przyjaźni między dwoma państwami, który zaczyna się sponiewieraniem posła!...”

Nazajutrz wspaniały Sargon do południa leżał na wołokowym posłaniu, co wreszcie zdarzało mu się dosyć często, bo po każdej pijatyce. Obok niego, na niskiej sofie siedział pobożny Istubar, z oczyma utkwionymi w sufit, szepcząc modlitwy.

— Istubarze — westchnął dostojnik — czy jesteś pewny, że nikt z naszego dworu nie wie o moim nieszczęściu?

— Któż może wiedzieć, jeżeli cię nikt nie widział?

— Ale Egipcjanie!... — jęknął Sargon.

— Z Egipcjan wie o tym Mentezufis i książę, no i ci szaleńcy, którzy zapewne długo będą pamiętali twoje pięści.

— Może trochę... może!... Ale zdaje mi się, że był między nimi następca i ma nos rozbity, jeżeli nie złamany...

— Następca ma cały nos i on tam nie był, zapewniam cię.

— W takim razie — wzdychał Sargon — powinien książę kilku z nich wbić na pal. Przecież ja poseł!... ciało moje jest święte...

— A ja mówię ci — radził Istubar — wyrzucić z serca twego i nawet nie skarż się. Bo gdy hultaje pójdą pod sąd, cały świat dowie się, że poseł najdostojniejszego króla Assara wdaje się z Fenicjanami, a co gorsza, odwiedza ich samotny wśród nocy. Co zaś odpowiesz, gdy twój śmiertelny wróg, kanclerz Lik-Bagus zapyta cię: „Sargonie, z jakimiż to widywałeś się Fenicjanami i o czym mówiłeś z nimi pod ich świątynią wśród nocy?...”

Sargon wzdychał, jeżeli można wzdychaniem nazwać odgłosy podobne do mrużenia lwa.

Wtem wpadł jeden z oficerów asyryjskich. Ukłęknął, uderzył czołem o podłogę i rzekł do Sargona:

— Światło żrenic pana naszego!... Przed gankiem pełno magnatów i dostojników egipskich, a na ich czele sam następca tronu... Chce tu wejść, widocznie z zamiarem złożenia ci holdu...

Lecz, nim Sargon zdążył wydać polecenie, we drzwiach komnaty ukazał się książę. Odepchnął olbrzymiego Asyryjczyka, który trzymał wartę, i szybko zbliżył się do wojłoków, kędy zmieszany poseł, szeroko otworzywszy oczy, nie wiedział, co robić ze sobą: uciec nago do innej izby czy schować się pod pościel?

Na progu stało kilku oficerów asyryjskich, zdumionych wtargnięciem następcy wbrew wszelkiej etyki. Ale Istubar dał im znak i znikli za kotarą.

Książę był sam; zostawił świtę na dziedzińcu.

— Bądź pozdrowiony — rzekł — pośle wielkiego króla i gościu faraona. Przyszedłem odwiedzić cię i spytać: czy nie masz jakich potrzeb? Jeżeli zaś pozwoli ci czas i ochota, chcę, ażebyś w moim towarzystwie, na koniu ze stajni mego ojca, przejechał się po mieście, otoczony naszą świtą. Jak przystało na posła potężnego Assara, który oby żył wiecznie!

Sargon słuchał, leżąc i nie rozumiejąc ani słowa. Gdy zaś Istubar przetłumaczył mu mowę księcia, poseł wpadł w taki zachwyt, że zaczął bić głową o wojłoki powtarzając wyrazy: „Assar i Ramzes”.

Kiedy uspokoił się i przeprosił księcia za nędzny stan, w jakim go znalazł gość tak znakomity i dostojny, dodał:

— Nie miej za złe, o panie, że ziemny robak i podnózek tronu, jakim ja jestem, w tak niezwykle sposób okazuje radość z twego przybycia. Ale ucieszyłem się podwójnie. Raz, że spadł na mnie nadziemski zaszczyt, po wtóre — żem myślał w moim głupim i nikczemnym sercu, iż to ty, panie, byłeś sprawcą mojej wczorajszej niedoli. Zdawało mi się, że między kijami, które spadały na moje plecy, czuję twój kij, zaprawdę tęgo bijący!...

Spokojny Istubar, wyraz po wyrazie, przetłumaczył to księciu. Na co następcza z iście królewską godnością odparł:

— Omyliłeś się, Sargonie. Gdyby nie to, żeś sam poznał swój błąd, kazałbym ci natychmiast wyliczyć pięćdziesiąt kijów, ażebyś zapamiętał, że tacy jak ja nie napadają jednego człowieka gromadą ani po nocy.

Zanim światły Istubar dokończył tłumaczenia tej odpowiedzi, już Sargon przypelznął do księcia i objął jego nogi, wołając:

— Wielki pan!... wielki król!... Chwała Egipcjom, że posiada takiego władcę.

A na to znowu książę:

— Więcej powiem ci, Sargonie. Jeżeli zostałeś napadnięty wczoraj, zapewniam cię, że nie uczynił tego żaden z moich dworzan. Sądzę bowiem, że taki, jakim jesteś, mocarz musiał niejednemu rozbić czaszkę. Zaś moi bliscy są zdrowi.

— Prawdę rzekł i mądrze powiedział! — szepnął Sargon do Istubara.

— Lecz jakkolwiek — ciągnął książę — szpetny czyn stał się nie z mojej i mego dworu winy, jednak czuję się w obowiązku osłabić twój żal do miasta, w którym cię tak niegodnie przyjęto. Dlatego osobiście nawiedziłem twoją sypialnię, dlatego otwieram ci mój dom o każdej porze, ile razy zechcesz mnie odwiedzić. Dlatego... proszę cię, abyś przyjął ode mnie ten mały dar...

To mówiąc, książę sięgnął za tunikę i wydobyl łańcuch wysadzany rubinami i szafirami.

Olbrzymi Sargon aż zapłakał, co wzruszyło księcia, lecz nie rozczuliło obojętności Istubara. Kapłan wiedział, że Sargon ma lzy, radość i gniew na każde zawołanie, jako poseł mądrego króla.

Namiestnik posiedział jeszcze chwilę i pożegnał posła. Zaś wychodząc pomyślał, że jednak Asyryjczycy, pomimo barbarzyństwa, nie są złymi ludźmi, skoro umieją odczuć wspaniałomyślność.

Sargon zaś był tak podniecony, że kazał natychmiast przynieść wina i pił, pił od południa aż do wieczora.

Dobrze po zachodzie słońca kapłan Istubar wyszedł na chwilę z komnaty Sargona i — niebawem wrócił, ale ukrytymi drzwiami. Za nim ukazali się dwaj ludzie w ciemnych płaszczach. Gdy zaś odsunęli z twarzy kaptury, Sargon poznał w jednym arcykapłana Mefresa, w drugim proroka Mentezufisa.

— Przynosimy ci, dostojny pełnomocniku, dobrą nowinę — rzekł Mefres.

— Obym mógł wam udzielić podobnej! — zawołał Sargon. — Siadajcie, święci i dostojni mężowie. A choć mam zaczerwienione oczy, mówcie do mnie, jak gdybym był

Pozory

zupełnie trzeźwy... Bo ja i po pijanemu mam rozum, może nawet lepszy... Prawda, Istubarze?...

— Mówcie — poparł go Chaldeczyk.

— Dziś — zabrał głos Mentezufis — otrzymałem list od najdostojniejszego ministra Herhora. Píše nam, że jego świątobliwość faraon (oby żył wiecznie!) oczekuje na wasze poselstwo w swym cudownym pałacu pod Memfisem i że jego świątobliwość (oby żył wiecznie!) jest dobrze usposobiony do zawarcia z wami traktatu.

Sargon chwiał się na wołokowych materacach, ale oczy miał prawie przytomne.

— Pojadę — odparł — do jego świątobliwości faraona (oby żył wiecznie!), położę w imieniu pana mego pieczęć na traktacie, byle był spisany na ceglach, klinowym piśmem... bo ja waszego nie rozumiem... Będę leżał choćby cały dzień na brzuchu przed jego świątobliwością (oby żył wiecznie!) i traktat podpiszę... Ale jak wy go tam wykonacie... cha!... cha!... cha!... tego już nie wiem... — zakończył grubym śmiechem.

— Jak śmiesz, sługo wielkiego Assara, wątpić o dobrej woli i wierze naszego władcy?... — zawołał Mentezufis.

Sargon nieco wytrzeźwiał.

— Ja nie mówię o jego świątobliwości — odparł — ale o następcy tronu...

— Jest to pełen mądrości młodzian, który bez wahania wykona wolę ojca i najwyższej rady kapłańskiej — rzekł Mefres.

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się znowu pijany barbarzyńca. — Wasz książę... o bogowie, powykręcajcie mi stawy członków, jeżeli mówię nieprawdę, że chciałbym, ażeby Asyria miała takiego następcę...

Nasz asyryjski następca to mędrzec, to kapłan... On, zanim wybierze się na wojnę, zagląda naprzód w gwiazdy na niebie, później kurom pod ogony... Zaś wasz zobaczyłby: ile ma wojska? dowiedziałby się: gdzie obozuje nieprzyjaciel? I spadłby mu na kark jak orzeł na barana. Oto wódz!... oto król!... On nie z tych, którzy słuchają rady kapłanów... On radzić się będzie własnego miecza, a wy musicie spełniać jego rozkazy...

I dlatego, choć podpiszę z wami traktat, opowiem memu panu, że poza chorym królem i mądrymi kapłanami kryje się tu młody następca tronu, lew i byk w jednej osobie... który ma miody w ustach, a pioruny w sercu...

— I powiesz nieprawdę — wtrącił Mentezufis. — Bo nasz książę, aczkolwiek popędliwy i trochę hulaka, jak zwyczajnie młody, umie jednak uszanować i radę mędrców, i najwyższe urzędy w kraju.

Sargon pokiwał głową.

— Oj, wy mędrzy!... uczeni w piśmie!... znawcy gwiazdowych obrotów!... — mówił szydząc. — Ja prostak, zwyczajny sobie jenerał<sup>60</sup>, który bez pieczęci nie zawsze umiałbym wyłobić moje nazwisko... Wy mędrzy, ja prostak, ale na brodę mego króla, nie zamieniłbym się na waszą mądrość...

Bo wy jesteście ludźmi, dla których otworzył się świat cegieł i papirusów, ale zamknął się ten prawdziwy, na którym wszyscy żyjemy... Ja prostak! Ale ja mam psi węc. A jak pies z dala wyczuje niedźwiedzia, tak ja moim zaczerwienionym nosem poznam bohatera.

Wy będziecie radzić księciu!... Ależ on was już dzisiaj zaczarował jak wąż gołębie. Ja przynajmniej nie oszukuję samego siebie, i choć książę jest dla mnie dobry jak ojciec rodzony, czuję przez skórę, że mnie i moich Asyryjczyków nienawidzi jak tygrys słonia... Cha!... cha!... Dajcie mu tylko armię, a za trzy miesiące stanie pod Niniwą, byle w drodze rodzili mu się żołnierze, zamiast ginąć...

— Choćbyś mówił prawdę — przerwał Mentezufis — choćby książę chciał iść pod Niniwę, nie pójdzie.

— A któż go powstrzyma, gdy zostanie faraonem?

— My.

— Wy?... wy!... Cha! cha! cha!... — śmiał się Sargon. — Wy wciąż myślicie, że ten młodzik nawet nie przeczuwa naszego traktatu... A ja... a ja... cha!... cha!... cha!... ja pozwolę się obedrzeć ze skóry i wbić na pal, że on już wszystko wie.

Czyliż Fenicjanie byłiby tak spokojni, gdyby nie mieli pewności, że młody lew egipski zasłoni ich przed asyryjskim bykiem?

<sup>60</sup>jenerał — dziś: generał. [przypis edytorski]

Mentezufis i Mefres spojrzeli na siebie ukradkiem. Ich prawie przeraził geniusz barbarzyńcy, który śmiało wypowiadał to, czego oni wcale nie brali pod rachunek.

I rzeczywiście: co by też było, gdyby następca tronu odgadł ich zamiary, a nawet chciał je powikłać?...

Lecz z chwilowego kłopotu wybawił ich milczący dotychczas Istubar.

— Sargonie — rzekł — mieszasz się w nie swoje sprawy. Twoim obowiązkiem jest zawrzeć z Egiptem traktat, jakiego chce pan nasz. A co wie, czego nie wie, co zrobi, a czego nie zrobi ich następca tronu, to już nie twoja sprawa. Skoro najwyższa, wiecznie żyjąca rada kapłanów zapewnia nas, traktat będzie wykonany. Jakim zaś robi się to sposobem? nie naszej głowy rzecz.

Oschły ton, z jakim wypowiedział to Istubar, uspokoił rozhukaną wesołość asyryjskiego pełnomocnika, Sargon pokiwał głową i mruknął:

— W takim razie szkoda chłopca!... Wielki to wojownik, wspaniałomyślny pan...

## ROZDZIAŁ XII

Po wizycie u Sargona dwaj święci mężowie, Mefres i Mentezufis, okrywszy się starannie burnusami, wracali zamyśleni do domu.

— Kto wie — rzekł Mentezufis — czy ten pijak Sargon nie ma słuszności co do naszego następcy?...

— W takim razie Istubar będzie miał lepszą słuszność — twardo odpowiedział Mefres.

— Jednak nie uprzedzajmy się. Trzeba pierwej wy badać księcia — odparł Mentezufis.

— Uczyni to, wasza cześć.

Istotnie nazajutrz obaj kapłani, z bardzo poważnymi minami, przyszedli do następcy, przysząc go o poufną rozmowę.

— Cóż się stało? — zapytał książę — czy znowu jego dostojność Sargon odbył jakie nocne poselstwo?

— Niestety, nie chodzi nam o Sargona — odparł arcykapłan. — Ale... między ludem krąży pogłoski, że ty, najdostojniejszy panie, utrzymujesz ściśle stosunki z niewiernymi Fenicjanami...

Po tych słowach książę zaczął już domyślać się celu wizyty proroków i krew w nim zakipiała. Lecz jednocześnie ocenił, że jest to początek gry między nim a stanem kapłańskim, i jak przystało na królewskiego syna, opanował się w jednej chwili. Jego twarz przybrała wyraz zaciekawionej naiwności.

— A Fenicjanie to niebezpieczni ludzie, urodzeni wrogowie państwa!... — dodał Mefres.

Następca uśmiechnął się.

— Gdybyście wy, święci mężowie — odparł — pożyczali mi pieniędzy i mieli przy świątyniach ładne dziewczęta, z wami musiałbym się widywać częściej. A tak z biedy muszę przyjaźnić się z Fenicjanami!

— Mówią, że wasza dostojność odwiedzasz w nocy tę Fenicjankę...

— I muszę tak robić, dopóki dziewczyna, nabrawszy rozumu, nie przeprowadzi się do mego domu. Ale nie bójcie się, chodzę z mieczem i gdyby mi kto zastąpił drogę...

— Przez tę jednak Fenicjankę nabrałeś, wasza dostojność, wstrętu do pełnomocnika asyryjskiego króla.

— Wcale nie przez nią, tylko że Sargon śmierdzi lojem... Wreszcie do czego to prowadzi?... Wy, święci ojcowie, nie jesteście dozorcami moich kobiet; sądzę, że dostojny Sargon nie powierzył wam swoich, więc — czego chcecie?...

Mefres tak zmieszał się, że aż na wygolonym czole zapłonął mu rumieniec.

— Rzekłeś, wasza dostojność, prawdę — odparł — że nie do nas należą wasze miłości i sposoby, jakich do tego używacie. Ale... jest rzecz gorsza: lud dziwi się, że chytry Hiram tak łatwo pożyczyl wam sto talentów, nawet bez zastawu...

Księżciu drgnęły usta, lecz znowu rzekł spokojnie:

— Nie moja wina, że Hiram więcej ufa memu słowu aniżeli egipscy bogacze! On wie, że raczej wyrzekłbym się mojej zbroi po dziadzie, niż nie zapłacił mu tego, com winien. A zdaje się, że i o procent musi być spokojny, gdyż wcale mi o nim nie wspominał.

Nie myślę taić przed wami, święci mężowie, że Fenicjanie mają więcej zręczności od Egipcjan. Nasz bogacz, zanimby mi pożyczył sto talentów, robiłby surowe miny, nastękałby się, wytrzymał mnie z miesiąc, a w końcu wziąłby ogromny zastaw i jeszcze większy procent. Zaś Fenicjanie, którzy lepiej znają serca książąt, dają nam pieniądze nawet bez sędziego i świadków.

Arcykapłan był tak zirytowany spokojnym szyderstwem Ramzesa, że umilkł i zaciął usta. Wyręczył go Mentezufis, zapytawszy nagle:

— Co byś, wasza dostojność, rzekł, gdybyśmy zawarli z Asyrią traktat oddający jej północną Azję razem z Fenicją?...

Mówiąc tak, utkwiał oczy w twarz następcy. Ale książę odparł całkiem spokojnie:

— Powiedziałbym, że tylko zdrajcy mogliby namawiać faraona do podobnego traktatu.

Obaj kapłani poruszyli się: Mefres podniósł ręce do góry, Mentezufis zacisnął pięści.

— A gdyby wymagało tego bezpieczeństwo państwa?... — nalegał Mentezufis.

— Czego wy ode mnie chcecie?... — wybuchnął książę. — Wtrącacie się do moich długów i kobiet, otaczacie mnie szpiegami, ośmielacie się robić mi wymówki, a teraz jeszcze zadajecie mi jakieś podstępne pytanie. Otóż mówię wam: ja, choćbyście mnie mieli otruć, nie podpisałbym takiego traktatu... Na szczęście, nie zależy to ode mnie, tylko od jego świątobliwości, którego wolę wszyscy musimy spełniać.

— Więc cóż byś zrobił, wasza dostojność, będąc faraonem?...

— To, czego wymagałaby cześć i interes państwa.

— O tym nie wątpię — rzekł Mentezufis. — Ale co wasza dostojność — uważasz za interes państwa?... Gdzie mamy szukać wskazówek?...

— A od czegoż jest najwyższa rada?... — zawołał książę, tym razem z udanym gniewem. — Powiadacie, że składa się z samych mędrców... Więc niechby oni wzięli na swoją odpowiedzialność traktat, który ja uważam za hańbę i zgubę Egiptu...

— Skądże wiesz, wasza dostojność — odparł Mentezufis — że właśnie tak nie postąpił wasz boski rodzic?...

— Więc po co wy mnie o to pytacie?... Co to za śledztwo?... Kto wam daje prawo zaglądać w głąb mego serca...

Ramzes udawał tak mocno oburzonego, że aż uspokoił się obaj kapłani.

— Mówisz, książę — odezwał się Mefres — jak przystało na dobrego Egipcjanina. Przecie i nas bolalby podobny traktat, ale bezpieczeństwo państwa niekiedy wymaga chwilowego poddania się okolicznościom...

— Ale co was zmusza do tego?... — wołał książę. — Czy przegraliśmy wielką bitwę, czy już nie mamy wojsk?...

— Wioślarzami okrętu, na którym Egipt płynie przez rzekę wieczności, są bogowie — odparł uroczystym tonem arcykapłan — a sternikiem Najwyższy Pan wszelkiego stworzenia. Nieraz zatrzymują oni albo i skręcają statek, ażeby ominąć niebezpieczne wiry, których my nawet nie dostrzegamy. W takich wypadkach z naszej strony potrzebną jest tylko cierpliwość i posłuszeństwo, za które wcześniej lub później spotyka nas hojna nagroda przewyższająca wszystko, co może wymyślić śmiertelny człowiek.

Po tej uwadze kapłani pożegnali księcia, pełni otuchy, że choć gniewa się na traktat, lecz go nie złamie i zapewni Egipcjowi czas potrzebnego mu spokoju. Po ich odejściu Ramzes wezwał do siebie Tutmozisa. A gdy znalazł się sam na sam z ulubieńcem, długo hamowany gniew i żal wybuchnął. Książę rzucił się na kanapę, wił się jak wąż, uderzał pięściami w głowę i płakał.

Wylękniony Tutmozis czekał, aż księcia ominie atak wściekłości. Następnie podał mu wody z winem, okadził go kojącymi wonnościami, wreszcie usiadł przy nim i zapytał o przyczynę niemęskiej rozpaczki.

— Siądź tu — rzekł następcą, nie podnosząc się. — Czy wiesz, dzisiaj jestem już pewny tego, że nasi kapłani zawarli z Asyrią jakiś haniebny traktat... Bez wojny, nawet bez żadnych żądań z tamtej strony!... Czy domyślasz się, ile tracimy?...

— Mówił mi Dagon, że Asyria chce zagarnąć Fenicję. Lecz Fenicjanie już mniej są zatrwożeni, gdyż król Assar ma wojnę na północno-wschodnich granicach. Siedzą tam ludy bardzo waleczne i mnogie, więc nie wiadomo, jak skończy się wyprawa. W każdym

razie Fenicjanie będą mieli parę lat spokoju, co im wystarczy do przygotowania obrony i znalezienia sprzymierzeńców...

Księżę niecierpliwie machnął ręką.

— Oto widzisz — przerwał Tutmozisowi — nawet Fenicja uzbroi się, a może i wszystkich sąsiadów, którzy ją otaczają. Na wszelki zaś sposób my stracimy choćby tylko zaległe daniny z Azji, które wynoszą — czy słyszałeś co podobnego?... — wynoszą przeszło sto tysięcy talentów!...

Sto tysięcy talentów... — powtórzył księżę. — O bogowie! ależ taka suma od razu wypełniłaby skarb faraona... A gdybyśmy jeszcze napadli Asyrię w porze właściwej, w samej Niniwie, w samym pałacu Assara, znaleźlibyśmy niewyczerpane skarby...

Pomyśl teraz: ilu moglibyśmy zabrać niewolników?... Pół miliona... milion ludzi olbrzymio silnych, a tak dzikich, że niewola w Egipcie, że najcięższa praca przy kanałach lub w kopalniach wydałaby się im zabawką...

Płodność ziemi podniosłaby się w ciągu kilku lat, wynędzniały nasz lud odpocząłby i zanim umarłby ostatni niewolnik, już państwo odzyskałoby dawną potęgę i bogactwa...

I to wszystko zniweczą kapłani za pomocą kilku zapisanych blach srebrnych i kilku cegieł pociętych znakami w formie strzał, których nikt z nas nie rozumie!...

Wysłuchawszy żalów księcia, Tutmozis podniósł się z krzesła, z uwagą przejrzał sąsiednie komnaty, czy kto w nich nie podsłuchuje, potem znowu usiadł przy Ramzesie i zaczął szeptać:

— Bądź dobrej myśli, panie! O ile wiem, cała arystokracja, wszyscy nomarchowie, wszyscy wyżsi oficerowie słyszeli coś o tym traktacie i są oburzeni. Daj więc tylko znak, a rozbijemy traktatowe cegły na łbach Sargona, nawet Assara...

— Ależ to byłby bunt przeciw jego świątobliwości... — równie cicho odparł księżę.

Tutmozis zrobił smutną miną.

— Nie chciałbym — rzekł — zakrwawiać ci serca, ale... twój, równy najwyższemu bogom, ojciec jest ciężko chory.

— To nieprawda!... — zerwał się księżę.

— Prawda, tylko nie zdradz się, że wiesz o tym. Jego świątobliwość jest bardzo zmęczony pobytem na tej ziemi i już pragnie odejść. Lecz kapłani zatrzymują go, a ciebie nie wzywają do Memfisu, ażeby bez przeszkód podpisać umowę z Asyrią...

— Ależ to są zdrajcy!... zdrajcy!... — szeptał rozwścieczony księżę.

— Dlatego nie będziesz miał trudności z zerwaniem umowy, gdy obejmiesz władzę po ojcu (oby żył wiecznie!).

Księżę zadumał się.

— Łatwiej — rzekł — podpisać traktat aniżeli go zerwać...

— I zerwać łatwo! — uśmiechnął się Tutmozis. — Czyliż w Azji nie ma plemion niesfornych, które wpadną w nasze granice?... Czyliż boski Nitager nie czuwa ze swoją armią, aby odparł ich i przeniósł wojnę do ich krajów?... A czy myślisz, że Egipt nie znajdzie ludzi do oręża i skarbów na wojnę?... Pójdziemy wszyscy, bo każdy może coś zyskać i jako tako ubezpieczyć sobie życie... Skarby zaś leżą w świątyniach... A w Labiryntycie<sup>61</sup>...

— Kto je wydobędzie stamtąd! — wtrącił z powątpiewaniem księżę.

— Kto?... Każdy nomarcha, każdy oficer, każdy szlachcic robi to, byle miał rozkaz faraona, a... młodszy kapłani pokażą nam drogę do kryjówek...

— Nie ośmielą się... Kara bogów...

Tutmozis pogardliwie machnął ręką.

— Albożeśmy to chłopcy czy pastuchy, ażeby lękać się bogów, z których drwią Żydzi, Fenicjanie i Grecy, a lada najemny żołnierz znieważa ich bezkarnie.

Kapłani to wymyślili brednie o bogach, w których sami nie wierzą. Przecie wiesz, że w świątyniach uznają tylko Jedyne... Oni też robią cuda, z których się śmieją... Chłop po dawnemu bije czołem przed posągami. Ale już robotnicy wątpią o wszechmocności

<sup>61</sup>Labirynt — opisywana przez starożytnych historyków ogromna, skomplikowana budowla w oazie Fajum. Podobno liczyła 3000 w zawiły sposób połączonych pomieszczeń. Według Herodota połowa z nich znajdowała się pod ziemią, chowano w nich zmarłych władców oraz święte krokodyle. W XIX wieku we wskazanej okolicy odkryto szczątki otoczonego murem wielkiego kompleksu architektonicznego w sąsiedztwie piramidy Amenemhata III (ok.1860–1814 p.n.e.). Prawdopodobnie była to towarzysząca piramidzie świątynia grobowa. [przypis edytorski]

Ozyrysa, Horusa i Seta, pisarze oszukują bogów w rachunkach, a kapłani posługują się nimi jak łańcuchem i zamkiem do zabezpieczenia swoich skarbów.

Oho! minęły te czasy — ciągnął Tutmozis — kiedy cały Egipt wierzył we wszystko, co mu donoszono ze świątyń. Dziś my obrażamy bogów fenickich, Fenicjanie naszych, i jakoś na nikogo nie spadają pioruny...

Namiestnik uważnie przypatrywał się Tutmozisowi.

— Skąd tobie takie myśli przychodzą do głowy? — spytał. — Wszakże nie tak dawno bladłeś na wzmiankę o kapłanach...

— Bo byłem jeden. Ale dziś, gdym poznał, że cała szlachta ma to samo rozumienie, co ja, jest mi różniej...

— A kto szlachcie i tobie mówił o traktatach z Asyrią?

— Dagon i inni Fenicjanie — odparł Tutmozis. — Oni nawet ofiarowali się, gdy przyjdzie czas, podbuntować azjatyckie plemiona, aby nasze wojska miały pozór do przekroczenia granic. A gdy raz wyjdziemy na drogę do Niniwy, Fenicjanie i ich sprzymierzeńcy połączą się z nami... I będziesz miał armię, jakiej nie posiadał Ramzes Wielki!...

Księżciu nie podobała się ta gorliwość Fenicjan; zamilczał jednak o niej. Natomiast spytał:

— A co będzie, jeżeli kapłani dowiedzą się o waszych gadaninach?... Zaprawdę żaden z was nie uniknie śmierci!

— O niczym nie dowiedzą się — wesoło odparł Tutmozis. — Znadto ufają swej potędze, źle płacą szpiegom i zniechęcili cały Egipt swoją chciwością i pychą. Toteż arystokracja, wojsko, pisarze, robotnicy, nawet niżsi kapłani tylko czekają hasła, ażeby wpaść do świątyń, zabrać skarby i złożyć je u stóp tronu. Gdy im zaś skarbów zabraknie, święci mężowie utracą wszelką władzę. Nawet przestaną robić cuda, bo i do tego potrzebne są złote pierścienie...

Księżę skierował rozmowę na inne przedmioty, wreszcie dał znak Tutmozisowi, że może odejść.

Gdy został sam, począł rozmyślać.

Byłby zachwycony wrogim usposobieniem szlachty do kapłanów i wojowniczymi instynktami najwyższych klas, gdyby zapal nie wybuchnął tak nagle i gdyby poza nim nie ukrywali się Fenicjanie.

To kazało następcy być ostrożnym; rozumiał bowiem, że w sprawach Egiptu lepiej ufać patriotyzmowi kapłanów aniżeli przyjaźni Fenicjan.

Lecz przypomniał sobie słowa ojca, że Fenicjanie są prawdomówni i wierni, gdy chodzi o ich interes. Otóż bez kwestii Fenicjanie mieli wielki interes w tym, ażeby nie dostać się pod władzę Asyryjczyków. I można było polegać na nich jako na sprzymierzeńcach w razie wojny, gdyż przegrana Egipcjan odbiłaby się przede wszystkim na Fenicji.

Z drugiej strony Ramzes nie przypuszczał, że kapłani, nawet zawierając tak szpetny traktat z Asyrią, dopuszczali się zdrady. Nie, to nie byli zdrajcy, ale — rozleniwieni dygnitarze. Dogadza im pokój, gdyż wśród spokoju mnożą swoje skarby i rozszerzają władzę. Nie chcą wojny, gdyż wojna spotęgowałaby władzę faraona, a ich samych naraziłaby na ciężkie wydatki.

I stało się, że młody książę, pomimo braku doświadczenia, rozumiał, że musi być ostrożnym, nie śpieszyć się, nikogo nie potępiać, ale też i nikomu nie ufać zbyt mocno. On już postanowił wojnę z Asyrią, nie dlatego że pragnęła jej szlachta i Fenicjanie, lecz że Egipt potrzebował skarbów i niewolników.

Ale postanowiwszy wojnę, chciał działać rozważnie. Chciał powoli przekonać do niej stan kapłański, a dopiero w razie oporu — zgnieść go za pomocą wojska i szlachty.

I właśnie wówczas, gdy święty Mefres i Mentezufis żartowali z przepowiedni Sargona, że następca nie podda się kapłanom, ale ich zmusi do posłuszeństwa, już wówczas książę miał gotowy plan ujarzżenia ich i widział, jakie posiada do tego środki. Zaś chwilę rozpoczęcia walki i sposób przeprowadzenia jej pozostawiał przyszłości.

„Czas przynosi najlepsze rady!” — rzekł do siebie. Był spokojny i zadowolony jak człowiek, który po długim wahaniu wie, co ma robić, i posiada wiarę we własne siły. Toteż ażeby pozbyć się nawet śladów niedawnego wzburzenia, poszedł do Sary.

Zabawa z synkiem zawsze koila jego troski i pogodą napelniała mu serce.

Minął ogród, wszedł do willi swej pierwszej kochanki i zastał ją — znowu we łzach.



— O Saro! — zawołał — gdybyś miała Nil w twojej piersi, potrafiłabyś go wypłakać.  
— Już nie będę... — odparła, lecz jeszcze obfity strumień polał się z jej oczu.  
— Cóż to? — spytał książę — czy znowu sprowadziłaś sobie jakąś wróżkę, która straszy cię Fenicjankami?

— Nie Fenicjanek lękam się, ale Fenicji... — rzekła. — O, ty nie wiesz, panie, jacy to nikczemni ludzie...

— Pałą dzieci? — roześmiał się namiestnik.

— Myślisz, że nie?... — odpowiedziała, patrząc na niego wielkimi oczyma.

— Bajki! Wiem przecie od księcia Hiram, że to bajki!...

— Hiram?... — krzyknęła Sara. — Hiram, ależ to największy zbrodniarz... Spytaj mego ojca, o, on powie ci, panie, w jaki sposób Hiram zwabia na swoje statki młode dziewczęta dalekich krajów i — rozpiąwszy żagle, uwozi, aby je sprzedać... Była przecie u nas jasnowłosa niewolnica, którą porwał Hiram. Szalala z tęsknoty za swym krajem, ale nie umiała powiedzieć nawet, gdzie leży jej ojczyzna. I umarła!... Takim jest Hiram, takim nędzny Dagon i wszyscy ci nikczemnicy...

— Może być, ale co nas to obchodzi? — spytał książę.

— Bardzo wiele — mówiła Sara. — Ty, panie, słuchasz dzisiaj rad fenickich, a tymczasem nasi Żydzi wykryli, że Fenicja chce wywołać wojnę między Egiptem i Asyrią... Podobno nawet co najprzedniejsi kupcy i bankierzy fenicy zobowiązali się do tego strasznymi przysięgami...

— Na cóż im wojna?... — wtrącił książę z udaną obojętnością.

— Na co!... — zawołała Sara. — Będą wam i Asyryjczykom dostarczać broni, towarów i wiadomości, a za wszystko każą sobie dziesięć razy drożej płacić... Będą obdzierali poległych i ranionych obu stron... Będą od waszych i asyryjskich żołnierzy wykupywać zrabowane przedmioty i niewolników... Czyliż tego mało?... Egipt i Asyria zrujnują się, ale Fenicja pobuduje nowe składy na bogactwa.

— Któż ci wyłożył taką mądrość?... — uśmiechnął się książę.

— Alboż nie słyszę, jak mój ojciec, nasi krewni i znajomi szepczą o tym, trwożnie oglądając się, aby ich kto nie podsłuchał? Czyliż wreszcie ja nie znam Fenicjan? Przed tobą, panie, oni leżą na brzuchach i ty nie widzisz ich obłudnych spojrzeń, ale ja nieraz przypatrywałam się ich oczom, zielonym z chciwości albo żółtym z gniewu.

O, strzeż się, panie, Fenicjan jak jadowitej żmii!...

Ramzes patrzył na Sarę i mimo woli porównywał jej szczerą miłość — z wyrachowaniem Fenicjanki, jej tkliwe wybuchy — z podstępny chłodem Kamy.

„Zaprawdę! — myślał. — Fenicjanie są jadowitymi gadami. Ale jeżeli Ramzes Wielki posługiwał się na wojnie lwem, dlaczego ja przeciw wrogom Egiptu nie miałbym użyć żmii?”

I im plastyczniej wyobrażał sobie przewrotność Kamy, tym bardziej pożądał jej. Dusze bohaterskie niekiedy szukają niebezpieczeństw.

Pożegnał Sarę i nagle, nie wiadomo skąd, przypomniał sobie, że Sargon jego podejrzał o udział w napadzie.

Książę uderzył się w czoło.

— Czyby to ten mój sobowtór — rzekł — urządził bijatykę posłowi?... A w takim razie kto go namówił?... Chyba Fenicjanie?... A jeżeli oni chcieli do tak brudnej rzeczy wmieszać moją osobę, więc słusznie mówi Sara, że to są nikczemnicy, których powinienem się wystrzegać...

Znowu odezwał się w nim gniew i książę postanowił kwestię rozstrzygnąć natychmiast. A ponieważ właśnie zapadał wieczór, więc Ramzes, nie wstępując do siebie, poszedł do Kamy.

Mało obchodziło go, że może być poznany; na wypadek zaś niebezpieczeństwa miał przecie miecz...

W pałacyku kapłanki świeciło się, ale ze służby nikt nie kręcił się w przysionku.

„Dotychczas — pomyślał — Kama wyprawiała swoją służbę, kiedy ja miałem przyjść do niej. Dziś — czy przeczuwa mnie, czy może przyjmuje szczęśliwszego ode mnie kochanka?...”

Wszedł na piętro, stanął przed komnatą Fenicjanki i nagle odsunął kotarę. W pokoju była Kama i Hiram i o czymś szepkali.

— O!... w zły czas przychodzę... — roześmiał się następca. — Cóż to, i wy, książę, zalecacie się do kobiety, której pod karą śmierci nie wolno być łaskawą dla mężczyzny?

Hiram i kapłanka oboje zerwali się z taburetów<sup>62</sup>.

— Widocznie — rzekł Fenicjanin, kłaniając się — jakiś dobry duch ostrzegł cię, panie, że o tobie mówimy...

— Przygotowujecie mi jaką niespodziankę? — spytał namiestnik.

— Może!... Kto to wie?... — odparła Kama, patrząc na niego w sposób wyzywający.

Ale książę odparł chłodno:

— Oby ci, którzy zechcą nadal robić mi niespodzianki, nie zawadzili własną szyją o topór albo powróż... To by więcej ich zdziwiło aniżeli mnie ich postęпки.

Kamie uśmiech zastępnął na półotwartych ustach; Hiram poblądł i pokornie odezwał się:

— Czym zasłużyliśmy na gniew pana i opiekuna naszego?

— Chcę wiedzieć prawdę — rzekł książę, siadając i groźnie patrząc na Hiram. — Chcę wiedzieć: kto urządził napad na asyryjskiego posła i wmieszał w tę nikczemność człowieka tak podobnego do mnie, jak moja ręka prawa jest podobna do lewej.

— Widzisz, Kamo — odezwał się struchlały Hiram — mówiłem, że poufałość tego łotra do ciebie może sprowadzić wielkie nieszczęście... A oto masz!... Nawet nie czekaliśmy długo.

Fenicjanka rzuciła się do nóg księcia.

— Wszystko powiem — zawołała, jęcząc — tylko wyrzuć, panie, ze swego serca urazę do Fenicji... Mnie zabij, mnie uwięź, ale nie gniewaj się na nich.

— Kto napadł Sargona?

— Lykon, Grek, który śpiewa w naszej świątyni — odparła wciąż klęcząc Fenicjanka.

— Aha!... więc to on wtedy śpiewał pod twoim domem i on jest tak podobny do mnie?...

Hiram schylił głowę i położył rękę na sercu.

— Hojnie płaciliśmy temu człowiekowi — rzekł — za to, że jest podobnym do ciebie, panie... Sądziłem, że nędzna jego figura może przydać ci się na wypadek nieszczęścia...

— I przydał się!... — przerwał następca. — Gdzie on jest? Chcę widzieć tego doskonałego śpiewaka... ten mój żywy obraz...

Hiram rozłożył ręce.

— Uciekł, łotr, ale my go znajdziemy — odparł. — Chyba, że zamieni się w muchę albo glistę ziemną...

— A mnie przebaczysz, panie?... — szepnęła Fenicjanka, opierając się na kolanach księcia.

— Wiele przebacza się kobietom — rzekł następca.

— I wy nie będziecie mścili się na mnie?... — trwożnie zapytała Hiram.

— Fenicja — odparł starzec powoli i dobitnie — największy występki zapomni temu, kto posiadzie łaskę pana naszego, Ramzesa — oby żył wiecznie!...

Co się zaś tyczy Lykona — dodał, zwracając się do następcy — będziesz go miał, panie, żywym lub zmarłym...

To powiedziawszy, Hiram nisko uklonił się i opuścił pokój, zostawiając kapłankę z księciem.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy. Objął klęczącą Kamę i szepnął:

— Słyszałaś, co powiedział dostojny Hiram?... Fenicja zapomni ci największy występki!... Zaprawdę, ten człowiek jest mi wierny... A jeżeli on tak powiedział, jaką znajdziesz wymówkę?...

Kama całowała jego ręce, szepcząc:

— Zdobyłeś mnie... jestem twoją niewolnicą... Ale dziś zostaw mnie w spokoju... uszanuj dom, który należy do boskiej Astoreth...

— Więc przeprowadzisz się do mego pałacu? — spytał książę.

— O bogowie, co wyrzekłeś?... Od czasu jak słońce wschodzi i zachodzi, nie było jeszcze wypadku, ażeby kapłanka Astoreth... Ale trudno!... Fenicja, panie, daje ci taki dowód czci i przywiązania, jakiego nigdy nie otrzymał żaden z jej synów...

<sup>62</sup>taburet — dziś popr.: taboret. [przypis edytorski]

— Więc... — przerwał książe, tuląc ją.  
— Tylko nie dziś i nie tutaj... — błagała.

### ROZDZIAŁ XIII

Dowiedziawszy się od Hirama, że Fenicjanie darowali mu kapłankę, następca jak najprędzej chciał ją mieć w swym domu, nie dlatego, ażeby bez niej nie mógł żyć, lecz że stanowiła dla niego nowość.

Ale Kama ociągała się z przybyciem, błagając księcia, aby zostawił ją w spokoju, dopóki nie zmniejszy się napływ pielgrzymów, a nade wszystko dopóki z Pi-Bast nie wyjadą najznakomitsi. Gdyby bowiem za ich bytności została kochanką księcia, mogły zmniejszyć się dochody świątyni, a kapłance groziłoby niebezpieczeństwo.

— Nasi mądrzy i wielcy — mówiła Ramzesowi — przebaczą mi zdradę. Ale pospólstwo będzie wzywać pomsty bogów na moją głowę, a ty, panie, wiesz, że bogowie mają długie ręce...

— Oby ich nie stracili, gdy wsuną je pod mój dach! — odparł książe.

Nie nalegał jednak, mając w tym czasie uwagę bardzo zajęta.

Posłowie asyryjscy: Sargon i Istubar, już wyjechali do Memfis dla podpisania traktatu. Jednocześnie faraon wezwał Ramzesa o złożenie mu raportu z podróży.

Książe kazał pisarzom dokładnie opisać wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy opuścił Memfis, a więc: przeglądy rzemieślników, zwiedzanie fabryk i pól, rozmowy z nomarchami i urzędnikami. Do odwiezienia zaś raportu przeznaczył Tutmozisa.

— Przed obliczem faraona — rzekł do niego książe — będziesz moim sercem i ustami. A oto, co masz zrobić:

Gdy najdostojniejszy Herhor zapyta: co myślę o przyczynach nędzy Egiptu i skarbu? — odpowiedz ministrowi, ażeby zwrócił się do swego pomocnika Pentuera, a on objaśni moje poglądy w ten sam sposób, jak to uczynił w świątyni boskiej Hator.

Gdy Herhor zechce wiedzieć: jakie jest moje zdanie o traktacie z Asyrią? — odpowiedz, że moim obowiązkiem jest spełniać rozkazy naszego pana.

Tutmozis kiwał głową na znak, że rozumie.

— Ale — ciągnął namiestnik — gdy staniesz przed obliczem mego ojca (oby żył wiecznie!) i przekonasz się, że was nikt nie podsłuchuje, upadnij mu do nóg w mym imieniu i powiedz:

Panie nasz, to mówi syn i sługa twój, nędzny Ramzes, któremu dałeś życie i władzę.

Przyczyną klęsk Egiptu jest ubytek ziemi urodzajnej, którą zagarnęła pustynia, i ubytek ludności, która mrze z pracy i niedostatku.

Ale wiedz, o panie nasz, że nie mniejszą szkodę jak mór i pustynia wyrządzają skarbowi twemu kapłani. Gdyż nie tylko świątynie ich są wypełnione złotem i klejnotami, którymi można by wszystkie długi spłacić, ale jeszcze święci ojcowie i prorocy mają najlepsze folwarki, najdzielniejszych chłopów i robotników, a ziemi daleko więcej niż bóg-faraon.

To ci mówi syn i sługa twój, Ramzes, który przez cały czas podróży miał oczy ciągle otwarte jak ryba i uszy nastawione jak u roztropnego osła.

Książe odpoczął, Tutmozis powtarzał sobie w pamięci jego słowa.

— Gdy zaś — mówił dalej namiestnik — jego świątobliwość spyta: jakie jest moje zdanie o Asyryjczykach? — padnij na twarz i odpowiedz:

Sługa Ramzes, jeżeli pozwolisz, ośmiela się mniemać, że Asyryjczycy są to wielkie i silne chłopy i mają doskonałą broń; ale widać po nich, że są źle musztrowani.

Za pięćmi Sargona chodzili przecie najlepsi wojownicy asyryjscy: łucznicy, topornicy, kopijnicy, a jednak nie było takich sześciu, którzy potrafiliby maszerować zgodnie, w jednym szeregu. Przy tym włócznie noszą krzywo, miecze źle przywiązane, topory trzymają jak cieśle albo rzeźnicy. Ich odzież jest ciężka, ich grube sandały odparzają nogi, a ich tarcze, choć mocne, niewiele dadzą im pożytku, gdyż żołnierz jest niezgrabny.

— Prawdę mówisz — wtrącił Tutmozis. — To samo i ja spostrzegłem i to samo słyszę od naszych oficerów, którzy twierdzą, że takie wojsko asyryjskie, jakie tu widzieli, słabszy stawia opór aniżeli hordy libijskie.

— Powiedz też — ciągnął Ramzes — panu naszemu, który nas obdarza życiem, iż cała szlachta i wojsko egipskie burzy się na samą wieść, że Asyryjczycy mogliby zagarnąć Fenicję. Przecie Fenicja to port Egiptu, a Fenicjanie — najlepsi majtkowie naszej floty.

Powiedz wreszcie, jakom słyżał od Fenicjan (o czym jego świątobliwość lepiej musi wiedzieć), że Asyria jest dziś słaba: ma bowiem wojnę na północy i wschodzie, a całą zachodnią Azję ma przeciw sobie. Gdybyśmy więc ją dziś napadli, moglibyśmy zdobyć wielkie skarby i mnóstwo niewolników, którzy naszym chłopom pomagali by w pracy.

Zakończ jednak, że mądrość ojca mego jest większa aniżeli wszystkich ludzi i że zatem będę postępował tak, jak on mi rozkaże, byle nie oddał Fenicji w ręce Assara, bo inaczej zginiemy. Fenicja to drzwi spiżowe do naszego skarbcza, a gdzież jest człowiek, który by złodziejowi oddawał swoje drzwi?

Tutmozis odjechał do Memfisu w miesiącu Paofi (lipiec, sierpień). Nil zaczął mocno przybierać, skutkiem czego zmniejszył się napływ azjatyckich pielgrzymów do świątyni Astoreth. Ludność też miejscowa wyległa na pola, aby czym prędzej uprzętać winogrona, len i pewien gatunek rośliny wydającej bawełnę.

Słowem okolica uspokoiła się, a ogrody otaczające świątynię Astoreth były prawie puste.

W tej porze książe Ramzes, wolny od zabaw i obowiązków państwowych, zajął się sprawą swej miłości dla Kamy. Jednego dnia odbył tajemną naradę z Hiramem, który z jego polecenia ofiarował świątyni Astoreth dwanaście talentów w złocie, posążek bogini cudnie wyrzeźbiony z malachitu, pięćdziesiąt krów i sto pięćdziesiąt miar pszenicy. Był to dar tak hojny, że sam arcykapłan świątyni przyszedł do namiestnika, ażeby upaść przed nim na brzuch swój i podziękować za łaskę, o której, jak mówił, po wsze wieki nie zapomną ludy kochające boginię Astoreth.

Załatwiwszy się ze świątynią, książe wezwał do siebie naczelnika policji w Pi-Bast i przepędził z nim długą godzinę. Zaś w kilka dni później całe miasto zatrzęsło się pod wpływem nadzwyczajnej nowiny.

Kama, kapłanka Astoreth, została porwana, gdzieś uprowadzona i — przepadła jak ziarno piasku w pustyni!...

Niesłychany ten wypadek zdarzył się w następnych warunkach.

Arcykapłan świątyni wysłał Kamę do miasta Sabne-Chetam nad jeziorem Menzaleh, z ofiarami dla tamtejszej kaplicy Astoreth. Kapłanka odbywała podróż czólnem w nocy, już to aby uniknąć letniego skwaru, już dla zabezpieczenia się przed ciekawością i holdami mieszkańców.

Nad ranem, kiedy czterej wioślarze zmęczeni zdrzemnęli się, spomiędzy zarośli nadbrzeżnych wypłynęły nagle czółna prowadzone przez Greków i Chetów<sup>63</sup>, otoczyły łódź wiozącą kapłankę i porwały Kamę. Napad był tak szybki, że feniccy wioślarze nie stawiali żadnego oporu; kapłance zaś widocznie zatkało usta, nawet bowiem nie zdążyła krzyknąć.

Dokonawszy świętokradzkiego czynu Chetowie i Grecy zniknęli w zaroślach, aby następnie wydobyć się na morze. Celem zaś zabezpieczenia się od pościgu wyrócili czólnie należące do świątyni Astoreth.

W Pi-Bast zawrzało jak w ulu: cała ludność mówiła tylko o tym. Nawet domyślano się sprawców zbrodni. Jedni posądzali Asyryjczyka Sargona, który ofiarowywał Kamie tytuł małżonki, byle chciała opuścić świątynię i pojechać z nim do Niniwy. Inni zaś podejrzewali Greka Lykona, który był śpiewakiem Astoreth i od dawna gorzał namiętnością do Kamy. Był też o tyle bogatym, że mógł pozwolić sobie na wynajęcie greckich rabusiów, a o tyle bezbożny, że zapewne nie wahałby się porwać kapłanki.

Rozumie się, że w świątyni Astoreth natychmiast zwołano radę najbogatszych i najpobożniejszych wyznawców. Rada zaś przede wszystkim uchwaliła, ażeby uwolnić Kamę od kapłańskich obowiązków, i zdjąć z niej klątwy grożące dziewicom, które w służbie bogini utraciły niewinność.

Było to rozporządzenie świątobliwe i mądre: jeżeli bowiem ktoś gwałtem porwał kapłankę i pozbawił święceń wbrew jej woli, to nie godziło się jej karać.

W parę dni później, przy odgłosie rogów, ogłoszono wiernym w świątyni Astoreth, że kapłanka Kama umarła i że gdyby kto spotkał kobietę podobną do niej, nie ma prawa mścić się, a nawet czynić jej wyrzutów. Nie ona bowiem, nie kapłanka, opuściła boginię, ale porwały ją złe duchy, za co będą ukarane.

<sup>63</sup>Checi — dziś popr.: Hetyci. [przypis edytorski]

Tego zaś samego dnia dostojny Hiram był u księcia Ramzesa i ofiarował mu, w złotej puszcze, pargamin<sup>64</sup> opatrzony mnóstwem pieczęci kapłańskich i podpisami najznakomitszych Fenicjan.

Był to wyrok duchownego sądu Astoreth, który uwalniał Kamę od ślubów i zdejmował z niej klątwę niebios, byle tylko wyrzekła się swego kapłańskiego imienia.

Z tym dokumentem, gdy słońce zaszło, udał się książę do pewnej samotnej willi w swoim ogrodzie. Otworzył drzwi nieznanym sposobem i wszedł na piętro do niewielkiego pokoju.

Przy świetle rzeźbionego kagańca, w którym paliła się wonna oliwa, książę zobaczył Kamę.

— Nareszcie!... — zawołał, oddając jej złotą puszkę. — Masz wszystko, czego chciałaś!

Fenicjanka była rozgorączkowana; płonęły jej oczy. Porwała puszkę i, obejrzawszy ją, rzuciła na podłogę.

— Myślisz, że ona jest złota?... — rzekła. — Oddam mój naszyjnik, że ta puszka jest miedziana i tylko pokryta z dwu stron cienkimi blaszkami!...

— Także<sup>65</sup> mnie witasz?... — spytał zdziwiony książę.

— Bo znam moich braci — odparła. — Oni fałszują nie tylko złoto, ale rubiny i szafiry...

— Kobieto... — przerwał następca — ależ w tej puszcze jest twoje bezpieczeństwo...

— Co mi tam bezpieczeństwo!... — odparła. — Nudzę się i boję... Siedzę tu już ze cztery dni jak w więzieniu...

— Brakuje ci czego?...

— Brakuje mi światła... oddechu... śmiechów, śpiewów, ludzi... O mściwa bogini, jakże mnie ciężko karzesz!...

Książę słuchał zdumiony. We wścieklej kobiecie nie mógł poznać tej Kamy, którą widział w świątyni, tej kobiety, nad którą unosiła się namiętna pieśń Greka.

— Jutro — rzekł książę — będziesz mogła wyjść do ogrodu... A gdy pojedziemy do Memfis, do Tebów, będziesz bawiła się jak nigdy... Spójrz na mnie. Czyliż nie kocham cię i czyliż kobiecie nie wystarcza zaszczyt, że należy do mnie?...

— Tak — odparła nadąsana — ale cztery miałeś przede mną.

— Jeżeli ciebie kocham najlepiej...

— Gdybyś mnie kochał najlepiej, uczyniłbyś mnie pierwszą, osadziłbyś mnie w pałacu, który zajmuje ta... Żydówka Sara i mnie dałbyś wartę, nie jej... Tam przed posągiem Astoreth byłam najpierwszą... Ci, którzy składali hołd bogini, klękając przed nią, patrzyli na mnie... A tu co?... Wojsko bębni i gra na fletach, urzędnicy składają ręce na piersiach i schylają głowy przed domem Żydówki...

— Przed moim pierworodnym synem — przerwał zniecierpliwiony książę — a on nie jest Żydem...

— Jest Żydem!... — wrzasnęła Kama.

Ramzes zerwał się.

— Szalona jesteś?... — rzekł, nagle uspokoiwszy się. — Czy nie wiesz, że mój syn Żydem być nie może...

— A ja ci mówię, że jest!... — krzyczała, bijąc pięścią w stolik. — Jest Żydem, jak jego dziad, jak jego wujowie, i nazywa się Izaak...

— Coś powiedziała, Fenicjanko?... Czy chcesz, ażebym cię wypędził?...

— Dobrze, wypędź mnie, jeżeli kłamstwo wyszło z ust moich... Ale jeżeli rzekłam prawdę, wypędź tamtą... Żydówkę wraz z jej pomiotem i mnie oddaj pałac... Ja chcę, ja zasługuję na to, ażeby być pierwszą w twoim domu... Bo tamta oszukuje cię... drwi z ciebie... A ja dla ciebie wyparłam się mojej bogini... narażam się na jej zemstę...

— Daj mi dowód, a pałac będzie twoim... Nie, to fałsz!... — mówił książę. — Sara nie dopuściłaby się takiej zbrodni... Mój pierworodny syn...

— Izaak!... Izaak!... — krzyczała Kama. — Idź do niej i przekonaj się.

Ramzes na pół nieprzytomny wybiegł od Kamy i skierował się do willi, gdzie mieszkała Sara. Pomimo gwiazdzistej nocy zbłądził i przez pewien czas tułał się po ogrodzie.

<sup>64</sup>pargamin — dziś popr.: pergamin. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>także — tu: tak właśnie; (więc) w taki sposób. [przypis edytorski]

Lecz otrzeźwiło go chłodne powietrze, odnalazł drogę i do domu Sary wszedł prawie spokojny.

Mimo późnego wieczoru czuвано tam. Sara własnymi rękoma prała pieluszki syna, a jej służba skracala sobie czas jedzeniem, pićciem i muzyką.

Kiedy Ramzes błady ze wzruszenia stanął na progu, Sara krzyknęła, lecz wnet uspokoiła się.

— Bądź pozdrowiony, panie — rzekła, ocierając zmoczone ręce i chyląc mu się do nóg.

— Saro, jak na imię twemu synowi?... — spytał.

Przerażona schwyciła się za głowę.

— Jak na imię twemu synowi?... — powtórzył.

— Wszak wiesz, panie, że Seti... — odparła ledwie słyszalnym głosem.

— Spójrz mi w oczy...

— O Jehowo!... — szepnęła Sara.

— Widzisz, że kłamiesz. A teraz ja ci powiem: mój syn, syn następcy egipskiego tronu, nazywa się Izaak... i jest Żydem... podłym Żydem...

— Boże!... Boże!... miłosierdzia!... — zawołała, rzucając się do nóg księcia.

Ramzes ani na chwilę nie podniósł głosu, tylko twarz jego była szara.

— Ostrzegano mnie — mówił — abym nie brał do mego domu Żydówki... Moje wnętrzości skręcały się, kiedy widziałem folwark napełniony Żydami... Alem powściągnął odrzę, bom tobie ufał. I ty, wraz z twymi Żydami, ukradłaś mi syna, złodziejko dzieci...

— Kapłani rozkazali, ażeby został Żydem... — szepnęła Sara, szlochając u nóg księcia.

— Kapłani?... Jacy?...

— Najdostojniejszy Herhor... najdostojniejszy Mefres... Mówili, że tak trzeba, bo twój syn musi zostać pierwszym królem żydowskim...

— Kapłani?... Mefres?... — powtórzył książę. — Królem żydowskim?... Ależ ja mówiłem ci, że twój syn może zostać dowódcą moich łuczników, moim pisarzem... Ja ci to mówiłem!... a ty, nędzna, myślałaś, że tytuł żydowskiego króla równa się dostojństwu mego łucznika i pisarza?... Mefres... Herhor!... Niech będą dzięki bogom, że nareszcie zrozumiałem tych dostojników i wiem, jaki los przeznaczają memu potomstwu...

Przez chwilę rozmyślał, gryzł wargi. Nagle zawołał potężnym głosem:

— Hej!... służba... żołnierze!...

W oka mgnieniu komnata zaczęła napełniać się. Weszły płacząc służebnice Sary, pisarz i rządcą jej domu, potem niewolnicy, wreszcie kilku żołnierzy z oficerem.

— Śmierć!... — krzyknęła Sara rozdzierającym głosem.

Rzuciła się do kołyski, porwała syna i stanawszy w kącie komnaty, zawołała:

— Mnie zabijcie... ale jego nie dam!...

Ramzes uśmiechnął się.

— Setniku — rzekł do oficera — weź tą kobietę z jej dzieckiem i zaprowadź do budynku, gdzie mieszczą się niewolnicy mego domu. Ta Żydówka już nie będzie panią, ale służką tej, która ją zastąpi.

A ty, rządczo — dodał, zwracając się do urzędnika — pamiętaj, aby Żydówka nie zapomniła jutro z rana umyć nóg swej pani, która tu zaraz przyjdzie. Gdyby zaś ta służebnica okazała się krnąbrną, na rozkaz swej pani powinna otrzymać chłostę.

Wyprowadzić tę kobietę do izby czeladnej!...

Oficer i rządcą zblżyli się do Sary, lecz zatrzymali się, nie śmiejąc jej dotknąć. Ale też i nie było potrzeby. Sara owinęła płachtą kwilące dziecko i opuściła komnatę, szepcąc:

— Boże Abrahama, Izaaka, Jakuba, zmiłuj się nad nami...

Nisko skłoniła się przed księciem, a z jej oczu płynęły ciche łzy. Jeszcze w sieniach słyszał Ramzes jej słodki głos:

— Boże Abrahama, Iza...

Gdy wszystko uspokoiło się, namiestnik odezwał się do oficera i rządcy:

— Pójdziecie z pochodniami do domu między figowe drzewa...

— Rozumiem — odparł rządcą.

— I natychmiast przeprowadzicie tu kobietę, która tam mieszka...

— Stanie się tak.

— Ta kobieta będzie odtąd waszą panią i panią Sary Żydówki, która każdego poranku ma swojej pani myć nogi, oblewać ją wodą i trzymać przed nią zwierciadło. To jest moja wola i rozkaz.

— Stanie się — odparł rządca.

— I jutro z rana powiesz mi, czy nowa sługa nie jest krnąbrną...

Wydawszy te polecenia namiestnik wrócił do siebie, ale całą noc nie spał. W jego głębokiej duszy rozpałał się pożar zemsty.

Czuł, że nie podniósłszy ani na chwilę głosu zmiażdżył Sarę, nędzną Żydówkę, która ośmieliła się oszukać go. Ukarzał ją jak król, który jednym drgnieniem powieki strąca ludzi ze szczytu — w otchłań służalstwa. Ale Sara była tylko narzędziem kapłanów, a następca miał za wiele poczucia sprawiedliwości, aby połamawszy narzędzie, mógł przebaczyć właściwym sprawcom.

Jego wściekłość potęgowała się tym bardziej, że kapłani byli nietykalni. Książe mógł Sarę z dzieckiem wśród nocy — wypędzić do izby czeladniej, ale nie mógł pozbawić Herhora jego władzy ani Mefresa arcykapłaństwa. Sara padła u nóg jego jak zdeптany robak; ale Herhor i Mefres, którzy wydarli mu pierworodnego syna, wznosili się nad Egiptem i (o wstydzie!) nad nim samym, nad przyszłym faraonem, jak piramidy...

I nie wiadomo, który już raz w tym roku przypominał sobie krzywdy, jakich doznał od kapłanów. W szkole bili go kijami, aż mu grzbiet pękał, albo morzyli głodem, aż brzuch przyrastał mu do krzyża. Na zesłorocznych manewrach Herhor popsuł mu cały plan, a potem złożył winę na niego i pozbawił dowództwa korpusu. Tenże Herhor przyprawił go o niełaskę jego świątobliwości za to, że wziął do domu Sarę, i nie prędzej przywrócił go do zaszczytów, aż upokorzony książę przepędził parę miesięcy na dobrowolnym wygnaniu.

Zdawało się, że gdy zostanie wodzem korpusu i namiestnikiem, kapłani przestaną uciskać go swoją opieką. Lecz właśnie teraz wystąpili z podwojonymi siłami. Zrobili go namiestnikiem, po co?... Aby usunąć go od faraona i zawrzeć haniebną traktat z Asyrią. Zmusili go, że po informacji o stanie państwa udał się jak pokutnik do świątyni; tam oszukiwali go za pomocą cudów i postrachów i udzielili najzupełniej fałszywych objaśnień.

Potem mieszał się do jego rozrywek, kochanek, stosunków z Fenicjanami, długów, a nareszcie, aby go upokorzyć i ośmieszyć w oczach Egiptu, zrobili mu pierworodnego syna Żydem!...

Gdzie jest chłop, gdzie niewolnik, gdzie więzień z kopalń, Egipcjanin, który nie miałby prawa powiedzieć:

— Jestem lepszy od ciebie, namiestniku, bo żaden mój syn nie był Żydem...

Czując ciężar obelgi, Ramzes jednocześnie pojmował, że nie może jej natychmiast pomścić. Więc postanowił odsunąć sprawę do przyszłości. W szkole kapłańskiej nauczył się panować nad sobą, na dworze nauczył się cierpliwości i obłudy; te przymioty staną się jego tarczą i zbroją w walce z kapłaństwem... Do czasu będzie wprowadzał ich w błąd, a gdy przyjdzie odpowiednia chwila, uderzy tak, że już nie podniosą się więcej.

Na dworze zaczęło świtać. Następca twardo zasnął, a gdy obudził się, pierwszą osobą, którą spostrzegł, był rządca pałacu Sary.

— Cóż Żydówka? — zapytał książę.

— Stosownie do rozkazu waszej dostojności umyła nogi swej nowej pani — odparł urzędnik.

— Czy była krnąbrną?

— Była pełną pokory, ale nie dość zręczną, więc rozgniewana pani uderzyła ją nogą między oczy...

Książę rzucił się.

— I cóż na to Sara?... — zapytał prędko.

— Upadła na ziemię. A gdy nowa pani kazała jej iść precz, wyszła cicho płacząc...

Książę zaczął chodzić po komnacie.

— Jakże noc spędziła?...

— Nowa pani?...

— Nie!... — przerwał następca. — Pytam o Sarę...

— Stosownie do rozkazu Sara poszła z dzieckiem do izby czeladniej. Tam służebne, z litości, odstąpiły jej świeżą matę, ale Sara nie położyła się spać, tylko przesiedziała całą

noc z dzieckiem na kolanach.

— A dziecko?... — spytał książę.

— Dziecko jest zdrowe. Dziś z rana, kiedy Żydówka poszła na służbę do nowej pani, inne kobiety wykapały małeństwo w ciepłej wodzie, a żona pastucha, która także ma niemowlę, dała mu ssać.

Książę stanął przed rządcą.

— Źle jest — rzekł — gdy krowa, zamiast karmić swoje cielątko, idzie do pługa i jest bita kijem. Więc choć ta Żydówka popełniła wielki występki, nie chcę, ażeby cierpiał jej niewinny pomiot... Dlatego Sara nie będzie już myła nóg nowej pani i nie będzie przez nią kopana w oczy. W czeladnim domu dasz jej osobną izbę, parę sprzętów i pokarm, jaki należy się niedawnej położnicy. I niech w spokoju karmi swoje dziecko.

— Obyś żył wiecznie, władco nasz! — odparł rządcą i szybko pobiegł spełnić rozkazy namiestnika.

Cała bowiem służba lubiła Sarę, a w ciągu paru godzin miała sposobność znienawidzić gniewną i wrzaskliwą Kamę.

#### ROZDZIAŁ XIV

Kapłanka fenicka niewiele szczęścia przyniosła Ramzesowi.

Gdy pierwszy raz przyszedł odwiedzić ją w pałacyku, dotychczas zajmowanym przez Sarę, myślał, że będzie powitany z zachwytem i wdzięcznością. Tymczasem Kama przyjęła go prawie z gniewem.

— Cóż to? — zawołała — już po upływie pół dnia przywróciłeś do łask nędzną Żydówkę?...

— Czyliż nie mieszka w izbie czeladniej? — odparł książę.

— Ale mój rządcą powiedział, że już nie będzie mi nóg myła....

Pan, słuchając tego, doznał uczucia niesmaku.

— Nie jesteś, widzę, zadowolona — rzekł.

— I nie będę nią!... — wybuchła — dopóki nie upokorzę tej Żydówki... Dopóki służąc mi i klęcząc u moich nóg nie zapomni, że kiedyś była twoją pierwszą kobietą i panią tego domu... Dopóki moja służba nie przestanie patrzeć na mnie ze strachem i nieufnością, a na nią z litością...

Ramzesowi coraz mniej zaczęła podobać się Fenicjanka.

— Kamo — rzekł — rozważ, co ci powiem. Gdyby w moim domu sługa kopnął w zęby sukę, która karmi szczenięta, wygnałbym go... Ty zaś uderzyłaś nogą między oczy kobietę i matkę... A w Egipcie, Kamo, matka to wielkie słowo, bo dobry Egipcjanin trzy rzeczy najbardziej szanuje na ziemi: bogów, faraona i matkę...

— O biada mi!... — zawołała Kama, rzucając się na łóżko. — Oto mam nagrodę, nędzna, zem zaparła się mojej bogini... Jeszcze tydzień temu składano mi kwiaty u nóg i okadzano wonnościami, a dziś...

Książę cicho wysunął się z komnaty i odwiedził Fenicjankę dopiero po kilku dniach.

Lecz znowu zastał ją w złym humorze.

— Błagam cię, panie — wykrzyknęła — dbaj o mnie trochę więcej!... Bo już i służba zaczyna mnie lekceważyć, żołnierze patrzą spode łba i lękam się, ażeby w kuchni nie zatruli mi kto potraw...

— Byłem zajęty wojskiem — odparł książę — więc nie mogłem odwiedzać cię...

— To prawda!... — odparła gniewnie Kama. — Byłeś wczoraj pod moim gankiem, a następnie poszedłeś ku czeladniej izbie, gdzie mieszka ta Żydówka... Chciałeś mi pokazać...

— Dość! — przerwał następca. — Nie byłem ani pod gankiem, ani pod izbą. Jeżeli więc zdawało ci się, iż widziałaś mnie, to znaczy, że twój kochanek, ten nikczemny Grek, nie tylko nie opuścił Egiptu, ale nawet śmie krążyć po moim ogrodzie...

Fenicjanka słuchała go przerażona.

— O Astoreth!... — krzyknęła nagle — ratuj mnie... O ziemio, ukryj mnie!... Bo jeżeli nędzny Lykon powrócił, grozi mi wielkie nieszczęście...

Książę roześmiał się, ale już nie miał cierpliwości słuchać biadań eks-kapłanki.

— Zostań w spokoju — rzekł, wychodząc — i nie zdziw się, jeżeli w tych dniach przyprowadzę ci twego Lykona związanego jak szakal. Zuchwalec ten już wyczerpał moją



cierpliwość.

Wróciwszy do siebie, książę wezwał natychmiast Hiram i naczelnika policji w Pi-Bast. Opowiedział im obydwom, że Lykon, Grek z twarzy podobny do niego, kręci się około pałaców, i rozkazał schwytać go. Hiram przysiągł, że gdy Fenicjanie połączą się z policją, Grek musi wpaść w ich ręce. Ale naczelnik policji począł trząść głową.

— Wątpisz? — spytał go książę.

— Tak, panie. W Pi-Bast mieszka wielu bardzo pobożnych Azjatów, według zdania których, kapłanka rzucająca ołtarz zasługuje na śmierć. Jeżeli więc ten Grek zobowiązał się zabić Kamę, oni będą mu pomagali, ukryją go i ułatwią mu ucieczkę.

— Cóż wy na to, książę? — spytał następca Hiram.

— Dostojny naczelnik policji mądrze mówi — odparł starzec.

— Wszakże uwolniliście Kamę od klątwy! — zawołał Ramzes.

— Za Fenicjan — odparł Hiram — ręczę, że nie tkną Kamy i będą ścigali Greka. Ale co zrobić z innymi wyznawcami Astoreth?...

— Ośmielę się mniemać — rzekł naczelnik policji — że tymczasem kobiecie tej nic nie grozi. Gdyby zaś była odważną, moglibyśmy użyć jej do zwabienia Greka i złapania go tu, w pałacach waszej dostojności.

— Idźże więc do niej — rzekł książę — i przedstaw plan, jaki obmyśliłeś. A jeżeli schwycisz łotra, dam ci dziesięć talentów...

Gdy następca pożegnał ich, Hiram odezwał się do naczelnika:

— Dostojniku, wiem, że znasz oba pisma i nieobcą ci jest kapłańska mądrość. Gdy chcesz, słyszysz przez mury i widzisz w ciemnościach. Z tego powodu znasz myśli zarówno chłopca pracującego kubłem, rzemieślnika, który na targ przynosi sandały, i wielkiego pana, który w otoczeniu swoich sług czuje się bezpiecznym jak dziecko w łonie matki...

— Prawdę mówisz, wasza cześć — odparł urzędnik — że bogowie udzielili mi cudnego daru jasnowidzenia.

— Otóż to — ciągnął Hiram — dzięki nadprzyrodzonym zaletom swoim odgadłeś już zapewne, że świątynia Astoreth wyznaczy ci dwadzieścia talentów, jeżeli złapiesz tego nędznika, który ośmiela się przybierać postawę księcia, pana naszego. Nadto zaś w każdym razie, świątynia ofiaruje ci dziesięć talentów, jeżeli wieść o podobieństwie nędznego Lykona do następcy nie rozgłosi się po Egipcie. Rzecz to bowiem gorsząca i nieprzyzwoista, ażeby zwykły śmiertelnik przypominał obliczem swoim osoby, które od bogów pochodzą.

Niech więc to, co słyszysz o nędznym Lykonie, i cała nasza gonitwa za bezbożnikiem nie wyjdzie poza serca nasze.

— Rozumiem — odparł urzędnik. — Może się bowiem trafić, że taki zbrodniarz straci życie, zanim oddamy go sądowi...

— Powiedziałeś — rzekł Hiram, ściskając go za rękę. — Wszelka zaś pomoc, jakiej zażądasz od Fenicjan, będzie ci udzielona.

Rozstali się jak dwaj przyjaciele polujący na grubego zwierza, którzy wiedzą, że nie o to chodzi: czyj oszczep trafi, lecz ażeby zdobycz była dobrze trafiona i nie wpadła w cudze ręce.

Po kilku dniach Ramzes znowu odwiedził Kamę, lecz znalazł ją w stanie, który graniczył z obłędem. Kryła się w najciaśniejszej izbie swego pałacu, głodna, nieczesana, nawet niemyta, i wydawała najsprzeczniejsze rozkazy swojej służbie. Raz kazała się zgromadzać wszystkim, drugi raz wypędzała wszystkich od siebie. W nocy wołała do siebie wartę żołnierską, a po chwili uciekła od żołnierzy na strych krzycząc, że ją chcą zabić.

Wobec takich postępów z duszy księcia zniknęła miłość, a zostało tylko uczucie wielkiego kłopotu. Schwycił się za głowę, gdy rządca pałacu i oficer opowiedzieli mu o tych dziwach, i szepnął:

— Zaprawdę, źle uczyniłem, odbierając tę kobietę jej bogini. Gdyż tylko bogini mogła cierpliwie znosić jej kaprysy!...

Mimo to poszedł do Kamy i znalazł ją mizerną, potarganą i drżącą.

— Biada mi!... — zawołała. — Żyję między samymi wrogami. Moja szatna chce mnie otruć, a fryzjerka nabawić jakiej ciężkiej choroby... Żołnierze tylko czekają okazji, ażeby w mej piersi utopić włócznie i miecze, a w kuchni, jestem pewna, że zamiast potraw gotują się czarodziejskie zioła... Wszyscy dybią na moje życie...

— Kamo... — przerwał ksiązę.

— Nie nazywaj mnie tak!... — szepnęła przerażona — bo mi to nieszczęście przyniesie...

— Ale skąd ci te myśli przychodzą do głowy?...

— Skąd!... Czy sądzisz, że w dzień nie widuję obcych ludzi, którzy ukazują się pod pałacem i znikają, nim zdołam zawołać na służbę?... A w nocy czy nie słyszę szeptów za ścianą?...

— Zdaje ci się.

— Przekłęci!... przekłęci!... — zawołała z płaczem. — Wszyscy mówicie, że mi się zdaje... A przecież onegdaj jakaś zbrodnicza ręka podrzuciła mi do sypialni welon, który nosiłam pół dnia, zanim poznałam, że to nie mój... żem nigdy nie miała takiego...

— Gdzież ten welon? — spytał już zaniepokojony ksiązę.

— Spaliłam go, alem go pierwaj pokazała moim służebnicom.

— Więc choćby był nie twój, cöz ci się stało?

— Jeszcze nic. Ale gdybym tą szmatę przez parę dni pottrzymała w domu, z pewnością otrulabym się albo zapadłabym w nieleczącą się chorobę... Znam Azjatów i ich sposoby!...

Znudzony i zirytowany ksiązę opuścił ją czym prędzej pomimo błagań, aby został. Gdy jednak spytał służbę o ów welon, szatna przyznała, że to nie był welon Kamy, ale został podrzuciony przez kogoś.

Następca kazał podwoić warty w pałacu i dokoła pałacu i zdesperowany wracał do swego mieszkania.

„Nigdy bym nie uwierzył — myślał — że jedna słaba kobieta może narobić tyle zamętu!... Cztery świeżo złapane hieny nie dorównają w niespokojności tej Fenicjance!...”

U siebie znalazł ksiązę Tutmozisa, który właśnie przyjechał z Memfis i ledwie miał czas wykąpać się i przebrać po podróży.

— Co mi powiesz? — spytał ksiązę ulubienca, odgadując, że nie przywiózł dobrych nowin. — Widziałeś jego świątobliwość?

— Widziałem słonecznego boga Egiptu — odparł Tutmozis — a oto, co mi rzekł...

— Mów — wtrącił następca.

— Tak mówił pan nasz — ciągnął Tutmozis, złożwszy ręce na piersiach i schyliwszy głowę. — Tak mówi pan. Przez trzydzieści cztery lata prowadziłem ciężki wóz Egiptu i tak jestem zmęczony, że już tęsknię do moich wielkich przodków, którzy zamieszkują kraj zachodni. Niebawem opuszczę tą ziemię, a wówczas syn mój, Ramzes, zasiądzie na tronie i czynić będzie z państwem to, co mu podyktuje mądrość...

— Tak powiedział mój świątobliwy ojciec?

— To są jego słowa wiernie powtórzone — odparł Tutmozis. — Po kilka razy wyraźnie mówił mi pan, że nie zostawia ci żadnych rozkazów na przyszłość, abyś mógł rządzić Egiptem, jak sam zechcesz...

— O święty!... Czyliż jego niemoc jest naprawdę tak ciężką?... Dlaczego nie pozwala mi przyjechać do siebie?... — pytał rozżalony ksiązę.

— Musisz być tu, bo tu możesz się przydać.

— A traktat z Asyrią?... — zapytał następca.

— Jest zawarty w tym sensie, że Asyria może bez przeszkód z naszej strony prowadzić wojnę na wschodzie i północy. Ale sprawa Fenicji została w zawieszeniu, dopóki ty nie wstąpisz na tron...

— O błogosławiony!... o święty władco!... — wołał ksiązę. — Od jak strasznej uchroniłeś mnie spuścizny...

— Fenicja więc zostaje w zawieszeniu — prawil Tutmozis. — Lecz obok tego stała się niedobra rzecz, bo jego świątobliwość, aby dać dowód Asyrii, że nie będzie jej przeszkadzać w wojnie z ludami północnymi, rozkazał zmniejszyć naszą armię o dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— Co powiedziałeś?... — wykrzyknął zdumiony następca.

Tutmozis chwiał głową na znak smutku.

— Prawdę mówię — rzekł — i już nawet rozpuszczono cztery libijskie pułki...

— Ależ to szaleństwo!... — prawie zawył następca, łamiąc ręce. — Po co my się tak osłabiamy i gdzie pójdą ci ludzie?...

— Otóż to, że już poszli na pustynię Libijską i albo napadną Libijczyków, co nam narobi kłopotu, albo połączą się z nimi i razem uderzą na nasze zachodnie granice...

— Nic o tym nie słyszałem!... Co oni porobili?... i kiedy to zrobili?... Żadna wieść do nas nie doszła... — wołał książę.

— Bo rozpuszczeni najemnicy poszli w pustynię od Memfisu, a Herhor zabronił mówić o tym komukolwiek...

— Więc nawet Mefres i Mentezufis nie wiedzą o tym?... — spytał namiestnik.

— Oni wiedzą — odparł Tutmozis.

— Oni wiedzą, a ja nic!...

Książę nagle uspokoił się, ale pobladł, a na jego młodym obliczu odmalowała się straszna nienawiść. Schwycił za obie ręce swego powiernika i mocno ściskając je, szeptał:

— Słuchaj... Na święte głowy mego ojca i matki... na pamięć Ramzesa Wielkiego... na wszystkich bogów, jeżeli jacy są, przysięgam, że gdy — za moich rządów — kapłani nie ugną się przed moją wolą, zgniotę ich...

Tutmozis słuchał przerażony.

— Ja albo oni!... — zakończył książę. — Egipt nie może mieć dwu panów...

— I zwykle miał tylko jednego: faraona — wtrącił powiernik.

— Zatem będziesz mi wierny?...

— Ja, cała szlachta i wojsko, przysięgam ci!...

— Dosyć — zakończył następca. — Niechże sobie teraz uwalniają najemne pułki... niech podpisują traktaty... niech kryją się przede mną jak niedoperze<sup>66</sup> i niech oszukują nas wszystkich... Ale przyjdzie czas...

A teraz, Tutmozisie, odpocznij po podróży i bądź u mnie na uczcie dziś wieczór... Ci ludzie tak mnie spętali, że mogę tylko bawić się... Więc będę się bawił... Ale kiedyś pokażę im, kto jest władcą Egiptu: oni czy ja...

Od tego dnia znowu zaczęły się uczt. Książę, jakby wstydząc się wojska, nie odbywał z nim ćwiczeń. Natomiast pałac jego roił się szlachtą, oficerami, sztukmistrzami i śpiewaczkami, a po nocach odbywały się wielkie orgie, wśród których dźwięki arf mieszały się z wrzaskami pijanych biesiadników i spazmatycznym śmiechem kobiet.

Na jedną z tych uczt Ramzes zaprosił Kamę, ale odmówiła. Książę obraził się na nią, co spostrzegłszy, Tutmozis rzekł:

— Mówiono mi, panie, że Sara straciła twoje łaski?

— Nie wspominaj mi o tej Żydówce — odparł następca. — Wszak chyba wiesz, co zrobiła z moim synem?

— Wiem — mówił ulubieniec — ale zdaje mi się, że stało się to nie z jej winy. Słyszałem w Memfis, że czcigodna matka twoja, pani Nikotris, i dostojny minister Herhor uczynili syna twego Żydem w tym celu, aby kiedyś panował nad Izraelitami...

— Ależ Izraelici nie mają króla, tylko kapłanów i sędziów!... — przerwał książę.

— Nie mają, lecz chcą mieć. Im także obmierzły rządy kapłańskie.

Następca pogardliwie machnął ręką.

— Woźnica jego świątobliwości — odparł — znaczy więcej niżli wszyscy królowie, a tym bardziej jakiś tam król izraelski, którego jeszcze nie ma...

— W każdym razie wina Sary nie jest tak wielką — wtrącił Tutmozis.

— Toteż wiedz, że kiedyś zapłacę i kapłanom.

— W tym wypadku i oni nie są zbyt winni. Na przykład dostojny Herhor uczynił tak, pragnąc zwiększyć sławę i potęgę twojej dynastii. Zresztą działał z wiedzą pani Nikotris...

— A Mefres po co miesza się do moich spraw?... — spytał książę. — Przecie on chyba powinien pilnować tylko świątyni, a nie wpływać na losy faraonowego potomstwa...

— Mefres jest starcem, który już zaczyna dziwaczeć. Cały dwór jego świątobliwości drwi dziś z Mefresa z powodu jego praktyk, o których ja sam nic nie wiedziałem, choć prawie co dzień widywałem i widuję świętego męża...

— A to ciekawe... Cóż on robi?...

— Po kilka razy na dobę — odparł Tutmozis — odprawia solenne nabożeństwa w najtajemniejszej części świątyni i nakazuje swoim kapłanom, aby uważali: czy bogowie nie podnoszą go w powietrze podczas modlitwy?...

<sup>66</sup>niedoperz — dziś popr.: nietoperz. [przypis edytorski]

— Cha!... cha!... cha!... — zaśmiał się następca — I to wszystko dzieje się tu, w Pi-Bast, pod naszym okiem, a ja nic nie wiem...

— Tajemnica kapłańska...

— Tajemnica, o której mówią wszyscy w Memfisie!... Cha... cha... cha!... W cyrku widziałem chaldejskiego kuglarza, który unosił się w powietrzu...

— I ja widziałem — wtrącił Tutmozis — ale to była sztuka. Tymczasem Mefres chce naprawdę wznieść się nad ziemię na skrzydłach swej pobożności...

— Niesłychane błazeństwo!... — mówił książę. — Cóż na to inni kapłani?

— Podobno w świętych papirusach są wzmianki, że dawnymi czasy bywali u nas prorocy posiadający dar wznoszenia się w powietrze, więc kapłanów nie dziwiła chęci Mefresa. A że, jak ci wiadomo, u nas podwładni widzą to, co podoba się zwierzchnikom, więc niektórzy święci mężowie twierdzą, że Mefres naprawdę podnosi się w czasie modlitwy na grubość paru palców nad ziemię...

— Cha!... cha!... cha!... I tą wielką tajemnicą bawi się cały dwór, a my tu jak chłopci albo kopacze nawet nie domyślamy się cudów sprawianych pod naszym bokiem... Nędzna dola następcy egipskiego tronu! — śmiał się książę.

Gdy się zaś uspokoił, na powtórna prośbę Tutmozisa rozkazał przenieść Sarę z dzieckiem z izby czeladniej do pałacyku, który w pierwszych dniach zajmowała Kama.

Służba następcy była zachwycona tym rozporządzeniem pana, a wszystkie służebne, niewolnicy i nawet pisarze odprowadzili Sarę do nowej siedziby z muzyką i okrzykami radości.

Fenicjanka, usłyszawszy hałas, spytała o przyczynę. A gdy jej odpowiedziano, że Sara wróciła już do łask następcy i że z domu niewolnic znowu przeniosła się do pałacu, rozwścieczona eks-kapłanka wezwała do siebie Ramzesa.

Książę przyszedł.

— Więc tak poczynasz sobie ze mną?... — wrzasnęła nie panująca nad sobą Kama. — Więc to tak?... Obiecałeś mi, że będę pierwszą twoją kobietą, lecz zanim księżyc obiegnął połowę nieba, złamałeś przyrzeczenie?... Może myślisz, że zemsta Astoreth pada tylko na kapłanki, a nie dosięga książąt?...

— Powiedz twojej Astoreth — odparł spokojnie następca — aby nigdy nie groziła książętom, bo i ona pójdzie do izby czeladniej.

— Rozumiem — wołała Kama. — Ja pójdę do czeladzi, może nawet do więzienia, a ty przez ten czas będziesz spędzał noce u swojej Żydówki!... Za to, żem dla ciebie wyparła się bogów... ściągnęła na moją głowę przekleństwo... Za to, że nie mam godziny spokojnej, że zmarnowałam dla ciebie młodość, życie, nawet duszę, ty tak mi płacisz...

Książę przyznał w sercu, że istotnie Kama wiele poświęciła dla niego, i uczył skruczę.

— Nie byłem i nie będę u Sary — odparł. — Ale co tobie szkodzi, że nieszczęśliwa kobieta odzyska wygody i będzie mogła wykarmić swoje dziecko?

Fenicjanka zatrzęsa się. Podniosła w górę zacisnięte pięści, włosy jej najeżyły się, a w oczach zapłonął brudny ogień nienawiści.

— Także<sup>67</sup> mi odpowiadasz?... Żydówka jest nieszczęśliwą, boś ją wygnał z pałacu; a ja muszę być zadowolona, chociaż bogowie wygnali mnie ze wszystkich swoich świątyń... A dusza moja... dusza kapłanki tonącej we łzach i obawie czyliż nie znaczy więcej u ciebie aniżeli ten żydowski pomiot, to dziecko, które... oby już nie żyło... oby go...

— Milcz!... — krzyknął książę, zamykając jej usta.

Cofnęła się wylęknona.

— Więc nie wolno nawet skarżyć się na moją nędzę?... — spytała. — Lecz jeżeli aż tak dbasz o to dziecko, po cóż wykradłeś mnie ze świątyni, dlaczego obiecywałeś, że będę u ciebie pierwszą kobietą?...

Strzeż się — znowu podniosła głos — ażeby Egipt, poznawszy moją dolę, nie nazwał cię wiarołomcą!...

Książę kręcił głową i uśmiechał się. Wreszcie usiadł i rzekł:

— Zaiste, mój nauczyciel miał słuszność, ostrzegając mnie przed kobietami. Jesteście jak dojrziała brzoskwinia w oczach człowieka, któremu język wysuszyło pragnienie... Lecz

<sup>67</sup> także — tu: w taki sposób; więc tak. [przypis edytorski]

tylko na pozór... Bo biada głupcowi, który ośmieli się rozgryźć ten piękny owoc: zamiast chłodzącej słodyczy, znajdzie gniazdo os, które poranią mu nie tylko wargi, ale i serce.

— Już narzekasz?... Nawet tego nie oszczędzasz mi wstydu?... Za to, że ci poświęciła godność kapłanki i cnotę!...

Następca ciągle trząsał głową i uśmiechał się.

— Nigdy bym nie myślał — rzekł po chwili — ażeby sprawdziła się bajka opowiadana przez chłopów zabierających się do snu. Ale dziś widzę, że tak jest. Posłuchaj więc, Kamo, a może zastanowisz się i nie zmusisz mnie do cofnięcia życzliwości, jaką mam dla ciebie...

— Jemu się chce teraz bajki opowiadać!... — odparła z goryczą kapłanka. — Jużes mi jedną mówił i dobrzem wyszła, usłuchawszy jej...

— Ta z pewnością wyjdzie ci na pożytek, byleś ją chciała zrozumieć.

— Będzie w niej co o żydowskich bachorach?...

— I o kapłankach, tylko uważnie posłuchaj:

Działo się to już dawno, w tym samym mieście Pi-Bast. Pewnego dnia książe Satni na placu przed świątynią Ptah zobaczył bardzo piękną kobietę. Była ona piękniejszą od wszystkich, jakie dotychczas spotykał, a co więcej miała na sobie dużo złota.

Księżciu ogromnie podobała się ta osoba. Dowiedział się, co ona za jedna, a gdy mu powiedziano, że jest to córka arcykapłana w Pi-Bast, posłał do niej swego koniuszego z taką ofiarą:

„Dam ci dziesięć złotych pierścieni, jeżeli przepędzisz ze mną godzinę.”

Koniuszy poszedł do pięknej Tsubui i powtórzył jej słowa księcia Satni. Dama, wysłuchawszy go życzliwie, odpowiedziała, jak przystoi dobrze wychowanej panience:

„Jestem córką arcykapłana, jestem niewinna, a nie żadna podła dziewczyna. Jeżeli więc książe chce mieć przyjemność zapoznania się ze mną, niech przyjdzie do mego domu, gdzie wszystko będzie przygotowane, i nasza znajomość nie narazi mnie na plotki kumoszek z całej ulicy.”

Poszedł tedy książe Satni za panną Tsubui na górne piętro do jej pokojów, których ściany były wyłożone lapisem lazuli tudzież bladozieloną emalią. Było tam wiele łóżek pokrytych królewskim płótnem i niemało jednonożnych stolików zastawionych złotymi pucharami. Jeden z pucharów napełniono winem i podano go księżciu, a Tsubui rzekła: „Bądź łaskaw, napij się.” Na co książe odparł: „Wiesz przecie, że nie przyszedłem na wino.” Niemniej jednak zasiedli do uczy, podczas której Tsubui miała na sobie długą, nieprzezroczystą szatę, zapiętą pod szyję. Gdy zaś odurzony książe chciał ją pocałować, odsunęła go i odparła:

„Dom ten będzie twoim domem. Pamiętaj jednak, że nie jestem ulicznicą, lecz kobietą niewinną. Jeżeli więc chcesz, ażebym była ci posłuszną, zaprzysięgnij mi wierność i zapisz twój majątek.”

„Więc niech przyjdzie tu pisarz” — zawołał książe. A gdy go przyprowadzono, Satni kazał spisać akt ślubny tudzież akt darowizny, którym wszystkie swoje pieniądze, ruchomości i dobra ziemskie przepisał na imię Tsubui.

W godzinę później służba zawiadomiła księcia, że na dole czekają jego dzieci. Tsubui wówczas opuściła go, lecz wnet wróciła ubrana w suknię z przezroczystej gazy. Satni znowu chciał ją uścisnąć, ale odsunęła go, mówiąc:

„Dom ten będzie twoim. Lecz ponieważ nie jestem ladacnicą, tylko dziewczyną niewinną, jeżeli więc chcesz mnie posiadać, to niech twoje dzieci zrobią akt zrzeczenia się majątku, aby później nie procesowały się z moimi dziećmi.”

Satni zawołał dzieci na górę i kazał im podpisać akt zrzeczenia się majątku, co uczyniły. Lecz gdy odurzony długim oporem chciał zbliżyć się do Tsubui, ta go znowu zatrzymała...

„Dom ten będzie twoim — rzekła. — Ale ja nie jestem pierwszą lepszą; jestem czystą dziewicą. Jeżeli więc kochasz mnie, każ pozabijać twoje dzieci, ażeby kiedyś nie wydarły majątku moim...”

— Jakaż to długa historia!... — przerwała niecierpliwie Kama.

— Zaraz się skończy — odparł następca. — I wiesz, Kamo, co odpowiedział Satni:

„Jeżeli pragniesz tego, więc... niech się spełni zbrodnia!...”

Tsubui nie trzeba było dwa razy powtarzać. W oczach ojca kazała pomordować dzieci, a okrwawione ich członki wyrzuciła przez okno psom i kotom. No i dopiero wtedy Satni

wszedł do jej pokoju i spoczął na jej hebanowym łożu, wykładanym kością słoniową.<sup>68</sup>

— Ttubui dobrze robiła, nie wierząc zapewnieniom mężczyzn — rzekła zirytowana Fenicjanka.

— Ale Satni — odparł następcą — zrobił jeszcze lepiej: obudził się... gdyż jego straszna zbrodnia była tylko snem...

I ty, Kamo, zapamiętaj sobie, że najpewniejszym sposobem obudzenia mężczyzny z miłosnych upojen jest — miotać klątwy na jego syna...

— Bądź spokojny, panie, już ci nigdy nie wspomnę ani o mojej niedoli, ani o twoim synu — pośpnie odpowiedziała Fenicjanka.

— A ja nie cofnę ci moich łask i będziesz szczęśliwą — zakończył Ramzes.

## ROZDZIAŁ XV

Już i między ludem miasta Pi-Bast zaczęły rozchodzić się groźne wieści o Libijczykach. Opowiadano, że rozpuszczeni przez kapłanów żołnierze barbarzyńscy, wracając do swej ojczyzny, z początku żebrali, potem kradli, a w końcu zaczęli rabować i palić wsie egipskie, mordując przy tym mieszkańców.

W ten sposób w ciągu kilku dni zostały napadnięte i zniszczone miasta: Chinensu<sup>69</sup>, Pimat<sup>70</sup> i Kasa<sup>71</sup> na południe do jeziora Moeris. W ten sposób zginęła karawana kupców i pielgrzymów egipskich wracających z oazy Uit-Mehe. Cała zachodnia granica państwa była w niebezpieczeństwie, a nawet z Terenuthis<sup>72</sup> zaczęli uciekać mieszkańcy. I w tamtej bowiem okolicy od strony morza ukazały się bandy libijskie, jakoby wysłane przez groźnego wodza Musawasę, który podobno w całej pustyni miał ogłosić świętą wojnę przeciw Egiptowi.

Toteż jeżeli którego wieczoru zachodni pas nieba czerwienił się zbyt długo, na mieszkańców Pi-Bast padała trwoga. Ludzie gromadzili się po ulicach, niektórzy wchodzili na płaskie dachy lub wdrapywali się na drzewa i stamtąd ogłaszali, że — widzą pożar w Menuf<sup>73</sup> albo w Sechem<sup>74</sup>. Byli nawet i tacy, którzy pomimo zmroku dostrzegali uciekających mieszkańców albo libijskie bandy maszerujące w kierunku Pi-Bast długimi, czarnymi szeregami.

Pomimo wzburzenia ludności rządcy nomesu zachowywali się obojętnie; władza bowiem centralna nie przysłała im żadnych rozkazów.

Księżę Ramzes wiedział o niepokoju tłumów i widział obojętność pi-basteńskich dygnitarzy. Wściekły gniew ogarniał go, że nie otrzymuje żadnych poleceń z Memfisu i że ani Mefres, ani Mentezufis nie rozmawiają z nim o tych alarmach zagrażających państwu.

Lecz ponieważ obaj kapłani nie zgłaszali się do niego, nawet jakby unikali rozmowy z nim, więc i namiestnik nie szukał ich ani robił żadnych przygotowań wojskowych.

W końcu przestał odwiedzać stojące pod Pi-Bast pułki, a natomiast, zgromadziwszy do pałacu całą szlachecką młodzież, bawił się i ucztował, tłumiąc w sercu oburzenie na kapłanów i obawę o losy państwa.

— Zobaczysz!... — powiedział raz do Tutmozisa. — Święci prorocy wykierują nas tak, że Musawasa zabierze Dolny Egipt, a my będziemy musieli uciekać do Tebów, jeżeli

Niebezpieczeństwo

<sup>68</sup>*Pewnego dnia księżę Satni... spoczął na jej hebanowym łożu, wykładanym kością słoniową.* — historyjka autentyczna. [Historia o Setne-Chaemwese zauroczonym piękną Tabubue, jedna z cyklu opowieści o tym bohaterze, pochodzi z papiirusu z przełomu II-I w. p.n.e. Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>69</sup>*Chinensu* — Henen-Nesut (gr. Herakleopolis Magna), stolica 20. nomu Górnego Egiptu, położona ok. 90 km na południe od Memfis. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*Pimat* — Per-Medżet (gr. Oksyrynchos), stolica 19. nomu Górnego Egiptu. Położona ok. 70 km na południowy wschód od Henen-Nesut (Herakleopolis). [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*Kasa* — egipskie Hardai, gr. Kynopolis, stolica 17. nomu Górnego Egiptu, ob. al-Kais. Główny ośrodek kultu Anubisa. Położony ok. 15 km na wschód od Per-Medżet (Oksyrynchos). [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Terenuthis* — Terenouthis, egipskie Meffet, miasto w zachodniej części Deltę, w 3. nomie Dolnego Egiptu. Położone ok. 40 km na południowy zachód od dzisiejszego Tanda, 80 km na północny zachód od Memfis. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Menuf* — gr. Onufis (Onouphis), miasto na zachodzie Deltę, w 4. nomie Górnego Egiptu. Położone ok. 60 km na zachód od Bubastis (w powieści: Pi-Bast). [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Sechem* — gr. Letopolis, stolica miasto 2. nomu Dolnego Egiptu, położona ok. 60 km na południowy zachód od Bubastis. [przypis edytorski]

nie do Sunnu<sup>75</sup>, o ile znowu stamtąd nie wypędzą nas Etiopowie<sup>76</sup>...

— Prawdę rzekłeś — odparł Tutmozis — że nasi władcy poczynają sobie, jakby byli zdrajcami.

Pierwszego dnia miesiąca Hator (sierpień — wrzesień) odbywała się w pałacu następcy największa uczta. Zaczęto bawić się od drugiej po południu, a nim słońce zaszło, już wszyscy byli pijani. Doszło do tego, że mężczyźni i kobiety tarzali się po podłodze złanej winem, zasypanej kwiatami i skorupami potłuczonych dzbanów.

Książę był między nimi najprzytomniejszy. Jeszcze nie leżał, ale siedział na fotelu, trzymając na kolanach dwie piękne tancerki, z których jedna poila go winem, druga oblewała mu głowę silnymi wonnościami.

W tej chwili wszedł na sale adiutant i przelazszy przez kilku pijanych biesiadników, zbliżył się do następcy.

— Dostojny panie — szepnął — święci Mefres i Mentezufis pragną natychmiast rozmówić się z wami...

Następca odepchnął dziewczęta i zarumieniony, w poplamionym kaftanie, chwiejnym krokiem potoczył się do swego pokoju, na górę.

Na jego widok Mefres i Mentezufis spojrzeli po sobie.

— Czego chcecie, dostojnicy? — spytał książę, upadając na krzesło.

— Nie wiem, czy wasza dostojność będzie mógł wysłuchać nas... — odparł zakłopotany Mentezufis.

— A!... myślicie, żem się upił? — zawołał książę. — Nie lękajcie się... Dziś cały Egipt jest tak oszalały czy głupi, że jeszcze w pijakach najwięcej zostało rozsądku...

Kapłani zachmurzyli się, lecz Mentezufis zaczął:

— Wasza dostojność wie, że pan nasz i najwyższa rada postanowili uwolnić dwadzieścia tysięcy wojsk najemnych...

— No niby nie wiem... — przerwał następca. — Nie raczyliście przecież nie tylko zasięgnąć mojej rady w kwestii tak mądrego postanowienia, ale nawet nie raczyliście zawiadomić mnie, że już cztery pułki rozpędzono i że ludzie ci z głodu napadają nasze miasta...

— Zdaje mi się, że wasza dostojność sądzisz rozkazy jego świątobliwości faraona... — wtrącił Mentezufis.

— Nie jego świątobliwości!... — zawołał książę, tupiąc nogą — ale tych zdrajców, którzy korzystając z choroby mego ojca i władcy chcą zaprzedać państwo Asyryjczykom i Libijczykom...

Kapłani osłupieli. Podobnych wyrazów nie wypowiedział żaden jeszcze Egipcjanin.

— Pozwól, książę, ażebyśmy wrócili za parę godzin... gdy się uspokoisz... — rzekł Mefres.

— Nie ma potrzeby. Wiem, co się dzieje na naszej zachodniej granicy... A raczej nie ja wiem, tylko moi kucharze, chłopcy stajenni i pomywaczki. Może więc zechcecie teraz, czcigodni ojcowie, i mnie wtajemniczyć w wasze plany?...

Mentezufis przybrał obojętną fizjognomię i mówił:

— Libijczycy zbuntowali się i zaczynają zbierać bandy z zamiarem napadu na Egipt.

— Rozumiem.

— Z woli zatem jego świątobliwości — ciągnął Mentezufis — i najwyższej rady, masz, wasza dostojność, zebrać wojska z Dolnego Egiptu i zniszczyć buntowników.

— Gdzie rozkaz?

Mentezufis wydobył z zanadru pergamin opatrzone pieczęciami i wręczył go księciu.

— Więc od tej chwili jestem naczelnym wodzem i najwyższą władzą w tej prowincji? — spytał następca.

— Tak jest, jak rzekłeś.

— I mam prawo odbyć z wami naradę wojenną?...

<sup>75</sup>Sunnu — Sunet, gr. Syene, dziś Asuan, miasto w pobliżu I katarakty, w starożytności najdalej wysunięte na południe miasto Egiptu, na granicy z Nubią, w 1. nomie Górnego Egiptu. Znajduje się ok. 660 km na południe od Memfis, 180 km na południe od Teb. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Etiopowie — chodzi o mieszkańców Nubii, rejonu na południe I katarakty nilowej, tj. dzisiejszego południowego Egiptu i północnego Sudanu. Starożytni Grecy używali nazw: Etiopia, Etiopowie na określenie wszystkich terenów i ludów na południe od Egiptu. [przypis edytorski]

— Koniecznie... — odparł Mefres. — Choć w tej chwili...

— Siadajcie — przerwał książę.

Obaj kapłani spełnili rozkaz.

— Pytam się was, bo to potrzebne jest do moich planów: dlaczego rozpuszczono libijskie pułki?...

— I rozpuści się inne — pochwyił Mentezufis. — Otóż rada najwyższa dlatego chce pozbyć się dwudziestu tysięcy najkosztowniejszych żołnierzy, aby skarbowi jego świątobliwości dostarczyć rocznie czterech tysięcy talentów, bez czego dwór królewski może znaleźć się w niedostatku...

— Co jednak nie grozi najnędniejszemu z egipskich kapłanów!... — wtrącił książę.

— Zapominasz, wasza dostojność, że kapłana nie godzi się nazywać „nędnym” — odparł Mentezufis. — A że nie grozi żadnemu z nich niedostatek, to jest zasługą ich powściągliwego trybu życia.

— W takim razie chyba posągi wypijają wino, co dzień odnoszone do świątyni, i kamienni bogowie stroją swoje kobiety w złoto i drogie klejnoty — szydził książę. — Ale mniejsza o waszą powściągliwość!... Rada kapłańska nie dlatego rozpędza dwadzieścia tysięcy wojska i otwiera bramy Egiptu bandytom, ażeby napęłnić skarb faraona...

— Tylko?...

— Tylko dlatego, ażeby przypodobać się królowi Assarowi. A ponieważ jego świątobliwość nie zgodził się na oddanie Asyryjczykom Fenicji, więc wy chcecie osłabić państwo w inny sposób: przez rozpuszczenie najemników i wywołanie wojny na naszej zachodniej granicy...

— Biorę bogów na świadectwo, że zdumiewasz nas, wasza dostojność!... — zawołał Mentezufis.

— Cienie faraonów bardziej zdumiałyby się, usłyszawszy, że w tym samym Egipcie, w którym spętano królewską władzę, jakiś Chaldejczyk wpływa na losy państwa...

— Uszom nie wierzę!... — odparł Mentezufis. — Co wasza dostojność mówisz o jakimś Chaldejczyku?...

Namiestnik śmiało się szyderczo.

— Mówię o Beroesie... Jeżeli ty, święty mężu, nie słyszałeś o nim, zapytaj czcigodnego Mefresa, a gdyby i on zapomniał, niech odwoła się do Herhora i Pentuera...

Oto wielka tajemnica waszych świątyni!... Obcy przybłęda, który jak złodziej dostał się do Egiptu, narzuca członkom najwyższej rady traktat tak haniebnym, że mogliśmy podpisać go dopiero po przegraniu bitew, po utracie wszystkich pułków i obu stolic.

I pomyśleć, że zrobił to jeden człowiek, najpewniej szpieg króla Assara!... A nasi mędrcy tak dali się oczarować jego wymowie, że gdy faraon nie pozwolił im wyrzec się Fenicji, to oni przynajmniej rozpuszczają pułki i wywołują wojnę na granicy zachodniej...

Słyszana rzecz?... — ciągnął już nie panując nad sobą Ramzes. — Gdy jest najlepsza pora zwiększyć armię do trzystu tysięcy ludzi i popchnąć ją do Niniwy, ci pobożni szaleńcy rozpędzają dwadzieścia tysięcy wojsk i podpalają własny dom...

Mefres, sztywny i blade, słuchał tych okrutnych szyderstw. Wreszcie zabrał głos:

— Nie wiem, dostojny panie, z jakiego źródła czerpałeś swoje wiadomości... Oby ono było równie czystym jak serca członków najwyższej rady! Przypuśćmy jednak, że masz słuszość i że jakiś Chaldejczyk potrafił skłonić radę do podpisania ciężkiej umowy z Asyrią. Otóż gdyby tak się zdarzyło, to skąd wiesz, że ów kapłan nie był wysłannikiem bogów, którzy przez jego usta ostrzegli nas o wiszących nad Egiptem niebezpieczeństwach?...

— Odkądże to Chaldejczycy cieszą się takim zaufaniem u was? — zapytał książę.

— Kapłani Chaldejcy są starszymi braćmi Egipczyków — wtrącił Mentezufis.

— To może i król Asyryjski jest władcą faraona? — wtrącił książę.

— Nie bluźnij, wasza dostojność — surowo przerwał Mefres. — Lekkomyślnie szperasz w najświętszych tajemnicach, a to bywało niebezpiecznym nawet dla większych od ciebie!

— Dobrze, nie będę szperał. Po czym jednak można poznać, że jeden Chaldejczyk jest wysłannikiem bogów, a drugi szpiegiem króla Assara?

— Po cudach — odparł Mefres. — Gdyby na twój rozkaz, książę, ten pokój napęłnił się duchami, gdyby niewidzialne moce uniosły cię w powietrze, powiedzielibyśmy, żeś jest



narzędziem nieśmiertelnych, i słuchalibyśmy twej rady...

Ramzes wzruszył ramionami.

— I ja widziałem duchy: robiła je młoda dziewczyna... I ja widziałem w cyrku leżącego w powietrzu kuglarza...

— Tylkoś nie dojrzał cienkich sznurków, które trzymali w zębach czterej jego pomocnicy... — wtrącił Mentezufis.

Ksiązę znowu roześmiał się i przypomniawszy sobie, co mu Tutmozis opowiadał o nabożeństwach Mefresa, rzekł szyderczym tonem:

— Za króla Cheopsa pewien arcykapłan chciał koniecznie latać po powietrzu. W tym celu modlił się do bogów, a swoim podwładnym kazał uważać: czy go nie podnoszą niewidzialne siły?... I co powiecie, święci mężowie: od tej pory nie było dnia, ażeby prorocy nie zapewniali arcykapłana, że unosi się w powietrzu, wprawdzie niewysoko, bo tylko na palec od podłogi... Ale... co to waszej dostojności? — spytał nagle Mefresa.

Istotnie arcykapłan, słuchając swojej własnej historii, zachwiał się na krześle i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Mentezufis.

Ramzes zmieszał się. Podał starcowi wody do picia, natarł mu czoło i skronie octem, zaczął go chłodzić wachlarzem...

Wkrótce święty Mefres przyszedł do siebie. Powstał z krzesła i rzekł do Mentezufisa:

— Już chyba możemy odejść?

— I ja tak myślę.

— A ja co mam robić? — spytał ksiązę, czując, że stało się coś złego.

— Spełnić obowiązki naczelnego wodza — odparł zimno Mentezufis.

Obaj kapłani ceremonialnie uklonili się księciu i wyszli. Namiestnik był już całkiem trzeźwy, ale na serce spadł mu wielki ciężar. W tej chwili zrozumiał, że popełnił dwa ciężkie błędy: przyznał się kapłanom do tego, że zna ich wielką tajemnicę, i — niemiłosiernie zdrwił z Mefresa.

Oddałby rok życia, gdyby można zatrzeć w ich pamięci całą tę pijacką rozmowę. Ale już było za późno.

„Nie ma co — myślał — zdradziłem się i kupiłem sobie śmiertelnych wrogów. Ale trudno. Walka zaczyna się w chwili najniekorzystniejszej dla mnie... Lecz idźmy dalej. Niejeden przecie faraon walczył z kapłaństwem i zwyciężył je, nawet nie mając zbyt silnych sprzymierzeńców.”

Tak jednak uczuł niebezpieczeństwo swego położenia, że w tej chwili przysiągł, na świętą głowę ojca, nigdy już nie pić większej ilości wina.

Kazał zawołać Tutmozisa. Powiernik zjawił się natychmiast, zupełnie trzeźwy.

— Mamą wojnę i jestem naczelnym wodzem — rzekł następcą.

Tutmozis uklonił się do ziemi.

— I nigdy już nie będę upijał się — dodał ksiązę. — A wiesz dlaczego?

— Wódz powinien wystrzegać się wina i odurzających woni — odparł Tutmozis.

— Nie pamiętałem o tym i... wygadałem się przed kapłanami...

— Z czym? — zawołał przestraszony Tutmozis.

— Że ich nienawidzę i żartuję z ich cudów...

— Nic nie szkodzi. Oni chyba nigdy nie rachują na ludzką miłość.

— I że znam ich polityczne tajemnice — dodał ksiązę.

— Aj!... — syknął Tutmozis. — To jedno było niepotrzebne...

— Mniejsza o to — mówił Ramzes. — Wyślij natychmiast szybkobiegaczy do pułków, ażeby jutro z rana dowódcy zjechali się na radę wojenną. Każ zapalić sygnały alarmowe, ażeby wszystkie wojska Dolnego Egiptu od jutra maszerowały ku zachodniej granicy. Pójdź do nomarchy i zapowiedz mu, aby uwiadomił innych nomarchów o potrzebie gromadzenia żywności, odzieży i broni.

— Będziemy mieli kłopot z Nilem — wtrącił Tutmozis.

— Toteż niech wszystkie czółna i statki zatrzymają na odnogach Nilowych dla przewozu wojsk. Trzeba też wezwać nomarchów, ażeby zajęli się przygotowaniem pułków rezerwowych...

Tymczasem Mefres i Mentezufis wracali do swych mieszkań, przy świątyni Ptah. Gdy znaleźli się sami w celi, arcykapłan podniósł ręce do góry i zawołał:

— Trójco nieśmiertelnych bogów: Ozyrysie, Izydo i Horusie — ratujcie Egipt od zagięcia!... Jak świat światem, żaden faraon nie wypowiedział tylu bluźnierstw, ile dziś usłyszeliśmy od tego dzieciaka... Co mówię — faraon?... Żaden wróg Egiptu, żaden Cheta<sup>77</sup>, Fenicjanin, Libijczyk nie ośmieliłby się tak znieważać kapłańskiej nietykalności...

— Wino robi człowieka przezroczystym — odparł Mentezufis.

— Ależ w tym młodym sercu kłębi się gniazdo żmij... Poniewiera stan kapłański, szydzi z cudów, nie wierzy w bogów...

— Najwięcej jednak zastanawia mnie to — rzekł zamyślony Mentezufis — skąd on wie o waszych układach z Beroesem? Bo że wie, na to przysięgnę.

— Dokonano okropnej zdrady — odparł Mefres, chwytając się za głowę.

— Rzecz bardzo dziwna! Było was czterech...

— Wcale nie czterech. Boć o Beroesie wiedziała starsza kapłanka Izydy, dwaj kapłani, którzy mu wskazali drogę do świątyni Seta, i kapłan, który go przyjął u wrót... Czekaj no!... — mówił Mefres. — Ten kapłan wciąż siedział w podziemiach... A jeżeli podsłuchiwał?...

— W każdym razie nie sprzedał tajemnicy dzieciakowi, ale komuś poważniejszemu. A to jest niebezpieczne!...

Do celi zapukał arcykapłan świątyni Ptah, święty Sem.

— Pokój wam — rzekł, wchodząc.

— Błogosławieństwo sercu twemu. — Przyszedłem, bo tak podnosicie głos, jakby stało się jakie nieszczęście. Chyba nie przeraża was wojna z nędznym Libijczykiem?... — mówił Sem.

— Co byś też myślał, wasza cześć, o księciu następcy tronu? — przerwał mu Mentezufis.

— Ja myślę — odparł Sem — że on musi być bardzo kontent z wojny i naczelnego dowództwa. Oto urodzony bohater! Gdy patrzę na niego, przychodzi mi na myśl lew Ramzesa.... Ten chłopak gotów sam rzucić się na wszystkie bandy libijskie i zaprawdę — może je rozproszyć.

— Ten chłopak — odezwał się Mefres — może wywrócić wszystkie nasze świątynie i zmasać Egipt z oblicza ziemi.

Święty Sem szybko wyjął złoty amulet, który nosił na piersiach, i szepnął:

— Ucieknijcie, złe słowa, na pustynię... Oddalcie się i nie róbcie szkody sprawiedliwym. Co też wygaduje wasza dostojność!... — rzekł głośnie, tonem wyrzutu.

— Dostojny Mefres mówi prawdę — odezwał się Mentezufis. — Głowa by cię zabolala i żołądek, gdyby ludzkie wargi mogły powtórzyć bluźnierstwa, jakie dziś usłyszeliśmy od tego młodzieniaszka.

— Nie żartuj, proroku — oburzył się arcykapłan Sem. — Prędeż uwierzyłbym, że woda płonie, a powietrze gasi, aniżeli w to, że Ramzes dopuszcza się bluźnierstw...

— Robił to niby po pijanemu — wtrącił złośliwie Mefres.

— Choćby nawet. Nie przeczę, że jest to książę lekkomyślny i hulaka, ale bluźnierca!...

— Tak i myśmy sądzili — mówił Mentezufis. — A tak byliśmy pewni, że znamy jego charakter, iż gdy wrócił ze świątyni Hator, przestaliśmy nawet rozciągać nad nim kontroli...

— Żał ci było złota na opłacanie dozorców — wtrącił Mefres. — Widzisz, jakie skutki pociąga na pozór drobne zaniedbanie!...

— Ale cóż się stało? — pytał niecierpliwie Sem.

— Krótko odpowiem: księżę następcę drwi z bogów...

— Och!...

— Sądzi rozkazy faraona...

— Czy podobna?...

— Najwyższą radę nazywa zdrajcami...

— Ależ...

— I od kogoś dowiedział się o przybyciu Beroesa, a nawet o jego widzeniu się z Mefresem, Herhorem i Pentuerem w świątyni Seta...

Arcykapłan Sem porwał się oburzać za głowę i począł biegać po celi.

<sup>77</sup> Cheta — dziś popr.: Hetyta. [przepis edytorski]

— Niepodobna... — mówił. — Niepodobna!... Chyba rzucił kto urok na tego młodzieńca... Może owa kapłanka fenicka, którą wykradł ze świątyni?...

Mentezufisowi uwaga ta wydała się tak trafną, że spojrział na Mefresa. Ale rozdrażniony arcykapłan nie dał się zbić z toru.

— Zobaczmy — odparł. — Pierwej jednak trzeba przeprowadzić śledztwo, ażebyśmy dzień po dniu wiedzieli: co robił książę od powrotu ze świątyni Hator? Za dużo miał swobody, za dużo stosunków z niewiernymi i nieprzyjaciółmi Egiptu. A ty, dostojny Semie, pomożesz nam...

Skutkiem tej uchwały, arcykapłan Sem zaraz nazajutrz kazał wzywać lud na uroczyste nabożeństwo do świątyni Ptaħ.

Stawali tedy na rogach ulic, na placach, nawet na polach heroldowie kapłańscy i zwoływali wszelki lud za pomocą trąb i fletów. A gdy zebrała się dostateczna liczba słuchaczy, donosili im, że w świątyni Ptaħ przez trzy dni odbywać się będą modły i procesje na intencję, aby dobry bóg błogosławił orężowi egipskiemu i pognębił Libijczyków. Zaś na wodza ich, Musawasę, aby zesłał trąd, ślepotę i szaleństwo.

Stało się, jak chcieli kapłani. Od rana do późnej nocy lud prosty wszelkiego zajęcia gromadził się dokoła murów świątyni, arystokracja i bogaci mieszczenie zbierali się w przysionku zewnętrznym, a kapłani miejscowi i sąsiednich nomosów składali ofiarę bogu Ptaħ i zanosili modły w kaplicy najświętszej.

Trzy razy dziennie wychodziła uroczysta procesja, podczas której obnoszono w złotej łodzi zasłoniętej firankami czcigodny posąg bóstwa. Przy czym lud padał na twarz i głośno wyznawał nieprawości swoje, a gęsto rozrzuceni w tłumie prorocy, za pomocą stosownych pytań, ułatwiali mu skruchę. Toż samo działo się w przysionku świątyni. Ponieważ jednak ludzie dostojni i bogaci nie lubili oskarżać się głośno, więc święci ojcowie brali żałujących na stronę i po cichu udzielali im rad i upomnień.

W południe nabożeństwo było najuroczystsze. O tej bowiem godzinie przychodziły wojska maszerujące na zachód, aby otrzymać błogosławieństwo arcykapłana i odświeżyć potęgę swoich amuletów, mających własność osłabiania nieprzyjacielskich ciosów.

Niekiedy w świątyni rozlegały się grzmoty, a w porze nocnej nad pylonami błyskało się. Był to znak, że bożek wysłuchał czyichś modłów albo że rozmawiał z kapłanami.

Kiedy po zakończeniu uroczystości trzej dostojnicy: Sem, Mefres i Mentezufis, zeszli się na poufną naradę, sytuacja była już wyjaśniona.

Nabożeństwo przyniosło świątyni około czterdziestu talentów dochodu; lecz około sześćdziesięciu talentów wydano na prezenta<sup>78</sup> lub spłatę długów rozmaitych osób z arystokracji tudzież wyższych wojskowych.

Wiadomości zaś zebrano następujące:

Między wojskiem krążyła pogłoska, że byle książę Ramzes wstąpił na tron, rozpocznie z Asyrią wojnę, która przyjmującym w niej udział zapewni wielkie zyski. Najniższy żołnierz, mówiono, nie wróci z tej wyprawy bez tysiąca drachm, jeżeli nie lepiej. Między ludem szeptano, że gdy faraon po zwycięstwie wróci z Niniwy, wszystkich chłopów obdarzy niewolnikami i na pewną liczbę lat daruje Egiptowi podatki.

Arystokracja zaś sądziła, że nowy faraon przede wszystkim — odbierze kapłanom, a zwróci szlachcie wszystkie dobra, które stały się własnością świątyni, jako pokrycie zaciągniętych długów. Mówiono też, że przyszedł faraon będzie rządził samowładnie, bez udziału najwyższej rady kapłańskiej.

W końcu we wszystkich warstwach społecznych panowało przekonanie, że książę Ramzes, aby zapewnić sobie pomoc Fenicjan, nawrócił się do bogini Istar i do niej szczególnie okazywał nabożeństwo. W każdym razie było rzeczą pewną, że następca odwiedzał raz świątynię Istar w nocy i widział tam jakieś cuda. Zresztą między bogatymi Azjatom krążyły pogłoski, że Ramzes złożył świątyni wielkie dary, a w zamian dostał stamtąd kapłankę, która miała go utwierdzać w wierze.

Wszystkie te wiadomości zebrał najdostojniejszy Sem i jego kapłani. Zaś ojcowie święci: Mefres i Mentezufis, zakomunikowali mu inną nowinę, która przysła do nich z Memfis.

<sup>78</sup>prezenta — dziś popr.: prezenty. [przypis edytorski]

Oto — kapłana chaldejskiego i cudotwórcę, Beroesa, przyjmował w podziemiach świątyni Seta kapłan Osochor, który we dwa miesiące później wydając za mąż swoją córkę obdarował ją bogatymi klejnotami i kupił nowożeńcom duży folwark. A ponieważ Osochor nie miał tak znacznych dochodów, rodziło się więc podejrzenie, że ów kapłan, podsłuchawszy rozmowę Beroesa z egipskimi dostojnikami, sprzedał następnie tajemnicę traktatu Fenicjanom i otrzymał od nich wielki majątek.

Wysłuchawszy tego, arcykapłan Sem rzekł:

— Jeżeli święty Beroes jest naprawdę cudotwórcą, to przede wszystkim jego zapytajcie: czy Osochor zdradził tajemnicę?...

— Pytano się o to cudownego Beroesa — odparł Mefres — ale święty mąż powiedział, że w tej sprawie chce milczeć. Dodał też, że choćby nawet ktoś podsłuchał ich układy i doniósł o tym Fenicjanom, Egipt ani Chaldea nie poniosą żadnej szkody. Gdyby więc znalazł się winowajca, należy okazać mu miłosierdzie.

— Święty!... zaiste święty to mąż!... — szeptał Sem.

— A co wasza dostojność — rzekł Mefres do Sema — sądzisz o księciu następcy i niepokojach, jakie wywołało jego postępowanie?

— Powiem to samo, co Beroes: następca nie zrobi szkody Egiptowi, więc trzeba mieć pobożność...

— Młodziak ten drwi z bogów i cudów, wchodzi do obcych świątyń, buntuje lud... To nie są małe rzeczy!... — mówił z goryczą Mefres, który nie mógł zapomnieć Ramzesowi, że w grubiański sposób zażartował z jego pobożnych praktyk.

Arcykapłan Sem lubił Ramzesa, więc odparł z dobrotliwym uśmiechem:

— Który chłop w Egipcie nie rad by mieć niewolnika, ażeby wyrzec się swojej ciężkiej pracy dla słodkiego próżnowania?

A czy jest na świecie człowiek, który by nie marzył o niepłaceniu podatków? Za to bowiem, co płaci skarbowi, jego żona, on sam i dzieci mogliby sprawić sobie ozdobną odzież i użyć rozmaitych przyjemności.

— Próżniactwo i nadmierne wydatki psują człowieka — odezwał się Mentezufis.

— Który żołnierz — ciągnął Sem — nie chciałby wojny i nie pożądał tysiąca drachm zysku, a nawet i więcej?

Dalej — pytam was, ojcowie: który faraon, który nomarcha, który szlachcic chętnie płaci zaciągnięte długi i nie spogląda krzywym okiem na bogactwa świątyń?...

— Bezbożna to pożądliwość! — szepnął Mefres.

— A nareszcie — mówił Sem — który następca tronu nie marzył o ograniczeniu powagi kapłanów, który faraon, w początkach panowania, nie chciał otrząsnąć się spod wpływu najwyższej rady?

— Słowa twoje są pełne mądrości — rzekł Mefres — ale do czego one mają nas doprowadzić?

— Do tego, abyście nie oskarżali następcy przed najwyższą radą. Bo przecie nie ma sądu, który potępiłby księcia za to, że chłopci radzi by nie płacić podatków albo że żołnierze chcą wojny. Owszem, was mogłaby spotkać wymówka. Bo gdybyście dzień po dniu śledzili księcia i hamowali jego drobne wybryki, nie byłoby dziś piramidy oskarżeń, w dodatku — na niczym nie opartych.

W podobnych sprawach nie to jest złem, że ludzie mają skłonność do grzechu, bo oni mieli ją zawsze. Ale to jest niebezpieczne, że myśmy ich nie pilnowali. Nasza święta rzeka, matka Egiptu, bardzo prędko zamuliłaby kanały, gdyby inżynierowie zaprzestali czuwać nad nią.

— A co powiesz, wasza dostojność, o wymysłach, jakich ksiązę dopuścił się w rozmowie z nami?... Czy przebaczysz ohydne drwiny z cudów?... — spytał Mefres. — Przecie ten młodziak ciężko znieważył moją pobożność...

— Sam się obraża, kto rozmawia z pijakiem — odparł Sem. — Zresztą, wasze dostojności nie mieliście prawa rozmawiać o najważniejszych sprawach państwa z nietrzeźwym księciem... A nawet popełniliście błąd, mianując pijanego człowieka wodzem armii. Wódz bowiem musi być trzeźwy.

— Korzę się przed waszą mądrością — rzekł Mefres — ale głosuję za podaniem skargi na następcę do rady najwyższej.

— A ja głosuję przeciw skardze — odparł energicznie Sem. — Rada musi dowiedzieć się o wszystkich postępkach namiestnika, ale nie w formie skargi, tylko zwykłego raportu.

— I ja jestem przeciw skardze — odezwał się Mentezufis.

Arcykapłan Mefres, widząc, że ma przeciw sobie dwa głosy, ustąpił z żądaniem skargi na księcia. Ale wyrządzoną zniewagę zapamiętał i niechęć ukrył w sercu.

Był to starzec mądry i pobożny, lecz mściwy. I chętniej przebaczyłby, gdyby mu rękę ucięto, aniżeli gdy obrażono jego dostojęstwo kapłańskie.

## ROZDZIAŁ XVI

Za radą astrologów główna kwatera miała wyruszyć z Pi-Bast w dniu siódmym Hator. Ten bowiem dzień był „dobry, dobry, dobry”. Bogowie w niebie, a ludzie na ziemi cieszyli się ze zwycięstwa Ra nad nieprzyjaciółmi; kto zaś przyszedł na świat w tej dobie, miał umrzeć w późnej starości, otoczony szacunkiem.

Był to również dzień pomyślny dla brzemiennych kobiet i handlujących tkaninami, a zły dla żab i myszy.

Od chwili mianowania go naczelnym wodzem Ramzes gorączkowo rzucił się do pracy. Sam przyjmował każdy nadciągający pułk, oglądał jego broń, odzież i obozy. Sam witał rekrutów i zachęcał ich do pilnego uczenia się musztry na zgubę wrogów i chwale faraona. Prezydował na każdej radzie wojennej, był obecnym przy badaniu każdego szpiega i w miarę nadchodzących wiadomości własną ręką oznaczał na mapie ruchy wojsk egipskich i stanowiska nieprzyjaciół.

Przejeżdżał tak prędko z miejsca na miejsce, że wszędzie go oczekiwano, a mimo to spadał nagle jak jastrząb. Z rana był na południe od Pi-Bast i zrewidował żywność; w godzinę później ukazał się na północ od miasta i wykrył, że w pułku Jeb brakuje stu pięćdziesięciu ludzi. Nad wieczorem dogonił przednie strażę, był przy przejściu Nilowej odnogi i zrobił przegląd dwustu wozów wojennych.

Święty Mentezufis, który jako pełnomocnik Herhora dobrze znał się na sztuce wojennej, nie mógł wyjść z podziwu.

— Wiecie, dostojnicy — rzekł do Sema i Mefresa — że nie lubię następcy od czasu, gdy odkrył jego złość i przewrotność. Ale niech Ozyrys będzie mi świadkiem, że młodzian ten jest urodzonym wodzem. Powiem wam rzecz niesłychaną: my nad granicą o trzy lub cztery dni wcześniej zgromadzimy siły, aniżeli można było przypuszczać. Libijczycy już przegrali wojnę, choć jeszcze nie słyszeli świstu naszej strzały.

— Tym niebezpieczniejszy dla nas taki faraon... — wtrącił Mefres z zaciętością cechującą starców.

Ku wieczorowi dnia szóstego Hator książę Ramzes wykąpał się i oświadczył sztabowi, że jutro, na dwie godziny przed wschodem słońca, wyruszą.

— A teraz chcę się wyspać — zakończył.

Łatwiej jednak było chcieć aniżeli spać.

W całym mieście roili się żołnierze, a przy pałacu następcy obozował pułk, który jadł, pił i śpiewał, ani myśląc o odpoczynku.

Książę odszedł do najodleglejszego pokoju, lecz i tu nie pozwolono mu rozebrać się. Co kilka minut przylatywał jakiś adiutant z nic nie znaczącym raportem lub po rozkazach w sprawach, które mógł na miejscu rozstrzygnąć dowódca pułku. Przyprawiano szpiegów, którzy nie przynosili żadnych nowych wiadomości; zgłaszali się wielcy panowie z małym poczem ludzi, pragnąc księciu ofiarować usługi jako ochotnicy. Dobijali się kupcy fenicy, pragnący wziąć dostawy dla wojska, lub dostawcy, którzy skarżyli się na wymagania jenerałów<sup>79</sup>.

Nie brakło nawet wróżbitów i astrologów, którzy w ostatniej chwili przed wymarszem chcieli księciu stawiać horoskopy, tudzież czarnoksiężników, mających do sprzedania niezawodne amulety przeciw pociskom.

Wszyscy ci ludzie po prostu wdzierali się do pokoju księcia: każdy z nich bowiem sądził, że w jego rękach spoczywa los wojny i że w podobnych okolicznościach znika wszelka etykieta.

<sup>79</sup>jenerał — dziś: generał. [przypis edytorski]

Następca cierpliwie załatwiał interesantów. Ale gdy za astrologiem wsunęła się do pokoju jedna z książęcych kobiet, z pretensją, że Ramzes snadź jej nie kocha, gdyż się z nią nie pożegnał, i kiedy w kwadrans po tej za oknem rozległ się płacz innej kochanki, następca już nie mógł wytrzymać.

Zawołał Tutmozisa i rzekł mu:

— Siedź w tym pokoju i jeżeli masz ochotę, pocieszaj kobiety mego domu. Ja ukryję się gdzieś w ogrodzie, bo inaczej nie zasną i jutro będę wyglądał jak kura wydobyta ze studni.

— Gdzież mam cię szukać w razie potrzeby? — spytał Tutmozis.

— Oho! ho!... — roześmiał się następca. — Nigdzie nie szukajcie. Sam się znajdzie, gdy zatrabia pobudkę.

To powiedziawszy, książę narzucił na siebie długi płaszcz z kapturem i wymknął się w ogród.

Ale i po ogrodzie snuli się żołnierze, kuchciki i inna służba następcy: w całym bowiem obszarze pałacowym zniknął porządek, jak zwykle przed wymarszem na wojnę. Spozrzeglwszy to Ramzes skręcił w najgłębszą część parku, znalazł jakąś altankę zarośniętą winem i kontent rzucił się na ławę.

— Tu już nie znajdą mnie — mruknął — ani kapłani, ani baby...

Wnet zasnął jak kamień.

Od kilku dni Fenicjanka Kama czuła się niezdrową. Do rozdrażnienia przyłączyło się jakieś szczególne niedomaganie i bóle w stawach. Przy tym swędziła ją twarz, a szczególnie czoło nad brwiami.

Drobne te przypadłości wydały się jej tak niepokojącymi, że przestała obawiać się, ażeby jej nie zabito, a natomiast ciągle siedziała przed lustrem, zapowiedziawszy sługom, że mogą robić, co im się podoba, byle ją zostawili w spokoju. W tych czasach nie myślała ani o Ramzesie, ani o nienawistnej Sarze; cała jej bowiem uwaga była zajęta — plamami na czole, których nienawykłe oko nie mogłoby nawet dostrzec.

„Plama... tak, są plamy... — mówiła do siebie pełna bojaźni. — Dwie... trzy... O Astoreth, przecie w taki sposób nie zechcesz ukarać swej kapłanki!... Lepsza śmierć... Ale co znowu za głupstwo... Gdy czoło pocieram palcami, plamy robią się czerwieniejsze... Widocznie coś mnie pokąsało albo namaściłam się nieczystą oliwą... Umyję się, a do jutra plamy zginą...”

Przyszło jutro, ale plamy nie zginęły.

Zawołała służącą.

— Słuchaj — rzekła — spojrzij na mnie...

Lecz powiedziawszy to, usiadła w mniej oświetlonej części pokoju.

— Słuchaj i patrz... — mówiła zduszonym głosem. — Czy... czy na mojej twarzy widzisz jakie plamy?... Tylko... nie zbliżaj się!...

— Nie widzę nic — odparła służąca.

— Ani pod lewym okiem?... ani nad brwiami?... — pytała z wzrastającym rozdrażnieniem Fenicjanka.

— Niech pani raczy łaskawie usiąść boskim obliczem do światła — rzekła służąca.

Naturalne to żądanie do wściekłości doprowadziło Kamę.

— Precz, nędznico!... — zawołała — i nie pokazuj mi się...

A gdy służąca uciekła, jej pani rzuciła się gorączkowo do swej toalety<sup>80</sup> i otworzywszy parę słoików, za pomocą pędzelka umalowała sobie twarz na różowy kolor.

Nad wieczorem, czując wciąż ból w stawach i gorszy od bólu niepokój, kazała wezwać do siebie lekarza. Gdy powiedziano jej, że przyszedł, spojrzała w lustro i — napadł ją nowy atak jakby szaleństwa. Rzuciła lustro na podłogę i zawołała z płaczem, że nie chce lekarza.

W ciągu szóstego Hator cały dzień nie jadła i nie chciała się z nikim widzieć.

Gdy po zachodzie słońca weszła niewolnica ze światłem, Kama położyła się na łóżku, owinąwszy głowę szalem. Kazała czym prędzej wynosić się niewolnicy, potem usiadła na fotelu z daleka od kagańca i przepędziła kilka godzin w półsenным odrętwieniu.

„Nie ma żadnych plam — myślała — a jeżeli są, to przecie nie te... To nie trąd...”

<sup>80</sup>toaleta — dziś popr.: toaleta; tu: toaletka, mebel, w którym trzyma się kosmetyki. [przypis edytorski]

— Bogowie!... — krzyknęła, rzucając się na ziemię — nie może być, ażebym ja... Bogowie, ratujcie!... Wróć do świątyni... odpokutuję całym życiem...

I znowu uspokoiła się, i znowu myślała:

„Nie ma żadnych plam... Od kilku dni trę sobie skórę, więc jest zaczerwieniona... Skądże by znowu?... Czy kto słyszał, ażeby kapłanka i kobieta następcy tronu mogła zachorować na trąd... O bogowie!... Tego nigdy nie było, jak świat światem... Tylko rybacy, więźniowie i nędzni Żydzi... O, ta podła Żydówka!... na nią spuście trąd, moce niebieskie...”

W tej chwili w oknie, które było na pierwszym piętrze, mignął jakiś cień. Potem rozległ się szelest i ze dworu na środek pokoju skoczył książę Ramzes.

Kama osłupiała. Nagle schwyciła się za głowę, a w jej oczach odmalował się — strach bezgraniczny.

— Lykon?... — szepnęła, chwytając się za głowę. — Lykon, tyś tu?... Zginiesz!... Ścigają cię...

— Wiem — odparł Grek, śmiejąc się szyderczo. — Ścigają mnie wszyscy Fenicjanie i cała policja jego świątobliwości...

Mimo to — dodał — jestem u ciebie i byłem u twego pana...

— Byłeś u księcia?...

— Tak, w jego własnej komnacie... I zostawiłbym sztylet w piersi, gdyby złe duchy nie usunęły go... Widocznie twój kochanek poszedł do innej kobiety, nie do ciebie...

— Czego tu chcesz?... Uciekaj!... — szeptała Kama.

— Ale z tobą — odparł. — Na ulicy czeka wóz, którym dojedziemy do Nilu, a tam moja barka...

— Oszalałeś!... Ależ miasto i drogi pełne wojska...

— Właśnie dlatego mogłem wejść do pałacu i oboje wymkniemy się najłatwiej — mówił Lykon. — Zabierz wszystkie kosztowności... Wnet wrócę i zabiorę cię...

— Gdzie idziesz?...

— Poszukam twego pana — odparł. — Nie odejdę przecie bez zostawienia mu pamiątki...

— Tyś szalony...

— Milcz!... — przerwał błąd z gniewu. — Jeszcze go chcesz bronić?...

Fenicjanka zadumała się, zacisnęła pięści, a w jej oczach błysnęło złowrogie światło.

— A jeżeli nie znajdziesz go?... — spytała.

— To zabiję paru śpiących jego żołnierzy... podpalę pałac...

Zresztą — czy ja wiem, co zrobię?... Ale bez pamiątki nie odejdę...

Wielkie oczy Fenicjanki miały tak okropny wyraz, że Lykon zdziwił się.

— Co tobie?... — spytał.

— Nic. Słuchaj. Nigdy nie byłeś tak podobny do księcia jak dziś!... Jeżeli więc chcesz zrobić coś dobrego...

Zbliżyła twarz do jego ucha i zaczęła szeptać.

Grek słuchał zdumiony.

— Kobieto — rzekł — najgorsze duchy mówią przez ciebie... Tak, na niego zwróci się podejrzenie...

— To lepsze aniżeli sztylet — odparła ze śmiechem. — Co?...

— Nigdy nie wpadłbym na taki pomysł!... A może oboje?...

— Nie!... Ona niech żyje... To będzie moja zemsta...

— Cóż to za przewrotna dusza!... — szepnął Lykon. — podobasz mi się... Po królewsku zapłacimy im...

Cofnął się do okna i zniknął. Kama wychyliła się za nim i rozgorączkowana, zapomniawszy o sobie, słuchała.

Może w kwadrans po odejściu Lykona w stronie gaju figowego rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy. Powtórzył się parę razy i ucichł.

Fenicjankę, zamiast spodziewanej radości, ogarnął strach. Upadła na kolana i obłąkanymi oczyma wpatrywała się w ciemny ogród.

Na dole rozległ się cichy bieg, zatrzeszczał słup ganku i w oknie znowu ukazał się Lykon w ciemnym płaszczu. Gwałtownie dyszał i ręce mu drżały.

— Gdzie klejnoty?... — szepnął.  
— Daj mi spokój — odparła.  
Grek pochwycił ją za kark.  
— Nędnico!... — rzekł — czy nie rozumiesz, że nim słońce wejdzie, uwiężą cię i za parę dni uduszą?...

— Jestem chora...  
— Gdzie klejnoty?...  
— Stoją pod łóżkiem.

Lykon wszedł do komnaty, przy świetle kaganka wydobyl ciężką skrzyneczkę, zarzucił na Kamę płaszcz i targnął ją za ramię.

— Zabieraj się. Gdzie są drzwi, którymi wchodzi do ciebie ten... ten twój pan?..  
— Zostaw mnie...

Grek pochylił się nad nią i szeptał:

— Aha!... myślisz, że cię tu zostawię?... Dziś tyle dbam o ciebie, co o sukę, która wdech straciła... Ale musisz iść ze mną... Niech dowie się twój pan, że jest ktoś lepszy od niego. On wykradł kapłankę bogini, a ja zabieram kochankę jemu...

— Mówię ci, że jestem chora...

Grek wydobyl cienki sztylet i oparł jej na karku. Zatrzęsła się i szepnęła:

— Już idę...

Przez ukryte drzwi wyszli do ogrodu. Od strony książęcego pałacu dolatywał ich szmer żołnierzy, którzy palili ogień. Tu i owdzie, między drzewami, widać było światła; od czasu do czasu minął ich ktoś ze służby następcy. W bramie zatrzymała ich warta:

— Kto jesteście?  
— Teby — odparł Lykon.

Bez przeszkody wyszli na ulicę i zniknęli w zaułkach cudzoziemskiego cyrkułu Pi-Bast.

Na dwie godziny przed świtem w mieście odezwały się trąby i bębny. Tutmozis jeszcze leżał, pograżony w głębokim śnie, kiedy książę Ramzes ściągnął z niego płaszcz i zawołał z wesołym śmiechem:

— Wstawaj, czujny wodzu!... Już pułki ruszyły.  
Tutmozis usiadł na łóżku i przetarł zaspane oczy.  
— Ach, to ty, panie?... — spytał ziewając. — Cóż, wypałeś się?  
— Jak nigdy! — odparł książę.  
— A ja bym jeszcze spał.

Wykąpali się obaj, włożyli kaftany i półpancerze i dosiedli koni, które rwały się z rąk masztalerzom.

Wnet następcą z małą świtą opuścił miasto, wyprzedzając po drodze leniwie maszerujące kolumny wojsk. Nil bardzo rozlał i książę chciał być obecnym przy przechodzeniu kanałów i brodów.

Gdy słońce weszło, ostatni wóz obozowy był już daleko za miastem, a dostojny nomarcha Pi-Bast mówił do swojej służby:

— Teraz idę spać i biada temu, kto zbudzi mnie przed uctą wieczorną! Nawet boskie słońce odpoczywa po każdym dniu, ja zaś od pierwszego Hator nie kładłem się.

Zanim dokończył pochwały swojej czujności, wszedł oficer policyjny i poprosił go o osobne posłuchanie w bardzo ważnej sprawie.

— Bodaj was ziemia pochłoneła! — mruknął dostojny pan.

Niemniej kazał wezwać oficera i spytał go opryskliwie:

— Nie można to poczekać kilku godzin?... Przecie chyba Nil nie ucieka...  
— Stało się wielkie nieszczęście — odparł oficer. — Syn następcy tronu zabity...  
— Co?... jaki?... — krzyknął nomarcha.  
— Syn Sary Żydówki.  
— Kto zabił?... kiedy?..  
— Dziś w nocy.  
— Ale kto to mógł zrobić?..  
Oficer schylił głowę i rozłożył ręce.

— Pytam się, kto zabił?... — powtórzył dostojnik, więcej przerażony aniżeli rozgniewany.



— Sam, panie, racz przeprowadzić śledztwo. Usta moje nie powtórzą tego, co słyszały uszy.

Przeżalenie nomarchy wzrosło. Kazał przyprowadzić służbę Sary, a jednocześnie posłał po arcykapłana Mefresa. Mentezufis bowiem, jako przedstawiciel ministra wojny, pojechał z księciem.

Przyszedł zdziwiony Mefres. Nomarcha powtórzył mu wiadomość o zabójstwie dziecka następcy i o tym, że oficer policyjny nie śmie dawać żadnych objaśnień.

— A świadkowie są? — spytał arcykapłan.

— Czekają na rozkazy waszej dostojności, ojcze święty.

Wprowadzono odźwiernego Sary.

— Słyszałeś — zapytał go nomarcha — że dziecko twej pani zabite?

Człowiek upadł na ziemię i odpowiedział:

— Nawet widziałem dostojne zwłoki rozbite o ścianę i zatrzymałem naszą panią, która krzycząc wybiegła na ogród.

— Kiedy się to stało?

— Dziś po północy. Zaraz po przyjsciu do naszej pani najdostojniejszego księcia następcy... — odparł stróż.

— Jak to, więc książę był w nocy u waszej pani? — spytał Mefres.

— Rzekłeś, wielki proroku.

— To dziwne! — szepnął Mefres do nomarchy.

Drugim świadkiem była kucharka Sary, trzecim dziewczyna służebna. Obie twierdziły, że po północy książę następcą wszedł na piętro do pokoju Sary, bawił tam chwilę, potem szybko wybiegł do ogrodu, a wnet po nim ukazała się pani Sara, strasznie krzycząc.

— Ależ książę następcą przez całą noc nie wychodził ze swej komnaty w pałacu... — rzekł nomarcha.

Oficer policyjny pokręcił głową i oświadczył, że czeka w przedpokoju kilku ludzi ze służby pałacowej.

Wezwano ich, święty Mefres zadał im pytania i okazało się, że następcą tronu nie spał w pałacu. Opuścił swoją komnatę przed północą i wyszedł do ogrodu; wrócił zaś, gdy odezwały się pierwsze trąbki grające pobudkę.

Gdy wyprowadzono świadków, a dwaj dostojnicy zostali sami, nomarcha z jękiem rzucił się na podłogę i zapowiedział Mefresowi, że jest ciężko chory i że woli stracić życie aniżeli prowadzić śledztwo. Arcykapłan był bardzo blady i wzruszony, ale odparł, że sprawę zabójstwa trzeba wyświecić, i rozkazał nomarsze w imieniu faraona, ażeby poszedł z nim do mieszkania Sary.

Do ogrodu następcy było niedaleko, i dwaj dostojnicy niebawem znaleźli się na miejscu zbrodni.

Wszedłszy do pokoju na piętrze zobaczyli Sarę klęczącą przy kołysce w takiej postawie, jakby karmiła niemowlę. Na ścianie i na podłodze czerwienily się krwawe plamy.

Nomarcha osłabł tak, że musiał usiąść, ale Mefres był spokojny. Zbliżył się do Sary, dotknął jej ramienia i rzekł:

— Pani, przychodzimy tu w imieniu jego świętobliwości...

Sara nagle zerwała się na równe nogi, a zobaczywszy Mefresa zawołała strasznym głosem:

— Przekleństwo wam!... Chcieliście mieć żydowskiego króla, a oto król... O, czemużem, nieszczęsna, usłuchała waszych rad zdradzieckich...

Zatoczyła się i znowu przypadła do kołyski, jęcząc:

— Mój synek... mój mały Seti!... Taki był piękny, taki mądry... Dopiero co wyciągał do mnie rączki... Jehowo!... — krzyknęła — oddaj mi go, wszakże to w twojej mocy... Bogowie egipscy, Ozyrysie... Horusie... Izydo, Izydo, przecie ty sama byłaś matką... Nie może być, ażeby w niebiosach nikt nie wysłuchał mojej prośby... Takie malutkie dziecko... hiena ulitowałaby się nad nim...

Arcykapłan ujął ją pod ramiona i postawił na nogach. Pokój zapełniła policja i służba.

— Saro — rzekł arcykapłan — w imieniu jego świętobliwości pana Egiptu wzywam cię i rozkazuję, ażebyś odpowiedziała: kto zamordował twego syna?

Patrzyła przed siebie jak obłąkana i tarła czoło. Nomarcha podał jej wody z winem, a jedna z obecnych kobiet skropiła ją octem.

— W imieniu jego świątobliwości — powtórzył Mefres — rozkazuję ci, Saro, ażebyś powiedziała nazwisko zabójcy.

Obecni zaczęli się cofać ku drzwiom, nomarcha rozpaczliwym ruchem zasłonił sobie uszy.

— Kto zabił?... — rzekła Sara zduszonym głosem, topiąc wzrok w twarzy Mefresa.  
— Kto zabił, pytasz?... Znam ja was, kapłani!... Znam waszą sprawiedliwość...

— Więc kto?... — nalegał Mefres.

— Ja!... — krzyknęła nieludzkim głosem Sara. — Ja zabiłam moje dziecko za to, że zrobiliście je Żydem...

— To fałsz! — syknął arcykapłan.

— Ja... ja!... — powtarzała Sara. — Hej, ludzie, którzy mnie widzicie i słyszycie — zwróciła się do świadków — wiedzcie o tym, że ja zabiłam... ja... ja... ja!... — krzyczała, bijąc się w piersi.

Na tak wyraźne oskarżenie samej siebie nomarcha oprzytomniał i ze współczuciem patrzył na Sarę; kobiety szlochały, odźwierny ocierał łzy. Tylko święty Mefres zaciskał sine usta. Wreszcie rzekł dobitnym głosem, patrząc na urzędników policyjnych:

— Słudzy jego świątobliwości, oddaję wam tę kobietę, którą macie odprowadzić do gmachu sądowego...

— Ale syn mój ze mną!... — wtrąciła Sara, rzucając się do kołyski.

— Z tobą... z tobą, biedna kobieto — rzekł nomarcha i zasłonił twarz.

Dostojnicy wyszli z komnaty. Oficer policyjny kazał przynieść lektykę i z oznakami najwyższego szacunku sprowadził na dół Sarę. Nieszczęśliwa wzięła z kołyski krwią poplamione zawiniątko i bez oporu siadła do lektyki.

Cała służba poszła za nią do gmachu sądowego.

Gdy Mefres z nomarchą wracali do siebie przez ogród, naczelnik prowincji odezwał się wzruszony:

— Żal mi tej kobiety!...

— Słusznie będzie ukarana... za kłamstwo — odparł arcykapłan.

— Wasza dostojność myślisz...

— Jestem pewny, że bogowie znajdą i osądzą prawdziwego mordercę...

Przy furcie ogrodowej zabiegł im drogę rządcą pałacu Kamy, wołając:

— Nie ma Fenicjanki!... Zniknęła tej nocy...

— Nowe nieszczęście... — szepnął nomarcha.

— Nie lękaj się — rzekł Mefres — pojechała za księciem...

Z tych odzywań się dostojny nomarcha poznał, że Mefres nienawidzi księcia, i — serce w nim zamarło. Jeżeli bowiem dowiodą Ramzesowi, że zabił własnego syna, następca nigdy nie wstąpi na tron ojcowski, a twarde jarzmo kapłańskie jeszcze mocniej zacięży nad Egiptem.

Smutek dostojnika powiększył się, gdy mu powiedziano wieczorem, że dwaj lekarze ze świątyni Hator obejrzawszy trup dziecięcia wyrazili przekonanie, iż zabójstwo mógł spełnić tylko mężczyzna. Ktoś — mówili — schwycił prawą ręką za obie nóżki chłopczyka i rozbił mu głowę o ścianę. Ręka zaś Sary nie mogła objąć obu nóżek, na których wreszcie znać było ślady dużych palców.

Po tym objaśnieniu arcykapłan Mefres, w towarzystwie arcykapłana Sema, poszedł do więzienia do Sary i zaklinał ją na wszystkie bogi egipskie i cudzoziemskie, aby oświadczyła, że ona nie jest winną śmierci dziecka, i ażeby opisała: jak wygląda sprawca zbrodni?

— Zawierzmy słowom twoim — mówił Mefres — i zaraz będziesz wolną.

Ale Sara, zamiast wzruszyć się tym dowodem życzliwości, wpadła w gniew.

— Szakale — wołała — nie dość wam dwu ofiar, że jeszcze pożądacie nowych?... Ja to zrobiłam, nieszczęsna, ja... bo któż inny byłby tak nikczemnym, ażeby zabijać dziecko?... Małe dzieciątko, które nikomu nie szkodziło...

— A czy wiesz, uparta kobieto, co ci grozi? — zapytał święty Mefres. — Przez trzy dni będziesz na rękach trzymała zwłoki twego dziecka, a potem pójdziesz do więzienia na piętnaście lat.

— Tylko trzy dni? — powtórzyła. — Ależ ja na wieki nie chcę się z nim rozłączyć, z moim małym Setim... I nie do więzienia, ale do grobu pójde za nim, a pan mój razem każe nas pochować...

Gdy arcykapłani opuścili Sarę, odezwał się najpobożniejszy Sem:

— Zdarzyło mi się widzieć matki dzieciobójczynię i sądzić je; ale żadna nie była podobna do tej.

— Bo też ona nie zabiła swego dziecka — odparł gniewnie Mefres.

— Więc kto?...

— Ten, którego widziała służba, kiedy wpadł do domu Sary i w chwilę później uciekł...

Ten, który idąc na nieprzyjaciela zabrał ze sobą fenicką kapłankę Kamę, która splugawiła ołtarz... Ten wreszcie — dokończył z uniesieniem Mefres — który wygnał z domu Sarę i uczynił ją niewolnicą za to, że jej syn został Żydem...

— Okropne są twoje słowa! — odparł zatrwożony Sem.

— Zbrodnia jest gorszą i pomimo uporu tej głupiej kobiety zostanie odkryta.

Ani przypuszczał święty mąż, że bardzo prędko spełni się jego proroctwo.

A stało się to następującym sposobem.

Jeszcze książę Ramzes, wyruszając z wojskiem z Pi-Bast, nie zdążył opuścić pałacu, kiedy naczelnik policji już wiedział o zabiciu dziecka Sary, o ucieczce Kamy i o tym, że służba Sary widziała księcia wchodzącego w nocy do jej domu. Naczelnik policji był człowiek bystry; domyślił się, kto mógł popełnić zbrodnię, i zamiast prowadzić na miejscu śledztwo, popędził za miasto ścigać winnych, uprzedziwszy o tym, co zaszło, Hirama.

I otóż w tym czasie, gdy Mefres usiłował wydobyć zeznanie Sary, najdzielniejsi agenci pi-basteńskiej policji tudzież wszyscy Fenicjanie, pod przewodnictwem Hirama, już ścigali Greka Lykona i kapłankę Kamę.

Jakoż trzeciej nocy po wymaszerowaniu księcia naczelnik policji wrócił do Pi-Bast, prowadząc ze sobą dużą, okrytą płótnem klatkę, w której jakaś kobieta krzyczała wniebogłosy. Nie kładąc się spać, naczelnik wezwał oficera, który prowadził śledztwo, i z uwagą wysłuchał jego raportu.

O wschodzie słońca dwaj arcykapłani, Sem i Mefres, tudzież pi-basteński nomarcha otrzymali najpokorniejsze wezwanie, aby raczyli natychmiast, jeżeli taka będzie ich wola, przybyć do naczelnika policji. Jakoż wszyscy trzej zeszli się o tej samej godzinie; zaś naczelnik policji, nisko kłaniając się, począł błagać ich, aby mu opowiedzieli wszystko, co wiedzą o zabójstwie dziecka następcy tronu.

Nomarcha, choć wielki dostojnik, pobladł, usłyszawszy to pokorne wezwanie i odpowiedział, że nic nie wie. Prawie to samo powtórzył arcykapłan Sem, dodając od siebie uwagę, że Sara wydaje mu się niewinną. Gdy zaś przysła kolej na świętego Mefresa, ten rzekł:

— Nie wiem, czy wasza dostojność słyszałeś, że w nocy, kiedy spełniono zbrodnię, uciekła jedna z książęcych kobiet imieniem Kama?

Naczelnik policji zdawał się być mocno zdziwionym.

— Nie wiem również — ciągnął Mefres — czy powiedziano waszej dostojności, że następca tronu nie nocował w pałacu i że był w domu Sary. Odźwierny i dwie służące poznały go, gdyż noc była dość widna.

Podziw naczelnika policji zdawał się dosięgać szczytu.

— Wielka szkoda — zakończył arcykapłan — że waszej dostojności nie było parę dni w Pi-Bast...

Naczelnik bardzo nisko uklonił się Mefresowi i zwrócił się do nomarchy.

— Czy wasza cześć nie raczyłbyś łaskawie powiedzieć mi: jak był ubrany książę owego wieczora?...

— Miał biały kaftan i purpurowy fartuszek obszyty złotymi frędzlami — odparł nomarcha. — Dobrze pamiętam, gdyż byłem jednym z ostatnich, którzy rozmawiali z księciem owego wieczora.

Naczelnik policji klasnął w ręce i do biura wszedł odźwierny Sary.

— Widziałeś księcia — zapytał go — kiedy wchodził w nocy do domu twej pani?

— Otwierałem furtkę jego dostojności, oby żył wiecznie!...

— A pamiętasz, jak był ubrany?...

— Miał kaftan w pasy żółte i czarne, taki sam czeppek i fartuszek niebieski z czerwonym — odpowiedział odźwierny.

Teraz obaj kapłani i nomarcha zaczęli się dziwić. Gdy zaś wprowadzono po kolei obie służki Sary, które dokładnie powtórzyły opis ubioru księcia, oczy nomarchy zapłonęły

radością, a na twarzy świętego Mefresa widać było zmieszanie.

— Przysięgnę — wtrącił dostojny nomarcha — że ksiązę miał biały kaftan i purpurowy ze złotym fartuszek...

— A teraz — odezwał się naczelnik policji — raczcie, najczcigodniejsi, udać się ze mną do więzienia. Zobaczymy tam jeszcze jednego świadka...

Zeszli na dół, do podziemnej sali, gdzie pod oknem stała wielka klatka przykryta płótnem. Naczelnik policji odrzucił kijem płótno, a obecni zobaczyli w kącie leżącą kobietę.

— Ależ to jest pani Kama!... — zawołał nomarcha.

Była to istotnie Kama, chora i bardzo zmieniona. Gdy na widok dostojników podniosła się i stanęła w świetle, obecni zobaczyli jej twarz pokrytą miedzianymi plamami. Oczy miała jak obłąkane.

— Kamo — rzekł naczelnik policji — bogini Astoreth dotknęła cię trądem...

— To nie bogini!... — odezwała się zmienionym głosem. — To nikczemni Azjaci podrzucili mi zatruty welon... O, ja nieszczęśliwa!...

— Kamo — ciągnął naczelnik policji — nad nędzą twoją ulitowali się najznakomitsi nasi arcykapłani, święci Sem i Mefres. Jeżeli odpowiesz prawdę, pomodlą się za ciebie i — może wszechmocny Ozyrys odwróci od ciebie klęskę. Jeszcze czas, choroba dopiero się zaczyna, a nasi bogowie dużo mogą...

Chora kobieta upadła na kolana i przyciskając twarz do kraty, mówiła złamanym głosem:

— Ulitujcie się nade mną... Wyrzekłam się bogów fenickich i służbę moją do końca życia poświęcę wielkim bogom Egiptu... Tylko oddalcie ode mnie...

— Odpowiedz, ale prawdę — pytał naczelnik policji — a bogowie nie odmówią ci swej łaski: kto zabił dziecko Żydówki Sary?...

— Zdrajca Lykon, Grek... Był śpiewakiem przy naszej świątyni i mówił, że mnie kocha... A teraz rzucił mnie, nikczemnik, zabrawszy moje klejnoty!...

— Dlaczego Lykon zabił dziecko?

— Chciał zabić księcia, lecz nie znalazłszy go w pałacu, pobiegł do domu Sary i...

— Jakim sposobem zbrodniarz dostał się do pilnowanego domu?

— Albo to nie wiesz, panie, że Lykon jest podobny do księcia?... Podobni są jak dwa liście jednej palmy...

— Jak był ubrany Lykon tej nocy?... — pytał dalej naczelnik policji.

— Miał... miał kaftan w żółte i czarne pasy... takiż czepek i fartuszek czerwony z niebieskim... Już nie męczcie mnie... wróćcie mi zdrowie... Zlitujcie się... będę wierna waszym bogom... Czy już wychodzicie?... O, niemiłosierni!...

— Biedna kobieto — odezwał się arcykapłan Sem — przysłę ci tu potężnego cudotwórcę i może...

— O, niech was błogosławi Astoreth... Nie, niech was błogosławią wasi bogowie wszechmocni i litościwi... — szeptała okrutnie znękana Fenicjanka.

Dostojnicy wyszli z więzienia i wrócili do biura. Nomarcha, widząc, że arcykapłan Mefres ma wciąż spuszczone oczy i zacięte usta, zapytał go:

— Czy nie cieszysz się, mężu święty, z tych cudownych odkryć, jakie porobił nasz sławny naczelnik policji?

— Nie mam powodu do radości — odparł szorstko Mefres. — Sprawa, zamiast uprościć, wikła się... Bo przecież Sara wciąż twierdzi, że ona zabiła dziecko, a zaś Fenicjanka tak odpowiada, jakby ją wyuczono...

— Nie wierzysz zatem, wasza dostojność?... — wtrącił naczelnik policji.

— Bo nigdy nie widziałem dwu ludzi tak podobnych do siebie, ażeby jeden mógł być wzięty za drugiego. Tym bardziej zaś nie słyszałem, ażeby w Pi-Bast istniał człowiek mogący udawać naszego następcę tronu (oby żył wiecznie!...).

— Człowiek ten — rzekł naczelnik policji — był w Pi-Bast przy świątyni Astoreth. Znał go tyryjski ksiązę Hiram i na własne oczy widział go nasz namiestnik. Owszem, niezbyt dawno wydał mi rozkaz schwytania go i nawet obiecał wysoką nagrodę.

— Ho! ho!... — zawołał Mefres. — Widzę, dostojny naczelniku policji, że około ciebie zaczynają skupiać się najwyższe tajemnice państwa. Pozwól jednak, że dopóty nie uwierzę w owego Lykona, dopóki go sam nie zobaczę...

I rozgniewany opuścił biuro, a za nim święty Sem, wzruszając ramionami.

Kiedy w korytarzu uchyliły ich kroki, nomarcha spojrzawszy bystro na naczelnika policji rzekł:

— Co?...

— Zaprawdę — odparł naczelnik — święci prorocy zaczynają się dziś mieszać nawet do tych rzeczy, które nigdy nie podchodziły pod ich władzę...

— I my to musimy cierpieć!... — szepnął nomarcha.

— Do czasu — westchnął naczelnik policji. — Gdyż, o ile znam ludzkie serca, wszyscy wojskowi i urzędnicy jego świątobliwości, cała wreszcie arystokracja oburza się samowolą kapłanów. Wszystko musi mieć kres...

— Rzekłeś wielkie słowa — odpowiedział nomarcha, ściskając go za rękę — a jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że jeszcze ujrzę cię najwyższym naczelnikiem policji przy boku jego świątobliwości.

Znowu upłynęło parę dni. Przez ten czas paraszytowie ubezpieczyli od zepsucia zwłoki Ramzesowego synka, a Sara wciąż przebywała w więzieniu, czekając na sąd, pewna, że ją potępią.

Kama również siedziała w więzieniu, w klatce; obawiano się jej bowiem, jako dotkniętej trędem. Wprawdzie odwiedził ją cudowny lekarz, odmówił przy niej modlitwy i dał jej do picia wszystkoleczącą wodę. Mimo to Fenicjanki nie opuszczała gorączka, miedziane plamy nad brwiami i na policzkach robiły się coraz wyraźniejsze. Więc z biura nomarchy wyszedł rozkaz wywiezienia jej na pustynię wschodnią, gdzie, odsunięta od ludzi, istniała kolonia trędowatych.

Pewnego wieczora do świątyni Ptaħ przyszedł naczelnik policji, mówiąc, że chce rozmówić się z arcykapłanami. Naczelnik miał ze sobą dwu agentów i człowieka od stóp do głów odzianego w wór.

Po chwili odpowiedziano mu, że arcykapłani oczekują go w izbie świętej, pod posągiem bóstwa.

Naczelnik zostawił agentów przed bramą, wziął za ramię człowieka odzianego w wór i prowadzony przez kapłana udał się do świętej izby. Gdy wszedł tam, zastał Mefresa i Sema ubranych w arcykapłańskie szaty, ze srebrnymi blachami na piersiach.

Wówczas upadł przed nimi na ziemię i rzekł:

— Stosownie do waszego rozkazu przyprowadzam wam, święci mężowie, zbrodniarza Lykona. Czy chcecie zobaczyć jego twarz?

A gdy zgodzili się, naczelnik policji powstał i z towarzyszącego mu człowieka zerwał wór.

Obaj arcykapłani krzyknęli ze zdumienia. Grek rzeczywiście tak był podobny do następcy tronu, Ramzesa, że nie było można oprzeć się złudzeniu.

— Tyżes to jest Lykon, śpiewak pogańskiej świątyni Astoreth?... — zapytał skrepowanego Greka święty Sem.

Lykon uśmiechnął się pogardliwie.

— I ty zamordowałeś dziecko księcia?... — dodał Mefres.

Greki posiniał z gniewu i usiłował zerwać pęta.

— Tak! — zawołał — zabiłem szczenię, bom nie mógł znaleźć jego ojca, wilka... Oby spalił go ogień niebieski!...

— Co ci winien książę, zbrodniarzu?... — spytał oburzony Sem.

— Co winien!... Porwał mi Kamę i wtrącił ją w chorobę, z której nie ma wyjścia... Byłem wolny, mogłem uciec z majątkiem i życiem, ale postanowiłem zemścić się, i oto macie mnie... Jego szczęście, że wasi bogowie mocniejsi są od mojej nienawiści... Dziś możecie mnie zabić... Im prędzej, tym lepiej.

— Wielki to zbrodniarz — odezwał się arcykapłan Sem.

Mefres milczał i wpatrywał się w pałające wściekłością oczy Greka. Podziwiał jego odwagę i rozmyślał. Nagle rzekł do naczelnika policji.

— Możesz, dostojny panie, odejść; ten człowiek należy do nas.

— Ten człowiek — odparł oburzony naczelnik — należy do mnie... Ja go schwyciłem i ja otrzymam od księcia nagrodę.

Mefres powstał i wydobyl spod ornatu złoty medal.

— W imieniu najwyższej rady, której jestem członkiem — mówił Mefres — rozkażę ci oddać nam tego człowieka. Pamiętaj, że jego istnienie jest najwyższą tajemnicą państwową, i zaprawdę, stokroć lepiej będzie dla ciebie, jeżeli całkiem zapomnisz, żeś go tu zostawił...

Naczelnik policji znowu upadł na ziemię i — wyszedł, tłumiąc gniew.

„Zapłaci wam za to pan nasz, ksiązę następcą, gdy zostanie faraonem!... — myślał. — A że i ja oddam wam moją częśćkę, zobaczycie...”

Agenci stojący przed bramą zapytali go: gdzie jest więzień?...

— Na więźniu — odparł — spoczęła ręka bogów.

— A nasze wynagrodzenie?... — nieśmiało odezwał się starszy agent.

— I na waszym wynagrodzeniu spoczęła ręka bogów — rzekł naczelnik. — Wyobraźcie więc sobie, że wam śnił się ten więzień, a będziecie czuli się bezpieczniejsi w waszej służbie i zdrowiu.

Agenci, milcząc, spuścili głowy. Ale w sercach zaprzysięgli zemstę kapłanom pozostającym im tak pięknego zarobku.

Po odejściu naczelnika policji Mefres zawołał kilku kapłanów i najstarszemu szepnął coś do ucha. Kapłani otoczyli Greka i wyprowadzili go z izby świętej. Lykon nie opierał się.

— Myślę — rzekł Sem — że człowiek ten, jako zabójca, powinien być wydany sądowi.

— Nigdy! — odparł stanowczo Mefres. — Na człowieku tym ciąży nierównie gorsza zbrodnia: jest podobny do następcy tronu...

— I co z nim zrobisz, wasza dostojność?

— Zachowam go dla najwyższej rady — mówił Mefres. — Tam, gdzie następcą tronu zwiedza pogańskie świątynie i wykrada z nich kobiety, gdzie kraj jest zagrożony niebezpieczną wojną, a władza kapłańska buntem, tam — Lykon może się przydać...

Nazajutrz w południe arcykapłan Sem, nomarcha i naczelnik policji przyszedli do więzienia Sary. Nieszczęśliwa nie jadła od kilku dni i była tak osłabiona, że nawet nie podniosła się z ławy na widok tyłu dygnitarzy.

— Saro — odezwał się nomarcha, którego znała dawniej — przynosimy ci dobrą nowinę.

— Nowinę?... — powtórzyła apatycznym głosem. — Syn mój nie żyje, oto nowina!... Mam piersi przepelnione pokarmem, a serce jest jeszcze pełniejsze smutku...

— Saro — mówił nomarcha — jesteś wolna... Nie ty zabiłaś dziecko.

Martwe jej rysy ożywiły się. Zerwała się z ławy i krzyknęła:

— Ja... ja zabiłam... tylko ja!

— Syna twego, uważaj, Saro, zabił mężczyzna, Grek, nazwiskiem Lykon, kochanek Fenicjanki Kamy...

— Co mówisz?... — wyszeptwała, chwytając go za ręce. — O, ta Fenicjanka!... Wiedziałam, że nas zgubi... Ale Grek?... Ja nie znam żadnego Greka... Cóż wreszcie mógłby zawinić Grekom mój syn...

— Nie wiem o tym — ciągnął nomarcha. — Grek ten już nie żyje. Ale uważaj, Saro: ten człowiek był tak podobny do księcia Ramzesa, że gdy wszedł do twego pokoju, myślałaś, że to nasz pan... I wolałaś oskarżyć samą siebie aniżeli swego i naszego pana.

— Więc to nie był Ramzes?... — zawołała, chwytając się za głowę. — I ja, nędzna, pozwoliłam, ażeby obcy człowiek wywlócił syna mego z kolebki... Cha!... cha!... cha!...

Zaczęła się śmiać coraz ciszej. Nagle, jakby jej nogi podcięto, runęła na ziemię, rzuciła parę razy rękoma i w śmiechu skonała.

Ale na twarzy jej pozostał wyraz niezgłębionego żalu, którego nawet śmierć nie mogła odegnąć.

## ROZDZIAŁ XVII

Zachodnią granicę Egiptu na długości przeszło sto mil geograficznych stanowi ściana pagórków wapiennych, nagich, poprzerywanych wąwozami, wysokich na paręset metrów. Biegnie ona wzdłuż Nilu, od którego oddala się na milę, niekiedy na kilometr.

Gdyby kto wdrapał się na któryś z pagórków i zwrócił twarz ku północy, zobaczyłby jedno z najosobliwszych widowisk. W dole, na prawo, miałby wąską, ale zieloną łąkę,

przerzniętą Nilem; zaś na lewo ujrzałby nieskończoną równinę barwy żółtej, urozmaiconą plamami białymi albo ceglastymi.

Jednostajność widoku, drażniąca żółtość piasku, upał, a nade wszystko — bezmiar nieskończony, oto najogólniejsze cechy Pustyni Libijskiej rozciągającej się na zachód od Egiptu.

Przy bliższym jednak rozejrzeniu się pustynia wydałaby się mniej jednostajną. Jej piasek nie układa się płasko, ale tworzy szeregi zwałów przypominających ogromne fale na wodzie. Jest to jakby rozkołysane morze, które zakrzepło.

Kto by jednak miał odwagę iść po tym morzu godzinę, dwie, niekiedy cały dzień, wciąż na zachód, zobaczyłby nowy widok. Na horyzoncie ukazują się wzgórza, niekiedy skały i urwiska najdziwniejszych form. Pod nogami piasek staje się coraz płytszym i poczyna wynurzać się spod niego skała wapienna niby ląd.

Istotnie jest to ląd, a nawet kraj, wśród piaszczystego morza. Obok wapiennych pagórków widać doliny, na nich koryta rzek i strumieni, dalej równinę, a wśród niej jezioro z powyginaną linią brzegów i dnem zakłęsniętym.

Ale na tych równinach i wzgórzach nie rośnie ani źdźbło trawy, w jeziorze nie ma kropli wody, korytem rzeki nie płynie nic. Jest to krajobraz nawet bardzo urozmaicony pod względem form ziemi, ale krajobraz, z którego wszystka woda uciekła, najmniejsza wilgoć wyschła, krajobraz martwy, gdzie nie tylko wyginęła wszelka roślinność, ale nawet urodzajna warstwa gruntu roztarła się w pył lub wsiąknęła w opokę.

W tych miejscach trafił się wypadek najokropniejszy, o jakim można pomyśleć: natura skonała, został z niej tylko szkielet i prochy, które do reszty rozkłada upał i z miejsca na miejsce przetrzuca wiatr gorący.

Za tym zmarłym, a nie pochowanym łądem ciągnie się znowu morze piasku, na którym tu i owdzie widać spiczaste stożki, wznoszące się niekiedy na piętro wysokości. Każdy szczyt takiego pagórka kończy się pęczkiem listków szarych, zapyłonych, o których trudno powiedzieć, że żyją; one tylko nie mogą zwiędnąć.

Dziwaczny stożek oznacza, że w tym miejscu woda jeszcze nie wyschła, ale przed spiekotą skryła się pod ziemię i jako tako podtrzymuje wilgoć gruntu. Na to miejsce upadło nasienie tamaryndusu i z wielkim trudem poczęła wzrastać roślina.

Lecz władca pustyni, Tyfon, dostrzegł ją i z wolna począł zasypywać piaskiem. A im więcej roślina pnie się w górę, tym wyżej podnosi się stożek duszącego ją piasku. Zabłąkany w pustyni tamaryndus wygląda jak topielec na próżno wyciągający dłonie do nieba.

I znowu rozwała się nieskończone żółte morze, ze swymi falami piasku i nie mogącymi skonać rozbitkami świata roślinnego. Nagle ukazuje się skalista ściana, w niej szczeliny niby bramy...

Rzecz nie do uwierzenia! Poza jedną z tych bram widać rozległą dolinę barwy zielonej, mnóstwo palm, błękitne wody jeziora. Widać nawet pasące się owce, bydło i konie, między nimi uwijają się ludzie; z daleka na stokach skał piętrzy się całe miasteczko, a na szczytach bieleją mury świątyń.

Jest to oaza, niby wyspa wśród piaszczystego oceanu.

Takich oaz za czasów faraonów było bardzo wiele, może kilkadziesiąt. Tworzyły one łańcuch wysp pustynnych wzdłuż zachodniej granicy Egiptu. Leżały w odległości dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu mil jeograficznych<sup>81</sup> od Nilu, a obejmowały po kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni.

Opiewane przez arabskich poetów oazy naprawdę nigdy nie były przedsiódkami rajów. Ich jeziora są najczęściej bagnami; z podziemnych źródeł wypływa woda ciepła, niekiedy cuchnąca i obrzydliwie słona; roślinność ani mogła porównywać się z egipską. Niemniej ustronia te wydawały się cudem dla pustynnych wędrowców, którzy znajdowali w nich trochę zieloności dla oka tudzież odrobinę chłodu, wilgoci i daktyłów.

Ludność tych wysp wśród piaszczystego oceanu była bardzo różnaita: od kilkuset osób do kilkunastu tysięcy, zależnie od przestrzeni. Byli to wszystko awanturnicy lub ich potomkowie egipscy, libijscy, etiopsy. W pustynię bowiem uciekali ludzie nie mający już nic do stracenia: więźniowie z kopalń, przestępcy ścigani przez policję, chłopci przeciążeni

<sup>81</sup>jeograficzny — dziś: geograficzny. [przypis edytorski]

pańszczyzną lub robotnicy, którzy woleli niebezpieczeństwo aniżeli pracę.

Większa część tych zbiegów marnie ginęła w pustyni. Niektórym po nieopisanych męczarniach udawało się dotrzeć do oazy, gdzie pędzili żywot nędzny, lecz swobodny, i zawsze byli gotowi wpaść do Egiptu na nieuczciwy zarobek.

Między pustynią i Morzem Śródziemnym ciągnął się bardzo długi, choć niezbyt szeroki pas ziemi żyznej, zamieszkały przez rozmaite plemiona, które Egipcjanie nazywali Libijczykami. Jedne z tych plemion zajmowały się rolnictwem, inne rybactwem i morską żegluga; w każdym z nich jednak była gromada dzikusów, którzy woleli kradzież, wojnę i rozbój aniżeli systematyczną pracę. Bandycka ta ludność nieustannie ginęła wśród nędzy albo wojennych przygód, lecz i ciągle powiększała się regularnym dopływem Szardana (Sardyńczyków) i Szakalusza (Sycylińczyków), którzy w owej epoce byli jeszcze większymi barbarzyńcami i zbrojami aniżeli rodowici Libijczycy.

Ponieważ Libia stykała się z zachodnią granicą Dolnego Egiptu, barbarzyńcy więc często grabili ziemię jego świątobliwości i — bywali strasznie karceni. Przekonawszy się jednak, że wojna z Libijczykami nie prowadzi do niczego, faraonowie, a raczej kapłani, chwycili się innej polityki. Prawowitym rodzinom libijskim pozwalali osiedlać się na nadmorskich bagnach Dolnego Egiptu, zaś bandytów i awanturników werbowali do wojska i mieli z nich wybornych żołnierzy.

W ten sposób państwo zabezpieczyło sobie spokój na zachodniej granicy. Dla utrzymania zaś w porządku pojedynczych rabusiów libijskich wystarczała policja, straż polowa i parę pułków regularnych ustawionych wzdłuż kanopijskiej odnogi Nilu.

Taki stan rzeczy trwał blisko sto osiemdziesiąt lat; ostatnią bowiem wojnę z Libijczykami prowadził jeszcze Ramzes III, który uciął ogromne stosy rąk poległym nieprzyjaciółom i przywiódł do Egiptu trzynaście tysięcy niewolników. Od tej pory nikt nie lękał się napadu ze strony Libii i dopiero przy schyłku panowania Ramzesa XII dziwna polityka kapłanów na nowo zapaliła w tamtych stronach pożar walki.

Wybuchła zaś ona z następujących powodów:

Jego dostojność Herhor, minister wojny i arcykapłan, skutkiem oporu jego świątobliwości faraona nie mógł zawrzeć z Asyrią traktatu o podział Azji. Pragnąc jednak, stosownie do przestróg Beroesa, utrzymać z Asyryjczykami dłuższy spokój, Herhor zapewnił Sargona, że Egipt nie przeszkodzi im w prowadzeniu wojny z Azjatami wschodnimi i północnymi.

A ponieważ pełnomocnik króla Assara zdawał się nie ufać przysięgom, więc Herhor postanowił złożyć mu materialny dowód życzliwości i w tym celu wydał rozkaz natychmiastowego uwolnienia dwudziestu tysięcy wojsk najemnych, przeważnie Libijczyków.

Dla uwolnionych, a nic niewinnych i zawsze wiernych żołnierzy postanowienie to było nieszczęściem nieomal równającym się karze śmierci. Przed Egiptem otwierało się niebezpieczeństwo wojny z Libią, która w żaden sposób nie mogła dać przytułku takiej masie ludzi, przywykłych tylko do musztry i wygod, nie zaś do pracy i nędzy. Ale Herhor i kapłani nie krępowali się drobiazgami, gdy chodziło o wielkie interesa<sup>82</sup> państwowe.

Naprawdę bowiem wypędzenie najemników libijskich przynosiło duże korzyści.

Przed wszystkim Sargon i jego towarzysze podpisali i zaprzysięgli tymczasowy traktat z Egiptem na lat dziesięć, przez który to czas, według prorocत्व chaldejskich kapłanów, miały ciążyć nad ziemią świętą złe losy.

Po wtóre — wypędzenie dwudziestu tysięcy ludzi z wojska przynosiło skarbowi królewskiemu cztery tysiące talentów oszczędności, co było bardzo ważne.

Po trzecie — wojna z Libią na zachodniej granicy była upustem dla bohaterskich instynktów następcy tronu i na długi czas mogła odwrócić jego uwagę od spraw azjatyckich i od granicy wschodniej. Jego dostojność Herhor i rada najwyższa bardzo mądrze przypuszczali, że upłynie kilka lat, zanim Libijczycy, zużywszy się w partyzanckich walkach, zechcą prosić o pokój.

Plan był rozsądny, lecz autorowie<sup>83</sup> jego popełnili jeden błąd: nie przeculi, że w księciu Ramzesie tkwi materiał na genialnego wojownika.

<sup>82</sup>interesa — dziś popr.: interesy. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>autorowie — dziś popr.: autorzy. [przypis edytorski]



Rozpuszczone pułki libijskie, rabując po drodze, bardzo prędko dotarły do swej ojczyzny; tym łatwiej, że Herhor nie kazał stawiać im przeszkód. Najpierw zaś spomiędzy wypędzonych stanawszy na libijskiej ziemi niestworzone rzeczy opowiadali swoim rodakom.

Według ich relacji, dyktowanych przez gniew i interes osobisty, Egipt był dziś tak osłabiony jak w epoce najścia Hyksosów, przed dziewięciuset laty. Skarb faraona był tak pusty, że równy bogom władca musiał rozpuścić ich, Libijczyków, którzy przecie stanowili najlepszą, jeżeli nie jedyną część armii. Armii zresztą prawie nie było, chyba garstka na wschodniej granicy, a i to lada jakich żołnierzy.

Oprócz tego między jego świątobliwością i kapłanami panowała niezgoda; robotnikom nie wypłacano zasług, a chłopów wprost duszono podatkami, przez co masy ludu były gotowe do buntu, byle znalazła się pomoc. I jeszcze nie dosyć: albowiem nomarchowie, którzy kiedyś byli niezależnymi władcami i od czasu do czasu przypominali sobie swoje prawa, dziś, widząc słabość rządu, przygotowują się do obalenia i faraona, i najwyższej rady kapłańskiej.

Wieści te jak stado ptaków rozleciały się po libijskim wybrzeżu i — natychmiast znalazły wiarę. Bandyci i barbarzyńcy zawsze byli gotowi do napadu, a tym więcej dziś, gdy eks-żołnierze i eks-oficerowie jego świątobliwości zapewniali ich, że zrabowanie Egiptu jest rzeczą bardzo łatwą. Zamożni i rozsądni Libijczycy również uwierzyli wypędzonym legionistom; od wielu już bowiem lat nie było dla nich tajemnicą, że szlachta egipska ubożeje, że faraon nie ma władzy, że chłopci i robotnicy dopuszczają się z nędzy buntów.

I otóż w całej Libii wybuchnął zapal. Wypędzonych żołnierzy i oficerów witano jak głosicieli dobrej nowiny. A ponieważ kraj był ubogi i nie miał zapasów do podejmowania gości, uchwalono więc natychmiast wojnę z Egiptem, ażeby jak najrychlej pozbyć się przybyszów.

Nawet chytry i mądry książę libijski, Musawasa, dał się porwać ogólnemu prądowi. Jego jednak nie przekonali imigranci, ale jacyś ludzie poważni i dostojni, a według wszelkiego prawdopodobieństwa — agenci najwyższej rady egipskiej.

Ci dygnitarze, niby to niezadowoleni ze stanu rzeczy w Egipcie, niby to obrażeni na faraona i kapłanów, przyjechali do Libii od strony morza, kryli się przed gawiedzią, unikali stosunków z wypędzonymi żołnierzami, a Musawasie tłumaczyli pod największym sekretem i z dowodami w rękach, że — teraz właśnie powinien napaść na Egipt.

— Znajdziesz tam — mówili — bezdenny skarbiec i spiżarnię dla siebie, dla swoich ludzi i dla wnuków waszych wnuków.

Musawasa — choć przebiegły wódz i dyplomata — dał się złapać. Jako człowiek energiczny, natychmiast ogłosił przeciw Egiptowi świętą wojnę i — mając pod ręką tysiące dzielnych wojowników, pchnął pierwszy korpus ku wschodowi, pod dowództwem swego syna, dwudziestoletniego Tehenny.

Stary barbarzyńiec<sup>84</sup> znał wojnę i rozumiał, że kto chce zwyciężyć, musi działać szybko, zadawać pierwsze ciosy.

Przygotowania libijskie trwały bardzo krótko. Eks-żołnierze jego świątobliwości wprawdzie przyszli bez broni, lecz znali swoje rzemiosło, a w owych czasach o broń nie było trudno. Parę rzemyków czy parę kawałków sznurka na procę, włócznia albo zaostrzony kij, topór albo ciężka pałka, jedna torba kamyków a druga — daktyłów, oto wszystko.

Oddał więc Musawasa dwa tysiące eks-żołnierzy i ze cztery tysiące libijskiej hołoty swemu synowi, Tehennie, zalecając mu, ażeby czym prędzej wpadł do Egiptu, zrabował, co się da, i przygotował zapasy dla właściwej armii. Sam zaś, gromadząc poważniejsze siły, rozesłał gońców po oazach i wzywał wszystkich, którzy nie mają nic do stracenia, pod swoje sztandary.

Dawno w pustyni nie panował taki ruch jak dzisiaj. Z każdej oazy wychodziła gromada za gromadą tak strasznych proletariuszów, że choć już byli prawie nadzy, jeszcze zasługiwali na nazwę oberwańców.

Opierając się na zdaniu swoich doradców, którzy jeszcze miesiąc temu byli oficerami jego świątobliwości, Musawasa całkiem rozsądnie przypuszczał, że jego syn pierw-

<sup>84</sup>barbarzyńiec — dziś: barbarzyńca. [przypis edytorski]

zrabuje kilkaset wsi i miasteczek od Terenuthis do Senti-Nofer<sup>85</sup>, zanim spotka jakieś poważniejsze siły egipskie. Wreszcie doniesiono mu, że na pierwszą wieść o ruchu Libijczyków nie tylko uciekli wszyscy robotnicy z wielkiej huty szklanej<sup>86</sup>, ale nawet, że cofnęło się wojsko zajmujące forteczki w Sochet-Hemau, nad Jeziorami Sodowymi<sup>87</sup>.

Była to bardzo dobra wróżba dla barbarzyńców: huta bowiem szklanna stanowiła poważne źródło dochodów dla faraonowego skarbcza.

Otóż Musawasa popełnił błąd taki sam jak najwyższa rada kapłańska: nie przeczuł wojennego geniuszu w Ramzesie. I stała się rzecz nadzwyczajna: zanim pierwszy korpus libijski dotarł do okolicy Sodowych Jezior, już w tym miejscu znalazła się dwa razy liczniejsza armia następcy tronu.

Nie można nawet zarzucać Libijczykom nieprzezorności.

Tehenna i jego sztab utworzyli bardzo porządną służbę wywiadowczą. Ich szpiegowie<sup>88</sup> niejednokrotnie byli w Melcatis<sup>89</sup>, Naucratis<sup>90</sup>, Sai<sup>91</sup>, Menuf, Terenuthis i przepływali kanopijskie i bolbityńskie ramiona Nilu. Nigdzie jednak nie spotkali wojsk, których ruchy musiał paraliżować wylew, a zaś prawie wszędzie widzieli popłoch ludności osiadłej, która po prostu uciekała ze wsi pogranicznych.

Przynosili więc swemu dowódcy jak najlepsze wiadomości. A tymczasem armia księcia Ramzesa, pomimo wylewu, w osiem dni po uruchomieniu dotarła brzegu pustyni i zaopatrzona w wodę i żywność przepadła między górami Sodowych Jezior.

Gdyby Tehenna mógł jak orzeł wzbic się ponad stanowiska swojej bandy, struchlałby, zobaczywszy, że we wszystkich wąwozach tej okolicy kryją się egipskie pułki i — że lada chwilę korpus jego zostanie otoczony.

#### ROZDZIAŁ XVIII

Od chwili kiedy wojska Dolnego Egiptu wyszły z Pi-Bast, towarzyszący księciu prorok Mentezufis odbierał i wysyłał po kilka depeesz dziennie.

Jedną korespondencję prowadził z ministrem Herhorem. Mentezufis posyłał raporta<sup>92</sup> do Memfis o posuwaniu się wojsk i o działalności następcy, dla której nie ukrywał podziwu; zaś dostojny Herhor robił uwagi w tym sensie, ażeby następcy tronu zostawiono wszelką swobodę i — że gdyby Ramzes przegrał pierwszą potyczkę, rada najwyższa nie byłaby tym zmartwiona.

„Niewielka przegrana — pisał Herhor — byłaby nauką ostrożności i pokory dla księcia Ramzesa, który już dziś, choć jeszcze nic nie zrobił, uważa się za równego najdoświadczeńszemu wojownikom.”

Gdy zaś Mentezufis odpowiedział, że trudno przypuścić, aby następca doznał porażki, Herhor dał mu do zrozumienia, że w takim razie triumf nie powinien być zanadto wielki.

„Państwo — mówił — nic na tym nie straci, jeżeli wojowniczy i popędliwy następca tronu będzie miał przez kilka lat zabawkę na zachodniej granicy. On sam nabierze biegłości w sztuce wojennej, a rozpróżniaczeni i zuchwali nasi żołnierze znajdą właściwe dla siebie zajęcie.”

Drugą korespondencję prowadził Mentezufis ze świętym ojcem Mefresem, i ta wydawała mu się ważniejszą. Mefres, obrażony kiedyś przez księcia, dziś z okazji sprawy o zabicie dziecka Sary bez ogródek oskarżał następcę o dzieciobójstwo dokonane pod

<sup>85</sup>*Senti-Nofer, Senti-Nefer* — miasto w północno-zachodniej Deltcie, w 7. nomie Dolnego Egiptu. Położone prawdopodobnie w okolicach dzisiejszego Idku, ok. 100 km na północny zachód od Terenouthis. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*szklanny* — dziś popr.: szklany; *huta szklanna* — huta szkła. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Jeziora Sodowe* — grupa jezior wzdłuż zachodniej części Deltty, na terenie doliny zwanej dziś Wadi an-Natrun, ok. 120 km na północny wschód od Memfis. Ich woda zawiera duże ilości węglańsu sodu, czyli sody naturalnej. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*szpiegowie* — dziś popr.: szpiedzy. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Melcatis* — zapewne gr. Metelis, egipskie Per Ha-Nereb, miasto w zachodniej części Deltty, stolica 7. nomu Dolnego Egiptu, położona ok. 60 km na północ od Memfis. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Naucratis* — Naukratis, miasto nad kanopskim ramieniem Nilu, w zachodniej części Deltty, założona w VI w. p.n.e. pierwsza i przez długi czas jedyna grecka kolonia w Egipcie. Położone w połowie drogi pomiędzy dzisiejszą Tantą a Aleksandrią, ok. 130 km na północny wschód od Memfis. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Sai* — egipskie Sa, gr. Sais, miasto w zachodniej części Deltty, stolica 5. nomu Dolnego Egiptu, greckie centrum handlu, za panowania XXIV i XXVI dynastii stolica państwa. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*raporta* — dziś popr.: raporty. [przypis edytorski]

wplywem Kamy. A gdy w ciągu tygodnia wyszła na jaw niewinność Ramzesa, arcykapłan, jeszcze bardziej rozdrażniony, nie przestawał twierdzić, że książe jest zdolny do wszystkiego, jako nieprzyjaciel ojczyrstych bogów i sprzymierzeniec nędznych Fenicjan.

Sprawa zabójstwa dziecka Sary tak podejrzanie wyglądała w pierwszych dniach, że nawet rada najwyższa z Memfisu zapytała Mentezufisa: co o tym sądzi? Mentezufis jednak odpowiedział, że całymi dniami przypatruje się księciu, lecz ani na chwilę nie przypuszcza, ażeby on był mordercą.

Takie to korespondencje, niby stado drapieżnych ptaków, krążyły dokoła Ramzesa, podczas gdy on rozsyłał zwiady w kierunku nieprzyjaciela, naradzał się z wodzami lub zachęcał wojska do szybkiego pochodu.

Dnia czternastego cała armia następcy tronu skoncentrowała się na południe od miasta Terenuthis. Ku wielkiej radości księcia przyszedł Patrokles z greckimi pułkami, a wraz z nim kapłan Pentuer, wysłany przez Herhora na drugiego dozorcę przy wodzu naczelnym.

Obfitość kapłanów w obozie (byli bowiem jeszcze i inni) wcale nie zachwycała Ramzesa. Postanowił jednak nie zwracać na nich uwagi, a podczas narad wojennych wcale nie pytał ich o opinie.

I jakoś ułagodziły się stosunki; Mentezufis bowiem, stosownie do rozkazu Herhora, nie narzucał się księciu. Pentuer zaś zajął się organizowaniem pomocy lekarskiej dla rannych.

Gra wojenna zaczęła się.

Przed wszystkim Ramzes, za pośrednictwem swoich agentów, w wielu wsiach pogranicznych rozpuścił pogłoskę, że Libijczycy posuwają się w ogromnych masach, że będą niszczyć i mordować. Skutkiem tego przestraszona ludność zaczęła uciekać na wschód i — wpadła na egipskie pułki. Wówczas książe zabrał mężczyzn do dźwigania ciężarów za wojskiem, a kobiety i dzieci posłał w głąb kraju.

Następnie naczelnny wódz wyprawił szpiegów naprzeciw zbliżającym się Libijczykom, aby zbadać ich liczbę i porządek. Szpiegowie<sup>93</sup> niebawem wrócili, przynosząc dokładne wskazówki co do miejsca pobytu, a bardzo przesadzone co do liczby nieprzyjaciół. Mylnie też twierdzili, choć z wielką pewnością siebie, że na czele band libijskich idzie sam Musawasa w towarzystwie swego syna Tehenny.

Książe-wódz aż zarumienił się z radości na myśl, że w pierwszej wojnie będzie miał tak doświadzonego przeciwnika jak Musawasa.

Przeceniał więc niebezpieczeństwo starcia i podwajał ostrożność. Aby zaś mieć wszelkie szanse za sobą, uciekł się jeszcze do podstępów. Posłał naprzeciw Libijczykom ludzi zaufanych, kazał im udawać zbiegów, wejść do nieprzyjacielskiego obozu i — odciągnąć od Musawasy jego największą siłę: wypędzonych żołnierzy libijskich.

— Powiedzcie im — mówił Ramzes do swych agentów — powiedzcie im, że mam topory dla zuchwałych, a miłosierdzie dla pokornych. Jeżeli w nadchodzącej bitwie rzucą broń i opuszczą Musawasę, przyjmę ich na powrót do wojsk jego świątobliwości i każę wypłacić żołd zaległy, jak gdyby nigdy nie wychodzili ze służby.

Patrokles i inni jenerałowie<sup>94</sup> uznali środek ten za bardzo roztropny; kapłani milczeli, a Mentezufis wysłał depezę do Herhora i w ciągu doby otrzymał odpowiedź.

Okolica Sodowych Jezior była to dolina mająca kilkadziesiąt kilometrów długości, zamknięta między dwoma pasmami wzgórz biegnących od południowego wschodu ku północnemu zachodowi. Największa jej szerokość nie przechodziła dziesięciu kilometrów; były zaś miejsca znakomicie węższe, prawie wąwozy.

Na całej długości doliny ciągnęły się, jedno za drugim, z dziesięć jezior bagnistych napełnionych wodą gorzkosłoną. Rosły tu nędzne krzaki i zioła, ciągle zasypywane piaskiem, ciągle więdnące, których żadne zwierzę nie chciało wziąć do pyska. Po obu stronach sterczały poszarpane wzgórza wapienne lub ogromne piaszczyste zasy, w których można było utonąć.

Cały krajobraz, o barwach żółtych i białych, miał charakter strasznej martwoty, którą potęgowało gorąco i cisza. Żaden ptak nie odzywał się tutaj, a jeżeli kiedy rozległ się jaki

<sup>93</sup>szpiegowie — dziś popr.: szpiedzy. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>jenerał — dziś popr.: generał. [przypis edytorski]

szelest, to chyba staczającego się kamienia.

Mniej więcej w połowie doliny wznosiły się dwie grupy budynków oddalonych od siebie na kilka kilometrów; były nimi — od wschodu forteczka, od zachodu huty szklane, do których opał dostarczali handlarze libijscy. Obie te miejscowości skutkiem wojennych niepokojów zostały opuszczone. Korpus Tehenny miał obowiązek zająć i osadzić oba te punkta<sup>95</sup>, które armii Musawasy ubezpieczały drogę do Egiptu.

Libijczycy z wolna posuwali się od miasta Glaukus<sup>96</sup> ku południowi i wieczorem dnia czternastego Hator znaleźli się u wejścia do doliny Sodowych Jezior, pewni, że przejdą ją dwoma marszami, bez przeszkód. Tęgoż dnia, równo z zachodem słońca, armia egipska ruszyła ku pustyni i uszedłszy po piaskach przeszło czterdzieści kilometrów w ciągu dwunastu godzin, następnego ranka stanęła na wzgórzach między forteczką a hutami i ukryła się w licznych wąwozach.

Gdyby owej nocy powiedział kto Libijczykom, że w dolinie Sodowych Jezior wyrosły palmy i pszenica, mniej zdziwiliby się aniżeli temu, że armia egipska zastąpiła im drogę.

Po krótkim wypoczynku, w czasie którego kapłanom udało się odkryć i wykopać kilka studzienek dosyć znośnej wody do picia, armia egipska poczęła zajmować północne wzgórki ciągnące się wzdłuż doliny.

Plan następcy tronu był prosty. Chciał on odciąć Libijczyków od ich ojczyzny i zepchnąć ku południowi, w pustynię, gdzie gorąco i głód wytępiłby rozproszonych.

W tym celu ustawił armię na północnej stronie doliny i podzielił wojska na trzy korpusy. Prawym skrzydłem, najbardziej posuniętym ku Libii, dowodził Patrokles i on miał odciąć najezdnikom odwrót do ich miasta Glaukus. Lewym skrzydłem, najbardziej zbliżonym do Egiptu, komenderował Mentezufis, ażeby zagrozić Libijczykom marsz naprzód. Wreszcie kierunek nad korpusem środkowym, około hut szklanych, objął następca tronu, mając przy sobie Pentuera.

Dnia piętnastego Hator, około siódmej rano, kilkudziesięciu konnych Libijczyków ostrym kłusem przejechało dolinę. Chwilę odpoczęli około hut, rozejrzeli się, a nie spostrzegłszy nic podejrzanego, zawrócili do swoich.

O dziesiątej przed południem wśród wielkiego skwaru, który zdawał się wypijać pot i krew z ludzi, Pentuer rzekł do następcy:

— Libu już weszli w dolinę i mijają oddział Patroklesa. Za godzinę będą tutaj.

— Skąd wiesz o tym? — spytał zdziwiony książę.

— Kapłani wszystko wiedzą!... — odparł z uśmiechem Pentuer.

Potem ostrożnie wszedł na jedną ze skał, wydobył z torby bardzo połyskujący przedmiot i zwróciwszy się w stronę oddziału świętego Mentezufisa począł dawać ręką jakieś znaki.

— Już i Mentezufis jest zawiadomiony — dodał.

Książę nie mógł wyjść z podziwu i odezwał się:

— Mam oczy lepsze od twoich, a słuch chyba nie gorszy, i pomimo to nic nie widzę ani słyszę. Jakim więc sposobem ty dostrzegasz nieprzyjaciół i porozumiewasz się z Mentezufisem?

Pentuer kazał księciu spojrzeć na jedno odległe wzgórze, na szczycie którego majaczyły krzaki tarniny. Ramzes wpatrzył się w ten punkt i nagle zasłonił oczy: w krzakach bowiem coś mocno błysnęło.

— Cóż to za nieznośny blask?... — wykrzyknął. — Oślepnąć można!...

— To kapłan asystujący dostojnemu Patroklesowi daje nam znaki — odrzekł Pentuer.

— Widzisz więc, dostojny panie, że i my możemy przydać się na wojnie...

Umilkł, z głębi doliny przyleciał do nich szmer, z początku cichy, stopniowo coraz wyraźniejszy. Na ten odgłos przytuleni do stoku pagórka żołnierze egipscy poczęli zrywać się, oglądać broń, szeptać... Ale krótki rozkaz oficerów uspokoił ich i znowu nad północnymi skałami zapanowała martwa cisza.

Tymczasem szmer w głębi doliny potęgował się i przeszedł w zgiełk, wśród którego, na tle rozmów tysięcy ludzi, można było odróżnić śpiewy, głosy fletów, skrzyp wozów,

<sup>95</sup>punkta — dziś popr.: punkty. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Glaukus, Glaukos — miasto portowe czasów hellenistyczno-rzymskich, nad Morzem Śródziemnym, ok. 100 km na zachód od Aleksandrii. [przypis edytorski]

rzenie koni i krzyki dowódców. Ramzesowi serce zaczęło bić gwałtownie; już nie mógł pohamować ciekawości i wdrapał się na skalisty cypel, skąd było widać znaczną część doliny.

Otoczony kłębamii żółtawego kurzu, z wolna posuwał się libijski korpus niby kilkuwiorstowy wąż upstrzony niebieskimi, białymi i czerwonymi plamami.

Na czele maszerowało kilkunastu jeźdźców, z których jeden odziany w białą płachtę siedział na koniu jak na ławie, zwiesiwszy obie nogi na lewą stronę. Za jeźdźcami szła gromada procarzy w szarych koszulach, potem jakiś dostojnik w lektyce, nad którą niesiono duży parasol. Dalej oddział kopijników, w bluzach niebieskich i czerwonych, potem wielka banda ludzi prawie nagich, zbrojnych w maczugi, znowu procarze i kopijnicy, i znowu procarze, a za nimi czerwony oddział z kosami i toporami. Szli mniej więcej po czterech w szeregu; ale mimo krzyku oficerów porządek ten ciągle łamał się i następujące po sobie czwórki zbijały się w gromady.

Śpiewając i rozmawiając hałaśliwie, wąż libijski z wolna wypełznął w najszerzą część doliny, naprzeciw hut i jezior. Tu porządek zwichrzył się jeszcze bardziej. Maszerujący naprzód stanęli; mówiono im bowiem, że w tym miejscu będzie wypoczynek; a tymczasem dalsze kolumny przyspieszyły kroku, ażeby prędzej dojść do celu i odpocząć. Niektórzy wybiegali z szeregu i położywszy broń rzucali się w jezioro lub dłonią czerpali jego cuchnącą wodę; inni, zasiadłszy na ziemi, wydobywali z torby daktyle albo z glinianych butelek pili wodę z octem.

Wysoko, nad obozem, krążyło kilka sępów.

Ramzesa na ten widok ogarnął nieopisany żal i strach. Przed oczyma zaczęły mu latać muszki, stracił przytomność i przez mgnienie oka zdawało mu się, że oddałby tron, byle nie znajdować się w tym miejscu i nie widzieć tego, co nastąpi. Zsunął się z cypla i obłąkanymi oczyma patrzył przed siebie.

Wtem zbliżył się do niego Pentuer i mocno targnął go za ramię.

— Ocknij się, wodzu — rzekł. — Patrokles czeka na rozkazy...

— Patrokles?... — powtórzył książę i obejrzał się.

Przed nim stał Pentuer, blade, ale spokojny. O parę kroków dalej równie blade Tutmózis w drżących rękach trzymał oficerską świstawkę. Zza pagórka wychylali się żołnierze, na których twarzach widać było głębokie wzruszenie.

— Ramzesie — powtórzył Pentuer — wojsko czeka...

Książę z rozpaczliwą determinacją spojrział na kapłana i zduszonym głosem szepnął:

— Zaczynać...

Pentuer podniósł do góry swój błyszczący talizman i nakreślił nim kilka znaków w powietrzu. Tutmózis cicho świsnął, świst ten powtórzył się w dalszych wąwozach na prawo i na lewo i — na wzgórze poczęli wdrapywać się egipscy procarze.

Było około dwunastej w południe.

Ramzes powoli ochłonął z pierwszych wrażeń i uważniej począł oglądać się dokoła. Widział swój sztab, oddział kopijników i toporników pod dowództwem starych oficerów, wreszcie procarzy leniwie wchodzących na skałę... I był pewny, że ani jeden z tych ludzi nie tylko nie pragnie zginąć, ale nawet nie chciałby walczyć i ruszać się pod straszną spiekotą.

Nagle ze szczytu któregoś pagórka rozległ się ogromny głos, potężniejszy od lwiego ryku:

— Żołnierze jego świątobliwości faraona, rozbijcie tych psów libijskich!... Bogowie są z wami!...

Nadnaturalnemu głosowi odpowiedziały dwa nie mniej potężne: przeciągły okrzyk egipskiej armii i niezmierny zgiełk Libijczyków...

Książę, już nie potrzebując ukrywać się, wszedł na pagórek, skąd dobrze było widać nieprzyjaciół. Przed nim ciągnął się długi łańcuch procarzy egipskich jakby wyrosłych spod ziemi, a o paręset kroków rojący się wśród tumanów pyłu obóz libijski. Odezwały się trąbki, świstawki i przekleństwa barbarzyńskich oficerów nawołujących do porządku. Ci, którzy siedzieli, zerwali się, którzy pili wodę, schwyciwszy broń biegli do swoich, chaotyczne tłumy poczęły rozwijać się w szeregi, a wszystko wśród wrzasków i tumultu.

Tymczasem procarze egipscy wyrzucali po kilka pocisków na minutę, spokojnie, porządnie, jak na musztrze. Dziesiątnicy wskazywali swoim oddziałom gromady nieprzyjacielskie, w które należało trafić, a żołnierze w ciągu paru minut zasypywali je gradem ołowianych kul i kamieni. Książę widział, że po każdej takiej salwie gromadka Libijczyków rozpraszała się, a bardzo często jeden zostawał na miejscu.

Mimo to libijskie szeregi uformowały się i cofnęły za linię pocisków, wysunęli się zaś naprzód ich procarze i z równą szybkością i spokojem zaczęli odpowiadać Egipcjanom. Czasami wśród łańcucha ich wybuchały śmiechy i okrzyki radości, a wówczas padał jakiś procarz egipski.

Niebawem nad głową księcia i jego orszaku zaczęły warczeć i świstać kamienie. Jeden, zręczniejszy, uderzył w ramię adiutanta i złamał mu kość, drugi strącił hełm innemu adiutantowi, trzeci padł u nóg księcia, rozbił się o skałę i twarz wodza zasypał okruchami gorącymi jak ukrop.

Libijczycy głośno śmieli się, coś wykrzykując; prawdopodobnie złorzeczyli wodzowi.

Strach, a nade wszystko żal i litość, wszystko to w jednej chwili uciekło z duszy Ramzesa. Nie widział już przed sobą ludzi zagrożonych cierpieniem i śmiercią, ale szeregi dzikich zwierząt, które trzeba wytepić lub obezwładnić. Machinalnie sięgnął do miecza, aby poprowadzić czekających na rozkaz kopijników, ale wstrzymała go pogarda. On miałby płamić się krwią tej hołoty!... Od czegoż są żołnierze?

Tymczasem walka trwała dalej, a mężczyźni procarze libijscy, wykrzykując, nawet śpiewając, zaczęli posuwać się naprzód. Z obu stron pociski burczały jak chrabąszcze, brzęczały jak rój pszczół, niekiedy uderzały się nawzajem w powietrzu z trzaskiem, a co parę minut, po tej i po tamtej stronie, jakiś wojownik cofał się na tyły, jęcząc, albo martwy padał na miejscu. Innym jednak nie psuło to humoru: walczyli ze złośliwą radością, która stopniowo przeradzała się we wściekły gniew i zapomnienie o sobie.

Wtem z daleka, na prawym skrzydle, rozległy się głosy trąbek i wielokrotnie powtarzane okrzyki. To nieustraszony Patrokles, pijany już od świtu, zaatakował tylną straż nieprzyjacielską.

— Uderzyć!... — zawołał książę.

Natychmiast rozkaz ten powtórzyła trąbka jedna, druga... dziesiąta, i po chwili ze wszystkich wąwozów poczęły wysuwać się egipskie setnie. Rozsypani na wzgórzach procarze zdwoili wysiłki, a tymczasem w dolinie bez pośpiechu, ale i bez nieporządku, ustawiały się naprzeciw Libijczykom czteroszegowe kolumny kopijników i toporników egipskich, z wolna posuwając się naprzód.

— Wzmocnić środek — rzekł następca.

Trąbka powtórzyła rozkaz. Za dwoma kolumnami pierwszej linii stanęły dwie nowe kolumny. Nim Egipcjanie ukończyli ten manewr, wciąż pod gradem pocisków, już Libijczycy, naśladując ich, uszykowali się w osiem szeregów naprzeciw głównego korpusu.

— Podsunąć rezerwy — rzekł książę. — Spójrzysz no — zwrócił się do jednego z adiutantów — czy lewe skrzydło już gotowe.

Adiutant, ażeby lepiej ogarnąć wzrokiem dolinę, pobiegł między procarzy i — nagle padł, ale dawał znaki ręką. W jego zastępstwie wysunął się inny oficer i niebawem przybiegł, oświadczając, że oba skrzydła książęcego oddziału już stoją uszykowane.

Od strony oddziału Patroklesa zgiełk wzmacniał się i naraz podniosły się nad wzgórze gęste, czarne kłęby dymu. Do księcia przybiegł oficer od Pentuera z doniesieniem, że greckie pułki zapaliły obóz Libijczyków.

— Rozbić środek — rzekł książę.

Kilkanaście trąbek, jedna po drugiej, zagrały hasło do ataku, a gdy umilkły, w środkowej kolumnie rozległa się komenda, rytmiczny łoskot bębnow i szmer nóg piechoty maszerującej z wolna, do taktu.

— Raz... dwa!... raz... dwa!... raz... dwa!...

Teraz komendę powtórzono na prawym i na lewym skrzydle; znowu zawarzały bębny i skrzydłowe kolumny ruszyły naprzód: raz... dwa!... raz... dwa!...

Libijscy procarze zaczęli cofać się, zasypując kamieniami maszerujących Egipcjan. Ale choć coraz upadał jakiś żołnierz, kolumny szły, ciągle szły z wolna, porządnie: raz... dwa!... raz... dwa!...

Żółte tumany, wciąż gęstniejące, znaczyły pochód egipskich batalionów. Procarze nie mogli już miotać kamieniami i nastąpiła względna cisza, wśród której rozlegały się jęki i szlochania ranionych wojowników.

— Rzadko kiedy tak dobrze maszerowali na musztrach! — zawołał książę do sztabu.

— Nie boją się dziś kija — mruknął stary oficer.

Odległość między obłokiem kurzu ze strony Egipcjan a — Libijczykami zmniejszała się z każdą chwilą; lecz barbarzyńcy stali nieporuszeni, a poza ich linią ukazał się tuman. Oczywiście jakaś rezerwa wzmacniała kolumnę środkową, której groził najmocniejszy atak.

Następca zbiegł z pagórka i dosiadł konia; z wąwozów wylały się ostatnie rezerwy egipskie i uszykowawszy się, czekały na rozkaz. Za piechotą wysunęło się kilkuset azjatyckich jeźdźców na koniach drobnych, ale wytrwałych.

Książę pogonił za maszerującymi do ataku i o sto kroków dalej znalazł nowy pagórek, niewysoki, lecz pozwalający ogarnąć całe pole bitwy. Orszak, azjatyccy kawalerzyści i kolumna rezerwowa podążyły za nim.

Książę niecierpliwie spojrział ku lewemu skrzydłu, skąd miał przyjść Mentezufis, lecz nie przychodził. Libijczycy stali nieporuszeni, sytuacja wyglądała coraz poważniej.

Korpus Ramzesa był najmocniejszy, ale też miał przeciw sobie prawie całą siłę libijską. Ilościowo obie strony równoważyły się, książę nie wątpił o zwycięstwie, ale zaniepokoił się o ogrom strat wobec tak mężnego przeciwnika.

Zresztą bitwa ma swoje kaprysy. Nad tymi, którzy już poszli do ataku, skończył się wpływ naczelnego wodza. On już nie ma ich; on ma tylko pułk rezerwowy i garstkę jeźdźców. Gdyby więc jedna z kolumn egipskich została rozbita albo gdyby nieprzyjacielowi przybyły zniecka nowe posiłki...

Książę potarł czoło: w tej chwili odczuł całą odpowiedzialność naczelnego wodza. Był jak gracz, który, wszystko postawiwszy, rzucił już kości i pyta: jak one się ułożą?...

Egipcjanie byli o kilkadziesiąt kroków od libijskich kolumn. Komenda... trąbki... bębny warknęły śpieszniej i wojska ruszyły biegiem: raz — dwa — trzy!... raz — dwa — trzy!... Ale i po stronie nieprzyjaciół odezwała się trąbka, zniżyły się dwa szeregi włócznie, uderzono w bębny... Biegiem!... Wzniosły się nowe kłęby pyłu, potem zlały się w jeden ogromny tuman... Ryk ludzkich głosów, trzask włócznie, szczękanie kos, niekiedy przeraźliwy jęk, który wnet tonął w ogólnej wrzawie...

Na całej linii bojowej już nie było widać ludzi, ich broni, nawet kolumn, tylko żółty pył rozciągający się w formie olbrzymiego węża. Gęstszy tuman oznaczał miejsce, gdzie starły się kolumny, rzadszy — gdzie była przerwa.

Po kilku minutach szatańskiej wrzawy następca spostrzegł, że kurzawa na lewym skrzydle bardzo powoli wygina się w tył.

— Wzmocnić lewe skrzydło! — zawołał.

Połowa rezerwy pobiegła we wskazanym kierunku i znikła w tumanach; lewe skrzydło wyprostowało się, podczas gdy prawe z wolna szło naprzód, a środek, najmocniejszy i najważniejszy, ciągle stał w miejscu.

— Wzmocnić środek — rzekł książę.

Druga połowa rezerwy poszła naprzód i zniknęła w kurzawie. Krzyk na chwilę powiększył się, ale ruchu naprzód nie było widać.

— Ogromnie biją się ci nędznicy!... — odezwał się do następcy stary oficer z orszaku. — Wielki czas, ażeby przyszedł Mentezufis...

Książę wezwał dowódcę azjatyckiej kawalerii.

— Spójrz no tu na prawo — rzekł — tam musi być luka. Wjedź tam ostrożnie, ażebyś nie podeptał naszych żołnierzy, i wpadnij z boku na środkową kolumnę tych psów...

— Muszą być na łańcuchu, bo coś za długo stoją — odparł, śmiejąc się, Azjata.

Zostawił przy księciu ze dwudziestu swoich kawalerzystów, a z resztą pojechał kłusem, wołając:

— Żyj wiecznie, wodzu nasz!...

Spiekota była nieopisana. Książę wyteżył wzrok i ucho, starając się przeniknąć ścianę pyłu. Czekał... czekał... Nagle wykrzyknął z radości: środkowy tuman zachwiał się i posunął trochę naprzód.

Znowu stanął, znowu posunął się i zaczął iść powoli, bardzo powoli, ale naprzód...

Walka, Przywódca

Wrzawa kotłowała się tak straszna, że nie można było zorientować się, co oznacza: gniew, triumf czy klęskę.

Wtem prawe skrzydło zaczęło w dziwaczny sposób wyginać się i cofać. Poza nim ukazał się nowy tuman kurzu. Jednocześnie nadbiegł konno Pentuer i zawołał:

— Patrokles zajmuje tyły Libijczykom!...

Zamęt na prawym skrzydle powiększał się i zbliżał się ku środkowi pola walki. Było widoczne, że Libijczycy zaczynają się cofać i że popłoch ogarnia nawet główną kolumnę.

Cały sztab księcia, wzburzony, rozgorączkowany, śledził ruchy złotego pyłu. Po kilku minutach niepokój odbił się i na lewym skrzydle. Tam już Libijczycy zaczęli uciekać.

— Niech nie zobaczą jutro słońca, jeżeli to nie jest zwycięstwo!... — zawołał stary oficer.

Przyleciał goniec od kapłanów, którzy z najwyższego pagórka śledzili przebieg bitwy, i doniósł, że na lewym skrzydle widać szeregi Mentezufisa i że Libijczycy są z trzech stron otoczeni.

— Uciekaliby już jak łanie — mówił zadyszany poseł — gdyby nie przeszkadzały im piaski.

— Zwycięstwo!... Żyj wiecznie, wodzu!... — krzyknął Pentuer.

Było dopiero po drugiej.

Azjatyccy jeźdźcy zaczęli wrzaskliwie śpiewać i puszczać w górę strzały na cześć księcia. Sztabowi oficerowie siedli z koni, rzucili się do rąk i nóg następcy, wreszcie zdjęli go z siodła i podnieśli w górę, wołając:

— Oto wódz potężny!... Zdeptał nieprzyjaciół Egiptu!... Amon jest po jego prawej i po lewej ręce, więc któż mu się oprze?...

Tymczasem Libijczycy, wciąż cofając się, weszli na południowe pagórki piaszczyste, a za nimi Egipcjanie. Teraz co chwilę wynurzali się z obłoków kurzu jezdni<sup>97</sup> i przybiegali do Ramzesa.

— Mentezufis zabrał im tyły!... — krzyczał jeden.

— Dwie setki poddały się!... — wołał drugi.

— Patrokles zajął im tyły!...

— Wzięto Libijczykom trzy sztandary: barana, lwa i krogulca...

Koło sztabu robiło się coraz tłumniej: otaczali go ludzie pokrwawieni i obsypani pyłem.

— Żyj wiecznie!... żyj wiecznie, wodzu!...

Książę był tak rozdrażniony, że na przemian śmiał się, płakał i mówił do swego orszaku:

— Bogowie zlitowali się... Myślałem, że już przegramy... Nędzny jest los wodza, który nie wydobywając miecza, a nawet nic nie widząc, musi odpowiadać za wszystko...

— Żyj wiecznie, zwycięski wodzu!... — wołano.

— Dobrze mi zwycięstwo!... — zaśmiał się książę. — Nawet nie wiem, w jaki sposób zostało odniesione...

— Wygrywa bitwy, a potem dziwi się!... — krzyknął ktoś z orszaku.

— Mówię, że nawet nie wiem, jak wygląda bitwa... — tłumaczył się książę.

— Uspokój się, wodzu — odparł Pentuer. — Tak mądrze rozstawiłeś wojska, że nieprzyjaciele musieli być rozbici. A w jaki sposób?... to już nie należy do ciebie, tylko do twoich pułków.

— Nawet miecza nie wydobyłem!... Jednego Libijczyka nie widziałem!... — biadał książę.

Na południowych wzgórzach jeszcze kłębiło się i wrzało, lecz w dolinie pył zaczął opadać, tu i owdzie jak przez mgłę widać było gromadki żołnierzy egipskich z włóczniami już podniesionymi w górę.

Następca zwrócił konia w tamtą stronę i wjechał na opuszczone pole bitwy, gdzie dopiero co stoczyła się walka środkowych kolumn. Był to plac szeroki na kilkaset kroków, skopany głębokimi jamami, zarzucony ciałami rannych i poległych. Od strony, z której zbliżał się książę, leżeli w długim szeregu, co kilka kroków, Egipcjanie, potem nieco

<sup>97</sup>jezdny — jeździec, żołnierz na koniu. [przypis edytorski]



gęściej Libijczycy, dalej Egipcjanie i Libijczycy pomieszani ze sobą, a jeszcze dalej prawie sami Libijczycy.

W niektórych miejscach zwłoki leżały przy zwłokach: niekiedy w jednym punkcie zgromadziło się trzy i cztery trupy. Piasek był popstrzony brunatnymi plamami krwi; rany były okropne: jeden wojownik miał odcięte obie ręce, drugi rozwaloną głowę do tułowia, z trzeciego wychodziły wnętrzności. Niektórzy wili się w konwulsjach, a z ich ust, pełnych piasku, wybiegały przekleństwa albo błagania, ażeby ich dobito.

Następca szybko minął ich, nie oglądając się, choć niektórzy ranni na jego cześć wydawali słabe okrzyki.

Niedaleko od tego miejsca spotkał pierwszą gromadę jeńców. Ludzie ci upadli przed nim na twarze, błagając o litość.

— Zapowiedzcie łaskę dla zwyciężonych i pokornych — rzekł książę do swego orszaku.

Kilku jeźdźców rozbiegło się w rozmaitych kierunkach. Niebawem odezwała się trąbka, a po niej donośny głos:

— Z rozkazu jego dostojności księcia naczelnego wodza ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

W odpowiedzi na to odezwały się pomieszane krzyki, zapewne jeńców.

— Z rozkazu naczelnego wodza — wołał śpiewającym tonem inny głos, w innej stronie — ranni i niewolnicy nie mają być zabijani!...

A tymczasem na południowych wzgórzach walka ustała i dwie największe gromady Libijczyków złożyły broń przed greckimi pułkami.

Mężny Patrokles, skutkiem gorąca, jak sam mówił, czy też rozpalających trunków, jak mniemali inni, ledwie trzymał się na koniu. Przetarł zażawione oczy i zwrócił się do jeńców:

— Psy parszywe! — zawołał — którzy podnieśliście grzeszne ręce na wojsko jego świątobliwości (oby was robaki zjadły!), wyginiecie jak wszy pod paznogciem pobożnego Egipcjanina, jeżeli natychmiast nie odpowiecie: gdzie podział się wasz dowódca, bodaj mu trąd stoczył nozdrza i wypił kaprawe oczy!...

W tej chwili nadjechał następca. Jenerał<sup>98</sup> powitał go z szacunkiem, ale nie przerywał śledztwa:

— Pasy każę z was drzeć!... powbijam na pale, jeżeli natychmiast nie dowiem się, gdzie jest ta jadowita gadzina, ten pomiot dzikiej świni rzucony w mierzwę...

— A, o gdzie nasz wódz!... — zawołał jeden z Libijczyków, wskazując na gromadkę konnych, którzy z wolna posuwali się w głąb pustyni.

— Co to jest? — zapytał książę.

— Nędzny Musawasa ucieka!... — odparł Patrokles i o mało nie spadł na ziemię.

Ramzesowi krew uderzyła do głowy.

— Więc Musawasa jest tam i uciekł?... Hej! kto ma lepsze konie, za mną!...

— No — rzekł, śmiejąc się, Patrokles — teraz sam beknie ten złodziej baranów!...

Pentuer zastąpił drogę księciu.

— Wasza dostojność nie możesz ścigać zbiegów!...

— Co?... — wykrzyknął następca. — Przez całą bitwę nie podniosłem na nikogo ręki i jeszcze teraz mam wyrzec się wodza libijskiego?... Cóż by powiedzieli żołnierze, których wysłałem pod włócznie i topory?...

— Armia nie może zostać bez wodza...

— A czyliż tu nie ma Patroklesa, Tutmozisa, wreszcie Mentezufisa? Od czegoż jestem wodzem, gdy mi nie wolno zapolować na nieprzyjaciela?... Są od nas o kilkaset kroków i mają zmęczone konie.

— Za godzinę wrócimy z nimi... Tylko rękę wyciągnąć... — szemrali jezdni Azjaci.

— Patrokles... Tutmozis... zostawiam wam wojsko... — zawołał następca. — Odpocznijcie, a ja tu zaraz wrócę... — Spiał konia i pojechał truchtem, grzęznąc w piasku, a za nim ze dwudziestu jezdnych i Pentuer.

— Ty tu po co, proroku? — zapytał go książę. — Prześpij się lepiej... Oddałeś nam dzisiaj ważne usługi...

<sup>98</sup>jenerał — dziś popr.: generał. [przypis edytorski]

- Może jeszcze się przydam — odparł Pentuer.  
— Ale zostań... rozkazuję ci...  
— Najwyższa rada poleciła mi na krok nie odstępować waszej dostojności.  
Następca gniewnie otrząsnął się.  
— A jeżeli wpadniemy w zasadzkę? — spytał.  
— I tam nie opuszczę cię, panie — rzekł kapłan.

#### ROZDZIAŁ XIX

W jego głosie było tyle życzliwości, że zdziwiony książę zamilkł i pozwolił mu jechać.

Byli w pustyni, mając o paręset kroków za sobą armię, o kilkaset kroków przed sobą uciekających. Lecz pomimo bicia i zachęcania koni do biegu zarówno ci, którzy uciekali, jak i ci, co ich gonili, posuwali się z wielkim trudem. Z góry zalewał ich straszliwy żar słoneczny, w usta, nos, a nade wszystko w oczy wciskał się im drobniutki, lecz ostry pył, a pod nogami koni, na każdym kroku, zapadał się rozpalony piasek. W powietrzu panował zabijający spokój.

— Przecież ciągle tak nie będzie — rzekł następca.

— Będzie coraz gorzej — odpowiedział Pentuer. — Widzisz, wasza dostojność — wskazał na uciekających — że tamte konie po kolana brną w piasku...

Książę roześmiał się, w tej chwili bowiem wjechali na grunt nieco twardszy i ze sto kroków jechali klusem. Wnet jednak zabiegło im drogę morze piaszczyste i znowu musieli posuwać się noga za nogą.

Ludzie ociekali potem, na koniach zaczęła ukazywać się piana.

— Gorąco! — szepnął następca.

— Słuchaj, panie — odezwał się Pentuer — niedobry to dzień dla gonitw na pustyni. Dziś od rana święte owady zdradzały wielki niepokój, a następnie wpadły w letarg. Równie mój nożyk kapłański bardzo płytko zanurzył się w glinianej pochwie, co oznacza niezwykle gorąco. Oba zaś te zjawiska: upał i letarg owadów, mogą zapowiadać burzę. Wróćmy więc, bo już nie tylko obóz straciliśmy z oczu, ale nawet nie dolatują nas jego szmery.

Ramzes spojrział na kapłana prawie z pogardą.

— I ty myślisz, proroku — rzekł — że ja, raz zapowiedziawszy schwytanie Musawasy, mogę powrócić z niczym, ze strachu przed gorącem i burzą?

Jechali wciąż. W jednym miejscu grunt znowu stwardniał, dzięki czemu zbliżyli się do uciekających na rzut z procy.

— Hej, wy tam!... — zawołał następca — poddajcie się...

Libijczycy nawet nie spojrzeli za siebie, z wytężeniem brnąc po piasku. Przez chwilę można było sądzić, że zostaną dosięgnięci. Wnet jednak oddział następcy znowu trafił na głęboki piasek, a tamci przyśpieszyli kroku i znikli za wypukłością gruntu.

Azjaci klęli, książę zaciął zęby.

Nareszcie konie zaczęły coraz mocniej zapadać się i ustawać; jezdni więc musieli zsiąść i iść piechotą. Nagle jeden z Azjatów zacerwienił się i padł na piasku. Książę kazał go okryć płachtą i rzekł:

— Zabierzemy go z powrotem.

Z wielką pracą dosięgli wierzchołka piaszczystej wyniosłości i zobaczyli Libijczyków. Ale i dla nich droga była zabójczą, ustały bowiem dwa konie.

Obóz wojsk egipskich stanowczo ukrył się za falami gruntu, i gdyby Pentuer i Azjaci nie umieli kierować się słońcem, już teraz nie trafiliby na miejsce.

W orszaku księcia padł drugi jeździec, wyrzucając ustami krwawą pianę. Zostawiono i tego razem z koniem. Na domiar na tle piasków ukazała się grupa skał, wśród których zniknęli Libijczycy.

— Panie — rzekł Pentuer — tam może być zasadzka...

— Niech będzie śmierć i niech mnie zabierze!... — odparł następca zmienionym głosem.

Kapłan spojrział na niego z podziwem: nie przypuszczał w nim podobnej zaciętości.

Do skał nie było daleko, lecz droga nad wszelki opis uciążliwa. Trzeba było nie tylko iść samym, ale jeszcze wyciągać z piasku konie. Wszyscy brnęli, zanurzeni powyżej kostek; zdarzały się jednak miejsca, gdzie można było zapaść się po kolana.

A na niebie wciąż płonęło słońce, straszne słońce pustyni, którego każdy promień nie tylko piekł i oślepił, ale jeszcze kłuł. Najwytrwalsi Azjaci upadali ze znużenia: jednemu spuchł język i wargi, drugi miał szum w głowie i czarne płatki w oczach, innego ogarniała senność, wszyscy czuli ból w stawach i zatracili wrażenie upału. I gdyby zapytano którego: czy na dworze jest gorąco? — nie potrafiliby odpowiedzieć.

Grunt znowu pod nogami stwardniał i orszak Ramzesa wszedł między skały. Książę, najprzytomniejszy ze wszystkich, usłyszał chrapanie konia, skręcił na bok i w cieniu rzuconym przez pagórek zobaczył gromadę ludzi leżących, jak który padł. Byli to Libijczycy.

Jeden z nich, człowiek młody, dwudziestoletni, miał na sobie purpurową koszulkę haftowaną, złoty łańcuch na szyi i miecz bogato oprawny. Zdawał się leżeć bez czucia; miał oczy wywrócone białkami do góry i trochę piany w ustach. Ramzes poznał w nim dowódcę. Zbliżył się, zerwał mu łańcuch z szyi i odczepił miecz.

Jakiś stary Libijczyk, który zdawał się być mniej zmęczonym od innych, widząc to, odezwał się:

— Choć jesteś zwycięzcą, Egipcjaninie, uszanuj książęcego syna, który był wodzem naczelnym.

— To jest syn Musawasy? — spytał książę.

— Prawdę rzekłeś — odparł Libijczyk — to jest Tehenna, syn Musawasy, nasz wódz, który godzien był zostać nawet egipskim księciem.

— A gdzie Musawasa?

— Musawasa jest w Glaukus i zbiera wielką armię, która nas pomści.

Inni Libijczycy nie odzywali się; nawet nie raczyli spojrzeć na swoich zwycięzców. Na rozkaz księcia Azjaci rozbroili ich bez trudności i — sami usiedli w cieniu skały.

W tej chwili nie było tu przyjaciół ani wrogów, lecz śmiertelnie znużeni ludzie. Śmierć czyhała na wszystkich, ale oni chcieli tylko odpocząć.

Pentuer widząc, że Tehenna wciąż jest nieprzytomny, ukląkł przy nim i pochylił mu się nad głowę, tak że nikt nie mógł dostrzec, co robi. Wnet jednak Tehenna zaczął wdychać, rzucać się i otworzył oczy; potem usiadł, trąc czoło, jak przebudzony z twardego snu, który jeszcze nie odszedł.

— Tehenno, wodzu Libijczyków — rzekł Ramzes — ty i twoi ludzie jesteście jeńcami jego świątobliwości faraona.

— Lepiej zabij mnie od razu — mruknął Tehenna — jeżeli mam utracić wolność.

— Gdy ojciec twój, Musawasa, upokorzy się i zawrze pokój z Egiptem, jeszcze będziesz wolny i szczęśliwy...

Libijczyk odwrócił głowę i położył się obojętny na wszystko. Ramzes usiadł przy nim i po chwili zapadł w jakiś letarg; prawdopodobnie zasnął.

Ocknął się po upływie kwadransa, nieco rzeświejszy. Spojrzał na pustynię i krzyknął z zachwytem: na horyzoncie widać było zielony kraj, wodę, gęste palmy, a nieco wyżej miasteczka i świątynie...

Dokoła niego wszyscy spali — Azjaci i Libijczycy. Tylko Pentuer stojąc na złamie skały przysłonił ręką oczy i gdzieś patrzył.

— Pentuerze!... Pentuerze!... — zawołał Ramzes. — Czy widzisz tę oazę?...

Zerwał się i przybiegł do kapłana, który miał troskę na twarzy.

— Widzisz oazę?...

— To nie oaza — odparł Pentuer — to błakający się w pustyni duch jakiegoś kraju, którego już nie ma na świecie... Ale tamto — tam... jest naprawdę!... — dodał wskazując ręką w stronę południa.

— Góry?... — zapytał książę.

— Przypatrz się lepiej.

Książę wpatrywał się, nagle rzekł:

— Zdaje mi się, że ta ciemna masa podnosi się... Muszę mieć zmęczony wzrok.

— To jest Tyfon — szepnęła kapłan. — Tylko bogowie mogą nas uratować, jeżeli zechcą...

Istotnie Ramzes uczył na twarzy powiew, który nawet wśród pustynnego upału wydał mu się ciepły. Powiew ten, zrazu bardzo delikatny, wzmagał się, był coraz cieplejszy, a jednocześnie ciemna smuga podnosiła się na niebie z zadziwiającą szybkością.

— Cóż zrobimy? — spytał książę.  
— Te skały — odparł kapłan — zasłonią nas przed zasypaniem, ale nie odpędzą ani kurzu, ani gorąca, które wciąż rośnie. A za dzień lub dwa...

— Więc Tyfon tak długo wieje?

— Czasami trzy i cztery dni... Tylko niekiedy zrywa się na parę godzin i nagle pada jak sęp przesyty strzałą. Ale trafia się to bardzo rzadko...

Książę sposepniał, choć nie stracił odwagi. Kapłan zaś, wydobywszy spod szaty mały flakonik z zielonego szkła, mówił dalej:

— Masz tu eliksir... Powinien wystarczyć ci na kilka dni... Ile razy uczujesz senność albo strach, wypij kropelkę tego. Tym sposobem wzmocnisz się i przetrzymasz...

— A ty?... a inni?...

— Los mój jest w rękach Jedynego. Reszta zaś ludzi... Oni nie są następcami tronu!

— Nie chcę tego płynu — rzekł książę, odsuwając flakonik.

— Musisz go wziąć!... — krzyknął Pentuer. — Pamiętaj, że w tobie lud egipski złożył swoje nadzieje... Pamiętaj, że nad tobą czuwa jego błogosławieństwo...

Czarna chmura podniosła się już do połowy nieba, a gorący wicher dął tak gwałtownie, że książę i kapłan musieli zejść pod skałę.

— Lud egipski?... błogosławieństwo?... — powtarzał Ramzes. Nagle zawołał:

— To ty rok temu przemawiałeś do mnie w nocy z ogrodu?... Było to zaraz po manewrach...

— Tego dnia, kiedy litowałeś się nad chłopem, który powiesił się z rozpaczy, że mu kanał zepsuto — odparł kapłan.

— Ty uratowałeś mój folwark i Żydówkę Sarę przed tłumem, który chciał ją ukamienować?...

— Ja — rzekł Pentuer. — Ale ty wkrótce uwolniłeś z więzienia niewinnych chłopów i nie pozwoliłeś Dagonowi dręczyć ludu twego nowymi podatkami.

Za ten lud — mówił kapłan — za miłosierdzie, jakie zawsze okazywałeś mu, dziś jeszcze błogosławię cię... Może tylko ty jeden ocalejesz tutaj, ale pomnij... pomnij, że ocala cię uciśnięty lud egipski, który od ciebie czeka zbawienia...

Wtem pociemniało, od południa syknął deszcz gorącego piasku i zerwał się wicher tak gwałtowny, że przewrócił konia stojącego w nieosłoniętym miejscu. Azjaci i libijscy jeńcy, wszyscy obudzili się; ale każdy tylko wcisnął się lepiej pod skałę i milczał zdjęty trwogą.

W naturze działo się coś okropnego. Na ziemi zaległa noc, a na niebie w szalonym pędzie goniły się rude lub czarne obłoki piasku. Zdawało się, że piasek z całej pustyni ożył, zerwał się w górę i leciał gdzieś z szybkością kamieni rzuconych procą.

Gorąco było takie jak w łaźni: na rękach i twarzy pękała skóra, język usychał, oddech sprawiał klucie w piersiach. Drobne ziarna piasku parzyły jak iskry.

Pentuer gwałtem zbliżył flakonik do ust księcia. Ramzes wypił parę kropel i uczuł dziwną zmianę: ból i gorąco przestały go dręczyć, myśl odzyskała swobodę.

— I to może ciągnąć się parę dni?...

— Cztery — odparł kapłan.

— A wy, mędrzy, powiernicy bogów, nie posiadacie sposobu uratowania ludzi z takiej burzy?...

Pentuer zamyślił się i rzekł:

— Na świecie jest tylko jeden mędrzec, który mógłby walczyć ze złymi duchami... Ale jego tu nie ma!...

Tyfon dął już od pół godziny z niepojętą siłą. Zrobiła się prawie noc. Chwilami wiatr słabnął, czarne kłęby rozsuwały się i było widać na niebie krwawe słońce, a na ziemi złowrogie światło rudej barwy.

Lecz wnet potężniał wicher gorący, duszny; kłęby kurzu gęstniały, trupie światło gasło, a w powietrzu rozlegały się niepokojące szelesty i szmery, jakich nie nawykło chwytają ludzkie ucho.

Niewiele już brakło do zachodu, a gwałtowność burzy i nieznośny upał wciąż rosły. Od czasu do czasu nad horyzontem ukazywała się olbrzymia krwawa plama, jak gdyby zaczynał się pożar świata.

Nagroda

Nagle książe spostrzegł, że nie ma przy nim Pentuera. Wytężył ucho i usłyszał głos wołający:

— Beroes!... Beroes!... jeżeli nie ty, któż nam pomoże?... Beroes!... w imię Jedynego, Wszechmocnego, który nie ma początku ani końca, wzywam cię...

W północnej stronie pustyni odezwał się grzmot. Książe struchlał; dla Egipcjanina bowiem grzmoty były prawie tak rzadkim zjawiskiem jak ukazanie się komety.

— Beroes!... Beroes!... — powtarzał wielkim głosem kapłan.

Następca wytężył wzrok w tym kierunku i ujrzał — ciemną figurę ludzką z podniesionymi rękoma. Z głowy, palców, a nawet z odzienia tej figury, co chwilę wyskakiwały jasnoblękitne iskry.

— Beroes!... Beroes!...

Przeciągly grzmot odezwał się bliżej, a wśród tumanów piasku mignęła błyskawica, oblewając pustynię czerwonym światłem. Nowy grzmot i nowa błyskawica.

Książe uczuł, że gwałtowność wichru słabnie i gorąco zmniejsza się. Skłębiony w górze piasek zaczął spadać na ziemię, niebo zrobiło się popielate, potem rude, potem mlecznej barwy. Potem wszystko ucichło, a za chwilę znowu runął grzmot i zawiął chłodny wiatr z północy.

Znękani upałem Azjaci i Libijczycy ocknęli się.

— Wojownicy faraona — nagle odezwał się stary Libijczyk — a słyszycie wy ten szum w pustyni?...

— Znowu burza?

— Nie, to deszcz pada!...

Istotnie z nieba upadło kilka chłodnych kropli, potem coraz więcej, aż w końcu zerwała się ulewa, której towarzyszyły pioruny.

Między żołnierzami Ramzesa i ich jeńcami zapanowała szalona radość. Nie zważając na błyskawice i gromy, ludzie, przed chwilą spaleni żarem, spragnieni, biegali jak dzieci pod strumieniami deszczu. Po ciemku myli siebie i konie, łapali wodę w czapki i skórzane wory, a nade wszystko — pili, pili!...

— Nie jestże to cud?... — zawołał książe Ramzes. — Gdyby nie deszcz błogosławiony, zginęlibyśmy w pustyni, w gorących uściskach Tyfona.

— Zdarza się tak — odparł stary Libijczyk — że południowy wicher piaszczysty drażni wiatry przechadzające się nad morzem i sprowadza ulewę.

Ramzesa niemile dotknęły te słowa; przypisywał bowiem nawałnicę modlitwom Pentuera. Zwróciwszy się więc do Libijczyka, spytał:

— A czy zdarza się i to, ażeby z ludzkiej postaci tryskały iskry?

— Zawsze tak bywa, gdy wieje wiatr pustynny — rzekł Libijczyk. — Przecie i tym razem widzieliśmy iskry wyskakujące nie tylko z ludzi, ale i z koni.

W głosie jego brzmiała taka pewność, że książe, zbliżywszy się do oficera swej jazdy, szepnął:

— A zważajcie na Libijczyków...

Ledwie to powiedział, coś zakotłowało się wśród ciemności, a po chwili rozległ się tętent. Gdy zaś błyskawica rozświetliła pustynię, zobaczono człowieka, który uciekał na koniu.

— Wiązać tych nędzników! — krzyknął książe — i zabić, jeżeli który będzie opierał się... Biada ci, Tehenno, gdyby ten łotr sprowadził na nas twoich braci!... Zginiesz w ciężkich męczarniach ty i twoi...

Pomimo deszczu, piorunów i ciemności żołnierze Ramzesa szybko powiązali Libijczyków nie stawiających zresztą żadnego oporu.

Może czekali na rozkaz Tehenny, ale ten był tak zgnębiony, że nie myślał nawet o ucieczce.

Powoli burza uspakajała się, a miejsce dziennego upału zajął w pustyni chłód przejmujący. Ludzie i konie napili się do syta i worki napełnili wodą; daktyłów i sucharów było dosyć, więc panowało dobre usposobienie. Grzmoty osłabły, ciche błyskawice zapalały się coraz rzadziej; na północnym niebie zaczęły rozdzierać się obłoki, tu i owdzie zapłonęły gwiazdy.

Pentuer zbliżył się do Ramzesa.

— Wracajmy ku obozowi — rzekł. — Możemy tam dojść za parę godzin, zanim ten, który uciekł, naprowadzi nam nieprzyjaciół.

— Jakże trafimy wśród takiej ciemności? — spytał książę.

— Czy macie pochodnie? — zwrócił się kapłan do Azjatów.

Pochodnie czyli długie sznury nasycone materiałami palnymi, były; ale nie było ognia. Drewniane bowiem krzesiwka służące do zapalania przemokły.

— Musimy czekać do rana — rzekł niecierpliwy książę.

Pentuer nie odpowiedział. Wydobył ze swej torby małe naczynie, wziął od żołnierza pochodnię i odszedł na bok. Po chwili rozległo się ciche syczenie i pochodnia... zapaliła się.

— Wielki jest czarnoksiężnik ten kapłan!... — mruknął stary Libijczyk.

— W oczach moich sprawiłeś już drugi cud — rzekł książę do Pentuera. — Czy możesz mi objaśnić, jak się to robi?...

Kapłan potrząsnął głową.

— O wszystko pytaj mnie, panie — odparł — a odpowiem ci, na ile mi starczy mądrości. Tylko nigdy nie żądaj, abym ci wyjaśniał tajemnice naszych świątyń.

— Nawet gdybym cię mianował moim doradcą?

— Nawet i wówczas. Nigdy nie będę zdrajcą, a choćbym i śmiał nim zostać, odstrząłyby mnie kary...

— Kary?... — powtórzył książę. — Aha!... Pamiętam w świątyni Hator człowieka schowanego w podziemiu, na którego kapłani wylewali roztopioną smołę. Czyżby to robili naprawdę?... I ów człowiek naprawdę skonał w mękach?...

Pentuer milczał, jakby nie słysząc pytania, i powoli wydobył ze swej cudownej torby mały posążek bóstwa z rozkrzyżowanymi rękoma. Posążek ten wisiał na sznurku; kapłan puścił go wolno i szepcąc modlitwę uważał. Posążek po pewnej liczbie wahań i kręceń się zawisnął spokojnie.

Ramzes przy świetle pochodni ze zdziwieniem przypatrywał się tym praktykom.

— Co to robisz? — spytał kapłana.

— Tyle tylko mogę powiedzieć waszej dostojności — rzekł Pentuer — że bóstwo jedną ręką wskazuje gwiazdę Eshmun<sup>99</sup>. Ona to w czasie nocy prowadzi przez morza fenickie okręty.

— Więc i Fenicjanie mają tego boga?

— Nawet nie wiedzą o nim. Bóg, który zawsze zwraca jedną rękę do gwiazdy Eshmun, jest znany tylko nam i kapłanom chaldejskim. Przy jego zaś pomocy każdy prorok, dniem i nocą, w pogodę i niepogodę, może odkryć swoją drogę na morzu czy w pustyni.

Na rozkaz księcia, który z zapaloną pochodnią szedł obok Pentuera, orszak i jeńcy ruszyli za kapłanem w kierunku północno-wschodnim. Bożek zawieszony na sznurku chwiał się, lecz niemniej wyciągniętą ręką wskazywał, gdzie leży święta gwiazda, opiekunka zbłąkanych podróżników.

Szli pieszo, prowadząc konie, dobrym krokiem. Zimno było tak ostre, że nawet Azjaci chuchali w ręce, a Libijczycy drżeli.

Wtem coś zaczęło chrupać i trzeszczeć pod nogami. Pentuer przystanął i schylił się.

— W tym miejscu — rzekł — deszcz na opoce utworzył płytką kałużę. A z wody, patrz, dostojny panie, co się zrobiło...

Mówiąc to, podniósł i pokazał księciu jakby tafelkę szklaną, która topniała mu w rękach.

— Gdy jest bardzo zimno — dodał — woda staje się przezroczystym kamieniem.

Azjaci potwierdzili słowa kapłana, dodając, że daleko na północy woda bardzo często zamienia się w kamień, a para w białą sól, która jednak nie ma żadnego smaku, tylko szczypie w palce i wywołuje ból w zębach.

Książę coraz bardziej podziwiał mądrość Pentuera.

Tymczasem w północnej stronie niebo wyjaśniło się, odsłaniając Niedźwiedzicę, a w niej gwiazdę Eshmun. Kapłan, znowu odmówiwszy modlitwę, schował do torby przewodniczącego bożka i kazał zgasić pochodnie, a zostawić tylko tłący się sznur, który utrzymywał ogień i stopniowym upalaniem się znaczył godziny.

Czary, Wiedza

Wiedza, Mądrość

<sup>99</sup>gwiazda Eshmun — Gwiazda Polarna. [przypis autorski]

Książę zalecił czujność swemu oddziałowi i wzięwszy Pentuera, wysunął się o kilkadziesiąt kroków naprzód.

— Pentuerze — odezwał się — od tej chwili mianuję cię moim doradcą i na teraz, i wówczas gdy podoba<sup>100</sup> się bogom oddać mi koronę Górnego i Dolnego Egiptu...

— Czymże zasłużyłem na tą łaskę?

— W oczach moich spełniałeś czyny, które świadczą o wielkiej twojej mądrości i potędze nad duchami. Nadto zaś byłeś gotów ocalić mi życie. Więc choć postanowiłeś ukrywać wiele rzeczy przede mną...

— Wybacz, dostojny panie — przerwał kapłan. — Zdrajców, gdy będą ci potrzebni, znajdziesz za złoto i klejnoty nawet między kapłanami. Ale ja nie chcę należeć do nich. Bo pomyśl: czy zdradzając bogów dawałbym ci pewność, że i z tobą tak nie postąpię?

Ramzes zamyślił się.

— Mądrze powiedziałaś — odparł. — Lecz dziwno mi, skąd ty, kapłan, masz dla mnie życzliwość w sercu? Rok temu — błogosławiłeś mnie, a dziś nie pozwoliłeś samemu jechać w pustynię i oddajesz mi wielkie usługi.

— Bo ostrzegli mnie bogowie, że ty, dostojny panie, gdy zechcesz, możesz wydobyć z nędzy i poniżenia nieszczęsny lud egipski.

— Cóż lud ciebie obchodzi?

— Spośród niego wyszedłem... Mój ojciec i bracia po całych dniach czerpali wodę z Nilu i dostawali kije...

— W czymże ja mogę pomóc ludowi? — spytał następca.

Pentuer ożywił się.

— Lud twój — mówił wzruszony — za wiele pracuje, za duże płaci podatki, cierpi nędzę i prześladowania. Ciężką jest dola chłopów!...

„Robak pożarł połowę jego zbioru, nosorożec drugą; na polach mnóstwo myszy, spadła szarańcza, bydło wygniotło, ukradły wróble. Co jeszcze zostało na klepisku, temu złodzieje zrobili koniec. O nędzo rolnika! Teraz dopiero przybywa pisarz na brzeg i upomina się o zbiór, towarzysze jego przynieśli kije, a Murzyni palmowe różgi. Mówią: daj tu zboże!

— Nie ma żadnego. — Biją go wtenczas, rozciągają jak długi i wiążą, rzucają do kanału, gdzie się topi, głową na dół. Żonę jego wiążą przed nim i dzieci takież. Sąsiedzi uciekają, ratując swoje zboże...”<sup>101</sup>

— Sam to widziałem — odparł zamyślony książę — i nawet odpędziłem jednego podobnego pisarza. Lecz czyliż mogę być wszędzie obecnym, ażeby zapobiegać niesprawiedliwości?

— Możesz, panie, rozkazać, ażeby nie dręczono ludzi bez potrzeby. Możesz zmniejszyć podatki, wyznaczyć chłopom dni wypoczynku. Możesz w końcu obdarować każdą rodzinę choćby zagonem ziemi, z której zbiór należałby tylko do nich i służył do ich wykarmienia. W razie przeciwnym będą i nadal karmili się: lotosem, papirusem i zdechłymi rybami, i w końcu twój lud zmarnieje... Ale jeżeli ty okażesz mu swoją łaskę, podźwignie się.

— I zaprawdę uczynię tak! — zawołał książę. — Dobry gospodarz nie pozwala, ażeby jego inwentarz marł z głodu, pracował nad siły lub odbierał niesłuszne plagi... To musi się zmienić!...

Pentuer zatrzymał się.

— Przrzekasz mi to, dostojny panie?...

— Przysięgam! — odparł Ramzes.

— A więc i ja ci przysięgam, że będziesz najslawniejszym faraonem, wobec którego zblednie Ramzes Wielki! — zawołał już nie panujący nad sobą kapłan.

Książę zamyślił się.

— Co pocniemy we dwu przeciw kapłanom, którzy mnie nienawidzą?...

— Oni boją się ciebie, panie — odpowiedział Pentuer. — Boją się, ażebyś zbyt wczesnie nie zaczął wojny z Asyrią...

— Cóż im zależy na tym, jeżeli wojna będzie wygrana?...

Kapłan schylił głowę i rozłożył ręce, lecz milczał.

<sup>100</sup>podoba się — tu: spodoba się. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Robak pożarł połowę jego zbioru... — opis autentyczny. [przypis autorski]

— Więc ja tobie powiem!... — krzyknął rozdrażniony książę. — Oni nie chcą wojny, gdyż lękają się, ażeby nie wrócił z niej zwycięzca, obładowany skarbami, pędzący przed sobą niewolników... Oni tego boją się, ponieważ chcą, ażeby każdy faraon był słabym narzędziem ich ręki, bezużytecznym sprzętem, który można odrzucić, kiedy im się podoba...

Ale ze mną tego nie będzie!... I albo zrobię to, co chcę, do czego mam prawo, jako syn i spadkobierca bogów, albo... zginę...

Pentuer cofnął się i wyszeptał zaklęcie.

— Nie mów tak, dostojny panie — rzekł zmieszany — aby złe duchy krążące nad pustynią nie pochwytyły twoich słów... Słowo, zapamiętaj to, władco, jest jak kamień rzucony z procy; gdy trafi na ścianę, odbije się i zwróci przeciw tobie samemu...

Książę pogardliwie machnął ręką.

— Wszystko jedno — odparł. — Nie ma wartości takie życie, w którym każdy krępowałby moją wolę... Jeżeli nie bogowie, to wichry pustynne; jeżeli nie złe duchy, to kapłani... I także ma być władza faraona?... Chcę robić to, co ja chcę, i zdawać sprawę tylko przed wiekuistymi przodkami, a nie przed lada ogolonym łbem, który niby tłumaczy zamiary bogów, a naprawdę zagarnia władzę i napełnia swoje skarbcze moimi dostatkami!...

Wtem o kilkadziesiąt kroków od nich rozległ się dziwny krzyk, środkujący między rżeniem a beczeniem, i — przebiegł olbrzymi cień. Pędził jak strzała i o ile można było dojrzeć, miał długą szyję i tułów garbaty.

Wśród książęcego orszaku rozległ się szmer zgrozy.

— To gryf!... Wyraźnie widziałem skrzydła!... — mówili Azjaci.

— Pustynia roi się potworami!... — dodał stary Libijczyk.

Ramzes był stropiony; jemu także zdawało się, że przebiegający cień miał głowę węża i coś na kształt krótkich skrzydeł.

— Czy w rzeczy samej — zapytał kapłana — w pustyni ukazują się potwory?

— Zapewne — rzekł Pentuer — że w miejscu tak odludnym snują się niedobre duchy w najosobliwszych postaciach. Zdaje mi się jednak, że to, co przeszło obok nas, jest raczej zwierzęciem. Podobne ono jest do osiodłanego konia, tylko większe i prędsze w biegu. Mówią zaś mieszkańcy oazów<sup>102</sup>, że zwierzę to może wcale nie pić wody, a przynajmniej bardzo rzadko. Gdyby tak było, przyszłe pokolenia mogłyby używać do przebiegania pustyni tej dziwnej istoty, która dziś tylko strach budzi.

— Nie śmiałbym się na grzbiecie takiej poczwary! — odparł książę, potrząsając głową.

— Toż samo nasi przodkowie mówili o koniu, który Hyksosom pomógł zdobyć Egipt, a dziś stał się niezbędnym dla naszej armii. Czas bardzo zmienia ludzkie sądy!... — rzekł Pentuer.

Na niebie znikły ostatnie chmury i zaczęła się noc jasna. Pomimo braku księżyca było tak widno, że na tle białego piasku można było poznać ogólne zarysy przedmiotów, nawet drobnych czy bardzo odległych.

Przejmujący chłód także zmniejszył się. Przez jakiś czas orszak maszerował w milczeniu, po kostki grzęznąc w piaskach. Nagle między Azjatami znowu wszczął się tumult i rozległy się wołania:

— Sfinks!... patrzcie, sfinks!... Już nie wyjdziemy żywi z pustyni, kiedy ciągle pokazują się nam widziadła...

Rzeczywiście na białym pagórku wapiennym bardzo wyraźnie rysowała się sylwetka sfinksa. Lwie ciało, ogromna głowa w czepcu egipskim i jakby ludzki profil.

— Uspokójcie się, barbarzyńcy — rzekł stary Libijczyk. — To przecie nie sfinks, tylko lew, i nic wam nie robi, gdyż zajęty jest jedzeniem.

— Zaprawdę jest to lew! — potwierdził książę, zatrzymując się. — Ale jak on podobny do sfinksa...

— On też jest ojcem naszych sfinksów — wtrącił półgłosem kapłan. — Jego twarz przypomina rysy człowiecze, a jego grzywa perukę...

— Czy i nasz wielki sfinks, ten, który pod piramidami?...

<sup>102</sup>oazów — dziś popr. forma D. lm: oaz. [przypis edytorski]



— Na wiele wieków przed Menesem — mówił Pentuer — kiedy jeszcze nie było piramid, rosła w tym miejscu skała podobna do lwa leżącego, jakby bogowie tym sposobem chcieli oznaczyć: gdzie zaczyna się pustynia.

Ówczesni święci kapłani kazali mistrzom dokładniej obrobić skałę i braki jej dopełnić za pomocą sztucznego muru. Mistrze zaś, częściej widując ludzi aniżeli lwy, wyrzeźbili twarz ludzką i tak urodził się pierwszy sfinks...

— Któremu oddajemy cześć boską... — uśmiechnął się książę.

— I słusznie — odparł kapłan. — Pierwsze bowiem zarysy tego dzieła zrobili bogowie, a ludzie wykończyli je także pod natchnieniem bogów. Nasz sfinks ogromem i tajemniczością przypomina pustynię, ma postać duchów blakających się w pustyni i tak przeraża ludzi jak ona. Jest on zaprawdę synem bogów i ojcem trwogi.

— A swoją drogą wszystko ma ziemski początek — odparł książę. — Nil nie wypływa z nieba, ale z jakichś gór leżących poza Etiopią. Piramidy, o których mówił mi Herhor, że są obrazem naszego państwa, są budowane na wzór skalistych szczytów. A i nasze świątynie z ich pylonami i obeliskami, z ich ciemnością i chłodem, czyliż nie przypominają pieczar i gór ciągnących się wzdłuż Nilu?... Ile razy na polowaniu zabłąkałem się między wschodnimi skałami, zawszem trafiał na jakieś osobliwe nagromadzenie kamieni, które przywodziło mi na myśl świątynię. Nawet nieraz na ich chropowatych ścianach widziałem hieroglify pisane ręką wichrów i deszczu...

— W tym, wasza dostojność, masz dowód, że nasze świątynie były wznoszone według planu, który nakreślili sami bogowie — rzekł kapłan. — A jak drobna pestka rzucona w ziemię rodzi niebotyczne palmy, tak obraz skały, pieczary, lwa, nawet lotosu, zasiany w duszę pobożnego faraona, rodzi aleje sfinksów, świątynie i ich potężne kolumny. Boskie to są czyny, nie ludzkie, i szczęśliwy ten władca, który patrząc naokoło siebie potrafi w rzeczach ziemskich odkryć myśl bożą i w zrozumiałym sposób przedstawić ją następnym pokoleniom.

— Tylko władca taki musi mieć władzę i duży majątek — wtrącił zgryźliwie Ramzes — nie zaś zależeć od kapłańskich przywidzeń...

Przed nimi ciągnęło się długie wzgórze piaszczyste, na którym w tej chwili ukazało się paru jeźdźców.

— Nasi czy Libijczycy?... — rzekł książę.

Ze wzgórza odezwał się głos rogu, na który odpowiedziano z orszaku księcia. Konni zjechali szybko, o ile na to pozwalał głęboki piasek. Zbliżywszy się, jeden z nich zawołał:

— Czy jest następca tronu?...

— Jest, i zdrów! — odpowiedział Ramzes.

Zsiedli z koni i upadli na twarze.

— O erpatre! — mówił dowódca przybyłych. — Wojsko twoje rozdziera szaty i prochem posypuje głowy, myśląc, żeś zginął... Cała kawaleria rozbiegła się po pustyni, ażeby znaleźć twoje ślady, i dopiero nam, niegodnym, pozwolili bogowie, że witamy cię pierwszy...

Książę mianował go setnikiem i rozkazał, aby nazajutrz przedstawił do nagrody swoich podwładnych.

## ROZDZIAŁ XX

W pół godziny później ukazały się gęste ognie armii egipskiej, a niebawem orszak księcia znalazł się w obozie. Ze wszystkich stron odezwały się trąbki na alarm, żołnierze chwycili broń i krzyżąc stawali w szeregach. Oficerowie padali księciu do nóg i jak wczoraj po zwycięstwie, podniósłszy go na rękach, zaczęli obchodzić z nim oddziały. Ściany wawozu drżały od okrzyków: „Żyj wiecznie, zwycięzco!... Bogowie opiekują się tobą!...”

Otoczony pochodniami zbliżył się święty Mentezufis. Następca, zobaczywszy go, wydarł się z rąk oficerów i pobiegł naprzeciw kapłana.

— Wiesz, ojcie święty — zawołał Ramzes — schwytaliśmy libijskiego wodza Tehenę!...

— Marna zdobycz — odparł surowo kapłan — dla której naczelny wódz nie powinien był rzucać armii. Szczególniej wówczas, gdy lada chwilę nowy nieprzyjaciel może nadciągnąć.

Książę odczuł całą sprawiedliwość zarzutu, lecz właśnie dlatego zerwał się w nim gniew. Zacisnął pięści, zabłyszczały mu oczy...

— Na imię matki twej, milcz, panie!... — szepnął stojący za nim Pentuer.

Następcę tak zdziwiło nieoczekiwane odezwanie się jego doradcy, że w jednej chwili ochłonął, a ochłonawszy zrozumiał, że najwłaściwiej będzie przyznać się do błędu.

— Prawdę mówisz, wasza dostojność — odparł. — Ani armia wodza, ani wódz armii nigdy nie powinien opuszczać. Sądziłem jednak, że zastąpisz mnie ty, święty mężu, który tu jesteś przedstawicielem ministra wojny...

Spokojna odpowiedź ułagodziła Mentezufisa, więc kapłan już nie przypominał księciu zeszłorocznych manewrów, na których namiestnik tak samo opuścił wojska i — wpadł w niełaskę u faraona.

Wtem z wielkim krzykiem zbliżył się do nich Patrokles. Grecki wódz znowu był pijany i z daleka wołał do księcia:

— Patrz, następcu, co zrobił święty Mentezufis... Ty ogłosiłeś przebaczenie dla wszystkich żołnierzy libijskich, którzy opuszczają najezdników i wrócą do armii jego świątobliwości... Do mnie ci ludzie zbiegli się i ja dzięki temu rozbiłem lewe skrzydło nieprzyjacielskie... Tymczasem dostojny Mentezufis kazał wszystkich wymordować... Zginęło blisko tysiąc jeńców, samych naszych eks-żołnierzy, którzy mieli otrzymać łaskę!...

Księżciu znowu krew uderzyła do głowy, ale wciąż stojący za nim Pentuer szepnął:

— Milcz, przez bogi, milcz!...

Lecz Patrokles nie miał doradcy, więc krzyczał dalej:

— Od tej chwili raz na zawsze straciliśmy zaufanie u obcych, no — i u swoich... Bo w końcu i nasza armia musi rozprzęgnąć się, gdy pozna, że na jej czoło wdzierają się zdrajcy...

— Nędzny najmito — odparł zimno Mentezufis — także to śmiesz odzywać się o wojsku i zaufanych jego świątobliwości?... Jak świat światem, nie słyszano jeszcze podobnego bluźnierstwa!... I lękam się, czy bogowie nie pomszczą wyrządzonej sobie zniewagi...

Patrokles grubo roześmiał się.

— Dopóki śpię między Grekami, nie lękam się zemsty nocnych bogów... A gdy czuwam, nic mi nie zrobią dzienni...

— Idź spać, idź... między twoich Greków, pijanico — rzekł Mentezufis — aby z twej winy na nasze głowy grom nie spadł...

— Na twój, dusigroszu, ogolony łeb nie spadnie, bo będzie myślał, że to co innego!... — odparł nieprzytomny Grek. Lecz widząc, że książę nie daje mu poparcia, cofnął się do swego obozu.

— Czy naprawdę — spytał Ramzes kapłana — czy naprawdę kazałeś, święty mężu, pobić jeńców wbrew mojej obietnicy, że otrzymają łaskę?...

— Wasza dostojność nie byłeś w obozie — odparł Mentezufis — więc na ciebie nie spada odpowiedzialność za ten czyn. Ja zaś pilnuję się naszych praw wojennych, które nakazują tępić zdrazieckich żołnierzy. Żołnierze, którzy poprzednio służyli jego świątobliwości, a następnie połączyli się z nieprzyjaciółmi, mają być natychmiast zabijani — oto ustawa.

— A gdybym ja był tutaj?...

— Jako naczelny wódz i syn faraona, możesz zawieszać wykonywanie pewnych ustaw, których ja muszę słuchać — odparł Mentezufis.

— Nie mógłżeś więc zaczekać do mego powrotu?

— Ustawa każe zabijać *natychmiast*, więc spełniłem jej wymagania.

Książę był tak oszołomiony, że przerwał dalszą rozmowę i udał się do swego namiotu. Tam dopiero upadłszy na fotel, rzekł do Tutmozisa:

— Ależ ja już dziś jestem niewolnikiem kapłanów!... Oni mordują jeńców, oni grożą moim oficerom, oni nawet nie szanują moich zobowiązań... Nic żeście nie mówili Mentezufisowi, kiedy kazał zabijać tych nieszczęsnych?...

— Zasłaniał się prawem wojennym i nowymi rozkazami Herhora...

— Ależ właściwie ja tu jestem wodzem, choć wyjechałem na pół dnia.

— Wyraźnie zdałeś dowództwo w ręce moje i Patroklesa — odparł Tutmozis. — Gdy zaś nadjechał święty Mentezufis, musieliśmy mu ustąpić, gdyż jest wyższy od nas...

Książę pomyślał, że jednak schwytanie Tehenny było okupione zbyt wielkimi nie-  
szczęściami. Jednocześnie z całą siłą odczuł doniosłość przepisu, który nie pozwala wo-  
dzowi opuszczać wojska. Musiał w sobie przyznać, że nie ma słuszności, ale to jeszcze  
bardziej drażniło jego dumę i napępiało nienawiścią do kapłanów.

„Otóż — mówił — jestem w niewoli pierwej nawet, nim zdążyłem zostać faraonem  
(oby mój świątobliwy ojciec żył wiecznie!). Więc już dzisiaj muszę zacząć wydobywać się  
z niej, a przede wszystkim — milczeć... Pentuer ma słuszność: milczeć, zawsze milczeć,  
a gniewy swoje jak drogocenne klejnoty składać w skarbcu pamięci. Dopiero gdy zbierze  
się... O, prorocy, wy mi wówczas zapłacicie!...”

— Nie pytasz, wasza dostojność, o rezultat bitwy? — spytał Tutmozis.

— Aha, właśnie... Cóż jest?

— Przeszło dwa tysiące jeńców, więcej niż trzy tysiące zabitych, a ledwie kilkuset  
uciekło.

— Jakaż więc była armia libijska? — rzekł zdziwiony książę.

— Sześć do siedmiu tysięcy ludzi.

— To być nie może... Czy podobna, aby w takiej potyczce zginęło prawie całe woj-  
sko?...

— A przecież tak jest, to była straszna bitwa — odparł Tutmozis. — Otoczyłeś ich  
ze wszystkich stron, resztę zrobili żołnierze, no... i dostojny Mentezufis... O takiej klęsce  
nieprzyjaciół Egiptu nie mówią nagrobki najślawniejszych faraonów.

— Idź już spać, Tutmozisie, jestem zmęczony — przerwał książę, czując, że pycha  
zaczyna mu bić do głowy.

„Więc to ja odniosłem takie zwycięstwo?... Niepodobna!...” — pomyślał.

Rzucił się na skóry, ale pomimo śmiertelnego znużenia zasnąć nie mógł.

Dopiero czternaście godzin upłynęło od chwili, gdy wydał hasło rozpoczęcia bitwy...  
Dopiero czternaście godzin?... Niepodobna!...

On wygrał taką bitwę?... Ależ on nawet nie widział bitwy, tylko żółty, gęsty tu-  
man, skąd potokami wylewały się nieludzkie wrzaski. Oto i teraz widzi ów tuman, słyszy  
wrzawę, czuje spiekotę, a przecie żadnej bitwy nie ma...

Potem zobaczył niezmierną pustynię, wśród której z bolesnym trudem posuwał się  
po piasku. On i jego ludzie mieli najlepsze konie z całej armii, a pomimo to pelzali jak  
żółwie... A co za spiekota!... Niepodobna, ażeby człowiek mógł wytrzymać taki żar...

A oto zrywa się Tyfon, zasłania świat, pali, gryzie, dusi... Z figury Pentuera sypią  
się blade iskry... Nad ich głowami rozlegają się grzmoty, zjawisko, którego nie widział  
jeszcze nigdy... Potem cicha noc w pustyni... Pędzący gryf, ciemna sylwetka sfinksa na  
wapiennym wzgórzu...

„Tylem widział, tylem przeżył — myśli Ramzes — byłem przy budowaniu naszych  
świątyń, a nawet przy urodzinach wielkiego sfinksa, który już nie ma wieku, i... to wszyst-  
ko miałoby zdarzyć się w ciągu czternastu godzin?...”

Jeszcze ostatnia myśl błysnęła księciu: „Człowiek, który tyle przeżył, nie może długo  
żyć...”

Przebiegło go zimno od stóp do głów i — zasnął.

Nazajutrz ocknął się w parę godzin po wschodzie słońca. Kłuły go oczy, bolały wszyst-  
kie kości, trochę kaszlał, ale umysł miał jasny i serce pełne odwagi.

We drzwiach namiotu stał Tutmozis.

— Cóż?... — spytał książę.

— Szpiegowie<sup>103</sup> od granicy libijskiej przynoszą dziwne wieści — odparł ulubieniec.  
— Ku naszemu wozowowi zbliża się wielki tłum, ale to nie jest wojsko, lecz bezbronni,  
kobiety i dzieci, a na ich czele Musawasa i najprzedniejsi Libijczycy...

— Cóż by to znaczyło?

— Widać chcą prosić o pokój.

— Po jednej bitwie?... — zdziwił się książę.

— Ale jakiej!... Przy tym strach mnoży w ich oczach nasze wojska... Czują się słabymi  
i lękają się najazdu i śmierci...

<sup>103</sup>szpiegowie — dziś popr.: szpiedzy. [przypis edytorski]

— Zobaczmy, czy to nie jest podstęp wojenny!... — odparł książę po namyśle. —  
A jakże nasi?

— Zdrowi, syci, napojeni, wypoczęci i weseli. Tylko...

— No?...

— Patrokles umarł w nocy — szepnął Tutmozis.

— Jakim sposobem?... — zawołał książę zrywając się.

— Jedni mówią, że zapił się, drudzy... że to kara bogów... Twarz miał siną, a usta  
pełne piany...

— Jak tamten niewolnik w Atribis, pamiętasz go?... Nazywał się Bakura i wpadł do  
sali uczty ze skargami na nomarchę... Rozumie się, że tej samej nocy umarł z pijaństwa!...  
Co?...

Tutmozis spuścił głowę.

— Musimy być bardzo ostrożni, panie mój... — szepnął.

— Postaramy się — odparł książę spokojnie. — Nie będę się nawet dziwił śmierci  
Patroklesa... Bo i co osobliwego może być w tym, że umarł jakiś pijaczyna, który obrażał  
bogów, ba!... nawet kapłanów...

Ale Tutmozis w tych drwiących słowach odczuł groźbę.

Książę bardzo kochał wiernego jak pies Patroklesa. Mógł zapomnieć wiele własnych  
krzywd, ale jego śmierci nie przebaczy nigdy.

Przed południem do książęcego obozu nadciągnął z Egiptu świeży pułk tebański,  
a oprócz tego parę tysięcy ludzi i kilkaset osłów przyniosły wielkie zapasy żywności i na-  
mioty. Jednocześnie od strony Libii znowu nadbiegli szpiegowie<sup>104</sup> donosząc, że banda  
ludzi bezbronnych, idących ku wąwozowi, wciąż powiększa się.

Z rozkazu następcy gęste oddziały jazdy we wszystkich kierunkach zbadały okolicę:  
czy nie ukrywa się gdzie nieprzyjacielska armia? Nawet kapłani, wzięwszy ze sobą małą  
kapliczkę Amona, weszli na szczyt najwyższego wzgórza i odprawili tam nabożeństwo.  
A wróciwszy do obozu zapewnili następcę, że wprawdzie nadciąga kilkutyśięczny tłum  
bezbronnych Libijczyków, ale armii nie ma nigdzie, co najmniej w trzymilowym pro-  
mieniu.

Książę zaczął się śmiać z raportu.

— Mam dobre oko — rzekł — ale w takiej odległości nie dojrzałbym wojska.

Kapłani, naradziwszy się między sobą, oświadczyli księciu, że jeżeli obowiąże się nie  
rozmawiać z ludźmi niewtajemniczonymi o tym, co zobaczy, przekona się, że można  
widzieć bardzo daleko.

Ramzes przysiągł. Wówczas kapłani ustawili na jednym wzgórzu ołtarz Amona i roz-  
poczęli modlitwy. A gdy książę, umywszy się, zdjął sandały i ofiarował bogu złoty łańcuch  
i kadzidło, wprowadzili go do ciasnej skrzyni, zupełnie ciemnej, i kazali patrzeć na ścianę.

Po chwili zaczęły się pobożne śpiewy, w czasie których ukazało się na wewnętrz-  
nej ścianie skrzyni jasne kółko. Wnet jasna barwa zmętniała; książę zobaczył piaszczystą  
równinę, wśród niej skały, a przy nich azjatyckie placówki.

Kapłani zaczęli śpiewać żywiej i obraz zmienił się. Było widać inny kawałek pustyni,  
a w niej tłum ludzi nie większych od mrówek. Mimo to ruchy, ubiory, a nawet twarze  
osób były tak wyraźne, że książę mógł je opisać.

Zdumienie następcy nie miało granic. Przecierał oczy, dotykał poruszającego się wi-  
zerunku... Nagle odwrócił głowę, obraz zniknął i została ciemność.

Kiedy wyszedł z kaplicy, zapytał go starszy kapłan:

— Cóż, erpatre, wierzysz teraz w potęgę bogów egipskich?

— Zaprawdę — odparł — jesteście tak wielkimi mędrkami, że cały świat powinien  
wam składać ofiary i hołdy. Jeżeli w równym stopniu potraficie widzieć przyszłość, nic  
wam się nie oprze.

Na te słowa jeden z kapłanów wszedł do kaplicy, zaczął się modlić i niebawem odezwał  
się stamtąd głos mówiący:

— Ramzesie!... zważone są losy państwa, a zanim druga pełnia nadejdzie, zostaniesz  
jego władcą...

— Bogowie!... — zawołał przerażony książę — azaż ojciec mój jest tak chory?...

<sup>104</sup>szpiegowie — dziś popr.: szpiedzy. [przypis edytorski]

Upadł twarzą na piasek, a jeden z asystujących kapłanów spytał go: czy nie chce jeszcze czego dowiedzieć się.

— Powiedz, ojcze Amonie — odparł — czy spełnią się moje zamiary?

Po chwili rzekł głos z kaplicy:

— Jeżeli nie rozpoczniesz wojny ze Wschodem, będziesz składał ofiary bogom i szanował ich sługi, czeka cię długi żywot i pełne sławy panowanie...

Po tych cudach, które zdarzyły się w jasny dzień, na otwartym polu, książe wzburzony wrócił do swego namiotu.

„Nic nie oprze się kapłanom!...” — myślał z trwogą.

W namiocie zastał Pentuera.

— Powiedz mi, mój doradco — rzekł — czy wy, kapłani, możecie czytać w ludzkim sercu i odsłaniać jego tajemne zamiary?

Pentuer potrząsnął głową.

— Prędeż — odparł — człowiek dojrzy, co mieści się we wnętrzu skały, aniżeli zbada cudze serce. Ono nawet jest dla bogów zamknięte i dopiero śmierć odkrywa jego myśli.

Książe głęboko odetchnął, ale nie mógł pozbyć się niepokoju. Gdy zaś ku wieczorowi trzeba było zwołać radę wojenną, zaprosił na nią Mentezufisa i Pentuera.

Nikt nie wspominał o nagle zmarłym Patroklesie; może dlatego, że były pilniejsze sprawy. Przyjechali bowiem libijscy posłowie błagając w imieniu Musawasy o litość nad jego synem Tehenną i ofiarując Egipcjowi poddanie się i wieczny spokój.

— Źli ludzie — mówił jeden z posłów — oszukali naród nasz mówiąc, że Egipt jest słaby, a jego faraon cieniem władcy. Wczoraj jednak przekonaliśmy się, jak mocne jest wasze ramię, i poczytujemy za rzecz roztropniejszą poddać się wam i płacić daniny aniżeli narażać ludzi na pewną śmierć, a nasze majątki na zniszczenie.

Gdy rada wojenna wysłuchiwała tej mowy, kazano Libijczykom wyjść z namiotu, a książe Ramzes wprost zapytał o zdanie świętego Mentezufisa, co nawet zdziwiło generałów.

— Jeszcze wczoraj — rzekł dostojny prorok — radziłbym odrzucić prośbę Musawasy, przenieść wojnę do Libii i zniszczyć gniazdo rozbójników. Dziś jednak otrzymałem tak ważne wiadomości z Memfisu, że będę głosował za litością dla pokonanych.

— Czy mój świątobliwy ojciec jest chory? — zapytał wzruszony książe.

— Jest chory. Lecz dopóki nie skończymy z Libijczykami, wasza dostojność nie powinienieś o tym myśleć...

A gdy następca smutnie spuścił głowę, Mentezufis dodał:

— Muszę spełnić jeszcze jeden obowiązek... Wczoraj, dostojny książe, ośmieliłem się zrobić ci uwagę, że dla tak marnej zdobyczy, jak Tehenna, wódz nie powinien był opuszczać armii. Dziś widzę, że myliłem się: gdybyś bowiem nie schwycił, panie, Tehenny, nie mielibyśmy tak prędko pokoju z Musawasą... Mądrość twoja, naczelny wodzu, okazała się wyższą nad wojskowe ustawy...

Księżcia zastanowiła skrucha Mentezufisa.

„Dlaczego on tak mówi?... — pomyślał. — Widać nie tylko Amon wie, że mój świątobliwy ojciec jest chory...”

I w duszy następcy znowu zbudziły się stare uczucia: pogarda dla kapłanów i — nieufność do ich cudów.

„Więc nie bogowie wróżyli mi, że rychło zostanę faraonem, ale przyszła wiadomość z Memfisu i kapłani oszukali mnie w kaplicy. A jeżeli kłamali w jednym, kto zaręczy, że i te widoki pustyni ukazywane na ścianie nie były także oszustwem?...”

Ponieważ książe ciągle milczał, co przypisywano jego smutkowi z powodu choroby faraona, a generałowie także nie śmieli odzywać się po stanowczych słowach Mentezufisa, więc radę wojenną ukończono. Zapadło jednomyślne postanowienie, ażeby wziąć jak największą daninę z Libijczyków, posłać im egipską załogę i — przerwać wojnę.

Teraz już wszyscy spodziewali się, że faraon umrze. Egipt zaś, aby sprawić władcy przystojny pogrzeb, potrzebował głębokiego spokoju.

Opuściwszy namiot rady wojennej, książe spytał Mentezufisa:

— Dzielnny Patrokles zgaśł tej nocy: czy, święci mężowie, myślicie uczcić jego zwłoki?

— Był to barbarzyńca i wielki grzesznik — odparł kapłan. — Tak znakomite jednak oddał usługi Egipcjowi, że należy zapewnić mu życie za grobem. Jeżeli więc pozwolisz,

wasza dostojność, dziś jeszcze odeślemy ciało tego męża do Memfisu, ażeby zrobić jego mumię i odwieźć ją na wieczne mieszkanie do Tebów między królewskie przybytki.

Książę zgodził się z ochotą, ale podejrzenia jego wzrosły.

„Wczoraj — myślał — Mentezufis gromił mnie jak leniwego ucznia, i jeszcze łaska bogów, że nie obił mi grzbietu kijem, a dziś przemawia do mnie jak posłuszny syn do ojca i prawie pada na brzuch swój. Nie jestże to znakiem, że do namiotu mego zbliża się władza tudzież godzina rachunku?...”

Tak rozmyślając, książę wzrastał w dumę, a serce jego wypełniał coraz silniejszy gniew przeciw kapłanom. Gniew tym gorszy, że cichy jak skorpion, który ukrywszy się w piasku, jadowitym żądłem kaleczy nieostrożną nogę.

## ROZDZIAŁ XXI

W nocy warty dały znać, że tłum żebrzących o łaskę Libijczyków już wszedł do wąwozu. Jakoż nad pustynią widać było lunę ich ognisk.

O wschodzie słońca odezwały się trąby i cała armia egipska stanęła pod bronią, w najszerszym miejscu doliny. Stosownie do rozkazu księcia, który chciał jeszcze bardziej nastrozyć Libijczyków, między szeregami wojska ustawiono spokojnych tragarzy, a wśród konnicy pomieszczono osłarzy na osłach. I stało się w onym dniu, że Egipcjanie byli mnodzy jak piasek w pustyni, a Libijczycy trwożni jak gołębie, nad którymi krąży jastrząb.

O dziewiątej rano przed namiot księcia zajechał jego złocisty wóz wojenny. Konie ubrane w strusie pióra rwały się tak, że każdego z nich musiało pilnować dwu masztalerzy.

Ramzes wyszedł z namiotu, siadł na wóz i sam ujął cugle, a miejsce woźnicy zajął przy nim kapłan Pentuer, doradca. Jeden z generałów<sup>105</sup> roztoczył nad księciem duży, zielony parasol, a z tyłu i po obu stronach wozu szli greccy oficerowie w pozłocistych zbrojach. W pewnej odległości za orszakiem księcia posuwał się mały oddział gwardii, a wśród niego Tehenna, syn libijskiego wodza Musawasy.

O kilkaset kroków od Egipcjan, przy wyjściu z glaukońskiego wąwozu, stała smutna gromada Libijczyków błagających zwycięzcy o miłosierdzie.

Kiedy Ramzes wjechał ze swoją świtą na wzgórze, kędy miał przyjmować nieprzyjacielskie poselstwo, armia ku jego czci podniosła taki okrzyk, że chytry Musawasa zmartwił się jeszcze bardziej i szepnął do libijskiej starszyny:

— Zaprawdę mówię wam, jest to krzyk wojska, które miłuje swego wodza!...

Wówczas jeden z niespokojniejszych książąt libijskich, wielki bandyta, rzekł do Musawasy:

— Czy nie myślisz, że w takiej chwili roztropniej uczynimy, ufając chyżości naszych koni, aniżeli łasce faraonowego syna?... Ma to być wściekły lew, który nawet głaszcząc zdziera skórę; my zaś jesteśmy jako jagnięta oderwane od cyców swej matki.

— Czyń, jak chcesz — odparł Musawasa — całą pustynię masz przed sobą. Ale mnie lud wysłał na odkupienie swoich grzechów, a nade wszystko mam syna Tehennę, nad którym książę rozleje swój gniew, jeżeli nie potrafię go przebłagać.

Do gromady Libijczyków przycwałowali dwaj jezdni Azjaci, donosząc, że pan czeka na ich pokorę.

Musawasa gorzko westchnął i poszedł ku pagórkowi, na którym stał zwycięzca. Nigdy jeszcze nie odbył on równie ciężkiej podróży!... Grube, pokutnicze płótno źle okrywało jego grzbiet; nad głową obsypaną popiołem znęcał się żar słoneczny, bosa nogi gryzł mu żwir, a serce gniótł smutek i własny, i zwyciężonego ludu.

Przeszedł zaledwie kilkaset kroków, ale parę razy musiał zatrzymywać się i odpocząć. Często też oglądał się za siebie, aby sprawdzić, czy nadzy niewolnicy, którzy nieśli dary dla księcia, nie kradną złotych pierścieni, a co gorsze — klejnotów. Musawasa bowiem, jako mąż doświadczony, wiedział, że ludzie najchętniej korzystają z cudzego nieszczęścia.

„Dziękuję bogom — pocieszał się w swej nędzy chytry barbarzyńca — że na mnie padł los upokorzenia się przed księciem, który lada dzień włoży faraonowską czapkę. Władcy Egiptu są wspaniałomyślni, szczególnie w chwili zwycięstwa. Jeżeli więc potrafię wzruszyć pana mego, umocni on moje znaczenie w Libii i pozwoli mi pobierać duże

<sup>105</sup>generał — dziś popr.: generał. [przypis edytorski]

podatki. Prawdziwy zaś cud, że sam następca tronu złapał Tehennę; nie tylko bowiem nie uczyni mu krzywdy, ale jeszcze obsypie go dostojenstwami...”

Tak myślał, a wciąż oglądał się. Niewolnik bowiem, choć nagi, może ukradziony klejnot schować w usta, a nawet połknąć.

Na trzydzieści kroków przed wozem następcy tronu Musawasa i towarzyszący mu najprzedniejsi Libijczycy upadli na brzuchy swoje i leżeli w piasku, dopóki adiutant księcia nie kazał im wstać. Zbliżywszy się o kilka kroków znowu padli i uczynili tak trzy razy, a zawsze Ramzes musiał rozkazywać im, ażeby się podnieśli.

Przez ten czas Pentuer stojący na księżęcym wozie szeptał swojemu panu:

— Niech oblicze twoje nie pokaże im ani srogości, ani uciechy. Raczej bądź spokojny jak bóg Amon, który pogardza swymi wrogami i nie cieszy się z lada jakich triumfów...

Nareszcie pokutujący Libijczycy stanęli przed obliczem księcia, który ze złocistego wozu patrzył na nich jak srogi hipopotam na kaczęta nie mające gdzie ukryć się przed jego mocą.

— Tyżes to — nagle odezwał się Ramzes — tyżes to jest Musawasa, mądry wódz libijski?

— Jam jest twój sługa — odparł zapytany i znowu rzucił się na ziemię.

Gdy mu kazano wstać, książę mówił:

— Jak mogłeś dopuścić się tak ciężkiego grzechu i podnieść rękę na ziemię bogów? Czyliżby opuściła cię dawna roztropność?

— Panie! — odparł chytry Libijczyk — żal pomieszał rozumy wygnanym żołnierzom jego świątobliwości, więc biegli na własną zgubę, ciągnąc za sobą mnie i moich. I wiedzą bogowie, jak długo ciągnęłaby się ta brzydka wojna, gdyby na czele armii wiecznie żyjącego faraona nie stanął sam Amon w twojej postaci. Jak pustynny wicher spadłeś, kiedy cię nie oczekiwano, tam, gdzie cię nie oczekiwano, a jak byk łamie trzcinę, tak ty skruszyłeś zaślepionego nieprzyjaciela. Po czym wszystkie ludy nasze zrozumiały, że nawet straszne pułki libijskie dopóty są coś warte, dopóki rzuca nimi twoja ręka.

— Mądrze mówisz, Musawaso — rzekł książę — a jeszcze lepiej uczyniłeś, żeś wyszedł naprzeciw armii boskiego faraona, nie czekając, aż ona przyjdzie do was. Rad bym jednak dowiedzieć się: o ile prawdziwą jest wasza pokora?

— „Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski — odpowiedział na to Musawasa. — Przychodzimy do ciebie jako poddani, ażeby imię twoje było wielkim w Libii i ażebyś był naszym słońcem, jak jesteś słońcem dziewięciu ludów.

Rozkaż tylko podwładnym twoim, aby byli sprawiedliwymi dla zawojowanego i do potęgi twej przyłączonego ludu. Niech twoi naczelnicy rządzą nami sumiennie i sprawiedliwie, a nie według złych chęci swoich, donosząc o nas fałszywie i pobudzając nielaskę twoją przeciw nam i dzieciom naszym. Rozkaż im, namiestniku dobrotliwego faraona, aby zarządzili nami według woli twojej, oszczędzając swobodę, mienie, język i obyczaje ojców i przodków naszych.

Niech prawa twoje będą dla wszystkich poddanych ci ludów równe, niech urzędnicy twoi nie pobbają jednym, a nie będą zbyt srogimi dla drugich. Niech wyroki ich będą dla wszystkich jednakie. Niech pobierają opłatę przeznaczoną na twe potrzeby i twój użytek, lecz nie podnoszą od nas innej w tajemnicy przed tobą, takiej, która nie wejdzie do skarbcza twego, lecz wzbogaci tylko sługi twoje i sługi sług twoich.

Każ rządzić nami bez krzywdy dla nas i dla dzieci naszych, wszak jesteś bogiem naszym i władcą na wieki. Naśladuj słońce, które dla wszystkich rozsiewa swój blask dający siłę i życie. Błagamy cię o twe łaski, my, libijscy poddani, i padamy czołem przed tobą, następczo wielkiego i potężnego faraona.”<sup>106</sup>

Tak mówił przebiegły książę libijski Musawasa i skończywszy, znowu upadł bruchem na ziemię. A następcy faraona, kiedy słuchał tych mądrych słów, błyszczały oczy i rozszerzały się nozdrza jak młodemu ogierowi, który po sytnej paszy wybiega na łąkę między klacze.

— Powstań, Musawaso — odezwał się książę — i posłuchaj, co ci odpowiem. Los twój i twoich narodów nie zależy ode mnie, lecz od miłościwego pana, który tak wznosi

<sup>106</sup>Rozjaśnij oblicze, wielki mocarzu egipski... — napis na nagrobku faraona Horem-hepa z roku 1470 przed Chrystusem. [Horemheb (1319–1292 p.n.e.), ostatni faraon XVIII dynastii, faktycznie żył półtora wieku wcześniej niż podaje autor. Red. WL]. [przypis autorski]

się ponad nami wszystkimi jak niebo nad ziemią. Radzę ci więc, ażebyś ty i starszyzna libijska udali się stąd do Memfisu i tam, upadłszy na twarz przed władcą i bogiem tego świata, powtórzyli pokorną mowę, której tu wysłuchałem.

Nie wiem, jaki będzie skutek waszych próśb; lecz ponieważ bogowie nigdy nie odwracają się od skruszonych i błagających, więc przeczuwam, że nie będziecie źle przyjęci.

A teraz pokażcie mi dary przeznaczone dla jego świątobliwości, abym osądził, czy poruszą serce wszechmocnego faraona.

W tej chwili Mentezufis dał znak stojącemu na wozie księcia Pentuerowi. A gdy ten zeszedł i zbliżył się ze czcią do świętego męża, Mentezufis szepnął:

— Boję się, ażeby młodemu panu naszemu triumf nie za mocno uderzył do głowy. Czy nie sądzisz, że byłoby roztropnym przerwać w jakiś sposób uroczystość?...

— Przeciwnie — odparł Pentuer — nie przerywajcie uroczystości, a ja wam ręczę, że podczas triumfu nie będzie miał wesołej twarzy.

— Zrobisz cud?

— Czyliżbym potrafił? Pokażę mu tylko, że na tym świecie wielkiej radości towarzyszą wielkie strapienia.

— Czyń, jak chcesz — rzekł Mentezufis — gdyż bogowie dali ci mądrość godną członka najwyższej rady.

Odezwały się trąby i bębny i rozpoczęto pochód triumfalny.

Na czele szli nadzy niewolnicy z darami, pilnowani przez możnych Libijczyków. Więc niesiono złote i srebrne bogi, szkatułki napełnione wonnościami, emaliowane naczynia, tkaniny, sprzęty, wreszcie złote misy zasypane rubinami, szafirami i szmaragdami. Niewolnicy niosący je mieli ogolone głowy i opaski na ustach, ażeby który nie ukradł cennego klejnotu.

Książę Ramzes wsparł obie ręce o krawędź wozu i z wysokości pagórka patrzył na Libijczyków i swoje wojsko jak żółtogłowy orzeł na pstre kuropatwy. Duma wypełniała go od stóp do głów i wszyscy czuli, że nie można być potężniejszym nad tego zwycięskiego wodza.

W jednej chwili oczy księcia utraciły swój blask, a na twarzy odmalowało się przykre zdziwienie. To stojący za nim Pentuer szepnął:

— Nakłoń, panie, ucha twego... Od czasu kiedy opuściłeś miasto Pi-Bast, zaszły tam dziwne wydarzenia... Twoja kobieta, Kama Fencjanka, uciekła z Grekiem Lykonem...

— Z Lykonem?... — powtórzył książę.

— Nie poruszaj się, panie, i nie okazuj tysiącom twoich niewolników, że masz smutek w dniu triumfu...

W tej chwili przechodził u stóp księcia bardzo długi sznur Libijczyków niosących w koszach owoce i chleby, a w ogromnych dzbanach wino i oliwę dla wojska. Na ten widok wśród karnego żołnierstwa rozległ się szmer radości, ale Ramzes nie spostrzegł tego, zajęty opowiadaniem Pentuera.

— Bogowie — szeptał prorok — ukarali zdradziecką Fencjanke...

— Złapana?... — spytał książę.

— Złapana, ale musiano ją wysłać do wschodnich kolonii... Spadł bowiem na nią trąd...

— O bogowie!... — szepnął Ramzes. — Czy aby mnie on nie grozi?...

— Bądź spokojny, panie: gdybyś się zaraził, już byś go miał...

Książę poczuł zimno we wszystkich członkach. Jakże łatwo bogom z najwyższych szczytów zepchnąć człowieka w przepaść najgłębszej nędzy!...

— A tenże nikczemny Lykon?...

— Jest to wielki zbrodniarz — mówi Pentuer — zbrodniarz, jakich niewielu wydała ziemia...

— Znam go. Jest podobny do mnie jak obraz odbity w lustrze... — odparł Ramzes.

Teraz nadciągnęła gromada Libijczyków prowadzących osobliwe zwierzęta. Na czele szedł jednogarbny wielbłąd z białawym włosem, jeden z pierwszych, jakiego złapano w pustyni. Za nim dwa nosorożce, stado koni i oswojony lew w klatce. A dalej mnóstwo klatek z różnobarwnymi ptakami, małpkami i małymi pieskami, przeznaczonymi dla dam dworskich. W końcu pędzono wielkie stada wołów i baranów na mięso dla wojska.

Książę ledwo rzucił okiem na wędrujący zwierzyniec i pytał kapłana:

Duma, Pycha, Kondycja  
ludzka



— A Lykon schwytyany?...  
— Teraz powiem ci najgorszą rzecz, nieszczęśliwy panie — szeptał Pentuer. — Pamiętaj jednak, aby nieprzyjaciele Egiptu nie dostrzegli smutku w tobie...  
Następca poruszył się.  
— Twoja druga kobieta, Sara Żydówka...  
— Czy także uciekła?...  
— Zmarła w więzieniu...  
— O bogowie!... Któż śmiał ją wtrącić?...  
— Sama oskarżyła się o zabójstwo syna twego...  
— Co?...

Wielki krzyk rozległ się u stóp księcia: maszerowali jeńcy libijscy więci podczas bitwy, a na ich czele smutny Tehenna.

Ramzes miał w tej chwili serce tak przepelnione bólem, że skinął na Tehennę i rzekł:

— Stań przy ojcu twoim, Musawasie, ażeby widział i dotknął cię, że żyjesz...

Na te słowa wszyscy Libijczycy i całe wojsko wydało potężny okrzyk; ale książe nie słuchał go.

— Syn mój nie żyje?... — pytał kapłana. — Sara oskarżyła się o dzieciobójstwo?... Czy szaleństwo padło na jej duszę?...

— Dziecko zabił nikczemny Lykon...

— O bogowie, dajcie mi siły!... — jęknął książe.

— Hamuj się, panie, jak przystało na zwycięskiego wodza...

— Czyliż podobna zwyciężyć taką boleścią!... O niemilosierni bogowie!...

— Dziecko zabił Lykon, Sara zaś oskarżyła się, ażeby ciebie ocalić... Widząc bowiem mordercę w nocy, myślała, że to ty sam byłeś...

— A ja ją wygnałem z mego domu!... A ja zrobiłem ją służebnicą Fenicjanki!... — szeptał książe.

Teraz ukazali się egipscy żołnierze, niosący pełne kosze rąk uciętych poległym Libijczykom.

Na ten widok książe Ramzes zasłonił twarz swoją i gorzko zapłakał.

Natychmiast generałowie otoczyli wóz, pocieszając pana. Zaś święty prorok Mentezufis podał wniosek, który przyjęto bez namysłu, ażeby od tej pory wojsko egipskie już nigdy nie ucinało rąk poległym w boju nieprzyjaciółom.

Tym nieprzewidzianym wypadkiem zakończył się pierwszy triumf następcy egipskiego tronu. Ale łzy, jakie wylał nad uciętymi rękoma, mocniej aniżeli zwycięska bitwa przywiązały do niego Libijczyków. Nikt też nie dziwił się, że dokoła ognisk zasiedli w zgodzie żołnierze egipscy i Libijczycy, dzieląc się chlebem i pijąc wino z tych samych kubków. Miejsce wojny i nienawiści, które miały trwać całe lata, zajęło głębokie uczucie spokoju i zaufania.

Ramzes polecił, ażeby Musawasa, Tehenna i najprzedniejsi Libijczycy natychmiast jechali z darami do Memfisu, i dał im eskortę, nie tyle do pilnowania ich, ile dla bezpieczeństwa ich osób i wiezionych skarbów. Sam zaś ukrył się w namiocie i nie pokazał się przez kilka godzin. Nie przyjął nawet Tutmozisa, jak człowiek, któremu boleść starczy za najmiłsze towarzystwo.

Ku wieczorowi przysła do księcia deputacja greckich oficerów pod dowództwem Kaliposa. Kiedy następca zapytał: czego chcą?... Kalipos odparł:

— Przychodzimy błagać cię, panie, ażeby ciało naszego wodza, a twego sługi, Patroklesa, nie było wydane egipskim kapłanom, lecz spalone według greckiego obyczaju.

Książe zdziwił się.

— Chyba wiadomo wam — rzekł — że ze zwłok Patroklesa kapłani chcą zrobić mumię pierwszej klasy i umieścić ją przy grobach faraonów. Czy może większy zaszczyt spotkać człowieka na tym świecie?

Grecy wahali się, wreszcie Kalipos, zebrawszy odwagę, odpowiedział:

— Panie nasz, pozwól otworzyć serce przed tobą. Dobrze wiemy, że zrobienie mumii jest dla człowieka korzystniejszym niż spalenie go. Gdy bowiem dusza spalonego natychmiast przenosi się do krajów wiekuistych, dusza zabalsamowanego może tysiące lat żyć na tej ziemi i cieszyć się jej pięknnością.

Syn, Ojciec, Przywódca,  
Wierność, Zwycięstwo,  
Cierpienie

Pogrzeb, Obyczaje, Zemsta

Ale egipscy kapłani, wodzu (niech to nie obraża twoich uszu!), nienawidzili Patroklesa. Któż więc nas zapewni, że kapłani, zrobiwszy jego mumię, nie w tym celu zatrzymają duszę na ziemi, aby ją poddać udręczeniom?... I co my bylibyśmy warci, gdybyśmy, podejrzewając zemstę, nie uchronili od niej duszy naszego ziomka i dowódcy?...

Zdziwienie Ramzesa jeszcze bardziej wzrosło.

— Czyńcie — rzekł — jak uważacie za potrzebne.

— A jeżeli nie wydadzą nam ciała?...

— Tylko przygotujcie stos, a resztą sam się zajmę.

Grecy wyszli, ksiązę posłał po Mentezufisa.

## ROZDZIAŁ XXII

Kapłan spod oka przypatrzył się następcy i znalazł go bardzo zmienionym. Ramzes był błądy, prawie schudł w kilka godzin, a jego oczy straciły blask i zapadły się pod czoło.

Uszyszawszy, o co chodzi Grekom, Mentezufis ani chwili nie wahał się z wydaniem zwłok Patroklesa.

— Grecy mają słuszność — rzekł święty mąż — że moglibyśmy udręczać po śmierci cień Patroklesa. Ale są głupcami przypuszczając, że którykolwiek kapłan egipski czy chaldejski dopuściłby się podobnej zbrodni.

Niech zabiorą ciało swego ziomka, jeżeli sądzą, że pod opieką ich obyczajów będzie szczęśliwszy po śmierci!...

Ksiązę natychmiast wysłał oficera ze stosownym rozkazem, ale Mentezufisa zatrzymał. Widocznie chciał mu coś powiedzieć, choć wahał się.

Po dłuższym milczeniu Ramzes nagle zapytał:

— Zapewne wiesz, święty proroku, że jedna z moich kobiet, Sara, umarła, a jej syn został zamordowany?...

— Stało się to — odparł Mentezufis — tej samej nocy, kiedy opuściliśmy Pi-Bast...

Ksiązę zerwał się.

— Przez wiekiściego Amona!... — krzyknął. — Stało się tak dawno, a wy nic nie wspomnieliście mi?... Nawet o tym, że ja byłem posądzony o zabicie mego dziecka?...

— Panie — rzekł kapłan — naczelny wódz w przededniu bitwy nie ma ani ojca, ani dziecka, ani nikogo zgoła, tylko — swoją armię i nieprzyjaciół. Mogliżeśmy cię w tych ważnych czasach niepokoić podobnymi wiadomościami?

— To prawda — odparł ksiązę po namyśle. — Gdyby nas dzisiaj zaskoczono, nie wiem, czy potrafiłbym dobrze pokierować wojskiem... I w ogóle nie wiem, czy już kiedykolwiek zdołam odzyskać spokój...

Takie małe... takie piękne dziecko!... Albo i ta kobieta, która poświęciła się za mnie, gdy ja ciężko ją skrzywdziłem. Nigdy nie myślałem, że mogą zdarzać się podobne nieszczęścia i że przenosi je ludzkie serce.

— Czas wszystko leczy... Czas i modlitwa — szepnął kapłan.

Ksiązę pokiwał głową i znowu w namiocie zaległa taka cisza, że slychać było piasek wysypujący się z klepsydry. Następcą znowu ocknął się.

— Powiedz mi — rzekł — ojcie święty, jeżeli nie należy to do wielkich tajemnic, jaka jest naprawdę różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumii? Bo chociaż slyszalem coś w szkole, nie rozumiem jednak tej kwestii, do której Grecy tak wielką przywiązują wagę.

— My przywiązujemy daleko większą, największą... — odparł kapłan. — Świadczą o tym nasze miasta zmarłych, które zajęły cały skraj pustyni zachodniej. Świadczą piramidy, które są grobami faraonów starego państwa, i mnemonie, olbrzymie groby, kute w skałach, dla królów naszej epoki.

Pogrzeb i grób to wielka sprawa, to największa sprawa ludzka. Bo gdy w formie cielesnej żyjemy pięćdziesiąt albo sto lat, nasze cienie trwają dziesiątki tysięcy lat, aż do zupełnego oczyszczenia.

Asyryjscy barbarzyńcy śmieją się z nas, że więcej poświęcamy zmarłym niż żyjącym; ale zapłakaliby nad swoim niedbalstwem o zmarłych, gdyby znana im była, jak nam, tajemnica śmierci i grobu...

Ksiązę otrząsnął się.

Wiadomość, Przywódca,  
Wojna, Ojciec

— Przestraszasz mnie — rzekł. — Czyliż zapomniałeś, że między zmarłymi ja mam dwie miłe istoty, które nie są pochowane według egipskiego rytuału.

— Owszem. Teraz właśnie robią ich mumie. A zarówno Sara, jak i twój syn będą mieli wszystko, cokolwiek przydać im się może w długiej wędrówce.

— Doprawdy?... — spytał, jakby ucieszony, Ramzes.

— Zaręczam, że tak jest — odparł kapłan — i że zrobione będzie wszystko, co potrzeba, abyś znalazł ich, panie, szczęśliwymi, gdy i tobie kiedyś uprzykrzy się ziemski żywot.

Następca, słuchając tego, był bardzo wzruszony.

— Więc myślisz, święty mężu — spytał — że odnajdę kiedyś mego syna i będę mógł powiedzieć tej kobiecie: Saro, ja wiem, że byłem dla ciebie zbyt surowy?...

— Jestem tak pewny, jak tego, że widzę cię, dostojny panie.

— Mów... mów o tym!... — zawołał książę. — Człowiek dopóty nie dba o groby, dopóki nie złoży w nich cząstki samego siebie... A mnie spotkała ta niedola, i właśnie wówczas, gdym myślał, że z wyjątkiem faraona, nie ma potężniejszego nade mnie!

— Zapytywałeś, panie — zaczął Mentezufis — jaka jest różnica między spaleniem zmarłego i zrobieniem z niego mumii? Taka sama jak między zniszczeniem szaty a schoowaniem jej do komory. Gdy szata jest przechowana, może się niejednokrotnie przydać; a gdy masz tylko jedną, byłoby szaleństwem palić ją...

— Tego nie rozumiem — wtrącił książę. — Tego nie wykładacie nawet w wyższej szkole...

— Ale możemy powiedzieć następcy faraona.

Wasza dostojność wiesz — ciągnął kapłan — że ludzka istota składa się z trzech części: ciała, iskry bożej i cienia, czyli *Ka*, który łączy ciało z iskrą bożą.

Gdy człowiek umiera, jego cień tudzież iskra odłączają się od ciała. Gdyby człowiek żył bez grzechu, jego iskra boża wraz z cieniem natychmiast poszłaby między bogów, na wiekuiste życie. Ale każdy człowiek grzeszy, plami się na tym świecie, skutkiem czego jego cień, *Ka*, musi się oczyszczać, niekiedy przez tysiące lat. Zaś oczyszcza się w ten sposób, że niewidzialny błąka się po naszej ziemi, pomiędzy ludźmi, i spełnia dobre uczynki. Chociaż cienie zbrodniarzy nawet w zagrobowym życiu dopuszczają się występków i ostatecznie gubią i siebie, i zawartą w nich iskrę bożą.

Otóż, co dla waszej dostojności nie jest chyba tajemnicą, ów cień, *Ka*, jest zupełnie podobny do człowieka, tylko wygląda, jakby był utkany z bardzo delikatnej mgły. Cień ma głowę, ręce i tułów, może chodzić, mówić, rzucać lub podnosić przedmioty, ubiera się jak człowiek, a nawet, osobliwie przez kilkaset pierwszych lat po śmierci, musi od czasu do czasu nieco posilać się. Później bowiem wystarczają mu wizerunki pokarmów...

Główną jednak siłą swoją cień czerpie z ciała, które po nim zostaje na ziemi. Gdy więc ciało rzucimy do grobu, ono prędko psuje się i cień musi nasycać się prochem i zgnilizną. Gdy ciało spalimy, cień ma tylko popioły do krzepienia się. Ale gdy z ciała zrobimy mumie, czyli gdy ciało zabalsamujemy na tysiące lat, cień *Ka* zawsze jest zdrow i silny i epokę swego oczyszczenia przepędza spokojnie, nawet przyjemnie.

— Dziwne rzeczy!... — szepnął następca.

— O życiu zagrobowym kapłani, w ciągu tysiącletnich badań, dowiedzieli się bardzo ważnych szczegółów. Przekonano się, że gdy w ciele zmarłego zostają wnętrzności, jego cień *Ka* ma ogromny apetyt, potrzebuje tyleż pokarmów, co człowiek; a gdy pokarmu zabraknie, wówczas rzuca się na żyjących i wysysa z nich krew. Lecz gdy usuwa się ze zwłok wnętrzności, jak my to robimy, wówczas cień prawie obywa się bez pokarmu: jego własne ciało, zabalsamowane i napełnione silnie pachnącymi ziołami, wystarcza mu na miliony lat.

Również sprawdzono, że gdy grób zmarłego jest pusty, cień tęskni za światem i włóczy się po ziemi bez potrzeby. Lecz gdy w kaplicy pośmiertnej złożymy odzienie, sprzęty, broń, naczynia i narzędzia, które zmarły lubił, gdy ściany pokryjemy malowidłami przedstawiającymi: uczty, polowania, nabożeństwa, wojny i w ogóle wypadki, w których nieboszczyk przyjmował udział, gdy jeszcze dodamy mu posążki osób z jego rodziny, służby, koni, psów i bydła, wówczas cień nie wychodzi bez potrzeby na świat, gdyż znajduje go w swym domu zmarłych.

Duch, Wampir, Pogrzeb,  
Grób

Nareszcie przekonano się, że wiele cieniów, nawet po odbyciu pokuty, nie może wejść do krainy wiecznego szczęścia, ponieważ nie znają stosownych modlitw, zaklęć i rozmów z bogami. Zapobiegamy temu owijając mumię w papirusy, na których są wypisane sentencje, i — kładąc im do trumien Księgę Zmarłych<sup>107</sup>.

Jednym słowem nasz rytuał pogrzebowy zapewnia cieniowi siły, chroni go od niewygód i tęsknoty za ziemią, ułatwia mu wejście między bogów i — zabezpiecza żywych ludzi od szkód, jakie mogłyby im wyrządzić cienie. Nasza wielka troskliwość o zmarłych to właśnie ma na celu; dlatego stawiamy im prawie pałace, a w nich — najzodowniejsze mieszkania.

Książę rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Rozumiem, że wyświadcacie wielką łaskę bezsilnym i bezbronny cieniem, zapatrując ich w ten sposób. Lecz... kto mi powie, że cienie istnieją...

O tym, że jest bezwodna pustynia — ciągnął książę — wiem, bo ją widzę, bom tonął w jej piaskach i doświadczyłem jej żarów. O tym, że są krainy, w których woda kamienieje, a para zamienia się na białe puchy, także wiem, bo mówili wiarogodni<sup>108</sup> świadkowie...

Ale skąd wy wiecie o cieniach, których nikt nie widział, i o ich życiu pośmiertnym, skoro stamtąd nie wrócił żaden człowiek?

— Mylisz się, wasza dostojność — odparł kapłan. — Cienie ukazywały się ludziom nieraz, a nawet opowiadały im swoje tajemnice.

Można mieszkać w Tębach dziesięć lat i nie widzieć deszczu; można żyć na ziemi sto lat i nie spotkać cienia. Ale kto by mieszkał przez setki lat w Tębach albo żył tysiące lat na ziemi, zobaczyłby niejedną deszcz i niejednego cienia!...

— A któż to żył tysiące lat?... — zapytał książę.

— Żył, żyje i żyć będzie święty stan kapłański — odpowiedział Mentezufis. — On to przed trzydziestoma tysiącami lat osiedlił się nad Nilem, on przez ten czas badał niebo i ziemię, on stworzył naszą mądrość i nakreślił plany wszystkich pól, tam, kanałów, piramid i świątyń...

— To prawda — przerwał książę. — Stan kapłański jest mądry i potężny, ale — gdzie są cienie?... Kto je widział i z nimi rozmawiał?...

— Wiedz o tym, panie — powiedział Mentezufis — że cień jest w każdym żyjącym człowieku. A jak są ludzie odznaczający się ogromną siłą lub arcybyстрыm wzrokiem, tak są i tacy ludzie, którzy posiadają niezwykły dar, że — mogą za życia wydzielać swój własny cień...

Nasze tajemne księgi pełne są najwiarogodniejszych<sup>109</sup> opowiadań w tej sprawie. Niejeden prorok umiał zapadać w sen podobny do śmierci. Wówczas jego cień oddzieliwszy się od ciała w jednej chwili przenosił się do Tyru, Niniwy, Babilonu, oglądał rzeczy potrzebne, przysłuchiwał się naradom obchodzącym nas i — po przebudzeniu się proroka — zdawał jak najdokładniejsze sprawozdanie. Niejeden zły czarownik również zasnawszy wysyłał swój cień do domu nienawidzonego człowieka, a tam wywracał lub niszczył sprzęty i straszyl całą rodzinę.

Zdarzało się, że człowiek napastowany przez cienia czarnoksiężnika uderzał go włócznią lub mieczem. Wówczas w domu nawiedzanym ukazywały się krwawe ślady, a czarnoksiężnik miał na swym ciele tę właśnie ranę, którą zadano cieniowi.

Niejednokrotnie też cień żyjącego człowieka ukazywał się razem z nim, o kilka kroków od niego...

— Znam ja takie cienie!... — szepnął ironicznie książę.

— Muszę dodać — ciągnął Mentezufis — że nie tylko ludzie, ale — zwierzęta, rośliny, kamienie, budowle i sprzęty mają takie same cienie. Tylko (dziwna rzecz!) cień przedmiotu martwego nie jest martwy, ale posiada życie: rusza się, przesuwa się z miejsca na miejsce, nawet myśli i objawia to za pomocą rozmaitych znaków, najczęściej —

<sup>107</sup>*Księga Zmarłych*, dziś częściej: *Księga Umarłych* — używane od czasów Nowego Państwa zbiory tekstów pogrzebowych o charakterze religijno-magicznym, zawierających opis drogi zmarłego w świecie pozagrobowym oraz niezbędne wskazówki, modlitwy i zaklęcia, umożliwiające pokonanie wszystkich niebezpieczeństw i zapewniające pomyślną ocenę na sądzie Ozyrysa. Spisywaną na papirusie *Księgę Umarłych* sporządzano na zamówienie, poszczególne egzemplarze różniły się doborem i kolejnością tekstów; znacząca kanonizacja nastąpiła dopiero w czasach XXVI dynastii. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*wiarogodny* — dziś: wiarygodny. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*najwiarogodniejszy* — dziś: najwiarygodniejszy, najbardziej wiarygodny. [przypis edytorski]

pukania.

Gdy człowiek umrze, cień jego żyje i ukazuje się ludziom. W naszych księgach zapisano tysiące podobnych wypadków. Jedne cienie upominały się o jado, inne chodziły po mieszkaniu, pracowały w ogrodzie albo polowały w górach z cieniami swoich psów i kotów. Inne cienie straszyły ludzi, niszczyły ich majątek, wypijały ich krew, nawet pociągały żyjących do rozpusty... Bywały jednak cienie dobre: matki opiekujące się dziećmi, poległych żołnierzy ostrzegających o zasadzce nieprzyjacielskiej, kapłanów, którzy odkrywali nam ważne tajemnice.

Jeszcze za osiemnastej dynastii cień faraona Cheopsa (który pokutuje za ucisk ludu przy wznoszeniu piramidy dla siebie) ukazywał się w nubijskich kopalniach złota i litując się nad cierpieniami pracujących więźniów, wskazał im nowe źródło wody.

— Opowiadasz ciekawe rzeczy, święty mężu — odparł Ramzes — pozwól więc, że i ja ci coś powiem. Jednej nocy, w Pi-Bast, pokazano mi „mój cień”... Był zupełnie podobny do mnie i nawet tak ubrany jak ja. Wnet jednak przekonałem się, że to nie jest żaden cień, ale żywy człowiek, niejaki Lykon, nikczemny morderca mego syna...

Występki swoje zaczął od tego, że straszył Fenicjankę Kamę. Wyzaczyłem nagrodę za schwytanie go... Ale nasza policja nie tylko nie pojmą go, lecz nawet pozwoliła mu wykraść tą samą Kamę i zabić niewinne dziecko.

Dzisiaj słyszę, że schwytano Kamę; ale o tym nędzniku nic nie wiem. Zapewne żyje na swobodzie zdrów, wesół i zasobny w skradzione skarby; może nawet sposobi się do nowej zbrodni!...

— Zbyt wiele osób ściga tego nikczemnika, ażeby w końcu nie został pojmany — rzekł Mentezufis. — A gdy raz wpadnie w nasze ręce, Egipt zapłaci mu za zgryzoty, jakie uczynił jego następcy tronu. Wierzaj mi, panie, możesz mu z góry przebaczyć wszystkie występki, kara bowiem odpowie ich wielkości.

— Wolałbym go sam mieć w rękach — odparł książę. — Zawsze to niebezpieczna rzecz taki „cień” za życia!...<sup>110</sup>

Nie bardzo zbudowany podobnym zakończeniem swego wykładu, święty Mentezufis pożegnał księcia. Po nim wszedł do namiotu Tutmozis, zawiadamiając, że Grecy już układają stos dla swojego wodza i że kilkanaście libijskich kobiet zgodziło się płakać w czasie pogrzebowego obchodu.

— Będziemy przy tym — odparł następcę. — Czy wiesz, że zabito mego syna?... Takie małe dziecko!... Gdy nosiłem go, śmiał się i wyciągał do mnie rączki!... Niepojęta rzecz, ile nikczemności może pomieścić ludzkie serce! Gdyby ten podły Lykon targnął się na moje życie, jeszcze rozumiałbym, nawet przebaczył... Ale mordować dziecko...

— A o poświęceniu Sary mówiono ci, panie? — spytał Tutmozis.

— Tak. Zdaje mi się, że była to najwierniejsza z moich kobiet i że niesłusznie postąpiłem z nią... Ale jak to może być — zawołał książę, bijąc pięścią w stół — ażeby dotychczas nie schwytano nędznika Lykona?... Przysięgli mi na to Fenicjanie... obiecałem nagrodę naczelnikowi policji...

W tym musi coś być!...

Tutmozis zbliżył się do księcia i szepnął:

— Był u mnie posłaniec od Hirama, który obawiając się gniewu kapłanów kryje się, zanim opuści Egipt... Otóż Hiram podobno dowiedział się od naczelnika policji w Pi-Bast, że... Lykon został schwytany... Ale cicho!... — dodał wylękony Tutmozis.

Książę na chwilę wpadł w gniew, lecz wnet się opanował.

— Schwytany?... — powtórzył. — Dlaczegoż ta tajemnica?...

— Bo naczelnik policji musiał oddać go świętemu Mefresowi na jego rozkaz w imieniu najwyższej rady...

— Aha... aha!... — powtarzał następcę. — Zatem czcigodnemu Mefresowi i najwyższej radzie potrzebny jest człowiek tak bardzo podobny do mnie?... Aha!... Memu dziecku i Sarze mają sprawić piękny pogrzeb... balsamują ich zwłoki... Ale mordercę ukrywają w bezpiecznym miejscu... Aha!...

<sup>110</sup>Zawsze to niebezpieczna rzecz taki „cień” za życia!... — rzecz szczególna, że teoria „cieniów”, na której prawdopodobnie opierała się nadzwyczajna troskliwość Egiptu o zmarłych, że teoria ta odżyła w naszych czasach w Europie. Wykłada ją obszernie Adolf d’Assier w książce: *Essai sur l’humanité posthume et le spiritisme, par un positiviste*. [przypis autorski]

I święty Mentezufis jest wielkim mędrce. Opowiedział mi dziś wszystkie tajemnice zagrobowego życia, wytłumaczył mi cały pogrzebowy rytuał, jakbym ja sam był kapłanem co najmniej trzeciego stopnia... Ale o schwytaniu Lykona i o ukryciu tego zabójcy przez Mefresa ani wspomniał!... Widocznie święci ojcowie troskliwsi są o drobne sekreta następcy tronu aniżeli o wielkie tajemnice przyszłego życia... Aha!...

— Zdaje się, panie, że dziwić cię to nie powinno — wtrącił Tutmozis. — Wiesz, że kapłani już podejrzewają cię o niechęć i mają się na ostrożności... Tym więcej...

— Co tym więcej?...

— Że jego świątobliwość jest bardzo chory. Bardzo...

— Aha!... ojciec mój chory, a ja tymczasem na czele wojska muszę pilnować pustyni, ażeby z niej piaski nie uciekły... Dobrze, żeś mi to przypomniał!... Tak, jego świątobliwość musi być ciężko chory, gdyż kapłani są bardzo czuli dla mnie... Wszystko mi pokazują i o wszystkim mówią, wyjąwszy tego, że Mefres ukrył Lykona.

Tutmozis — rzekł nagle książę — czy i dziś sądzisz, że mogę rachować na wojsko?

— Na śmierć pójdziemy, tylko rozkaż...

— I za szlachtę ręczysz?...

— Jak za wojsko.

— Dobrze — odparł następca. — Możemy teraz oddać ostatnią usługę Patroklesowi.

### ROZDZIAŁ XXIII

W ciągu kilku miesięcy, podczas których książę Ramzes pełnił obowiązki namiestnika Dolnego Egiptu, jego świątobliwy ojciec coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I zbliżała się chwila, w której pan wieczności, budzący radość w sercach, władca Egiptu i wszystkich krajów, jakie tylko oświetla słońce, miał zająć miejsce obok czcigodnych poprzedników swoich, w tebańskich katakumbach, które leżą po drugiej stronie miasta Teb.

Nie był jeszcze zbyt podeszły wiek równego bogom mocarza, który rozdawał życie poddanym i miał władzę zabierania mężom ich żon według pragnień serca swego. Ale trzydziestokilkuletnie rządy tak go zmęczyły, że już sam chciał wypocząć, odnaleźć młodość i piękność swoją w zachodniej krainie, gdzie każdy faraon bez trosk panuje wiecznie nad ludami, tak szczęśliwymi, że nikt i nigdy nie chciał stamtąd powracać.

Jeszcze pół roku temu świątobliwy pan spełniał wszystkie czynności przywiązane do jego stanowiska, na którym opierało się bezpieczeństwo i pomyślność całego widzialnego świata.

Rankiem, ledwo kur zapiał, kapłani budzili władcę hymnem na cześć wschodzącego słońca. Faraon podnosił się z łoża i w złocistej wannie brał kąpiel z wody różanej. Po czym boskie ciało jego było natarte bezcennymi wonnościami, wśród szmeru modłów mających własność odpędzania złych duchów.

Tak oczyszczony i okadzony przez proroków szedł pan do kapliczki. Odrywał glinianą pieczęć ode drzwi i wchodził sam jeden do sanktuarium, gdzie na łożu ze słoniowej kości spoczywał cudowny posąg bożka Ozyrysa. Bożek miał ten nadzwyczajny dar, że na każdą noc odpadały mu ręce, nogi i głowa odcięte niegdyś przez złego boga Seta; lecz po modlitwie faraona wszystkie członki zrastały się na powrót, bez żadnej przyczyny.

Gdy jego świątobliwość przekonał się, że Ozyrys znowu jest cały, wydobywał posąg z łoża, kąpał go, ubierał w drogocenne szaty i — posadziwszy na malachitowym tronie, okadzał go wonnościami. Ceremonia to nader ważna: gdyby bowiem którego poranku boskie członki Ozyrysa nie zrosły się, byłby to znak, że Egipcjowi, jeżeli nie całemu światu, grozi wielkie nieszczęście.

Po wskrzeszeniu i ubraniu bóstwa jego świątobliwość zostawiał otwarte drzwi kaplicy, aby przez nie na kraj sływały błogosławieństwa. Zarazem wyznaczał kapłanów, którzy przez cały dzień mieli pilnować sanktuarium nie tyle przed złą wolą, ile przed lekkomyślnością ludzką. Nieraz bowiem zdarzało się, że niebaczny śmiertelnik, zbliżywszy się zanadto do najświętszego miejsca, narażał się na niewidzialne uderzenie, które pozbawiało go przytomności, a nawet życia.

Po odprawieniu nabożeństwa szedł pan, otoczony śpiewającymi kapłanami, do wielkiej sali jadalnej, gdzie stał fotel i stoliczek dla niego i dziewiętnaście innych stoliczków przed dziewiętnastu posagami wyobrażającymi dziewiętnaście poprzednich dynastii. Gdy

zaś władca usiadł, wbiegały młode chłopcy i dziewczęta ze srebrnymi talerzami, na których było mięso i ciasta, tudzież z dzbanami wina. Kapłan dozorujący potraw kosztował z pierwszego talerza i pierwszego dzbanka, które następnie na kłęczkach podawano faraonowi, a inne talerze i dzbany stawiano przed posągami przodków. Gdy zaś władca, zaspokoiwszy głód, opuścił salę, potrawy przeznaczone dla przodków mieli prawo zjadać książęta albo kapłani.

Z jadalni udawał się pan do nie mniej wielkiej sali audiencyjnej. Tu padali przed nim na twarz najbliżsi dostojnicy państwa i najbliższa rodzina, po czym minister Herhor, najwyższy skarbnik, najwyższy sędzia i najwyższy naczelnik policji składali mu raporty o sprawach państwa. Czytanie było przerywane religijną muzyką i tańcem, w czasie wykonywania których tron zasypywano wieńcami i bukietami.

Po audiencji jego świątobliwość udawał się do obocznego gabinetu i położywszy się na kanapie chwilę drzemał. Następnie składał bogom ofiary z wina i kadzidel i opowiadał kapłanom swoje sny, wedle których mędrcy układali najwyższe rozporządzenia w sprawach, które jego świątobliwość miał rozstrzygać.

Niekiedy jednak, gdy snów nie było albo gdy ich tłumaczenie wydało się faraonowi niewłaściwym, jego świątobliwość uśmiechał się dobrotliwie i — rozkazywał w danej sprawie postąpić tak a tak. Rozkaz ten był prawem, którego nikt nie mógł zmieniać, chyba tylko w wykonaniu szczegółów.

W godzinach popołudniowych jego świątobliwość niesiony w lektyce ukazywał się na dziedzińcu swojej wiernej gwardii, a potem wstępował na taras i spoglądał ku czterem okolicom świata, aby udzielić im swego błogosławieństwa. Wówczas ze szczytu pylonów wywieszano chorągwie i odzywały się potężne głosy trąb. Ktokolwiek usłyszał je, w mieście czy w polu, Egipcjanin czy barbarzyńca, padał na twarz, ażeby i na jego głowę spłynęła cząstka łaski najwyższej.

W takiej chwili nie było wolno uderzyć człowieka ani bydłęcia: kij podniesiony nad grzbietem sam opadał. Jeżeli zaś przestępca skazany na śmierć dowiódł, że czytano mu wyrok w czasie ukazania się pana nieba i ziemi, zmniejszano mu karę. Albowiem przed faraonem chodzi moc, a za nim miłosierdzie.

Uszczęśliwwszy lud swój, władca wszystkich rzeczy, jakie tylko są pod słońcem, zstępował do swoich ogrodów, między palmy i sykomory, i tu siedział najdłużej, odbierając hołdy od swych kobiet i przypatrując się zabawom dzieci swojego domu. Gdy które z nich pięknnością czy zręcznością zwróciło jego uwagę, przywoływał je do siebie i pytał:

— Kto ty jesteś, mój maleńki?

— Jestem książę Binotris, syn jego świątobliwości — odpowiadał chłopczyk.

— A jakże nazywa się twoja matka?

— Moja matka jest pani Ameces, kobieta jego świątobliwości.

— Cóż ty umiesz?

— Umieć już liczyć do dziesięciu i napisać: „Niech żyje wiecznie ojciec i bóg nasz, świątobliwy faraon Ramzes!...”

Pan wieczności dobrotliwie uśmiechał się i swoją delikatną, prawie przezroczystą ręką dotykał kędzierzawej głowy czupurnego chłopca. Wówczas dziecko naprawdę zostawało księciem, pomimo że jego świątobliwość wciąż uśmiechał się w sposób zagadkowy.

Ale kogo raz dotknęła boska ręka, ten nie mógł zaznać niedoli w życiu i musiał być wywyższonym nad innych.

Na obiad szedł władca do drugiej sali jadalnej i dzielił się posiłkiem z bogami wszystkich nomosów Egiptu, których posągi stały wzdłuż ścian. Czego zaś nie zjedli bogowie, to dostawało się kapłanom i najwyższym osobom dworu.

Ku wieczorowi jego świątobliwość przyjmował wizytę pani Nikotris, matki następcy tronu, patrzył na religijne tańce i przysłuchiwał się koncertowi. Po czym udawał się znowu do kąpieli i oczyszczony wstępował do kaplicy Ozyrysa, ażeby rozebrać i ułożyć do snu bóstwo cudowne. Dokonawszy tego, zamykał i pieczętował drzwi kaplicy i otoczony procesją kapłanów szedł do sypialni.

Kapłani do wschodu słońca w sąsiedniej izbie odprawiali ciche modły do duszy faraona, która podczas snu znajduje się między bogami. Wówczas przedstawiali jej prośby o pomyślne załatwienie bieżących spraw państwa, o opiekę nad granicami Egiptu i nad grobami królów, ażeby żaden złodziej nie śmiał do nich wchodzić i naruszać wiekuistego

spoczynku mocarzy pełnych chwały. Modły kapłańskie jednak, zapewne skutkiem nocnego zmęczenia, nie zawsze były skuteczne: kłopoty bowiem państwa rosły, a i groby święte okradano, nie tylko wynosząc z nich rzeczy kosztowne, lecz nawet mumie faraonów.

Był to skutek osiedlenia się w kraju różnych cudzoziemców i pogan, od których lud nauczył się lekceważenia egipskich bogów i miejsc najświętszych.

Spoczynek pana nad pany przerywał się raz, o północy. W tej bowiem godzinie astrologowie budzili jego świątobliwość i zawiadamiali go: w której kwadrze znajduje się księżyc, które planety świecą nad horyzontem, jaka konstelacja przechodzi przez południk i czy w ogóle na niebie nie zdarzyło się nic szczególnego? Niekiedy bowiem ukazywały się chmury, spadały gwiazdy częściej niż zwykle albo przelatowały nad ziemią kule ogniste.

Pan wysłuchał raportu astrologów, w razie jakiegoś niezwykłego zjawiska uspokajał ich o bezpieczeństwo świata i — wszystkie spostrzeżenia kazał zapisać do odnośnych tablic, które co miesiąc odsyłano kapłanom świątyni Sfinksa, największym mędrcom, jakich posiadał Egipt. Mężowie ci z powyższych tablic wyprowadzali wnioski, lecz najważniejszych nie objawiali nikomu, chyba kolegom swoim, chaldejskim kapłanom w Babilonie.

Po północy jego świątobliwość mógł już spać do zapiania rannych kogutów, jeżeli uważał za stosowne.

Taki pobożny i pracowity żywot jeszcze pół roku temu prowadził dobry bóg, rozdawca opieki, życia i zdrowia, dniem i nocą czuwając nad ziemią i niebem, nad widzialnym i niewidzialnym światem. Ale od pół roku wiecznie żyjąca dusza jego coraz częściej zaczęła przykrzyć sobie ziemskie sprawy i cielesną powłokę. Bywały dni, że nic nie jadł, i noce, w czasie których wcale nie sypiał. Niekiedy podczas audiencji na łagodnym jego obliczu ukazywał się wyraz głębokiej bolesti, a bardzo często, coraz częściej zdarzało się, że wpadał w omdlenia.

Przeżona królowa Nikotris, najdostojniejszy Herhor i kapłani niejednokrotnie zapytywali władcę: czy mu co nie dolega? Ale pan wzruszał ramionami i milczał, wciąż pełniąc swoje uciążliwe obowiązki.

Wówczas lekarze dworscy nieznacznie zaczęli podsuwać mu najmocniejsze środki dla przywrócenia sił. Mieszano mu w winie i potrawach naprzód popioły konia i byka, później — lwa, nosorożca i słonia, ale potężne leki zdawały się nie wywierać żadnego skutku. Jego świątobliwość tak często omdlewał, że już zaprzestano odczytywać mu raportów.

Jednego dnia dostojny Herhor wraz z królową i kapłanami, padłszy na twarze, ubłagali pana, że pozwolił zbadać mędrcom swoje boskie ciało. Pan zgodził się, lekarze zbadali go i opukali, lecz oprócz wielkiego wychudnięcia nie znaleźli żadnej groźnej wskazówki.

— Jakich uczuć doznaje wasza świątobliwość? — zapytał w końcu najmędrszy lekarz.

Faraon uśmiechnął się.

— Czuję — odparł — że pora mi wrócić do słonecznego ojca.

— Tego wasza świątobliwość zrobić nie może bez największej szkody dla swoich ludów. — pośpiesznie wtrącił Herhor.

— Zostawię wam syna, Ramzesa, który jest lwem i orłem w jednej osobie — rzekł pan. — I zaprawdę, jeżeli go słuchać będziecie, zgotuje on Egipcjom taki los, o jakim od początku świata nie słyszano.

Świętego Herhora i innych kapłanów aż zimno przeszło od tej obietnicy. Oni wiedzieli, że następca tronu jest lwem i orłem w jednej osobie i że słuchać go muszą. Woleliby jednak jeszcze przez długie lata mieć tego oto łaskawego pana, którego serce pełne litości było jak wiatr północny przynoszący deszcz polom i ochłodę ludziom.

Dlatego wszyscy, niby jeden mąż, padli na ziemię jęcząc i dopóty leżeli na brzuchach swoich, aż faraon zgodził się poddać kuracji.

Wtedy lekarze na cały dzień wynieśli go do ogrodu między pachnące drzewa iglaste, karmili go siekanym mięsem, poili mocnymi rosolami, mlekiem i starym winem. Dzielne te środki na jakiś tydzień wzmocniły jego świątobliwość; wnet jednak przyszło nowe osłabienie, dla zwalczania którego zmuszono pana, ażeby pił świeżą krew cieląt pochodzących od Apisa.

Lecz i krew nie na długo pomogła, i trzeba było odwołać się do porady arcykapłana świątyni — złego boga Seta.

Choroba



Wśród powszechnej trwogi ponury kapłan wszedł do sypialni jego świątobliwości, spojrzął na chorego i zalecił straszne lekarstwo.

— Trzeba — rzekł — dawać faraonowi do picia krew z niewinnych dzieci, co dzień po kubku...

Kapłani i magnaci zapełniający pokój oniemieli na taką radę. Potem zaczęli szeptać, że do tego celu najlepsze będą dzieci chłopskie; dzieci bowiem kapłańskie i wielkich panów już w niemowlęctwie tracą niewinność.

— Wszystko mi jedno, czyje to będą dzieci — odparł okrutny kapłan — byle jego świątobliwość miał co dzień świeżą krew.

Pan, leżąc na łóżku z zamkniętymi oczyma, słuchał tej krwawej rady i lękliwych szeptów dworu. A gdy jeden z lekarzy nieśmiało spytał Herhora: czy można zająć się wyszukaniem odpowiednich dzieci?... faraon ocknął się. Wlepił mądre oczy w obecnych i rzekł:

— Krokodyl nie pożera swoich małych, szakal i hiena oddaje życie za swe szczenięta, a ja miałbym pić krew egipskich dzieci, które są moimi dziećmi?... Zaprawdę, nigdy bym nie przypuszczał, że ośmieli mi się kto zalecić niegodne lekarstwo...

Kapłan złego boga upadł na ziemię, tłumacząc się, że krwi dziecięcej nikt nigdy nie pił w Egipcie, lecz że moce piekielne tym sposobem mają przywracać zdrowie. Taki przynajmniej środek używa się w Asyrii i Fenicji.

— Wstydz się — odparł faraon — w pałacu mocarzy egipskich wspominać tak obmierzłe rzeczy. Czy nie wiesz, że Fenicjanie i Asyryjczycy są głupimi barbarzyńcami? Ale u nas najciemniejszy chłop nie uwierzy, aby krew niewinnie rozlana mogła komu wyjść na pożytek...

Tak mówił równy nieśmiertelnym. Dworacy zasłonili twarze pokalane wstydem, a arcykapłan Seta po cichu wyniósł się z komnaty.

Wówczas Herhor, aby uratować gasnące życie władcy, uciekł się do ostatecznego środka i powiedział faraonowi, że kryje się w jednej z tebańskich świątyń Chaldejczyk, Beroes, najmędrzy kapłan z Babilonu i niezrównany cudotwórca.

— Dla waszej świątobliwości — mówił Herhor — obcy to człowiek i nie ma prawa udzielać tak ważnych rad naszemu panu. Ale pozwól, królu, ażeby spojrzął na ciebie, bo jestem pewny, że znajdzie dla twojej choroby lekarstwo, a w żadnym wypadku nie obrazi twojej świętości bezbożnymi słowami.

Faraon i tym razem uległ namowom wiernego sługi. A we dwa dni Beroes, wezwany jakimś tajemnym sposobem, przyплыł do Memfisu.

Mądry Chaldejczyk, nawet nie oglądając szczegółowo faraona, taką dał radę:

— Trzeba znaleźć w Egipcie człowieka, którego modły dosięgają tronu Najwyższego. A gdy on szczerze pomodli się na intencję faraona, władca odzyska zdrowie i będzie żył długie lata.

Usłyszawszy te słowa, pan spojrzął na gromadę otaczających go kapłanów i rzekł:

— Widzę tu tylu mężów świętych, że gdy który zechce pomyśleć o mnie, będę zdrów...

I uśmiechnął się nieznacznie.

— Wszyscy jesteście tylko ludźmi — wtrącił cudotwórczy Beroes — więc dusze nasze nie zawsze mogą wznieść się do podnóżka Przedwiecznego. Dam jednak waszej świątobliwości nieomylny sposób odkrycia człowieka, który modli się najszczerzej i najskuteczniej.

— Owszem, odkryj mi go, ażeby został moim przyjacielem w ostatniej godzinie życia.

Po przychylniej odpowiedzi pana Chaldejczyk zażądał komnaty mającej tylko jedne drzwi i przez nikogo nie zamieszkiwanej. I tego samego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, kazał przenieść tam jego świątobliwość.

W oznaczonej porze czterech najwyższych kapłanów ubrali<sup>111</sup> faraona w nową, lnianą szatę, odmówili nad nim wielką modlitwę, która stanowczo odpędzała złe moce, i usadowiwszy go w prostą lektykę z cedrowego drzewa, zanieśli pana do owej pustej komnaty, gdzie znajdował się tylko mały stolik.

<sup>111</sup>czterech najwyższych kapłanów ubrali faraona — dziś popr.: czterech najwyższych kapłanów ubrało faraona. [przypis edytorski]

Był tam już Beroes i zwrócony do wschodu modlił się.

Kiedy kapłani wyszli, Chaldeczyk zamknął ciężkie drzwi izby, włożył na ramiona purpurową szarfę, a na stoliku przed faraonem postawił szklaną kulę czarnej barwy. W lewą rękę wziął ostry sztylet z babilońskiej stali, w prawą — laskę pokrytą tajemniczymi znakami i tąż laską dookoła siebie i faraona zakreślił w powietrzu krąg. Potem zwracając się kolejno ku czterem okolicom świata szeptał:

— Amorul, Taneha, Latisten, Rabur, Adonay... Miej litość nade mną i oczyść mnie, Ojczye niebieski, łaskawy i miłosierny... Zlej na niegodnego sługę swoje święte błogosławieństwo i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy uparte i buntownicze, ażebym mógł rozważać w spokoju twoje święte dzieła...

Przerwał i zwrócił się do faraona:

— Mer-amen-Ramzesie, arcykapłanie Amona, czy w tej czarnej kuli dostrzegasz iskrę?...

— Widzę białą iskierkę, która zdaje się poruszać jak pszczoła nad kwiatem...

— Mer-amen-Ramzesie, patrz w tę iskrę i nie odrywaj od niej oczu... Nie spoglądaj ani na prawo, ani na lewo, ani na nic, cokolwiek wychylałoby się z boków...

I znowu szeptał:

— Baralanensis, Baldachiensis, przez potężnych książąt Genio, Lachiadae, ministrów piekielnego państwa, wywołuję was i wzywam mocą najwyższego Majestatu, którą jestem obdarzony, zaklinam was i rozkazuję...

W tym miejscu faraon wstrząsnął się ze wstrętem.

— Mer-amen-Ramzesie, co widzisz? — zapytał Chaldeczyk.

— Spozu kuli wychyla się jakaś okropna głowa... Rude włosy jeżą się... twarz zielonkawatej barwy... źrenice wywrócone na dół, że tylko białka oczu widać... Usta szeroko otwarte, jakby chciały krzyknąć...

— To trwoga — rzekł Beroes i zwrócił ponad kulę ostrze sztyletu.

Nagle faraon aż zgiął się ku ziemi.

— Dosyć!... — zawołał — dlaczego mnie tak męczysz?... Strudzone ciało chce spocząć, dusza ulecić w krainę wiecznego światła... A wy nie tylko nie pozwalacie mi umrzeć, ale jeszcze wymyślacie nowe udręczenia... Ach!... nie chcę...

— Co widzisz?...

— Od sufitu co chwilę spuszczają się niby dwie nogi pajęczne, straszliwe... Grube jak palmy, kosmate, zakończone hakami... Czuję, że nad moją głową unosi się potwornej wielkości pająk i osnuwa mnie siecią z lin okrętowych...

Beroes zwrócił sztylet w górę.

— Mer-amen-Ramzesie — rzekł znowu — ciągle patrz w iskrę i nie oglądaj się na boki...

— Oto znak, który podnoszę w waszej obecności... — szeptał. — Otom jest potężnie uzbrojony w pomoc boską, przewidujący i nieustraszony, który wywołuję was przez zaklęcia... Aye, Saraye, Aye, Saraye, Aye, Saraye... przez imię wszechmocnego i wiecznie żyjącego Boga...

W tej chwili na twarzy faraona ukazał się spokojny uśmiech.

— Zdaje mi się — rzekł pan — że widzę Egipt... cały Egipt... Tak, to jest Nil... pustynia... Tu Memfis, tam Teby...

Istotnie widział Egipt, cały Egipt, ale nie większy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tę własność, że gdy faraon skierował na jaki punkt bacniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło, oblewając ziemię złotawo-purpurowym światłem. Dienne ptaki zasiadały do snu, nocne — budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hieny i szakale, a drzemiący lew przeciągał potężne cielsko, gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak śpiesznie wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odedmował od żurawia kubeł, którym przez cały dzień czerpał wodę, inny powoli wracał z plugiem do swej lepianki. W miastach zapalano światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i milknęły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów odezwały się jęklive głosy wzywające naród do modlitwy.

W chwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków nilowych, chat wieśniaczych, nawet z kopalń. Z początku każdy z nich pędził w górę jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrnopiórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły i — obaj martwi upadali na ziemię.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbić się do tronu Przedwiecznego...

Faraon wyteńczył słuch... Z początku dolatywał go tylko szelest skrzydeł; niebawem jednak mógł odróżnić wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał, ażeby jego pacjent chorował jak najdłużej. Gospodarz prosił Amona o czuwanie nad jego spichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprowadzić cudzą krowę i napełnić wory cudzym ziarnem.

Modlitwy ich roztrącały się jak kamienie wyrzucone z procy.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek, żebrząc o wiatr północny, który by mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędzej wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

I ich modły rozbiły się wzajemnie i nie dosięgły boskich uszu Amona.

Największy zgiełk panował nad kamieniołomami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy, za pomocą klinów moczonych wodą rozsadzali ogromne skały. Tam partia robotników dziennych błagała o noc, aby spać się położyć, podczas, gdy budzeni przez dozorców robotnicy partii nocnej bili się w piersi, aby nigdy nie zachodziło słońce. Tam kupcy, którzy nabywali odlupane i obrobione kamienie, modlili się, ażeby jak najwięcej było w kopalni przestępców, podczas gdy dostawcy żywności leżeli na brzuchach wdychając, ażeby pomór tępił robotników i umożliwił dostawcom większe zyski.

Więc i modły ludzi z kopalń nie dolatywały do nieba.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armie gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach wzywając Amona o wytepienie nieprzyjaciół. Libijczycy życzyli hańby i śmierci Egipcjanom; Egipcjanie miotali przekleństwa na Libijczyków.

Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, starły się nad ziemią i spadły na powierzchnię. Amon nawet ich nie dojrzał.

I gdziekolwiek zwrócił faraon umęczoną żrenicę, wszędzie było to samo. Chłopi modlili się o wypoczynek i zniżenie podatków; pisarze — aby rosły podatki i nigdy nie kończyła się praca. Kapłani błagali Amona o długie życie dla Ramzesa XII i wytepienie Fenicjan, którzy psuli im operacje pieniężne; nomarchowie wzywali bóstwa, aby zachowało Fenicjan i prędzej pozwoliło wejść na tron Ramzesowi XIII, gdyż ten ukróci samowolę kapłanów. Lwy, szakale i hieny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki, myśląc o zachowaniu nędznego życia jeszcze przez jedną dobę. Choć mówiło doświadczenie, że i tej nocy kilkunaścioro<sup>112</sup> ich musi zginąć, ażeby nie pomarły drapieżniki.

I tak na całym świecie panowała rozterka. Każdy chciał tego, co lękiem napełniało innych; każdy prosił o własne dobro, nie pytając, czy nie zrobi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki wzbijające się ku niebu, nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boskości, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Wtem faraon usłyszał głos kobiecy:

— Psujak!... Psujaczek!... wracaj, zbytniku, do chaty, bo już pora na modlitwę...

— Zaraz... zaraz!... — odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrzął w tamtym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej przy blaskach zachodzącego słońca kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbiła kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześciolatek chłopczyzna, śmiejąc się nie wiadomo z czego.

Widąc upajało go pełne woni powietrze wieczorne.

<sup>112</sup>kilkunaścioro — dziś: kilkanaścioro, tu (o zwierzętach): kilkanaście. [przypis edytorski]

— Psujak!... Psujaczek... chodź mi tu na modlitwę... — powtarzała kobieta.

— Zaraz!... zaraz!...

I znowu biegał, i cieszył się jak szalony.

Nareszcie matka, widząc, że słońce zaczyna pograżać się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i wyszedłszy na dziedziniec, schwyciła biegającego chłopca jak żrebaka. Opierał się, lecz w końcu uległ przemocy. Matka zaś, wciągnąwszy go do lepianki, czym prędzej posadziła go na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znowu nie uciekł.

— Nie kręć się — mówiła — podwiń nogi i siedź prosto, a ręce złóż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykręci się od modlitwy, więc aby jak najprędzej wyrwać się znowu na podwórze, wznosił pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniutkim, a krzykliwym głosem prawił zadyszany:

— Dziękuję ci, dobry boży Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co?... Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który nam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... I jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosną kwiaty, śpiewają ptaki i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja i chwałą lepiej ode mnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No, już dosyć...

— Złe dziecko! — mruknął pisarz od bydła schylony nad swoim rejestrem. — Złe dziecko niedbale oddaje cześć Amonowi...

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozszkwanego chłopczyny jak skowronek wzbijała się ku niebu i trzepocąc skrzydłami wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż do tronu, gdzie wiekuisty Amon, z rękoma na kolanach, zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej aż na wysokość głowy bóstwa i śpiewała mu cienkim dziecięcym głosikiem:

— A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja...

Na te słowa pograżone w sobie bóstwo otworzyło oczy i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łąkę, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zbłąkany w pustyni o głodzie, więzieniu o łańcuchach. Ucichła burza i stanęła fala morska gotowa zatopić okręt. I na całej ziemi zapanował taki spokój, że słońce, już ukryte pod widnokręgiem, znowu podniosło promieniącą głowę...

Faraon ocknął się. Zobaczył przed sobą mały stolik, na nim czarną kulę, a obok Chaldejczyka Beroesa.

— Mer-amen-Ramzesie — spytał kapłan — znalazłeś człowieka, którego modły trafią do podnóżka Przedwiecznego?

— Tak — odparł faraon.

— Jesteś on księciem, rycerzem, prorokiem czy może tylko zwyczajnym pustelnikiem?

— Jest to mały, sześćioletni chłopczyk, który o nic Amona nie prosił, lecz za wszystko dziękował.

— A wiesz, gdzie on mieszka? — pytał Chaldejczyk.

— Wiem, ale nie chcę wykradać dla siebie potęgi jego modlitw. Świat, Beroesie, jest to olbrzymi wir, w którym ludzie miotają się jak piasek, a rzuca nimi nieszczęście. Zaś dziecko swoją modlitwą daje ludziom to, czego ja nie potrafię: krótką chwilę zapomnienia i spokoju. Zapomnienie i spokój... rozumiesz, Chaldejczyku?

Beroes milczał.

#### ROZDZIAŁ XXIV

O wschodzie słońca dwudziestego pierwszego Hator do obozu nad Sodowymi Jeziorami przyszedł z Memfisu rozkaz, według którego trzy pułki miały pomaszerować do Libii i stanąć załogami w miastach, reszta zaś armii egipskiej wraz z księciem miała wrócić do domu.

Wojska okrzykami radości powitały to rozporządzenie; kilkudniowy bowiem pobyt w pustyni już zaczynał im dokuczać. Pomimo dowozów i z Egiptu, i z upokorzonej Libii

Modlitwa

Modlitwa, Zwątpienie

nie było nadmiaru żywności; woda w studniach naprędce wykopanych wyczerpała się; żar słoneczny wypalał ciała, a rudy piasek raził płuca i oczy. Żołnierze poczęli chorować na dysenterię<sup>113</sup> i złośliwe zapalenie powiek.

Ramzes kazał zwinąć obóz. Trzy pułki rodowitych Egipcjan wyprawił do Libii, zalecając żołnierzom, aby łagodnie traktowali mieszkańców i — nigdy nie włóczyli się pojedynczo. Właściwą zaś armię skierował do Memfis, zostawiając małą załogę w forteczce i hutach szklanych.

O dziewiątej rano, mimo spiekoty, oba wojska były już w drodze; jedni na północ, drudzy na południe.

Wówczas zbliżył się do następcy święty Mentezufis i oświadczył:

— Byłoby dobrze, gdybyś, wasza dostojność, mógł wcześniej dojechać do Memfis. W połowie drogi będą świeże konie...

— Więc mój ojciec jest ciężko chory?... — zawołał Ramzes.

Kapłan schylił głowę.

Książę zdał Mentezufisowi naczelne dowództwo, prosząc go, aby w niczym nie zmienił już wydanych rozporządzeń bez naradzenia się ze świeckimi jenerałami. Sam zaś, wzięwszy Pentuera, Tutmozisa i dwudziestu najlepszych jeźdźców azjatyckich, wyciągniętym kłusem pojechał do Memfis.

W pięć godzin przebyli połowę drogi i jak zapowiedział Mentezufis, znaleźli świeże konie i nowy orszak. Azjaci zostali tutaj, a książę ze swymi dwoma towarzyszami i nową eskortą, po krótkim odpoczynku, pojechał dalej.

— Biada mi! — jęczał elegancki Tutmozis. — Nie dość, że od pięciu dni nie kąpię się i nie znam różanego olejku, ale jeszcze muszę odbyć dwa forsowne marsze w jeden dzień!... Jestem pewny, że gdy staniemy na miejscu, żadna tancerka nie zechce na mnie spojrzeć...

— Cóżś lepszego od nas? — spytał książę.

— Jestem węższy! — westchnął Tutmozis. — Ty, książę, przywykłeś do konnej jazdy jak Hyksos, a Pentuer mógłby podróżować nawet na rozpalonym mieczu. Ale ja taki delikatny...

O zachodzie słońca podróżni wjechali na wysoki pagórek, skąd roztoczył się niezwykle obraz. Z daleka przed nimi widać było zieloną dolinę Egiptu, a na jej tle, niby szereg czerwonych płomieni, jaśniały trójkątne piramidy. Trochę na prawo od piramid, również zdawały się płonąć wierzchołki pylonów Memfis owiniętego w niebieską mgłę.

— Jedźmy, jedźmy!... — nalegał książę.

W chwilę później znowu otoczyła ich ruda pustynia i znowu zajaśniał sznur piramid, dopóki wszystko nie rozplynęło się w bladej pomroce.

Gdy zapadła noc, podróżni dotarli do olbrzymiej krainy zmarłych, która po lewej stronie rzeki, na wzgórzach, ciągnęła się na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst.

Tu za Starego Państwa chowano na wieczne czasy Egipcjan: królów w ogromnych piramidach, książąt i dostojników w mniejszych piramidach, prostaków w lepiankach. Spoczywało tu miliony mumii nie tylko ludzi, ale psów, kotów, ptaków, słowem — wszystkich stworzeń, które za życia miłymi były człowiekowi.

Za czasów Ramzesa królewski i magnacki cmentarz przeniesiono do Tebów, a w sąsiedztwie piramid grzebano tylko chłopów i wyrobników z najbliższych okolic.

Między rozpierchniętymi grobami książę i jego orszak spotkał gromadkę ludzi przesuwających się jak cienie.

— Kto wy jesteście? — zapytał dowódca eskorty.

— Jesteśmy biedni słudzy faraona, a wracamy od naszych zmarłych... Zanieśliśmy im trochę róż, piwa i placków...

— A może zagłądaliście do cudzych grobów?

— O bogowie! — zawołał jeden z gromady — czyliż jesteśmy zdolni do podobnego świętokradztwa?... To tylko przewrotni tebańczycy (oby im ręce poschły!) niepokoją zmarłych, aby w szynkach przejąć ich własność.

— Co znaczą te ogniska tam, na północ? — wtrącił książę.

<sup>113</sup>dysenteria, dziś *dyzenteria* — czerwonka, krwawa biegunka. [przypis edytorski]

— Musisz, panie, z daleka jechać, kiedy nie wiesz — odpowiedziano. — Wszakże to jutro nasz następca wraca ze zwycięskim wojskiem... Wielki wódz!... W jednej bitwie zawojował nędznych Libijczyków... Toteż lud z Memfis wyszedł, aby go uroczysto powitać... Trzydzieści tysięcy głów... Dopieroż będą krzyczeli!

— Rozumiem — szepnął książę do Pentuera. — Święty Mentezufis wysłał mnie naprzód, abym nie odbył triumfalnego pochodu... Ale niech i tak będzie, na dzisiaj...

Konie były pomęczone i należało wytchnąć. Posłał więc książę paru jezdnych, aby zamówili statki na rzece, a resztę orszaku zatrzymał pod kępą palm, które wówczas rosły między grupą piramid i sfinksem.

Grupa ta stanowi północny kraniec niezmiernego cmentarzyska. Na placu mającym około kilometra kwadratowego powierzchni, porośłym w owych czasach pustynną roślinnością, tłoczy się mnóstwo grobów i małych piramid, nad którymi górują trzy piramidy największe: Cheopsa, Khefrena i Mykerina<sup>114</sup>, tudzież sfinks. Kolosalne te budowle są oddalone jedna od drugiej ledwo na kilkaset kroków. Trzy piramidy stoją w jednym rzędzie od północo-wschodu ku południo-zachodowi, na wschód zaś od tej linii, najbliższej Nilu, leży sfinks, u stóp którego ciągnęła się podziemna świątynia Horusa.

Piramidy, a szczególnie Cheopsa, jako utwór ludzkiej pracy przeraża swoją wielkością. Jest to kamienny pagórek szpiczasty, wysoki na trzydzieści pięć piątr<sup>115</sup> (sto trzydzieści siedem metrów), stojący na podstawie kwadratowej, której każdy bok ma około trzystu pięćdziesięciu kroków (dwustu dwudziestu siedmiu metrów) długości. Piramida zajmuje dziesięć morgów<sup>116</sup> powierzchni, a jej cztery trójkątne ściany pokryłyby siedemnastomorgową przestrzeń. Na budowę jej zużyto takie mnóstwo kamieni, że można by wznieść mur wyższy od wzrostu człowieka, szeroki na pół metra, długi na dwa tysiące pięćset kilometrów!...

Kiedy orszak książęcy rozłożył się pod mizernymi drzewami, kilku żołnierzy zajęło się wyszukaniem wody, inni wydobyli suchary, a Tutmozis upadł na ziemię i zasnął. Książę zaś i Pentuer zaczęli przechadzać się rozmawiając.

Noc była o tyle jasna, że można było widzieć z jednej strony niezmierne sylwetki piramid, z drugiej figurę sfinksa, który w porównaniu z nimi wydawał się małym.

— Jestem tu już czwarty raz — rzekł następca — a zawsze moje serce napęłnia się zdumieniem i zalem. Kiedyś był jeszcze uczniem wyższej szkoły, myślałem, że wstąpiwszy na tron wzniosę coś dostojniejszego aniżeli piramida Cheopsa. Ale dzisiaj śmiać mi się chce z mego zuchwałstwa, kiedy pomyślę, że wielki faraon przy budowie swego grobowca zapłacił tysiąc sześćset talentów<sup>117</sup> za same jarzyny dla robotników... Skądbym ja wziął tysiąc sześćset talentów, a choćby tylko ludzi!...

— Nie zazdrość, panie, Cheopsowi — odparł kapłan. — Inni faraonowie lepsze zostawili po sobie dzieła: jeziora, kanały, gościńce, świątynie i szkoły...

— Alboż te rzeczy można porównać z piramidami?

— Z pewnością, że nie — spieszenie odpowiedział kapłan. — W oczach moich i całego ludu każda piramida jest wielkim występkiem, a największym — Cheopsowa...

— Unosisz się — zreflektował go książę.

— Wcale nie. Swój wielki grób budował faraon przez lat trzydzieści, w ciągu których sto tysięcy ludzi pracowało co roku po trzy miesiące. I jaki z tej pracy pożytek?... Kogo ona wykarmiła, uleczyła, odziała?... Ale za to co rok przy tej robocie marniało dziesięć do dwudziestu tysięcy ludzi... Czyli — na grób Cheopsa złożyło się z pół miliona trupów, a ile krwi, łez, bólów, kto rachuje?

Dlatego nie dziw się, panie, że chłop egipski po dziś dzień z trwogą patrzy na zachód, gdzie nad horyzontem krwawią się lub czernieją trójkątne postacie piramid. Toż to świadkowie jego mąk i jałowej pracy...

Praca, Grób, Chłop,  
Cierpienie

<sup>114</sup>*Cheops, Khefren i Mykerin* — Cheops, Chefren, Mykerinos: greckie wersje imion władców IV dynastii, egipskie: Chufu (ok. 2620–2580 p.n.e.), Chafre (ok. 2570–2530 p.n.e.) i Menkaure (2530–2510 p.n.e.), budowniczych trzech największych piramid. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*piątr* — dziś popr. forma D.: pięter. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*mórg* a. *morga* (daw., z niem. *morgen*) — jednostka powierzchni ziemi, używana w Europie w XIX w., ok. 0,5 ha. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*tysiąc sześćset talentów* — około 10 milionów franków. [przypis autorski]

I pomyśleć, że tak będzie zawsze, dopóki te dowody ludzkiej pychy w proch się nie rozsypią. Ale kiedy to nastąpi? Od trzech tysięcy lat straszą nas swoim widokiem, i jeszcze ściany ich są gładkie, a ogromne napisy czytelne.

— Tamtej nocy, w pustyni, mówiłeś inaczej — wtrącił książę.

— Bom nie patrzył na nie. Ale kiedy je mam, jak teraz, przed oczyma, otaczają mnie łkające duchy zamęczonych chłopów i szepcą: „Patrz, co zrobiono z nami!... A przecie i nasze kości czuły ból, i nasze serca tęskniły do odpoczynku...”

Ramzes był w przykry sposób dotknięty tym wybuchem.

— Mój świątobliwy ojciec — rzekł po chwili — inaczej przedstawił mi te sprawy. Kiedy byliśmy tutaj przed pięcioma laty, boski pan opowiedział mi taką historię:

Za faraona Tutmozisa I<sup>118</sup> przyjechali posłowie etiopscy umawiać się o wysokość płaconych przez siebie danin. Hardy to był naród! Mówili, że jedna przegrana wojna nic nie stanowi, w drugiej bowiem los na nich może być łaskaw — i przez parę miesięcy targowali się o haracz.

Na próżno mądry król, chcąc łagodnie oświecić ich, pokazywał im nasze gościńce i kanały. Odpowiadali, że w ich kraju wodę mają darmo, gdzie chcą. Na próżno odślaniano im skarbcę świątyni: mówili, że ich ziemia kryje daleko więcej złota i klejnotów aniżeli cały Egipt. Nadaremnie pan musztrował wobec nich swoje wojska, gdyż twierdzili, że Etiopów jest bez porównania więcej, aniżeli jego świątobliwość ma żołnierzy.

Wówczas faraon przywiózł ich w te oto miejsca, gdzie stoimy, i pokazał piramidy.

Posłowie etiopscy obeszli je wkoło, przeczytali napisy i — na drugi dzień zawarli traktat, jakiego od nich żądano.

Ponieważ nie rozumiałem tej historii — ciągnął Ramzes — więc mój święty ojciec objaśnił mi ją.

Synu — mówił — te piramidy są wiekuistym dowodem nadludzkiej potęgi Egiptu. Gdyby jaki człowiek chciał sobie wznieść piramidę, ułożyłby drobny stos kamieni i rzuciłby po kilku godzinach swoją pracę zapytawszy: na co mi ona? Dziesięciu, stu i tysiąc ludzi nagromadziłoby trochę więcej kamieni, zsypano by je nieporządnie i — znowu porzuciliby ją po upływie kilku dni. Bo na co im ta robota?

Ale kiedy faraon egipski, kiedy państwo egipskie umyśli sobie zgromadzić stos kamieni, to spędza krocie tysięcy ludzi i buduje choćby przez kilkadziesiąt lat, dopóki roboty nie skończy.

Nie o to bowiem chodzi: czy były potrzebne piramidy? Ale o to, ażeby wola faraona, gdy ją raz wypowiedziano, była spełniona.

Tak, Pentuerze, piramida to nie grób Cheopsa, lecz — *wola* Cheopsa. Wola, która posiada tylu wykonawców, jak żaden król na świecie, a taki porządek i wytrwałość w działaniu, jak bogowie.

Jeszcze w szkołach uczono mnie, że wola ludzka to wielka siła, największa siła pod słońcem. A przecie wola ludzka może podnieść ledwie jeden kamień. Jakże wielką zatem jest wola faraona, który wznosił górę kamieni tylko dlatego, że mu się tak podobało, że on tak chciał choćby nawet bez celu.

— Czy i ty, panie, chciałbyś w podobny sposób dowodzić swojej potęgi?... — nagle zapytał go Pentuer.

— Nie — odparł książę bez wahania. — Gdy faraonowie raz okazali siłę, mogą już być miłosiernymi. Chyba że kto próbowałby opierać się ich rozkazom.

„A przecież ten młodzieniec ma dopiero dwadzieścia trzy lat!” — rzekł do siebie zatrwożony kapłan.

Zwrócili w stronę rzeki i jakiś czas szli milcząc.

— Połóż się, panie — rzekł kapłan — zaśnij. Odbyliśmy nie lada podróż.

— Alboż mogę zasnąć?... — odparł książę. — Raz otaczają mnie te krocie chłopów, którzy, według twego zdania, zginęli przy budowie piramid (jak gdyby bez owych piramid mieli żyć wiecznie!...). To znowu myślę o moim świątobliwym ojcu, który może w tej chwili dogorywa... Chłopi cierpią!... chłopci rozlewają krew!... Kto mi dowiedzie, że mój

<sup>118</sup> *Tutmosis I, Totmes I* (1506–1493 p.n.e.) — władca Egiptu z XVIII dynastii. W ekspedycjach wojskowych dotarł aż nad Eufrat. Podjął również wyprawy wojskowe do Nubii, poszerzając posiadłości egipskie na południu o tereny pomiędzy II a III kataraktą. Podczas pierwszej z ekspedycji osobiście zabił w bitwie króla Nubijczyków. Krwawo stłumił powstanie nubijskie, które wybuchło na świeżo podbitych terenach. [przypis edytorski]

boski ojciec nie więcej męczy się na swym kosztownym łożu aniżeli twoi chłopci dźwigając rozpalone kamienie?...

Chłopi! zawsze chłopi!... Dla ciebie, kapłanie, tylko ten zasługuje na litość, kogo wszy jedzą. Cały szereg faraonów wstąpił do grobu, niektórzy konali w boleściach, niektórych zamordowano. Ale ty o nich nie pamiętasz, tylko o chłopach, których zasługą jest, że rodzili innych chłopów, czerpali błoto nilowe albo wpychali w usta swoim krowom — jęczmienne gałki.

A mój ojciec... a ja?... Czyliż nie zabito mi syna i kobiety z mego domu? Czy był dla mnie miłosiernym Tyfon w pustyni albo kości nie bolą mnie po długiej podróży?... A pociski procarzy libijskich nie świstały mi nad głową?... Mamże ja traktat z chorobą czy z boleścią, czy ze śmiercią, ażeby były dla mnie łaskawsze niż dla twojego chłopca?...

Spojrzyj tam... Azjaci śpią i cisza zalega ich piersi: ale ja, ich pan, mam serce pełne trosk wczorajszych i niepokojów o jutro. Zapytaj stuletniego chłopca, czy przez cały swój czas doznał tyłu goryczy, ile ja w ciągu kilkumiesięcznej władzy namiestnika i wodza?...

Przed nimi z wolna, z głębi nocy, wynurzał się dziwny cień. Była to budowla długa na pięćdziesiąt kroków, wysoka na trzy piętra, mająca z boku niby pięciopiętrową wieżę niezwyklej formy.

— Otóż i sfinks — mówił rozdrażniony książę — czysto kapłańska robota!... Ile razy widziałem go, w dzień czy w nocy, zawsze męczyło mnie pytanie: co to jest i na co to jest?...

Piramidy — rozumiem. Potężny faraon chciał okazać swoją siłę, a może, co rozsądniej, chciał zabezpieczyć sobie wieczne życie w spokoju, którego nie naruszyłby żaden wróg czy złodziej. Ale ten sfinks!... Oczywiście jest to nasz święty stan kapłański, który ma bardzo wielką i mądrą głowę, a pod nią lwie pazury...

Wstrętny posąg, pefen dwuznaczności, który zdaje się pysznić tym, że wyglądamy przy nim jak szarańcza. Ani to człowiek, ani zwierzę, ani skała... Więc czymże on jest, jakie ma znaczenie?... Albo ten jego uśmiech... Podziwiasz wiecznotrwałość piramid — on się uśmiecha; idziesz porozmawiać z grobami — on także się uśmiecha. Czy zazielenią się pola Egiptu, czy Tyfon rozpuści swoje ogniste rumaki, czy niewolnik szuka wolności w pustyni, czy Ramzes Wielki spędza zwyciężone narody — on dla wszystkich ma jeden i ten sam martwy uśmiech.

Dziewiętnaście królewskich dynastii minęło jak cienie, ale on uśmiechał się i uśmiechałby się nawet wówczas, gdyby Nil wysechł, a Egipt zginął pod piaskami.

Nie jestże to potwór, tym okropniejszy, że ma łagodną twarz ludzką. Sam wiekuisty, nigdy nie zaznał żalu nad znikomością świata — przepelnionego nędzami.

— Nie pamiętasz, panie, oblicza bogów — wtrącił Pentuer — albo nie widziałeś mumii? Wszyscy nieśmiertelni z takim samym spokojem patrzą na rzeczy mijające. Nawet i człowiek, o ile już sam minął.

— Bogowie niekiedy słuchają naszych prośb — mówił jakby do siebie książę — ale on niczym się nie wzrusza. Nie jest litością, ale olbrzymim szyderstwem i strachem. Gdybym wiedział, że w jego ustach kryje się wróżba dla mnie albo sposób podźwignięcia państwa, jeszcze nie śmiałybym go zapytać. Zdaje mi się, że usłyszałbym jakąś straszną rzecz wypowiedzianą z nieubłaganym spokojem. On taki jest, ten utwór i obraz kapłanów. Gorszy od człowieka, bo ma lwi korpus; gorszy od zwierzęcia, bo ma ludzką głowę; gorszy od skały, bo kryje się w nim niepojęte życie.

W tej chwili doleciały ich jęgliwe i stłumione głosy, których źródła nie można było oznaczyć.

— On śpiewa?... — spytał zdziwiony książę.

— To w podziemnej świątyni — odparł kapłan. — Ale dlaczego oni modlą się o tej porze?

— Powiedz lepiej: dlaczego oni w ogóle modlą się, kiedy ich nikt nie słyszy?

Pentuer, szybko zorientowawszy się, poszedł w stronę, skąd dolatywały śpiewy. Książę znalazł jakiś kamień z oparciem i usiadł znużony. Rozciągnął ręce za siebie, odchylił się w tył i patrzył w olbrzymią twarz sfinksa.

Pomimo braku światła wyraźnie było widać nadludzkie rysy, którym właśnie cień dodawał charakteru i życia. Książę zaś, im dłużej wpatrywał się w to oblicze, tym silniej odczuwał, że był uprzedzony i że jego niechęć jest niesłuszna.



Na twarzy sfinksa nie było okrucieństwa, prędzej rezygnacja. W jego uśmiechu nie było szyderstwa, prędzej melancholia. On nie wytrząsał się nad nędzą i znikomością ludzką, raczej nie widział ich.

Jego pełne wyrazu, gdzieś pod niebem osadzone oczy patrzyły za Nil, do krain, które dla ludzkich spojrzeń giną pod nieboskłonem. Czy śledził niepokojący wzrost monarchii asyryjskiej? czy natrętną bieganinę Fenicjan? czy narodziny Grecji, a może przyszłe zdarzenia gotujące się nad Jordanem?... — któż zgadnie.

Książę jednego był pewny, że — on patrzy, myśli i oczekuje na coś ze spokojnym uśmiechem, godnym nadprzyrodzonej istoty. I jeszcze zdawało mu się, że gdy to coś ukaże się na horyzoncie, sfinks powstanie i pójdzie naprzeciw.

Co to ma być i kiedy nastąpi?... Tajemnica, której doniosłość wyraźnie malowała się na twarzy wiekiustego. Musi się to jednak stać nagle, skoro sfinks od wieków ani na chwilę nie zmrużył oka i patrzy, wciąż patrzy...

Tymczasem Pentuer znalazł okno, przez które z podziemiów rozlewała się jękliwa pieśń kapłańska:

*Chór I.* „Wstawaj, promieniejący jak Izis, jak wstaje Sotis na firmamencie rano, z początkiem stałego roku.

*Chór II.* Bóg Amon-Ra<sup>119</sup> był po prawicy i po lewicy mojej. Sam oddał mi w ręce panowanie nad całym światem, przyczyniając się do upadku nieprzyjaciół moich.

*Chór I.* Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecione włosy<sup>120</sup>, lecz w Egipcie nic nie działo się bez twego rozkazu i nie położono kamienia węgielnego pod żaden gmach bez twojej obecności.

*Chór II.* Przyszedłem do Ciebie, władco bogów, wielki bogu, panie słońca. Tum obiecuje mi, że ukaże się słońce i że będę podobny do niego, a Nil, że osiągnę tron Ozyrysa i będę go posiadał na wieki.

*Chór I.* Wróciłeś w spokoju szanowany przez bogów, władco dwu światów, Ra-Mer-amen-Ramzesie. Zapewniam ci panowanie wieczne, królowie zbliżą się do ciebie i złożą ci hołdy.

*Chór II.* O ty, ty! Ozyrys-Ramzesie, wiecznie żyjący synu nieba, zrodzony z bogini Nut. Niech matka twoja otoczy cię tajemnicą nieba i niech zezwoli, abyś został bogiem, o ty, ty, Ozyrys-Ramzesie.<sup>121</sup>

„A więc pan świątobliwy już umarł!...” — rzekł do siebie Pentuer.

Odszedł od okna i zbliżył się do miejsca, gdzie siedział następcą pogrążony w marzeniach.

Kapłan ukląkł przed nim, upadł na twarz i zawołał:

— Bądź pozdrowiony, faraonie, władco świata!...

— Co mówisz?!... — zawołał książę, zrywając się.

— Niech Bóg jedyny i wszechmocny zleje na ciebie mądrość i siłę, a szczęście na lud twój...

— Wstań, Pentuerze... Więc ja... więc ja...

Nagle wziął za ramię kapłana i obrócił go ku sfinksowi.

— Spójrz na niego — rzekł.

Ale ani w obliczu, ani w postawie kolosa nie zaszła żadna zmiana. Jeden faraon przestąpił granicę wieczności, drugi wschodził jak słońce, lecz kamienna twarz boga czy potwora pozostała taką samą. Na ustach łagodny uśmiech dla ziemskich potęg i chwały, we wzroku oczekiwanie na coś, co ma przyjść, lecz nie wiadomo, kiedy przyjdzie.

Wkrótce od przewozu wrócili dwaj posłańcy z zawiadomieniem, że czółna będą gotowe.

Pentuer wszedł między palmy i zawołał:

— Ocknij się!... ocknij się!...

<sup>119</sup>Amon-Ra a. Amon-Re — bóg słońca, stwórca i władca świata, strażnik ładu i sprawiedliwości. Jego kult powstał przez utożsamienie tebańskiego boga-stwórcy Amona, który w czasach Nowego Państwa zyskał rangę bóstwa państwowego, ze słonecznym bogiem Re, popularnym na terenie całego Egiptu od czasów Starego Państwa. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Byłeś jeszcze młody, nosiłeś splecione włosy — w starożytnym Egipcie dzieciom golono głowy, pozostawiając jeden długi, zapleciony pukiel z boku głowy. Po uzyskaniu dojrzałości taki pukiel młodości obcinano. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>Wstawaj, promieniejący jak Izis... — napisy grobowe. [przypis autorski]

Czujni Azjaci natychmiast zerwali się i zaczęli kielznać konie. Podniósł się i Tutmozis, szkaradnie ziewający.

— Brr!... — mruknął — jakie zimno... Sen dobra rzecz!... Ledwie się zdrzemnąłem i już mogę jechać, bodaj na koniec świata, byle znowu nie do Sodowych Jezior... Brr!... Już zapomniałem smaku wina i zdaje mi się, że ręce zaczęły mi porastać włosom jak szakalowi... A do pałacu mamy jeszcze ze dwie godziny.

Szczęśliwi chłopci!... Śpi gałgan jeden z drugim do tej pory, nie czuje potrzeby kąpienia się i nie pójdzie do roboty, dopóki żona nie napasie go jęczmiennym kleikiem. A ja, wielki pan, muszę jak złodziej tułać się nocą po pustyni nie mając w ustach kropli wody...

Konie były gotowe i Ramzes wsiadł na swego. Wówczas Pentuer zbliżył się, ujął za cugle rumaka władcy i prowadził go, sam idąc pieszo.

— Co to?... — spytał zdziwiony Tutmozis. Wnet jednak opamiętał się, podbiegł i wziął Ramzesowego konia za cugle z drugiej strony. I tak szli wszyscy milcząc, zdziwieni zachowaniem się kapłana, choć czuli, że stało się coś ważnego. Po kilkuset krokach nagle skończyła się pustynia, a przed podróżnymi wyciągnął się gościniec wśród pól.

— Siadajcie na konie — rzekł Ramzes — musimy pośpieszać.

— Jego świątobliwość rozkazuje sięść na koń! — zawołał Pentuer.

Obecni osłupieli. Ale Tutmozis prędko odzyskał przytomność i położywszy rękę na mieczu wykrzyknął:

— Niech żyje wiecznie, wszechmocny i łaskawy wódz nasz, faraon Ramzes!

— Niech żyje wiecznie!... — zawyli Azjaci, potrząsając bronią.

— Dziękuję wam, wierni żołnierze moi — odrzekł pan.

W chwilę później konny orszak pędził w stronę rzeki.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/faraon-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Faraon, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Magdaleny Paul.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [seier+seier@Flickr](mailto:seier+seier@Flickr), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0731-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).